

Nowa seria przygód Nory Kelly

PRESTON & CHILD



DIABELSKA
GÓRA



PRESTON & CHILD

DIABELSKA GÓRA

Przełożył Jan Kraśko

Tytuł oryginału: *Diablo Mesa*

Redakcja: Hanna Trubicka

Korekta: Marta Śliwińska

Projekt graficzny okładki: Krzysztof Rychter

Zdjęcia na okładce: Vova Shevchuk/Shutterstock, kamomeen/Shutterstock

Opracowanie graficzne, skład: Elżbieta Wastkowska, ProDesGraf

Redaktor prowadząca: Magdalena Kosińska



ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa

Copyright © 2022 by Splendide Menda, Inc. and Lincoln Child. First published by Grand Central Publishing a division of Hachette Book Group, Inc. The Grand Central Publishing name and logo is a trademark of Hachette Book Group, Inc.

Copyright © Agora SA, 2024

Copyright © for Polish translation by Jan Kraśko 2024

Wszelkie prawa zastrzeżone

Warszawa 2024

ISBN: 978-83-268-4517-8



Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

Polska Izba Książki

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej



Spis treści

- 1
- 2
- 3
- 4
- 5
- 6
- 7
- 8
- 9
- 10
- 11
- 12
- 13
- 14
- 15
- 16
- 17
- 18
- 19
- 20
- 21
- 22
- 23

24
25
26
27
28
29
30
31
32
33
34
35
36
37
38
39
40
41
42
43
44
45
46
47
48
49
50

51

52

53

54

55

56

57

58

59

60

61

62

63

64

65

66

67

Przypis

*Montague Rhodesowi Jamesowi, kawalerowi Orderu Zasługi, z uznaniem
i wdzięcznością*

QUIS EST ISTE QUI VENIT?

1

DOKTOR MARCELLE WEINGRAU, nowa dyrektorka Instytutu Archeologicznego w Santa Fe, powoli położyła ręce na błyszczącym blacie wielkiego biurka. Potem równie powoli sięgnęła po cienką teczkę na dokumenty, którą przysunęła do siebie starannie wymanikiurowanymi paznokciami. Nora zauważyła, że nawet w najprostszymi ruchach szefowej jest coś wyrachowanego. Ale zdążyła już do tego przywyknąć i wiedziała, że nie jest to oznaka jakiejś zachęty czy zaniepokojenia. W każdym razie niekoniecznie.

Weingrau posłała jej ciepły szeroki uśmiech.

– Zaprosiłam dziś panią, ponieważ przytrafia nam się nadzwyczajna okazja. Nowy, cudowny projekt, coś naprawdę wyjątkowego. Connor i ja chcielibyśmy, żeby pani nim pokierowała.

Norę zalała fala ulgi. Nie była pewna, dlaczego szefowa ją wezwała. Odkąd w październiku nie przyznano jej obiecane awansu – otrzymał go Connor Digby, siedzący teraz obok niej – ona i Weingrau utrzymywały oficjalne, niezwykle poprawne stosunki. Gabinet Digby’ego, nowego dziekana wydziału archeologii i jej bezpośredniego przełożonego, mieścił się tuż obok jej gabinetu i chociaż Connor był niezłym archeologiem i przyjacielskim, ale zupełnie bezbarwnym facetem, mieli dość chłodne relacje. Od jego niespodziewanego awansu minęło pół roku i przez ten czas z niczym się nie wychylała, skupiając się na pracy i na próżno próbując wyzbyć się poczucia krzywdy.

– Nie chciałabym wracać do krępujących tematów, ale wiem, że była pani zawiedziona tym, że stanowisko dziekana wydziału archeologii przypadło komuś innemu. Bardzo przysłużyła się pani instytutowi

i zrobiła nam pani jakże potrzebną reklamę. Ten nowy projekt jest właściwie tego owocem. – Weingrau stuknęła w teczkę czerwonym paznokciem, raz, drugi i trzeci.

– Dziękuję – powiedziała Nora.

– Być może różni się nieco od tego, czym się zwykle zajmujemy, ale na pewno mieści się w granicach naszej misji.

Nora czekała na coś jeszcze. Ta mieszanina słów, pochlebstw i pochwał była dla dyrektorki nietypowa.

– Pani udział w zlokalizowaniu i odzyskaniu skarbu z Góry Victoria zwrócił uwagę znanego biznesmena, dodam, że również potencjalnego sponsora, i to właśnie on jest główną siłą sprawczą tego ekscytującego projektu.

Norę ogarnął lekki niepokój. Dlaczego Weingrau mówiła z tym dziwnym patosem?

– Nazywa się Tappan. Lucas Tappan. Słyszała pani o nim?

Nora zmarszczyła brwi.

– Szef Ikarusa, tej prywatnej firmy kosmicznej? To on?

– Właśnie. Zastąpił jako jej założyciel, ale interesuje się przede wszystkim energią wiatrową. Kosmos to jedynie zainteresowanie poboczne. Jest powszechnie szanowanym biznesmenem. Powszechnie szanowanym i zamożnym. – Dyrektorka znów posłała jej szeroki uśmiech.

Nora kiwnęła głową. Tappan nie był „zamożny”. Tappan był miliarderm.

– Zgłosił się do nas nie tylko z bardzo intrygującą propozycją, ale i z obietnicą grantu. Przedyskutowaliśmy to z Connorem i uzyskaliśmy akceptację komitetu wykonawczego naszego zarządu.

Nora była coraz bardziej zaniepokojona. Zarząd instytutu nie zajmował się zwykle rozpatrywaniem nowych projektów. No i dlaczego nikt nie poinformował jej o tym wcześniej?

– Connor przedstawi pani szczegóły.

– Tak, szczegóły... – Digby zwrócił się w jej stronę. – Incydent w Roswell. Czy coś ci to mówi?

Nora nie była pewna, czy dobrze go usłyszała. Przekrzywiła głowę.

– Roswell – powtórzył. – Pustynne miasteczko w Nowym Meksyku, na północ od którego...

– Rozbiło się... UFO?

– Właśnie – potwierdził i zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, zasypał ją gradem słów. – Krótki wstęp: w tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym roku właściciel rancza leżącego na północny wschód od Roswell znalazł szczątki czegoś niezwykłego na terenie działki, którą dzierżawił od Biura Gospodarowania Ziemią. Wojsko pojechało to sprawdzić i ósmego lipca wydało komunikat prasowy, w którym poinformowano, że żołnierze z Pięćset Dziewiątego Dywizjonu Bombowego znaleźli roztrzaskany latający spodek. Ale już po dwóch godzinach komunikat zmieniono, twierdząc, że nie był to spodek, tylko balon meteorologiczny. Dzięki wysiłkom badaczy prawda wyszła na jaw dopiero wiele lat później i okazało się, że rozbił się tam trafiony przez piorun niezidentyfikowany obiekt latający, kosmiczny statek obcych, który monitorował amerykańskie testy nuklearne. Na miejscu katastrofy wojsko znalazło jego liczne fragmenty oraz, prawdopodobnie, szczątki kilku pozaziemskich istot. Wszystko to zostało zatuszowane przez rządową kampanię dezinformacyjną o niespotykanej skali.

Digby wyrzucił to z siebie i umilkł.

Nora zmrużyła oczy. „Prawda wyszła na jaw”? Ta obłąkana teoria miała być prawdą?

– Pan Tappan chce, żebyśmy zbadali to miejsce, przeprowadzili tam wykopaliska zgodne ze wszelkimi zasadami badań archeologicznych – dodał Digby. – Jego propozycja jest dobrze przygotowana i zostanie w pełni sfinansowana.

– I to właśnie tym cudownym projektem miałabym pokierować?

Connor uśmiechnął się nerwowo.

– Tak. Dysponując personelem, sprzętem i pieniędzmi niezbędnymi do przeprowadzenia wykopalisk zgodnie z najwyższymi standardami zawodowymi.

Nora przyglądała mu się bez słowa, więc umilkł, wyjął długopis i zaczął się nim bawić.

Nora przeniosła wzrok na dyrektorkę.

– Czy to jakiś żart?

– Przeciwnie – odparła Weingrau. – Projekt został zweryfikowany i zatwierdzony przez zarząd. Coś się tam rozbiło. Ale co? Tego nie wiemy.

– Nie, to chyba żart.

– Proszę nie wyciągać pochopnych wniosków, Noro. Nie zamierzamy uwiarygadniać teorii o UFO. Zgodziliśmy się jedynie przeprowadzić wykopaliska na terenie domniemanej katastrofy. To wszystko.

– Z całym szacunkiem, ale uwiarygadniacie ją już samą zgodą na przeprowadzenie poważnych badań archeologicznych. Teoria o obcych z Roswell została obalona lata temu.

– Ludzie rozsądni się z tym nie zgadzają. A nikt nie wie na pewno. Tak jak wspomniał Connor, istnieją dowody, że rząd zrobił wszystko, aby zatuszować tę sprawę. Pan Tappan dokładnie zbadał incydent w Roswell i ma nowe informacje, według których na miejscu katastrofy znaleziono fragmenty urządzeń wykonanych nieznaną nam technologią, możliwe też, że szczątki istot pozaziemskich.

– Szczątki ciał obcych? Przepraszam, ale naprawdę chcecie wmieszać instytut w coś tak... kiczowatego?

– Już to zrobiliśmy – odparła surowo Weingrau. – Sprawa jest załatwiona. Czuję się urażona pani słowami. Zawsze okazywałam i wciąż okazuję pani dużo zrozumienia. Bardzo dużo, choćby w sprawie wykopalisk w Tsankawi, które nieustannie pani przedłuża i których końca nie widać.

Nora nie mogła uwierzyć własnym uszom.

– Domyślałam się, że oprócz sfinansowania wykopalisk Tappan obiecał wam również sporo kasy, tak?

– Owszem, w grę wchodzi bardzo hojna dotacja, ale nie dlatego się tym zajmujemy. Incydent w Roswell to wciąż nierozwiązana tajemnica. I jeśli archeologia może rzucić na nią choć trochę światła, nie ma w tym nic

złego. Daję pani cudowną okazję do wzbogacenia CV i podniesienia swojego statusu.

Nora nie zdążyła ugryźć się w język.

– Nie ma mowy.

– Zaprzeczanie istnienia rzeczy wykraczających poza naszą wiedzę jest równie niebezpieczne jak ich promowanie.

Nora spróbowała spojrzeć na to z perspektywy dyrektorki, lecz nie była w stanie.

– Przykro mi, ale nie. Po prostu nie mogę.

Weingrau przeszła ją wzrokiem.

– Być może źle mnie pani zrozumiała. My nie prosimy, żeby się pani zgodziła. Projekt został zatwierdzony i ma pani nim pokierować. Kropka.

– To nie w porządku. – Próbując zapanować nad gniewem, Nora zniżyła głos. – Nikt tego ze mną nie konsultował, choć zgodnie z prawem powinniście byli to zrobić. Jestem w połowie ważnego projektu, opóźnionego nie z mojej winy przez tę historię z Górą Victoria. Nie możecie zrzucić na mnie czegoś takiego bez uprzedzenia. Odkąd została pani dyrektorką, nie traktuje mnie pani z profesjonalizmem, na który zasługuję, a to jest kolejny tego przykład. Instytut stanie się pośmiewiskiem całej społeczności archeologicznej. I nie, udział w tych wykopaliskach nie podniesie mojego statusu. Przeciwnie, zagrozi mojej karierze. Dlatego stanowczo odmawiam.

– Słyszałaś, co powiedziała pani dyrektor – odezwał się piskliwie Digby.

– Decyzja została już podjęta.

Nora spiorunowała go wzrokiem i spojrzała na dyrektorkę. Jej żądanie było kroplą, która przepełniła czarę.

– Mam pomysł. Niech zajmie się tym pani klakier.

– To nie tylko niestosowne, ale i obraźliwe...

– Ma pani rację, więc może spytamy samego klakiera? Connor, powiesz nam, dlaczego nie chcesz pokierować tym cudownym projektem?

– Bo... – wyjąkał Digby. – Bo Tappan prosił konkretnie o ciebie.

– Tak? Więc powiedz mu, że nie mam czasu.

W gabinecie zapadła nerwowa cisza.

– Czy to pani ostatnie słowo? – spytała w końcu dyrektorka.

– Tak, zdecydowanie.

– W takim razie proponuję, żeby wróciła pani do gabinetu, zabrała swoje rzeczy osobiste, poukładała dokumenty i opuściła mury instytutu.

Nora wzięła głęboki oddech. Ten nagły upust pretensji, które z siebie wyrzuciła, był dla niej takim samym zaskoczeniem, jakim musiał być dla Weingrau. Ale co powiedziała, to powiedziała i być może tak było lepiej, bo jeśli miała być ze sobą szczerą, już od jakiegoś czasu szukała pretekstu do odejścia. No i proszę, dostała go jak w prezencie. Jeśli instytut chciał zniszczyć sobie reputację, przynajmniej to nie ona oberwie rykoszetem.

– Czyli zwalnia mnie pani, tak?

– Jeśli przed wyjściem złożę pani oficjalną rezygnację, nie będziemy musieli tak tego nazywać. Powiemy, że to po prostu rezygnacja.

– Nie.

– Co: nie?

– Jeśli chce mnie pani wyrzucić, niech mnie pani wyrzuci. – Spojrzała na Digby'ego. – A tobie szczęścia życzę. Będziesz go potrzebował.

Potem wstała i wyszła z gabinetu.

2

PÓŁTOREJ GODZINY PÓŹNIEJ głównymi drzwiami wyszła z instytutu na kwietniowe słońce, niosąc do samochodu kartonowe pudło i plecak. Wściekłość powoli mijała, ustępując miejsca gorzkiemu żalowi i gdybaniu. Gdyby tylko rozegrała to inaczej, gdyby tak zajadłe nie odszczekiwała, gdyby poprosiła o czas na zastanowienie, gdyby nie powiedziała, że projekt jest kiczowaty, i nie nazwała Digby'ego klakierem... Gdyby nie to wszystko, może udałoby się jej z tego wywinąć i zwalić wykopaliska na niego. No i gdyby nie czysty upór, który kazał jej odrzucić propozycję rezygnacji. Na rynku akademickim było trudno o pracę, a z adnotacją o zwolnieniu w papierach... Co ona sobie wyobrażała? Mimo to myśl, że po tym, co nawygadywała w gabinecie dyrektorki, miałaby złożyć rezygnację, była tak poniżająca, że wprost nie do zniesienia.

Poza tym martwiła się o brata, który też pracował w instytucie. Była pewna, że gdy Skip usłyszy, że ją wyrzucono, to natychmiast złoży wypowiedzenie. Był w trudniejszej sytuacji niż ona: co prawda ukończył fizykę na Stanfordzie, ale niezbyt dobrze wykorzystywał swoją wiedzę. Bo ilu specjalistów od zarządzania zbiorami może być potrzebnych w Santa Fe? Zresztą nawet jeśli nie złoży wypowiedzenia, Weingrau może go wyrzucić z czystej złości. Bardzo by nie chciała, żeby Skip znowu stoczył się tam, gdzie kilka lat temu.

Jej drogę blokował samochód z cicho mrużącym silnikiem. Kiedy go mijała, zmagając się z pudłem i plecakiem, wysiadł z niego jakiś mężczyzna.

– Doktor Kelly?

Przystanęła.

– Tak?

– Czy moglibyśmy porozmawiać? Tylko przez chwilę.

– Przepraszam, ale jestem bardzo zajęta i muszę iść. – Nie wiedziała, czego facet chce i co robi w instytucie, ale już jej to nie interesowało. Poszła dalej.

Lecz on ją dogonił.

– Proszę zaczekać, pomogę pani z tym pudłem.

– Nie, dziękuję – rzuciła ostro.

Podeszła do samochodu, wygrzebała kluczyki, otworzyła drzwi i wrzuciła pudło na tylne siedzenie. Kiedy obok pudła wylądował plecak, zatrzasnęła drzwi i nagle spostrzegła, że mężczyzna stoi tuż za nią.

Nie zwracając na niego uwagi, otworzyła drzwi. Chciała wsiąść, ale położył na nich rękę.

– Rozumiem, że zrezygnowała pani z pracy.

Spojrzała na niego zdezorientowana. Czyżby wieść już się rozniosła? Jakim cudem? Przecież nikt o tym nie wiedział, nawet Skip.

– Kim pan, do diabła, jest? – spytała.

– Lucas Tappan – odparł z uśmiechem i wyciągnął do niej rękę.

Dopiero teraz zobaczyła go naprawdę. Mniej więcej w jej wieku – mógł mieć trzydzieści pięć, najwyżej czterdzieści lat – Iniana marynarka, kowbojska koszula z czarnej jagnięcej skóry, dżinsy, zamszowe sneakersy od Lanvina, kręcone czarne włosy, szare oczy, białe zęby, dołeczek w podbródku, dołeczki w policzkach – wyglądał jak pyszałkowaty goguś, który całym sobą mówi: „Zarobiłem od groma forsy, ale się nie zmieniłem”. Od razu go znieubiła.

– Niech pan zabierze rękę, bo wezwę policję.

Zabrał rękę, a ona trzasnęła drzwiami i włożyła kluczyk do stacyjki. Kiedy silnik zapalił, odwróciła głowę, żeby wycofać, i nacisnęła pedał gazu dużo mocniej, niż zamierzała. Koła zabuksowały na żwirze.

– Cieszę się, że pani odeszła – powiedział mężczyzna, podnosząc głos, żeby go usłyszała. – Teraz możemy swobodnie współpracować.

Gwałtownie zahamowała i opuściła szybę.

– Że co?

– Liczyłem na to. Szczerze mówiąc, niespecjalnie chciałem pracować z tą Weingrau.

– Liczył pan na to? Co to za absurd?

– Czy możemy porozmawiać? – powtórzył. – Tylko przez chwilę.

– Naprawdę nie mam teraz czasu na rozmowy.

– Nigdy go pani tyle nie miała. Zrezygnowała pani z pracy.

– Wielkie dzięki. Ostatni dupek z pana. I pogięty oszołom. UFO. Roswell. Co za brednie.

– Dobrze, świetnie. Mówiono mi to wiele razy, nawet rzeczy dużo gorsze niż to. Pięć minut? Bardzo proszę.

Już miała odjechać, lecz nie odjechała. Wraz z gniewem uszła z niej cała energia i poczuła się nagle jak przekłuty balon. Czy te dwie ostatnie godziny naprawdę się wydarzyły? Rano siedziała w gabinecie, pisząc podsumowanie wyników wykopalisk w Tsankawi, a teraz zamiast gabinetu i pracy miała kilka spalonych mostów, które dymiły we wstecznym lusterku.

– Na miłość boską, ale tylko pięć. – Wciąż siedząc za kierownicą, skrzyżowała ramiona.

– Myśli pani, że moglibyśmy porozmawiać... nie przez okno? Chcę pani coś pokazać.

I znów wbrew zdrowemu rozsądkowi zaparkowała, wysiadła i podeszli do jego samochodu, jasnoniebieskiej tesli. Oczywiście.

– Zechce pani usiąść z prawej strony?

Usiadła w kremowobiałym skórzanym fotelu. Na wyłożonej bogato usłojonym drewnem desce rozdzielczej błyszcząły satynowy nikiel i duży ekran komputera.

Kiedy zamknęła drzwi, Tappan dotknął jakiegoś przycisku i szyby w magiczny sposób pociemniały. Tappan sięgnął do schowka, wyjął duży rulon i zaczął go rozwijać.

– Proszę spojrzeć. – Przytrzymał go tak, żeby mogła dobrze widzieć.

Natychmiast to rozpoznała.

– To jest echogram, wynik profilowania georadarowego...

– Wiem, co to jest – przerwała mu niecierpliwie.

– Świetnie. Proszę spojrzeć na ten sektor, ten tutaj. To nasz obszar docelowy, miejsce, gdzie jakoby rozbiło się UFO. Co pani widzi?

Przyjrzała się monochromatycznemu obrazowi. Było aż nazbyt oczywiste, że coś się tam wydarzyło.

– Niech pani powie: czy tego rodzaju zakłócenia mogłyby powstać na skutek upadku balonu meteorologicznego?

Zmrużyła oczy i zobaczyła niewyraźną, lecz dość głęboką bruzdę w piasku czy podłużne wyżłobienie i wiele innych śladów rozległych zakłóceń.

– Raczej nie – odparła.

– Właśnie. Proszę zauważyć, że wszędzie wokoło roi się od śladów pozostawionych przez samochody i buldożery. Radar odkrył również słaby zarys dwóch dróg dojazdowych i drogi biegnącej wokół bruzdy. Musiał tam panować spory ruch. To dość znamienne, nie sądzi pani?

– Czy to nie jest za małe jak na statek obcych? Bruzda jest dość wąska. Nie, to mogło być wszystko: rakietka, mały samolot, a nawet meteor. Nie widzę tu żadnych dowodów na katastrofę UFO.

– Chodzi o to, że wydarzyło się tam coś, co nie pasuje do teorii, że spadł tam balon meteorologiczny czy urządzenie monitorujące testy nuklearne. Poza tym wyraźnie widać, choćby tutaj i tutaj, że wszystkie ślady zasypano ziemią i starannie wygładzono. To mnóstwo roboty. Czy ktoś zadawałby sobie tyle trudu, żeby zamaskować miejsce upadku zwykłego balonu? Po co?

Jeszcze raz przyjrzała się echogramowi. Rzeczywiście, ślady wskazywały na to, że sporo się tam działo.

Tappan wyjął i rozwinął drugi rulon, profil magnetometryczny, rezultat pracy urządzenia, które archeolodzy wykorzystują do sporządzania dokładnych map geologicznych. Widniały na nim różne anomalie i ciemne plamy w obszarze i wokół obszaru ewentualnych poszukiwań. Anomalie i słaby, ledwo widoczny zarys bruzdy.

– Laik taki jak ja powiedziała by, że te ciemne plamy i smugi to „coś zakopanego”. Coś, co pani odkopie.

– To może być wszystko. Kamienie, metalowe puszki i śmieci.

Tappan postukał palcem w wykres.

– Możliwe, ale to dowodzi jednego. Władze kłamały. Nie było ani balonu meteorologicznego, ani tajnego urzędu monitorującego. Pojawia się pytanie: dlaczego kłamały?

Spojrzał na nią badawczymi, szarymi oczami. Pytanie było jak najbardziej na miejscu.

– Kłamały i kłamią dalej – ciągnął. – Kilka lat temu odtajniono, a raczej niby odtajniono rządowe akta UFO. Jak pani zapewne wie, było w nich kilka zadziwiających informacji, jak choćby filmy wideo nagrane przez pilotów samolotów myśliwskich. Ale już przedtem opublikowano dokumenty wskazujące, że w Roswell rozbił się nie balon, tylko tajne urządzenie skonstruowane w Los Alamos, które miało wykrywać naziemne wybuchy atomowe. Podczas testów porwał je wiatr i rozbiło się pod Roswell. Opisany przez świadków „latający spodek” był w rzeczywistości reflektorem radarowym, zwykłym lokalizatorem.

– To całkiem sensowne – powiedziała. – Wiatr powlókł je po ziemi i stąd ta bruzda.

– Ma co najmniej cztery i pół metra głębokości – zauważył Tappan. – Nie, wyposażony w reflektor radarowy wykrywacz naziemnych wybuchów atomowych też jest elementem dezinformacji, jej drugiej warstwy. W pierwszej był balon, w drugiej tajny wykrywacz. To wszystko mistyfikacja. Idźcie stąd, ludzie. Tu nie ma nic do oglądania! Prawdziwe akta UFO z Roswell i znalezione tam szczątki wciąż są utajnione.

Pokręciła głową.

– A ciała obcych? – spytała z sarkazmem.

– Chodzi o to, że pod Roswell leży tego dużo więcej – odparł z uśmiechem. – Widać to na tych profilach. Dzięki profesjonalnie przeprowadzonym wykopaliskom można by te szczątki wydobyć i sprawdzić, co to właściwie jest. Za tymi podziemnymi zakłóceniami może

się kryć coś więcej, może nawet... dużo więcej. – Zwinął rulon. – Co pani na to?

– Te falogramy to wszystko, co pan ma?

– Wszystko? Uważam, że to bardzo dużo. Proszę posłuchać: nie chciałem wciągać w to instytutu. Zależało mi tylko na pani. Pomyślałem, że kiedy to pani zaproponują, pewnie złożą pani wypowiedzenie. I miałem rację.

– Nie, nie miał pan racji. Wyrzucili mnie.

Tappan stłumił śmiech.

– Trochę już porozmawialiśmy i widzę, że tak, rzeczywiście mogło do tego dojść. Digby, ten biedny mały człowieczek... – Ze smutkiem pokręcił głową. – Naprawdę przez pół roku był pani przełożonym?

Odpowiedziała pytaniem:

– Dlaczego akurat ja? Jest mnóstwo innych archeologów.

– Z wielkim zainteresowaniem śledziłem historię skarbu z Góry Victoria. Potem przeczytałem o pani wykopaliskach na Przełęczu Donnera i w Kansas. Nie szukam pochylonego nad książkami naukowca. Szukam kogoś takiego jak pani, archeologa utalentowanego, odważnego, wytrwałego i umiejącego ocenić sytuację. Zbudowałem moją firmę tylko dlatego, że udało mi się znaleźć odpowiednich ludzi.

Niemal z żalem patrzyła, jak Tappan opasuje rulony gumką i wkłada je do schowka.

– Przykro mi, ale nie mogę – powiedziała. – Po prostu nie mogę.

– Nie proszę, żeby zdecydowała pani już teraz. Proszę tylko, żeby obejrzała pani to miejsce. Poznała ekipę, zapoznała się z dowodami. Ten teren należy do Biura Gospodarowania Ziemią. Mam wszystkie pozwolenia, sprzęt, inżynierów i paru na wpół „oswojonych” archeologów na studiach podoktorskich, słowem wszystko, co jest niezbędne do przeprowadzenia w pełni profesjonalnych wykopalisk. Brakuje mi tylko wykwalifikowanego archeologa. Oferuję wysoką pensję.

Pokręciła głową.

– Na lotnisku czeka mój helikopter. Moglibyśmy tam być za godzinę z minutami i już o szóstej byłaby pani w domu. A gdyby postanowiła pani

przenocować, miałyby pani do dyspozycji bardzo wygodną przyczepę kempingową.

Westchnęła. „Wysoka pensja” bardzo kusila. Mieszkała z bratem i z trudem spłacali hipotekę. Życie w Santa Fe było drogie, a instytut nie grzeszył hojnością.

– Bardzo mi przykro. – Otworzyła drzwi, wysiadła, odwróciła się i zobaczyła, że Tappan patrzy na nią zaskoczony i skonsternowany. Najwyraźniej nie przywykł do tego, że ktoś mu odmawia. – Dziękuję za propozycję, ale obawiam się, że nie mogę jej przyjąć.

Zamknęła drzwi i poszła do samochodu, zastanawiając się, czy nie popełniła przed chwilą największego życiowego błędu.

3

PRZYJECHAŁA DO SWOJEGO MAŁEGO DOMKU na południowym krańcu miasta. Rzuciła pudło na kuchenny blat, cisnęła w kąt plecak, nastawiła wodę na kawę i opadła na fotel. Mitty, golden retriever, którego wzięli kiedyś ze schroniska, podbiegł do niej, machając nie tylko ogonem, ale i całą połową ciała. Wepchnął nos w jej rękę. Pogłaskała go od niechcienia, zastanawiając się, co, do diabła, ma teraz zrobić. Dochodziła dopiero pierwsza i dzień zdawał się nie mieć końca. Może powinna zacząć rozsyłać swoje CV?

– Nora! Już w domu? – Do pokoju wpadł Skip.

– Ty też – odparła. – Dlaczego nie jesteś w instytucie? – Nagle ogarnął ją strach, że Weingrau zwolniła i jego.

– Rzuciłem pracę!

O Boże, nie, pomyślała. I, ukrywając przerażenie, spytała:

– Poważnie? Dlaczego?

– Mam nową!

Zagwizdał czajnik.

– Zrobię kawę i wszystko ci opowiem.

Brat zajął się mieleniem i filtrowaniem, a ona przetwarzaniem tej informacji. Dostał lepszą pracę? Skip? Niemożliwe.

– A ty? – spytał, wsypując kawę do zaparzacza i zalewając ją wrzątkiem.

– Co tu robisz o tej porze?

– Hm, wyrzucili mnie.

Skip znieruchomiał.

– Co takiego?

– Wyrzucili mnie.

– Co znaczy „wyrzucili”? Jesteś ich gwiazdą!

Westchnęła.

– Kazali mi wykopać UFO i odmówiłam.

Zapadła głucha cisza. Po chwili brat znów zajął się kawą.

– UFO? – powtórzył cicho.

– Znasz tę zwariowaną teorię spiskową o Roswell? O latającym spodku i ciałach martwych kosmitów? Zażądali, żebym tam pojechała i pokierowała wykopaliskami. Powiedziałam, że nie chcę stać się pośmiewiskiem całego świata archeologicznego. Od słowa do słowa i Weingrau mnie zwolniła.

Brat wciąż parzył kawę. Cisza się przedłużała i Nora poczuła się trochę nieswojo.

– Skip?

– Tak?

– Co to za praca?

Znów zapadła cisza.

– Dlaczego uważasz, że teoria o Roswell jest zwariowana? Jest bardzo dużo dowodów. Mnóstwo. Są świadkowie. Dokumenty. Zeznania emerytowanych wojskowych, którzy tam wtedy byli i widzieli wrak, a nawet szczątki obcych.

– Hm, Skip? Czy tej nowej pracy nie zaproponował ci przypadkiem niejaki Lucas Tappan?

Brat wyszedł z kuchni z dwiema filiżankami. Postawił je buńczucznie na stole, usiadł i odparł:

– Właściwie to tak.

Pokręciła głową. Z minuty na minutę dzień stawał się coraz gorszy.

– Posłuchasz mnie przez chwilę? Po pierwsze, Tappan przeprowadził bardzo szczegółowe rozeznanie. Zbadał ten teren magnetometrem, lidarem i georadarem. Włożył w to mnóstwo pracy, nie ma w tym żadnej lipy. Gość ma wszystkie pozwolenia i całą resztę.

– Ile ci płaci?

– Tysiąc sześćset tygodniowo.

– Tylko tyle?

– Hej, po co ten sarkazm? To fantastyczny projekt, wielka szansa. Zdemaskujemy rządowy spisek wszech czasów. Interesuję się Roswell od lat, dobrze wiesz. – Skip zrobił pauzę. – Nie mogę uwierzyć, że odrzuciłaś taką propozycję. I jeszcze wywalili cię z pracy! Co cię, do diabła, napadło?

Nora upiła łyk kawy i spróbowała pozbierać myśli.

– Kiedy cię zatrudnił?

– Dzisiaj w południe. Wszedł do biura, przedstawił się, powiedział, co chce zrobić, i spytał, czy chcę się do nich przyłączyć. Miał już wydrukowaną umowę. Podpisałem, napisałem wypowiedzenie i wychodząc, zostawiłem je w sekretariacie.

W południe, pomyślała, czyli tuż zanim spotkała go na parkingu. Dobrze chociaż, że nie poszedł do Skipa po tym, jak mu odmówiła... Westchnęła. Rzucić się na głęboką wodę albo wskoczyć w ogień i spłonąć – to cały Skip. Nie zliczyłaby, ile razy wyrzucano go z pracy, zanim dostał tę w instytucie. I jak teraz spłaca dom?

– Siostrzyczko, on jest miliarderem! Właścicielem firmy kosmicznej i wielkim zwolennikiem zielonej energii. Buduje gigantyczne turbiny wiatrowe, elektrownie słoneczne, to żaden oszust.

– Zaraz po tym, jak Weingrau mnie zwolniła, wpadłam na niego na parkingu. Zapropozował mi tę samą pracę. Odmówiłam.

Skip złapał się za głowę i zaczął kiwać się do przodu i do tyłu.

– Odmówiłaś dwa razy?

Mitty zaszczekał, raz i drugi.

– Przecież nie mogę zamieścić w CV informacji, że chciałam wykopać UFO. To za bardzo... kuriozalne.

– W poważnych, profesjonalnych wykopaliskach nie ma nic kuriozalnego. Moglibyśmy pracować razem. Mielibyśmy kupę zabawy! – Skip wyjął telefon. – Zadzwoń do niego i powiem, że zmieniałaś zdanie.

Zaczął wybierać numer, lecz go powstrzymała.

– Nie. Proszę.

W tym samym momencie zadzwoniła jej komórka. Chcąc uniknąć dalszej rozmowy z bratem, z ulgą odebrała telefon, ale tylko po to, żeby znowu usłyszeć głos Tappana.

– Nora? Przeszkadzam?

Chciała odpowiedzieć, że tak, ale pomyślała o Skipie.

– Zaczeka pan, aż pójde gdzieś, gdzie będziemy mogli swobodnie porozmawiać?

Domyśliwszy się, kto dzwoni, Skip zerwał się z fotela i zaczął tańczyć wokół niej, wymachując rękami. Szybko weszła do sypialni i zamknęła mu drzwi przed nosem.

– Już – powiedziała.

– Chciałem panią przeprosić za tę zasadzkę na parkingu. Obawiam się, że nie dałem pani przestrzeni do rozważenia mojej propozycji.

– Zatrudnił pan mojego brata.

– Jego głównym zadaniem będzie współpraca z Noamem Bitanem, naszym astronomem i kustoszem, zajmowanie się jego biblioteką i zbiorami. Skip ukończył fizykę. Bardzo dużo wie o incydencie w Roswell i umie doglądać artefaktów. Asystował przy wielu wykopaliskach i ma w tej dziedzinie bogate doświadczenie, bez wątpienia dzięki pani.

– Zaangażował go pan, żeby mnie zwerbować.

– Ależ skąd! Bardzo się cieszymy, że z nami pracuje. Noro, powiem pani, dlaczego dzwonię. Jutro zabieram Skipa do Roswell. Chcę go oprowadzić, przedstawić ekipie i pokazać mu miejsce zakwaterowania. Może poleci pani z nami? Bez żadnych zobowiązań. Pozna pani moich ludzi, zobaczy, co robimy i czy Skip będzie tam pasował.

– Mam wrażenie, że to taki mały szantaż. To, że go pan zatrudnił.

– Noro, wiem, że jesteście bardzo ze sobą związani, wiem też... – Tappan lekko się zawahał. – Że poniosła pani wielką stratę. Chcę tylko stworzyć dla was jak najlepsze i najbardziej przyjazne warunki pracy. Jutro o dziewiątej przyślę kogoś po Skipa. Pojedzie pani z nim?

4

NIEZBYT CZĘSTO LATAŁA ŚMIGŁOWCEM, ale kabina tego – luksusowe wykładziny, wszędzie skóra i mahoniowe wykończenia – bardziej przypominała wnętrze prywatnego odrzutowca, a może nawet jachtu. Naprzeciwko siebie stały dwa rzędy foteli. Po jednej stronie siedziała ona i Skip, po drugiej Tappan.

Skip był zachwycony, że zgodziła się z nimi lecieć, wprost nie posiadał się z radości. Podczas lotu Tappan był dziwnie milczący i prawie cały czas czytał jakąś powieść, natomiast on gadał non stop o incydencie w Roswell, o obcych, SETI i o równaniu Drake’a. Była zaskoczona, że brat tyle wie. Fakt, interesował się UFO od lat, lecz nie wiedziała, że aż tak.

Tappan zamknął książkę.

– Zaraz będziemy na miejscu. Spójrzcie w okno. Zobaczycie wszystko z góry.

Nie chcąc dłużej wysłuchiwać paplaniny podekscytowanego Skipa, Nora odwróciła się i spojrzała. Śmigłowiec leciał nad szerokimi pustynnymi mesami i wysokimi równinami upstrzonymi kępami sosen i jałowców i poprzecinanymi krętymi nitkami strumieni oraz kanionów. W oddali ujrzała duże, zupełnie białe suche jezioro, po którym przemykały pustynne diabliki, małe wiry pyłowe. Na niskim płaskowyżu pojawiło się coś, co początkowo wyglądało na małe miasteczko, ale już po chwili okazało się obozowiskiem zastawionym przyczepami kempingowymi, kamperami, rzędem blaszanych baraków i dwiema dużymi szopami z prefabrykatów. Były tam również parking pełen pojazdów i ciężkiego sprzętu, nowiutkie betonowe lądowisko dla śmigłowców oraz nowa droga znikająca za odległymi wzgórzami.

– Nieźle – rzuciła.

– Myślę, że jeśli przyjmie pani moją propozycję, będzie tu pani wygodnie – powiedział Tappan. – Za daleko stąd do cywilizacji, dlatego zamiast dojeżdżać do pracy, personel mieszka na miejscu.

Śmigłowiec zatoczył krąg nad lądowiskiem naprowadzany przez sygnalistę z pałkami świetlnymi w rękach. Chwilę później przyziemił, a gdy silnik zmniejszył obroty, otworzyły się drzwi. Nora, Tappan i Skip wysiedli i pochyliwszy się nisko pod wciąż obracającymi się łopatami wirnika, ruszyli w stronę czekającego jeepa.

– Najpierw wycieczka czy plan projektu? – spytał Tappan.

– Plan projektu – odparła Nora. Jeśli plan się jej nie spodoba, a pewnie tak będzie, po co miałyby oglądać obozowisko?

– Tak myślałem. – Tappan spojrzał na kierowcę. – Barak numer jeden. – Przeniósł wzrok z powrotem na nią. – Przedstawię was naszym inżynierom.

Za luksusowymi przyczepami kempingowymi i kamperami stał rząd opatrzonych numerami baraków z blachy falistej. Zatrzymali się przed pierwszym, wysiedli, weszli do środka i minawszy kilka boksów, znaleźli się w dużym, otwartym pomieszczeniu z długim stołem roboczym na środku. Za stołem stało troje ludzi w białych fartuchach laboratoryjnych, dwóch mężczyzn i kobieta. Najwyraźniej na nich czekali. Na stole leżały zwinięte w rulon dokumenty.

– Panie i panowie – zaczął Tappan – chciałbym wam przedstawić panią doktor Norę Kelly i pana Elwyna Kelly’ego...

– Boże, nie – przerwał mu Skip. – Mówcie mi Skip.

Nora powstrzymała uśmiech; brat nienawidził swojego prawdziwego imienia.

– Dobrze, zatem Skipa – ciągnął Tappan. – Zresztą i tak wszyscy jesteśmy tu na „ty”. Skip jest nowym asystentem Noama, a Nora będzie naszym głównym archeologiem, przynajmniej mam taką nadzieję. – Zrobił pauzę, po czym kontynuował: – Może się przedstawicie i powiecie, jakie są wasze specjalizacje? À propos: Nora zrobiła doktorat na Uniwersytecie Stanforda.

Pracowała w nowojorskim Muzeum Historii Naturalnej i w Instytucie Archeologicznym w Santa Fe. Ma bardzo imponujące CV.

Inżynierowie wymienili spojrzenia i powitali ją nerwowymi uśmiechami. Miała wrażenie, że zwerbowano ich bardzo niedawno i wciąż nie są pewni swojej nowej roli. Jeden był ciemnowłosy i krępy jak hydrant przeciwpożarowy, drugi, ciemnoskóry łysielec w grubych okularach, miał gęstą brodę i przewyższał wzrostem tego pierwszego, a nad nim z kolei górowała wysoka, blada kobieta, inżynier numer trzy. Trochę śmieszni, zupełnie do siebie niepasujący, cudownie obciachowi i kojąco sympatyczni, wyglądali jak bohaterowie książeczki dla dzieci.

– Zacznij, Witalij – rzucił Tappan.

– Inżynier Witalij Kuzniecowa – przedstawił się ten najniższy, niepewnie skinąwszy im głową. – Specjalista od trójwymiarowego skanowania laserowego. Magisterium na Uniwersytecie w Houston, w Narodowym Centrum Napowietrznego Mapowania Laserowego.

– Cecilio?

Kobieta odgarnęła do tyłu kręcone rude włosy.

– Cecilia Toth, geofizyczka. Georadar, radar z syntetyczną aperturą, magnetometr. Doktorat na tekszańskim A&M.

– Greg Banks – odezwał się łysy brodac. – Doktorat w londyńskim Imperial College, studia podoktorskie z geologii planetarnej i egzobiologii. – Mówił z brytyjskim akcentem.

– Miło was poznać – powiedziała Nora.

Tappanowi udało się stworzyć naprawdę mocny zespół. Ale cóż, dysponował miliardami dolarów – inaczej niż wiecznie niedofinansowane uczelnie. Zastanawiała się przez chwilę, jak by się jej pracowało, gdyby choć raz miała do dyspozycji nieograniczony budżet.

– Dziękuję – powiedział Tappan. – Noro, część tych dokumentów już widziałas, ale te są w dużo większej rozdzielczości. Witalij?

Kuzniecowa rozwinął duży rulon. Był to wykonany lidarem trójwymiarowy obraz miejsca przyszłych poszukiwań.

– Zna pani technikę mapowania laserem podczerwieni? Pracowała pani z lidarem?

Kiwnęła głową. Mapa obejmowała cały wierzchołek mesy oraz okoliczne tereny. Pięknie wykonana, pokazywała wprost niewiarygodne szczegóły, łącznie z grupkami kaktusów i kępami traw.

Skip cicho zagwizdał.

– Rozdzielczość nie przekracza jednego centymetra – powiedział Kuzniecowa. – Mapowaliśmy w promieniu prawie dwóch kilometrów, żeby niczego nie przeoczyć. – Wskazał środek mapy. – Wyraźnie widać, że obszar docelowy nosi ślady zakłóceń nieustalonego pochodzenia, otoczonych śladami ciężkich pojazdów i sprzętu do robót ziemnych. Dawno temu musiało tu się dużo dziać. Z miejsca na miejsce przemieszczono mnóstwo ziemi, którą pokryto teren naszych poszukiwań. Jak pani widzi, jest trochę wyżej położony.

Nora znowu kiwnęła głową. Był to słaby dowód na katastrofę UFO, lecz na razie nie zamierzała tego mówić.

– Dziękuję, Witalij – powiedział Tappan. – Cecilio?

Rudowłosa kobieta posłała jej uśmiech i rozwinęła jaskrawo kolorową mapę.

– To jest georadarowy profil miejsca poszukiwań i okolic. Mamy szczęście, że to głównie suchy piasek, ponieważ radar penetruje taki materiał bardzo dobrze, do trzech metrów.

Nora przyjrzała się mapie. Tappan pokazywał jej wczoraj podobną, ale ta była większa i miała większą rozdzielczość. Widniała na niej wyraźna bruzda w kształcie litery „V”, która rzeczywiście wyglądała jak ślad po jakiejś katastrofie.

– Kiedy ją sporządzono? – spytała.

– Mniej więcej dwa tygodnie temu – odparła Cecilia. – Na podstawie danych z radaru z syntetyczną aperturą na pokładzie śmigłowca i danych z georadaru naziemnego.

– To, co zrobiło tę bruzdę, nadleciało szybko i pod małym kątem – wtrącił Tappan. – To nie był balon. To się poruszało.

– Widzę, ale to jeszcze nie dowód na UFO.

– Na UAP – poprawiła ją Cecilia. – Niezidentyfikowane zjawisko powietrzne. Tak nazywa je dzisiaj Departament Obrony. To mniej stygmatyzujące.

Rozwinęła drugi rulon i Nora natychmiast rozpoznała mapę magnetometryczną przedstawiającą magnetyczne własności gleby. Ponownie zobaczyła, że roi się na niej od anomalii i ciemnych plam, co wskazywało na obecność jakichś obiektów czy artefaktów. Tu też widać było słabo zarysowaną bruzdę.

– Przedmioty pozostawione przez obcych... – wymamrotał Skip ze źle skrywanym podekscytowaniem.

Rzeczywiście, coś tam jest, pomyślała Nora. Choć pełna wątpliwości, była zaintrygowana.

– Greg jest naszym egzobiologiem i wie, jak mogłaby wyglądać ich biochemia i jakich materiałów mogliby użyć do budowy statku kosmicznego. – Tappan powiedział to jak dumny ojciec.

Banks skinął głową.

– No i tak – podsumował miliarder. – Teraz musimy tylko rozkopać ziemię i zobaczyć, co pod nią jest. Co ty na to, Noro?

Nora nie odpowiedziała. Wciąż patrzyła na mapę.

– Co to jest? – spytała, wskazując ledwo widoczny prostokąt na jej brzegu.

– To pięćset metrów od punktu docelowego – odparł Tappan. – Nie przeanalizowaliśmy i nie obrobiliśmy tego miejsca w wysokiej rozdzielczości. Myślisz, że to coś ważnego?

Pod ręką była lupa i Nora obejrzała przez nią niewyraźny prostokąt.

– Czy w pobliżu są jakieś prehistoryczne ruiny?

Inżynierowie znów wymienili spojrzenia i wzruszyli ramionami.

– Tu nie ma nic oprócz poligonu Pershinga w górach Los Fuertes dwadzieścia cztery kilometry stąd, już dawno zresztą zamkniętego – wyjaśnił Tappan. – Dlaczego pytasz?

– Bo to wygląda na miejsce pochówku.

– Indiańskiego?

– Tak. Trzeba to zbadać. Jeśli to pochówek prehistoryczny albo jakikolwiek inny, prawo zabrania go naruszać i będziemy musieli go ogrodzić.

– Tak, trzeba się tym zająć. Ale teraz chciałbym przedstawić was Noamowi Bitanowi, naszemu astronomowi i specjalście od spraw pozaziemskich. Zajmuje barak numer dwa. – Podziękował inżynierom, którzy wylewnie pożegnali Norę.

Myślą, że będę ich szefową, pomyślała, wychodząc. Musiała przyznać, że jest coraz bardziej zaintrygowana, bo pod każdym względem było to coś zupełnie innego, niż się spodziewała. Z drugiej strony nie wyobrażała sobie, żeby projekt Tappana mógł pozytywnie wpłynąć na jej karierę. Noam Bitan – skądś znała to nazwisko.

Tappan zaprowadził ich do sąsiedniego baraku z przecinającym go wąskim korytarzem. Przystanął przed drzwiami po prawej stronie i przekręcił gałkę klamki. Drzwi były zamknięte. Zapukał i zawołał:

– Noam?

– Jestem zajęty! – odpowiedział poirytowany głos.

– Oprowadzam panią doktor Kelly, archeolożkę, która pokieruje wykopaliskami, na co bardzo liczę. I jej brata, naszego bibliotekarza i kustosza.

– Doskonale – odparł głos z hebrajskim akcentem. – Przyprowadź ich za godzinę.

Tappan przewrócił oczami i spojrzał na Norę.

– Noam jest trochę ekscentryczny – wyjaśnił półgłosem i już normalnym tonem powiedział: – Noam, czas nas goni. Gdybyś mógł...

Ktoś mruknął coś gderliwie i drzwi się otworzyły. W progu stał na oko pięćdziesięcioletni mężczyzna. Miał wystrzępioną brodę, rozczochrane brązowe włosy i wyraz irytacji na twarzy.

– Możemy wejść? – spytał Tappan z nutą lekkiej ironii.

– Oczywiście. – Mężczyzna zerknął na Norę i posłał jej szybki uśmiech. – Cześć. – Potem obrzucił Skipa krytycznym spojrzeniem i coś burknął.

Zaprowadził ich do przestronnego gabinetu – zaskakująco schludnego, zważywszy na zaniedbany wygląd Bitana – i usiadł przy biurku, nie proponując nikomu krzesła. Tappan wskazał Norze i Skipowi te stojące naprzeciwko biurka i też usiadł.

– Noam był przewodniczącym doradczego komitetu naukowego w SETI i profesorem astronomii w Instytucie Naukowym Weizmanna w Izraelu.

Norę nagle olśniło: widywała go w różnych talk-showach. Ekscentryczny i często podekscytowany, lubił dużo gestykulować i rozprawiać o kosmitach.

– Noam, najpierw chciałbym przedstawić ci Skipa Kelly’ego. Skip był kustoszem w Instytucie Archeologicznym w Santa Fe.

Bitan przyjrzał mu się zmrużonymi oczami, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, Skip wypalił:

– Tak się cieszę, że mogę pana poznać, panie doktorze! Pana książka o SETI jest wspaniała! Bardzo mi się podobała. Przedstawił pan w niej najmocniejsze dowody, że obcy nieustannie obserwują Ziemię.

Nic lepszego nie mógł chyba powiedzieć, bo astronom natychmiast się rozpromienił.

– Dziękuję, Skip.

Tappan przedstawił mu Norę i spytał, czy archeolożka ma do niego jakieś pytania.

– Przykro mi, ale nie czytałam pańskiego dzieła...

Bitan podniósł rękę, wstał i zdjął z półki książkę. Położył ją na biurku, otworzył, napisał coś na pierwszej stronie, zamknął i podał Norze.

– No i załatwione.

– Dziękuję. – *Drugie objawienie*, taki miała tytuł, i okładkę ze zdjęciem mgławicy Kociego Oka. – Tak, mam kilka pytań, jeśli można. – Bitan był szefem jej brata, więc chciała być dla niego jak najmilsza, ale wciąż dręczyły ją liczne wątpliwości.

– Naturalnie.

– Skąd pańskim zdaniem to UFO przyleciało?

– Coś tak dużego nie przyspieszyłoby raczej do prędkości światła, więc prawdopodobnie pochodzi z pobliskiego systemu gwiazdnego. Ale w szerszym sensie nie ma to żadnego znaczenia.

– Dlaczego?

– Bo uważam, że cywilizacja ogólnogalaktyczna już od dawna istnieje i ma nas na oku. Oczywiście rząd starannie to ukrywa.

– Dlaczego obcy nie chcą się ujawnić?

– Ponieważ wiedzą, jak niszczący wpływ miałyby to na naszą kulturę. Doświadczaliśmy tego w naszym własnym świecie: kiedy ludy tubylcze nawiązują kontakt z zaawansowanym technologicznie społeczeństwem zachodnim, ich kultura niemal zawsze ulega destrukcji.

– Więc twierdzi pan, że jesteśmy kimś w rodzaju prymitywnego plemienia mieszkającego w naturalnym rezerwacie i chronionego przed kontaktem ze światem zewnętrznym?

– Właśnie – potwierdził Bitan.

– Dlaczego władze udzieliły wam pozwolenia na wykopaliska? To teren federalny, mimo to uzyskaliście zgodę. Skoro rząd chce coś ukryć, dlaczego was tu wpuścił? To nie ma sensu.

Astronom spojrzał na Tappana.

– To twoja działka.

– Tym terenem zarządza Biuro Gospodarowania Ziemią. Dostałem pozwolenie bezpośrednio od sekretarza spraw wewnętrznych, który, tak się przypadkiem składa, jest moim starym przyjacielem. Wiele lat temu, zaraz po maturze, obaj pracowaliśmy jako przewodnicy raftingowi w Wielkim Kanionie. Był moim rufowym. Uprawiać rafting to jak zjeść razem beczkę soli: zaprzyjaźniliśmy się jak towarzysze broni na wojnie. Kiedy wystąpiłem o pozwolenie, pojawiły się pewne protesty na lewym skrzydle. Pojawiły się, nagle ustały i Departament Spraw Wewnętrznych wydał zgodę na wykopaliska, dodam, że z poparciem samego prezydenta. Zajmuję się też energią wiatrową i wraz z departamentem prowadzę kilka dużych projektów. Dlatego tak, uzyskałem zgodę dzięki bardzo dobrym koneksjom. – Tappan pokręcił głową. – Nie mogliśmy dociec, kto był

przeciw, ale domyślam się, że w zakamarkach Pentagonu są ludzie, którym nasze działania są nie w smak. Ustąpili, żeby nie zwracać na siebie uwagi.

– Tak, i właśnie dlatego pokazałem Lucasowi, jak się sprawdza, czy w samochodzie nie ma ukrytej bomby! – Bitan roześmiał się głośno ze swojego żartu. – Ma pani jeszcze jakieś pytania?

– Tylko jedno. Skoro obcy dysponują technologią umożliwiającą podróże międzygwiazdne, dlaczego tak głupio się rozbili?

Astronom długo przyglądał się jej bez słowa, w końcu odparł:

– Też się nad tym zastanawiałem.

Zapadła cisza.

– No i? – spytała Nora.

Bitan posłał jej słaby uśmiech.

– Przychodzi mi do głowy tylko jedna odpowiedź: nawet oni popełniają błędy.

Nora miała nieodparte wrażenie, że naukowiec nie mówi szczerze, że ma inną teorię, którą nie chce się dzielić.

– Wiem dlaczego – oznajmił nagle Skip.

Spojrzały na niego trzy pary oczu.

– Ich piloci mają słabą głowę.

Przez chwilę wszyscy milczeli. A potem wybuchnęli głośnym śmiechem. Zadowolony z siebie Skip uśmiechnął się szeroko. Było widać, że już teraz czuje się tu jak u siebie w domu.

5

MĘŻCZYŻNA O KASZTANOWYCH WŁOSACH ostrożnie zamknął drzwi, zbiegł po schodach i – tak jak miał w zwyczaju – przystanął, aby się rozejrzeć i odetchnąć porannym powietrzem. Był rześki wiosenny dzień, jeden z tych, którymi Wirginia nagradza swoich mieszkańców po mroźnej, mokrej zimie. Na ulicy panowała cisza. Schludnie utrzymane domy wciąż spały w pstrokatym cieniu.

Zbierając siły na czekający go dojazd do pracy, mężczyzna zobaczył sąsiada, Billa Fosserta, który – tak jak on przed chwilą – zbiegał schodami. Co było dla niego nietypowe, bo za kwadrans ósma? Bill, bankowiec inwestycyjny, wychodził zwykle około dziewiątej. Może miał wcześniejsze spotkanie.

Fossert też go zobaczył i przystanął.

– Cześć, Lime.

Lime skinął mu głową.

– Cześć, Fossert.

– Znosi się na kolejny ładny dzień. – Sąsiad spojrzał w niebo, jakby omijając wzrokiem splątane gałęzie drzew, chciał przewidzieć pogodę.

– Chyba tak.

– Ale w weekend ma nadejść ostatni chłodny front tej zimy.

– Tak, słyszałem.

– Dobra, muszę lecieć. Na razie.

– Na razie.

Fossert przystanął przed drzwiami samochodu.

– Musisz wpaść do nas na kolację – zawołał. – Dawno nie gadaliśmy.

Lime, który doszedł już do swojego subaru, odpowiedział mu uśmiechem.

– Chętnie.

Wsiadł i zaczekał, aż sąsiad odpali swoje bmw 5, wycofa i odjedzie. Kiedyś utrzymywał z Fossertami bliskie kontakty. Nauczył Billa zmieniać świecę w pługu śnieżnym i usunął buczenie w głośnikach jego kosztownego stereo. Jego żona często widywała się z Caitlyn, zwłaszcza kiedy Cait zaszła w ciążę. Ale od tamtych chwil minęło sporo czasu i teraz spotykał go tylko przypadkowo – tak jak dzisiaj – i tylko po to, żeby wymienić z nim uprzejmości i zaproszenia na kolacje, które nigdy nie dochodziły do skutku.

Rozpiął do połowy zatrask wiatrówki, przekręcił kluczyk w stacyjce i spojrzał w górne lusterko. Miał trzydzieści siedem lat, ale Cait twierdziła, że z jego rysami twarzy może uchodzić zarówno za dwudziesto-, jak i pięćdziesięciolatka. „Masz twarz szpiega”, mówiła ze śmiechem. „Ładną, ale trudną do zapamiętania”.

Zostawił za sobą swój dom, mniejszy niż większość pozostałych w okolicy, lecz bardzo zadbane. Gdy kupili go przed trzema laty, Cait, która wkrótce miała zostać najmłodszą wspólniczką w kancelarii adwokackiej, stwierdziła, że jest dobry na początek ich wspólnego życia, zwłaszcza że oboje chcą mieć dziecko. Ale teraz, tylko z jego dochodami, w tak kosztownej dzielnicy jak East Falls Church coraz trudniej mu było dotrzymać kroku sąsiadom, choćby Fossertom.

Cichymi, spokojnymi uliczkami dojechał do międzystanówki I-66, lepiej znanej miejscowym jako Custis. Jak zwykle panował na niej duży ruch, a ponieważ subaru miało słabe przyspieszenie, musiał czekać prawie pół minuty, zanim udało mu się wślizgnąć w lukę między pędzącymi pojazdami. Samochód, który powinien był sprzedać już parę lat temu, należał do licznych ofiar jego cięć budżetowych. Ale skoro wytrzymał ponad dwieście siedemdziesiąt tysięcy kilometrów, powinien wytrzymać pięćdziesiąt tysięcy więcej. Bardzo na to liczył.

Odgłosy wytężonej pracy silnika i agresywny ruch towarzyszyły mu aż do zjazdu na drogę 120, do której dotarł po półgodzinnej jeździe. Może powinienem się przeprowadzić? – pomyślał po raz setny. Ale gdzie? Większość północno-wschodniej Wirginii była jak kosztowne przedmieścia, nie licząc rozsianych tu i ówdzie małych enklaw, gdzie liczba przestępstw uparcie nie chciała spaść. Oczywiście mógłby przeprowadzić się gdzieś dalej, do Fairfax, Springfield czy do Marylandu. Ale nie znosił dojeżdżać do pracy i myślał, że codziennie musiałby spędzać w drodze tyle czasu, ciążyła mu jak ołów. Poza tym czuł, że...

Subaru znów wyrwało go z zamyślenia. Do zwykłego lamentu silnika dołączyło regularne tykanie, a ponieważ w poprzednim życiu naprawił dziesiątki wojskowych samochodów terenowych, z przerażeniem stwierdził, że rychłą awarią grozi pasek rozrządu.

Przejechał jeszcze parę kilometrów z nadzieją, że się myli, ale nie: kilka przerw w zapłonie ostatecznie potwierdziło diagnozę. Miał teraz wybór. Mógł postawić wszystko na jedną kartę i po powrocie do domu naprawić silnik samodzielnie. Ale ryzyko – uszkodzony tłok, wygięty zawór, może nawet pęknięty cylinder – nie było tego warte, zwłaszcza że chciał sprzedać wóz po przejechaniu trzystu tysięcy kilometrów.

Co znaczyło, że musi zjechać z autostrady, znaleźć stację benzynową czy jakiś warsztat i sprawdzić, jak bardzo ucierpią jego finanse.

Cicho zaklął i skręcił w najbliższy zjazd. Przynajmniej tutaj los się do niego uśmiechnął: zjazd prowadził do ulicy handlowej, pełnej fast foodów, tanich moteli i... warsztatów samochodowych. Stąd dojeżdżałoby mu się do pracy dużo łatwiej. I żyło znacznie taniej. Ale oczywiście była to jedna z tych dziur, gdzie nikt nie chciał mieszkać, więc ewentualna inwestycja nie miała sensu.

Jechał przed siebie, szukając stacji benzynowej z obiecująco wyglądającym warszatem. Wybrał tę nad samotnym strumieniem po drugiej stronie czteropasmówki, bo przylegała do sklepu spożywczego. Zaparkował – samochody na podnośnikach, lecz ani jednego mechanika – zapiął wiatrówkę i wszedł do sklepu.

Wszedł i natychmiast stwierdził, że los wcale się do niego nie uśmiechnął i że może to być początek bardzo złego dnia.

Zanim zdążył zamknąć drzwi, zrozumiał, że trafił w sam środek napadu. Za ladą stał krzywo uczesany chudzielec w wymiętym ubraniu, który celował z pistoletu a to w sprzedawcę, a to w grupkę ludzi stojących po drugiej stronie półki z kuponami lotto, dwóch mechaników, starszego klienta i kogoś, kto wyglądał na pracownika sklepu.

Kiedy zadzwonił dzwonek u drzwi, chudzielec odwrócił się w jego stronę i lufa pistoletu zatoczyła gwałtowny łuk. Lime znieruchomiał, a potem powoli podniósł ręce i rozłożył palce, żeby nie antagonizować rabusia.

– Idź tam! – rzucił piskliwie mężczyzna, wskazując na zakładników stojących na końcu lady.

Lime go posłuchał i napastnik znów stanął przodem do kasjera, aby kontynuować przerwana rozmowę.

– Sranie w banie! – warknął. – Musisz mieć więcej.

– Przysięgam na Boga – powiedział kasjer głosem drżącym ze zdenerwowania. – Jest wcześnie. W kasie jest tylko sto, może sto dwadzieścia dolarów. – Zrobił krok do tyłu. – Możesz sprawdzić.

Chudzielec nie drgnął.

– A w sejfie?

– Tylko kierownik ma klucz. – Kasjer obficie się pocił i – przynajmniej według Lime'a – mówił prawdę.

Uzbrojony napastnik też się pocił.

– Bzdura! Mówisz, co ci kazali. – Nagle znów wycelował w zakładników. – Poruszysz się jeszcze raz i twój mózg obryzga wszystkie ściany! – krzyknął do jednego z mechaników.

Stojący za Lime'em klient, otyły siedemdziesięciolatek, cicho jęknął ze strachu.

– Otwórz ten pieprzony sejf! – wrzasnął chudzielec. – A wy rzućcie tu swoje portfele!

Lime sięgnął do kieszeni i korzystając z okazji, zrobił krok do przodu. Umiał rozszyfrowywać ludzi. Chociaż mężczyzna miał na sobie pogniecione ubranie, było to ubranie czyste. Pocił się, ale tylko ze wzburzenia; nie miał rozszerzonych źrenic ani widocznych śladów po igle na rękach. Nie był więc ani przestępcą, ani narkomanem. Pistolet robił wrażenie starego, lecz nie był to dobity rżęch.

– Po co ci pieniądze? – spytał spokojnie Lime.

Chudzielec wciąż wygrażał kasjerowi i chwilę trwało, zanim pytanie do niego dotarło.

– Co? – rzucił, nie odwracając głowy.

– Po co ci pieniądze?

Tym razem Lime zwrócił uwagę nie tylko jego, ale i lufy pistoletu.

– Zamknij, kurwa, mordę! – Napastnik zerknął na zakładników wrogo i podejrzliwie. – Portfele! Mieliście opróżnić portfele!

Z wciąż podniesionymi rękami Lime zrobił drugi krok do przodu, ale nie w jego stronę, tylko w bok. Zakładnicy odruchowo odsunęli się od siebie, rozluźniając zwarty dotąd szyk.

– Nie ruszać się! – krzyknął chudzielec i lufa pistoletu niebezpiecznie zatańczyła.

– Po co ci pieniądze? – spytał Lime po raz trzeci, żeby skupić na sobie jego uwagę. W ręku miał portfel. – Ten biedak pewnie wyleci przez to z pracy. A skoro już mam dać ci pieniądze, chciałbym przynajmniej wiedzieć, na co pójdą. – Zrobił pauzę. – Na prochy?

Mężczyzna spojrzał na niego jak na idiotę.

– Wal się.

Lime wzruszył ramionami, jakby odpowiedź potwierdziła jego podejrzenia.

– Czy ja wyglądam na ćpuna?

– Nie wiem.

– Ale ja wiem. Ten zasrany system wyruchał mnie na cacy. Trzy razy wyrzucali mnie z pracy. Nie zapłacę dzisiaj za czynsz i wyrzucą mnie z domu!

– Wyrzucą cię z domu... – powtórzył Lime i opuścił ręce, żeby otworzyć portfel.

– Tak, z domu. I zabiorą mi dziecko. Ale to nie twój, kurwa, interes.

Chudzielec powiedział to głośniej, groźniejszym tonem, i znowu w nich wycelował. Zaczynał się wahać, tracić pewność siebie, co sprawiało, że z sekundy na sekundę stawał się coraz bardziej niebezpieczny. Lime wyczuł, że zakładnicy utworzyli za nim luźny półokrąg.

– Cofnąć się! – wrzasnął napastnik.

Lime ruchem głowy dał im znak, żeby go posłuchali.

– A więc jesteś zdesperowany – powiedział. – Rozumiem. Ale pomyśl, co robisz. Nie jesteś złodziejem. Dobrze, trzy razy traciłeś pracę. Uważasz, że zawiódł cię system. Może i zawiódł. Ale jeśli pójdziesz do więzienia, staniesz się częścią innego systemu. Systemu paskudnego. Brutalnego systemu, który poprowadzi cię tylko w jednym kierunku. Jeszcze nic nie ukradłeś. Nie użyłeś broni. Jeszcze nie jest za późno.

– Zamknij się! – ryknął wściekle chudzielec. – Co ty wiesz? Masz żonę? Masz dziecko? Hę?

Lime kiwnął głową.

– I też chcą ich wyrzucić na bruk?

– Nie.

– Widzisz? – Napastnik roześmiał się z gorzkim triumfem. – Nie znasz życia, frajerze.

– Moja żona nie żyje – powiedział Lime. – Dziecko umarło wraz z nią.

Mężczyzna przestał się śmiać i Lime wykorzystał okazję.

– Ile potrzebujesz?

Chudzielec zmarszczył brwi, jakby nie zrozumiał pytania.

– Ile? Dostaniesz, ale zaraz potem zostawisz tu broń, wyjdiesz i zapłacisz za czynsz.

Mężczyzna był wyraźnie zaskoczony. Nie tak to sobie zaplanował i nie wiedział, co o tym myśleć. Lime milczał i czekał.

– Trzysta dolarów – odparł po chwili napastnik.

Lime zerknął w okno. Mieli szczęście – w przewrotny sposób – że sytuacji nie skomplikowali nowi klienci. Otworzył portfel.

– Mam około dwustu. – Spojrzał na zakładników. – A wy? Pomóżecie mi trochę?

Ktoś coś mruknął, ktoś inny przestąpił z nogi na nogę. Mechanicy wyłożyli w końcu po pięćdziesiąt dolarów.

Nie wykonując gwałtownych ruchów, Lime zebrał pieniądze i dołożył zawartość swojego portfela.

– Dobrze, a teraz odłóż broń, weź kasę i... znajdź inny sposób na regulowanie rachunków. Bo gwarantuję, że jeśli zależy ci na rodzinie, to to, że trafisz za kratki albo cię zabiją, na pewno im nie pomoże.

Mężczyzna trawił przez chwilę te słowa. Lime wyciągnął rękę z pieniędzmi. Chudzielec spojrzał na nie wygłodniałym wzrokiem i zaczął wyciągać swoją. Lime cofnął rękę, ruchem głowy wskazując pistolet. Powoli i z wahaniem napastnik przyklęknął, położył broń na brudnym linoleum, błyskawicznie chwycił banknoty, wstał, wypadł na dwór i zniknął za dawno niemytym oknem.

Przez kilka sekund nikt się nie poruszał. Wszyscy byli oszołomieni nie tylko tym, co się stało, ale i tym, że tak nagle się skończyło. W końcu któryś z mechaników zaklął pod nosem. Kasjer wytarł rękawem spoczone czoło i zamknął szufladę kasy.

Mechanik podniósł pistolet i spróbował odciągnąć suwadło zamka.

– Hej – powiedział – to atrapa. – Rzucił ją Lime'owi.

Rzeczywiście: to była atrapa, a właściwie replika wojskowego pistoletu z okresu drugiej wojny światowej. Całkiem niezła, bo miała nawet odpowiednią wagę. Lime zastanawiał się, skąd chudzielec ją wytrzasnął. I czy jego dziadek był weteranem wojennym.

– Po co pan to zrobił? – zapytał starszy klient, ten otyły. – Wyrzucił pan pieniądze i puścił go wolno!

Lime spojrzał na niego. To dziwne, ale był bardziej wkurzony na tego zaciętrzewionego Iksińskiego niż na niedoszłego rabusia.

– Doznał pan jakiejś krzywdy? – spytał. – Stracił pan pieniądze?

Mężczyzna pokręcił łysą głową.

– Więc nie ma pan na co narzekać. Może ten facet zasługuje na drugą szansę. Gdyby trafił do więzienia, zniszczyłby sobie życie i kosztował podatników dużo więcej niż trzysta dolarów.

Wyszedł ze sklepu, wrzucił pistolet do mulistego strumienia i podniósł maskę samochodu. Zgodnie z przewidywaniami pasek rozrzędu ledwo zipał.

Wróciwszy do sklepu, stwierdził, że wszyscy stoją tam, gdzie stali.

– Nie zadzwoni pan na policję? – spytał z oburzeniem gruby łysielec.

– Po co?

– Jak to po co? Żeby zawiadomić ich o rabunku z bronią w ręku.

– Nikt nikogo nie obrabował – odparł Lime. – I nikt nie był uzbrojony. Już po wszystkim, ale niech pan robi, co pan chce.

Odprowadzając mechaników do warsztatu, spytał, czy zdążą wymienić pasek do jego powrotu z pracy. Jeden z nich podszedł z nim do samochodu, zerknął na silnik i kiwnął głową. Lime zauważył mały tatuaż między jego kciukiem i palcem wskazującym, dwie skrzyżowane szable.

– Pierwsza kawaleryjska? – spytał.

– Tak. A pan?

Lime bez słowa wyjął telefon. Był tak blisko miejsca pracy, że mógł pozwolić sobie na taksówkę, nie tracąc przy tym majątku.

Przyjechała już po kilku minutach, żółte subaru podobne do jego wozu, tylko o pięć lat i dwieście tysięcy kilometrów młodsze. Pożegnał się z mechanikami i wsiadł.

– Dokąd? – rzucił kierowca.

– Do Pentagonu poproszę. Od strony rzeki.

Kiedy włączyli się do ruchu, Lime rozsiadł się na tylnym siedzeniu, ale przedtem wyjął glocka zza paska i przełożył go w wygodniejsze miejsce, dalej od kręgosłupa.

6

WYSZLI Z BARAKU na przedwieczne słońce. Przez większość dnia Tappan oprowadzał ją po obozowisku, by skończyć tam, gdzie zaczęli. Skip został, aby pomóc rozpakowywać książki Bitana i ustawiać je na półkach. Słońce chyliło się już ku zachodowi, rzucając długie cienie na porośniętą trawą pustynne równiny. Szczyt płaskowyżu był oprószony kolorowymi kwietniowymi kwiatami. Nad leżącym w oddali suchym jeziorem unosił się biały kurz, a za jeziorem, w kierunku pasma fioletowych gór, ciągnęły się wzgórza i kaniony.

Tappan zatoczył ręką szeroki łuk.

– W nocy nie widać tu ani jednego światła. Nie licząc Alaski i Hawajów, to chyba jedno najbardziej odległych miejsc w czterdziestu ośmiu stanach Ameryki.

W otaczającym ich krajobrazie było coś z pustki zen, co Norę jeszcze bardziej zauroczyło.

– Nazywają to Diabelską Górą, nie wiadomo dlaczego. Za panowania Hiszpanów stała tu wieża obserwacyjna, z której strażnicy wyglądali Komanczów jadących na zachód brzegiem Rio Grande. Ta szeroka równina przed nami to równina Atalaya, a to białe miejsce pośrodku to Martwe Jezioro. Dalej są Wzgórza Końskiego Nieba, a te góry na horyzoncie to Los Fuertes, czyli „bastion”.

– Wzgórza Końskiego Nieba... Bardzo malownicza nazwa.

– Przejrzałem historię tych terenów. Za Hiszpanów nazywały się El Cielo de Caballos. Zawsze intrygowały mnie nazwy geograficzne. Kiedyś muszę tam pojechać i zobaczyć, jak wygląda prawdziwy koński raj. Pewnie jest

tam mnóstwo trawy... Noro, mogę zaprosić cię do siebie na krótką rozmowę?

Kiwnęła głową. Tappan zaprowadził ją do wielkiej, specjalnie przerobionej przyczepy z wysuwanymi bokami. Otworzył drzwi i weszli do eleganckiego, lecz subtelnie urządzonego salonu, w którym wokół antycznego stolika do kawy stały skórzane sofy i wysokie fotele. Pod tylną ścianą znajdowały się barek i centrum multimedialne. Na podłodze leżały perskie dywany, a ściany wyłożono czereśniową boazerią i ozdobiono rycinami Piranesiego. Na stole dominowała spektakularna kompozycja z lilii i innych świeżych kwiatów.

– Witaj w moim akademiku – powiedział. – Usiądź, proszę.

Nora usiadła, udając, że ten luksus nie zrobił na niej wrażenia. Takie salony widywało się w dworskich rezydencjach, a nie w przyczepach kempingowych. Czuła, że Tappan zacznie na nią teraz napierać, nakłaniać do przyjęcia propozycji. Zastanawiała się, co robić. Gdyby chodziło tylko o nią, pewnie by odmówiła, ale szczerze mówiąc, martwiła się o Skipa. Poprzedniego wieczoru wygooglowała Tappana w internecie i to, co przeczytała, wcale jej do niego nie przekonało. Tak, Ikarus był zaangażowany w kilka projektów związanych z zieloną energią, wiatrową i słoneczną, ale jego przedsięwzięciom towarzyszyły liczne protesty, a on miażdżył przeciwników jak walec. Obecnie prowadził kontrowersyjny projekt wiatrowy na oceanie u wybrzeży Maine. Mimo pozornego luzu nie znosił głupców i był bardzo wymagający wobec podwładnych. Zdarzało mu się również nagle wyrzucać ludzi z pracy. Jak długo Skip wytrzyma w takich warunkach?

– Czy mogę zaproponować ci drinka? – spytał, wyrywając ją z zamyślenia. – Słońce stoi już za rufą, co znaczy, że nadszedł czas na moje wieczorne martini. – Podeszedł do barku. – Pozwalam sobie tylko na jedno. Co ci podać? Mamy tu wszystko, od piwa i wina, po mocne alkohole, kombucę i pellegrino, cokolwiek sobie zażyczysz.

– Pellegrino poproszę. – Czuła się niezręcznie, niemal jak na randce. Pierwszy raz w życiu miała do czynienia z miliarderem, w dodatku

z mężczyzną w jej wieku, i jeszcze nie zdążyła się z tym oswoić.

Wrócił z kieliszkiem martini bez lodu w jednej ręce i szklanką wody mineralnej w drugiej. Usiadł w stojącym tuż obok fotelu.

– Czy chcesz mnie o coś spytać, zanim przejdziemy do sedna sprawy?

– Mogę mówić otwarcie?

– Jak dotąd nic cię przed tym nie powstrzymywało.

– Dobrze. – Rozejrzała się. – Po prostu się zastanawiam: dlaczego akurat to? Masz pieniądze, jest tyle innych rzeczy, które mógłbyś robić. Dlaczego akurat UFO?

– Uważasz, że to ekscentryczne?

– Szczerze mówiąc, tak.

– Jasne, rozumiem. – Upił łyk martini. – Co twoim zdaniem byłoby największym odkryciem ludzkości? Większym nawet niż odkrycie zaginionej cywilizacji? Albo ognia czy koła? – Zrobił dramatyczną pauzę. – Byłby nim dowód na to, że nie jesteśmy sami. Że gdzieś tam żyją inne inteligentne gatunki.

– Ale to... bardzo mało prawdopodobne.

– Wybacz, ale pozwolę sobie nie zgodzić się z tym. W ciągu ostatnich dziesięciu lat astronomowie ustalili, że tylko w naszej Galaktyce jest co najmniej pięćdziesiąt miliardów planet orbitujących w strefach gwiazdnych nadających się do życia, planet podobnych do Ziemi. Nie trzeba być matematykiem, aby zrozumieć, że prawdopodobieństwo tego, że kosmos zamieszkują inne inteligentne gatunki, jest niezwykle duże. I kolejna rzecz warta zastanowienia: nasza gwiazda jest młoda, ma dopiero pięć miliardów lat. Tymczasem w naszej Galaktyce jest niezliczona ilość gwiazd dwa razy starszych, co znaczy, że mogą tam również istnieć cywilizacje miliony, a nawet miliardy lat starsze od naszej. Pomyśl tylko, na jakie wyżyny technologiczne mogły się wspiąć!

– O ile przedtem się nie samounicestwiły.

– Mówisz o tak zwanym Wielkim Filtrze? To powszechny argument, ale ja go nie kupuję. Od siedemdziesięciu pięciu lat dysponujemy środkami wystarczającymi do wielokrotnej samozagłady, mimo to wciąż żyjemy.

Nikt też tu nie przyleciał i nie wysadził nas w powietrze. Wyobraź sobie: pięćdziesiąt miliardów planet. A przecież galaktyk są biliardy, co daje tryliard planet, na których mogło rozwinąć się inteligentne życie. Matematyka nie tylko nie zaprzecza, lecz wprost potwierdza, że wszechświat kipi inteligentnym życiem. Dlatego nie, to nie jest mało prawdopodobne.

Wszystko to wyrzucił z siebie z zachwytem, w potoku słów, z czarującym chłopięcym entuzjazmem, w dodatku szczerym. Był jak dziecko, które nigdy nie dorosło i miało teraz pieniądze na spełnienie marzeń.

Umilkł i zakłopotany stłumił śmiech.

– Tak, czasem dosiadam mojego ulubionego konika. Przepraszam. Ale wszystko sprowadza się do jednego: skoro istnieją tysiące, jeśli nie miliony, obcych cywilizacji, czy któraś z nich o nas wie? Czy kiedykolwiek przystanąły, żeby się nam przyjrzeć? Myślę, że tak. Dowód jest tutaj, w tym miejscu. A my go znajdziemy.

Wzięła głęboki oddech.

– Posłuchaj, jeśli się zgodzę, do końca życia będę chodzić z łatką „tej od UFO”. Już nikt nie potraktuje mnie poważnie. Jak miałabym się z tym pogodzić?

– Doszłoby do tego tylko wtedy, gdybyśmy nic nie znaleźli. A tak nie będzie, bo na pewno coś znajdziemy, masz moje słowo. Widziałaś tę brudę. Widziałaś artefakty rozrzucone pod ziemią jak rodzynki. Coś tu się rozbiło. To są w pełni uzasadnione wykopaliska. Nie będziesz znana jako „ta od UFO”, tylko ta, która w końcu udowodniła światu, że odwiedzali nas obcy. Co więcej, będziesz miała moje poparcie. Dopilnuję, żeby twoją pracę potraktowano z powagą, na jaką w pełni zasługuje. – Potarł czoło. – Jeśli chodzi o konkrety finansowe, proponuję ci pensję w wysokości dwustu dwudziestu pięciu tysięcy dolarów rocznie. Aktywna faza wykopalisk potrwa około pięciu tygodni, ale potem czeka nas nieokreślona czasowo faza badań i analiz. Innymi słowy, miałabyś stałe

zatrudnienie. Zakładam właśnie organizację non-profit, której zostałabyś dyrektorką.

Przełknęła ślinę. Pensja była oszałamiająca, pensja i propozycja.

– Ale muszę powtórzyć pytanie: dlaczego akurat ja?

– Już ci mówiłem, na parkingu. Odniosłem sukces nie tylko dzięki mojej błyskotliwości, ale i dzięki temu, że umiem znajdować najlepszych. – Uśmiechnął się skromnie. – To klucz do wszystkiego. Jest mnóstwo archeologów, fakt, ale ja szukam kogoś nie tylko inteligentnego, wykwalifikowanego i doświadczonego, ale też kogoś, kto potrafi nieszablonowo myśleć. Tak jak ty na wykopaliskach w Quivira, na Górze Victoria i pewnie w dziesiątkach innych miejsc, o których nie słyszałem. Pomyśl: za naszego życia nie będzie nam dane odwiedzić obcych w ich domu. Jedyna okazja do ich poznania nadarzy się tylko wtedy, kiedy oni odwiedzą nas. Więc co powiesz, Noro? Tak czy nie?

– Muszę to przemyśleć.

– Zdradzę ci moją kolejną cechę: jestem niecierpliwy. Masz już wszystkie informacje potrzebne do podjęcia decyzji. Ale tak, oczywiście, zastanów się jeszcze raz. Daję ci pięć minut.

Nora wytrzeszczyła oczy.

– Pięć minut?

– Potem zaproponuję to samo następnemu kandydatowi na liście. Z doświadczenia wiem, że najlepsze decyzje podejmuje się szybko i intuicyjnie.

Nie żartował. Pięć minut... Do diabła z tym. Zarobiłaby mnóstwo pieniędzy, a właśnie wyrzucono ją z pracy i nie miała nic na oku. Poza tym bardziej prymitywna część jej umysłu cieszyła się na myśl, że Weingrau wpadnie w furję, dowiedziawszy się, że Nora ma pokierować nowo utworzoną organizacją badawczą i że Tappan nie da instytutowi obiecanej dotacji ani nie zleci tego projektu. I co najważniejsze, mogłaby przypilnować Skipa.

– Dobrze – zdecydowała. – Wchodzę w to.

– Cudownie!

– Ale jest pewien haczyk.

Tappan przestał się uśmiechać.

– Jaki?

– Skip i ja mamy psa, Mitty'ego. Musimy go zabrać. I musi być mu tu dobrze.

Chwycił ją za rękę.

– Tylko tyle? Chryste, nie ma sprawy! Uwielbiam psy. To wspaniała wiadomość, ta o psie też. Witaj na pokładzie!

Trącił kieliszkiem jej szklanekę, wypił martini i postawił kieliszek na stoliku.

– Zabieraj Skipa i lećcie do Santa Fe po rzeczy i psa. Zdążycie wrócić na późną kolację.

– Widzę, że nie tracisz czasu.

– Nie.

Zmarszczyła brwi.

– Gdybym odmówiła, kto był następny na liście?

Tappan się roześmiał.

– Nikt. To była tylko zagrywka negocjacyjna. Mam nadzieję, że mi wybaczysz.

7

DOTRZYMAŁ SŁOWA: wieczorem polecili śmigłowcem do Santa Fe, spakowali się, zabrali Mitty'ego i wrócili do obozowiska na kolację. Czekala na nich w kambuzie luksusowej dwupokojowej przyczepy, którą im przydzielono, domu na kołach z w pełni wyposażoną kuchnią i spiżarnią. Skip, ich rodzinny kucharz, natychmiast zajrzał do lodówki i znalazł w niej kilka rodzajów wysokogatunkowych mięs, w tym drobiowych, oraz kilka rodzajów ryb. Szuflady były pełne świeżej zieleniny, a w spiżarni roiło się od różnych przysmaków.

Ona się rozpakowywała, a on oglądał wszystko, ochając, achając i już teraz zachwycając się fantastycznymi potrawami, które zamierzał przyrządzić, choć oboje wiedzieli, że Tappan zatrudnił szefa kuchni dwugwiazdkowej restauracji Michelina, niejakiego Antonettiego.

Nazajutrz wstali przed świtem i kiedy zasiadła do laptopa, aby odpowiedzieć na kilka pierwszych maili i wdrożyć się w nowe obowiązki, Skip zabrał Mitty'ego na zapoznawczy spacer po obozowisku. Po powrocie zrobił na śniadanie tradycyjną jajecznicę na boczku i kanapki z awokado, chociaż w stołówce serwowano jajka po benedyktyńsku. Potem, punktualnie o dziewiątej, Nora zasiadła przy stole konferencyjnym w Baraku 1, przed publicznością złożoną z trojga inżynierów, Noama Bitana, Skipa, Scotta i Emilia, dwóch „oswojonych” archeologów na studiach podoktoranckich, oraz Tappana. Zamierzała przedstawić im wstępny harmonogram prac oraz plan robót wykopaliskowych na najbliższy tydzień, który przed chwilą im rozdała. Tappan zawiadomił wszystkich, że to ona tu rządzi, ale zastanawiała się, czy będzie honorował

to zapewnienie, kiedy przyjdzie co do czego. Jak dotąd jej nie przeszkadzał ani do niczego się nie wtrącał.

– Jak widzicie – mówiła – czeka nas sporo pracy. Najpierw podzielimy ten teren na kwadraty o powierzchni jednego metra, a potem będziemy je otwierać, zaczynając od tych na północno-zachodnim krańcu i metr po metrze przesuwając się na wschód i południe. Będziemy odsłaniać warstwę po warstwie, aż do horyzontu ziemnego z tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego roku, bardzo delikatnie, ponieważ to prawie sam piasek, poprzetykany tu i ówdzie artefaktami.

– Ale najpierw, a właściwie natychmiast, musimy się zająć pewnym drobiazgiem – dodała, przechodząc do szczegółów. – Jeśli spojrzycie na plan wykopalisk, pięćset metrów na zachód od sektora docelowego zobaczycie mały obiekt archeologiczny, prostokąt o wymiarach dwa na metr trzydzieści, który prawdopodobnie zawiera ludzkie szczątki.

W sali zaszeleściły papiery.

– Gdy zobaczyłam go wczoraj, pomyślałam, że może to być prehistoryczne miejsce pochówku Indian Pueblo, ponieważ według mapy archeologicznej Nowego Meksyku tysiąc lat temu mniej więcej trzy kilometry na zachód stąd, na skraju wierzchołka Diabelskiej Góry, znajdowało się ich sezonowe obozowisko. Stała tam również hiszpańska wieża obserwacyjna, więc takich miejsc może być więcej. Prawo każe nam ustalić, czy jest to grób, i przedsięwziąć stosowne kroki, żeby go zabezpieczyć. I tak jak już mówiłam, musimy zrobić to natychmiast, zanim weźmiemy się do czegoś innego.

– Nie można go po prostu ogrodzić i tam nie zaglądać? – spytał Tappan.

Pokręciła głową.

– Prawo to prawo. Ale nie zajmie nam to dużo czasu, najwyżej kilka godzin. Musimy tylko rozkopać piasek, sprawdzić, czy to grób, a potem zasypać go i już tam nie chodzić.

– Dobrze – rzucił Tappan. – Więc do roboty. Przeszkody trzeba usuwać.

* * *

Godzinę później patrzyła, jak Scott i Emilio wbijają paliki w ziemię i fluorescencyjnym sznurkiem dzielą domniemany grób na kwadraty. Ku jej przerażeniu wszyscy chcieli to zobaczyć i wszyscy przyszli. Ale nie była zaskoczona: odkrycie grobu zawsze budziło niezdrową ciekawość.

– Najpierw otworzymy kwadrat 1A – powiedziała. – Tam powinna być głowa.

Łatwo było ustalić, czy czaszka należała do przedstawiciela starożytnych Indian Pueblo, ponieważ większość tych znalezionych na południowym zachodzie miała spłaszczony tył, celowo zdeformowany w niemowlęctwie poprzez przywiązywanie głowy dziecka do płaskiego, drewnianego nosidełka. Dlatego wystarczyło ją odślonić i sprawdzić, czy jest zniekształcona, a potem mogli już zasypać grób i przejść do sektora docelowego. Czaszka należąca do Hiszpana wymagałaby więcej pracy, ale na pewno znaleźliby też hiszpańskie artefakty. Datowanie metodą węglową szybko ustaliłoby jej wiek.

Postanowiła rozkopać grób sama, ponieważ na pojedynczym kwadracie wystarczyło miejsca tylko dla jednej osoby i ponieważ chciała pokazać, że nie zamierza kierować wykopaliskami zza biurka. Niemal na pewno był to grób prehistoryczny, więc chciała też mieć pewność, że wszystko zostanie zrobione jak trzeba. Scott i Emilio sprawiali wrażenie kompetentnych, ale byli młodzi i podejrzewała, że mogą wymagać pomocy.

Rozłożywszy wokół grobu kawałki płótna, włożyła nakolanniki, uklękła i zaczęła usuwać łopatką kępy traw i jasnofioletowe ostro łódki, które odkładała na bok, aby potem, po zasypaniu dołu, móc przenieść je z powrotem na miejsce. Według wskazań georadaru ciało lub ciała – jeśli rzeczywiście były to ciała – leżały niecały metr pod ziemią, więc centymetr po centymetrze usuwała piaszczystą glebę i wrzucała ją do stojącego w rogu wiadra, które Skip od czasu do czasu wysypywał na sito, aby Scott i Emilio mogli sprawdzić, czy niczego w niej nie ma. Trwało to niemal godzinę. Na sicie wciąż podskakiwały same kamyki, gdy nagle Skip głośno krzyknął i podniósł coś do góry.

– Hej, spójrzcie tylko na ten rzadki prehistoryczny artefakt!

Wybuchło małe poruszenie, a wtedy on roześmiał się i pokazał im starą mosiężną łuskę.

Nora obejrzała ją dokładnie. Była to mocno zmatowiała łuska od naboju typu Remington ACP.45. To dziwne, że leżała trzydzieści centymetrów pod ziemią. Z drugiej strony na pustyni hulały silne wiatry, które szybko zagrzebywały wszystko w piasku.

Oddała łuskę bratu.

– Co z nią zrobić? – spytał.

– Wyrzucić do śmieci.

Kopała dalej, aż dotarła do głębokości dziewięćdziesięciu centymetrów. Wtedy przestała, wzięła bambusową sondę, ostrożnie wbiła ją w piasek i kilka centymetrów głębiej natknęła się na coś, co miało wielkość i kształt ludzkiej czaszki.

Zmieniła sondę na szpachelkę i pędzelek. Czuła, że wszyscy ją obserwują, patrzą jej na ręce. Bardzo ją to irytowało – nie lubiła, kiedy ktoś przyglądał się jej, kiedy pracowała – lecz z doświadczenia wiedziała, że w końcu stracą zainteresowanie i odejdą. Dziewięćdziesiąt pięć procent czasu pracy archeologa, to niekończące się przenoszenie kopczyków ziemi z miejsca na miejsce, jest śmiertelnie nudne. Rzadko kiedy znajduje się coś godnego uwagi.

Powoli pogłębiła warstwę, odgarniając na bok piasek i wrzucając go do wiadra, które Skip opróżniał teraz dużo rzadziej niż przedtem.

Znów przerwała pracę i sięgnęła po bambusową sondę. Obiekt był tuż-tuż.

Kilka kolejnych pociągnięć pędzelkiem odsłoniło pomarszczoną powierzchnię w kolorze smardza i o jego teksturze. Dziwne – ciała znajdowane w prehistorycznych pochówkach były zwykle w pełni zeszkieletonowane, tymczasem to sprawiało wrażenie wysuszonego, zmumifikowanego. Pociągnęła pędzelkiem jeszcze raz, odsłaniając coś, co wyglądało na wypukłe czoło. Okazało się, że kolor smardza ma wysuszona skóra częściowo pokrywająca czaszkę. W miejscach, gdzie jej

brakowało, kość była dziwnie gładka i pokryta płytkimi rowkami, występującymi w regularnych odstępach lekkimi zarysowaniami, jakby wypolerowano ją szlifierką. Nigdy dotąd czegoś takiego nie widziała, nawet na wyschniętym ciele, które pół roku temu znalazła na pustyni Jornada del Muerto. Czuła na sobie coraz bardziej intensywne spojrzenia współpracowników. Stali tam i obserwowali ją jak widzowie zajmujący najtańsze miejsca w teatrze.

Odsłoniła brzeg oczodołu. Krótkimi, szybkimi ruchami pędzelka usunęła cały piasek i ukazała się głowa. Publiczność zaszemrała.

Miej to już za sobą, pomyślała, odsłaniając boki czaszki i kolejne fragmenty dziwnej, brązowej skóry – przynajmniej miała nadzieję, że to skóra – dziobatej i pokrytej łuskami jak u jakiegoś prastarego gada. Jeszcze jedno pociągnięcie pędzelkiem i ukazały się obydwie oczodoły, niezwykle duże i ziejące pustką. Cofnęła się zaskoczona.

– Co to jest? – zawołał ktoś zdławionym głosem.

Potem nie padło już ani jedno słowo. Nad grobem zapadła pełna zdumienia cisza i słyhać było tylko wiatr szeleszczący w porastającej prerię trawie.

8

PATRZYŁA NA TO, co odsłoniły ostatnie ruchy pędzelka: pokryta jaszczurczą skórą duża, kopulasta głowa, oczodoły, wielkie i czarne jak dwie puste jaskinie, dwa otwory nosowe, pomarszczone kikuty uszu i cienkie, wysuszone wargi, mocno cofnięte, wrogo wykrzywione i odsłaniające białe zęby. Do płytkiego grobu wpadał szmer niespokojnych głosów.

Zdała sobie sprawę, że choć na pierwszy rzut oka głowa wygląda dziwnie, jest po prostu zbyt ludzka, aby nie być głową człowieka. Zarówno ją, jak i jej współpracowników zdeorientowała łuskowata tekstura skóry, wygładzone – niemal zupełnie rozmyte – rysy twarzy i przepastne oczodoły, których mroczna czerń jeszcze bardziej je powiększała.

To był człowiek, lecz na pewno nie pradawny Indianin. Może Hiszpan?

Nie zwracając uwagi na podekscytowane głosy obserwujących ją kolegów, szerszymi pociągnięciami pędzelka szybko odsłoniła okolicę szyi wraz ze zbutwiałym kołnierzem współczesnej koszuli w kratkę i cienkim złotym naszyjnikiem z katolickim medalikiem świętego Krzysztofa. Boczna część głowy ujawniła przyczynę śmierci spoczywającego w grobie człowieka: w lewej skroni, tuż za uchem, widniał wyraźny otwór wlotowy kuli, która wychodząc, przebiła również skroń prawą, zabierając ze sobą duży fragment tylnej części czaszki.

Wstała, otrzepała ubranie i wyszła z wygrzebanej w piasku dziury. Tappan był bardzo blady.

– Moim zdaniem to morderstwo – powiedziała spokojnie. Odetchnęła i spojrzała na brata. – Skip, wyjmij tę kulę ze śmieci. I tym razem nie

dotykaj jej palcami, to dowód rzeczowy. Weź pęsetę i włóż kulę do torebki na artefakty. Myślę, że to nie tylko grób, ale i miejsce zbrodni.

Tappan odzyskał mowę.

– Miejsce zbrodni?

– Strzał w głowę. Czysty otwór wlotowy, duży, wystrzępiony otwór wylotowy. Klasyczna egzekucja. To nie samobójstwo. Samobójca sam się nie zakopie. No i oczywiście nie jest to kosmita, prawda? Kosmita ze świętym medalikiem? W kraciastej koszuli?

Tappan kiwnął głową. Jego twarz przybrała już normalny kolor.

– Tak, widzę. A ta dziwna skóra i brak rysów twarzy? Może to i człowiek, ale na pewno... dość niezwykły.

– Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że musimy to zgłosić.

– Gdzie?

– To teren federalny, więc do FBI. Tak się przypadkiem składa, że znam kogoś z ich oddziału w Albuquerque.

– Poważnie? – Tappan spojrzał na nią badawczo. – Kogo?

– Agentkę specjalną Corinne Swanson.

9

CO ZA PUSTKOWIE – mruknął agent specjalny Morwood zza kierownicy intensywnie czerwonego pick-upa.

Byli na południe od Vaughn w Nowym Meksyku, na drodze 285, która ciągnęła się w dal jak szara blizna, przecinając trawiastą równinę, tu i ówdzie porośniętą kępami wiosennych kwiatów.

– Pracuję w Albuquerque od sześciu lat, ale rzadko kiedy muszę zapuszczać się w te strony.

– Dlaczego? – spytała Corrie.

Morwood stłumił śmiech.

– Bo nikt tu nie mieszka. I nikt nie pakuje się w kłopoty.

Corrie wsłuchiwała się w monotony szum silnika. Pędzili z prędkością ponad stu czterdziestu kilometrów na godzinę, ale otaczający ich krajobraz był tak pusty, że miała wrażenie, iż stoją w miejscu. Za nimi jechała furgonetka Zespołu Reagowania Dowodowego z dwoma technikami. Oprócz ich samochodów, jak okiem sięgnąć, nigdzie nie było innych.

– Powiedz, kiedy mam skręcić – dodał Morwood. – Z dużym wyprzedzeniem.

Prosił, żeby Corrie pilnowała trasy, i robiła to za pomocą iPhone'a. Godzinę temu komórki straciły zasięg, ale wyglądało na to, że GPS wciąż działa. Modliła się, żeby nie zabłądzić.

– Jeszcze sześćdziesiąt cztery kilometry.

– Chryste. – Przez chwilę jechali w milczeniu. – Tak sobie myślę... Co byś powiedziała, gdybym dał ci tę sprawę? Podejmowałabyś wszystkie decyzje, a ja byłbym kimś w rodzaju twojego młodszego partnera. Oczywiście interweniowałbym w razie jakichś problemów, ale śledztwem kierowałabyś ty.

– Dziękuję, bardzo to doceniam.

Morwood, jej bezpośredni opiekun i przełożony, śledził jej poczynania niczym duch i jako agentka z małym, bo ledwie rocznym doświadczeniem, wiedziała, że jest to kolejny etap tego procesu: powierzyć takiej sprawę, lecz nie spuszczać jej z oka. Spróbowała stłumić zdenerwowanie i podekscytowanie. Ostatecznie nie mogło to być nic bardziej niebezpiecznego czy skomplikowanego niż dwa duże śledztwa, w których uczestniczyła zaraz po przydziale do Albuquerque.

– Kiedy tam dojedziemy, w miły, uprzejmy sposób obejmiesz dowodzenie i ugruntujesz swoją pozycję. Ja pozostanę w cieniu.

– Tak jest. – Była coraz bardziej zdenerwowana.

Tak jak wszyscy nowicjusze, przez dwa lata stażu miała pracować pod opieką anioła stróża, kogoś, kto ją nadzorował i pilnował, żeby niczego nie schrzaniła. Kiedy go poznała, Morwood nie zrobił na niej najlepszego wrażenia. Oschły, zwyczajny i łysiejący, zawsze w nijakim granatowym garniturze i nijakim krawacie, dobiegał pięćdziesiątki. Jedyłą zaskakującą rzeczą był jego służbowy samochód, skonfiskowany czerwony nissan w sportowe paski, z chińskim smokiem namalowanym na boku i masce. Kiedy spytała, dlaczego wybrał akurat ten wóz, odparł, że „lubi podróżować incognito”.

Jego chłodny sposób bycia i wierność przepisom początkowo ją odstręczały. Ale z czasem zrozumiała, że Morwood kieruje się jej dobrem i jest świetnym agentem, choć to, dlaczego zrezygnował ze świetlanej kariery, aby nadzorować nowych rekrutów, wciąż było przedmiotem domysłów wśród młodszych agentów. Nie nawiązali przyjaźni, mimo to łączyły ich stosunki pełne wzajemnego szacunku, a nawet poważania.

Znów zapadła cisza, a potem spytał:

– No więc tak... Co wiesz o incydencie w Roswell?

– Niewiele ponad to, co znalazłam wczoraj w internecie – odparła. – Mało w tym sensu.

Przesiedziała przy komputerze kilka godzin, czytając i robiąc notatki, zaskoczona mnogością dziwaczych i sprzecznych ze sobą informacji. Zamach na Kennedy’ego, UFO – najwyraźniej była to jedna z tych rzeczy,

które przyciągały zwolenników teorii spiskowych, jak płomień przyciąga ćmy.

– I mnóstwo bzdur – dodał ze śmiechem Morwood. – Jak się w to uwikłała twoja przyjaciółka Nora Kelly?

– Nie mam pojęcia. Poza tym Nora nie jest moją przyjaciółką. Raczej koleżanką.

– Jeśli obedrzeć go z warstwy teorii spiskowych, incydent w Roswell jest w sumie banalną sprawą. Wiadomo na pewno tylko to, że w lipcu tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego, w odległym zakątku rancza J.B. Fostera, coś się rozbiło. Foster dzierżawił tę ziemię od Biura Gospodarowania Ziemią, które podlega Departamentowi Spraw Wewnętrznych, więc był to teren należący do państwa. Zatrudniony na farmie rolnik miał znaleźć tam srebrzysty materiał, coś w rodzaju dysku, i kilka innych dziwnych rzeczy. Zadzwoił do szeryfa, który z kolei zadzwonił na leżące pod Roswell lotnisko wojskowe, gdzie stacjonował Pięćset Dziewiąty Dywizjon Bombowy, i przekazał tę wiadomość majorowi Jessemu Marcellowi. Dowództwo dywizjonu wysłało tam żołnierzy, którzy zebrali ponoć wszystkie szczątki, po czym wydało pośpiesznie i źle napisany komunikat prasowy, w którym padło określenie „dysk”. Zaraz potem na pierwszej stronie „Roswell Daily Record” pojawił się artykuł z nagłówkiem: „Wojsko przechwytuje latający spodek pod Roswell”. Dzień później dowództwo dywizjonu wydało drugi komunikat, w którym zaprzeczając pierwszemu, oznajmiło, że był to tylko zwykły balon meteorologiczny. A potem cała ta historia po prostu odeszła w zapomnienie.

– Ale powróciła?

– Tak. Pod koniec lat siedemdziesiątych zainteresowanie UFO wystrzeliło jak rakieta i incydent w Roswell znowu znalazł się w centrum uwagi. Dwa sprzeczne ze sobą komunikaty prasowe stwarzały wrażenie, że władze coś ukrywają, a to z kolei podsyciło wyobraźnię. Po tylu latach wspomnienia tych, którzy byli w to bezpośrednio zamieszani, mocno wyblakły albo zostały wyolbrzymione. Pojawiło się też mnóstwo

oportunistów, którzy chcieli na tym zarobić. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym wyszła książka *Incydent w Roswell* i to rozpałiło ogień na całego. Jej autorzy twierdzili, że zawiązano spisek na niespotykaną skalę, aby zatuszować fakt, że rozbiło się tam UFO i że na miejscu katastrofy znaleziono ciała obcych oraz ich zaawansowany technologicznie sprzęt. Wydawano kolejne książki, w tym dzieło niejakiego Philipa Corso, emerytowanego podpułkownika. Corso twierdził, że był kierownikiem magazynu, w którym przechowywano szczątki rozbitego statku kosmicznego i ciała obcych, i że najważniejsze współczesne wynalazki, takie jak laser, procesor komputerowy czy światłowód, są oparte na ich technologii. – Morwood pokręcił głową. – Ludzie łykali to jak pelikany. Trzeba jednak przyznać, że zwolennicy teorii spiskowych w jednym mieli rację: rząd rzeczywiście próbował coś zatuszować, ale nie była to katastrofa UFO.

– Tylko co?

– W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym opublikowano oficjalny raport na temat incydentu w Roswell, który ostatecznie wyjaśnił, co się tam stało. To nie był jednak balon meteorologiczny, tylko tajne urządzenie do monitorowania prób atomowych, które spadło i się roztrzaskało, część programu Mogul. Miało namiernik, reflektor radarowy w kształcie dużego talerza. Żeby ukryć jego prawdziwy charakter, władze z uporem powtarzały, że to był balon, nie robiąc nic, żeby ukrócić bajeczki o obcych. Ale ludzie wierzyli już w UFO do tego stopnia, że każde oficjalne dementi było dla nich kolejnym elementem rządowej maskarady. No a kilka lat temu pojawiła się ta zwariowana hipoteza, którą rozpropagowała kolejna książka z tego samego cyklu: *Strefa Pięćdziesiąt Jeden*.

– Tak, o tej słyszałam.

– Całkowicie odrzucała teorię o obcych, twierdząc, że katastrofa pod Roswell była sowiecką akcją dezinformacyjną. Sowietów mieli zbudować dziwnie wyglądający pojazd latający, wsadzić do niego kilkoro mocno zdeformowanych fizycznie dzieci, wysłać pojazd nad biegun północny,

skierować go na teren Ameryki Północnej i tam rozbić. Chcieli w ten sposób wywołać strach przed inwazją kosmitów i powszechną histerię. Splagiatowali po prostu zagrywkę Orsona Wellesa, jego audycję radiową i pomysł *Wojny światów*.

– Obłąd.

– Jeszcze większy niż UFO, choć to chyba możliwe.

– Mogę spytać, skąd pan tyle o tym wie?

Morwood milczał przez chwilę, a potem ze smutkiem pokręcił głową.

– W latach dziewięćdziesiątych, kiedy byłem młodym agentem, jak ty teraz, opiekował się mną Mickey Starr. Porządny facet, prawdziwy tuz.

Corrie wiedziała, że „tuzem” nazywano agenta, który przepracował w FBI całe dorosłe życie, stając się niemal częścią jego DNA. Tacy agenci mieli gdzieś politykę, zwłaszcza tę waszyngtońską. Uważali, że ich nadrzędną rolą jest zwalczanie przestępczości i ściganie ludzi nieprzestrzegających prawa, nawet za wszelką cenę.

Morwood zdjął rękę z kierownicy, zasłonił usta i odkaszlnął.

– Moją pierwszą sprawą było zabójstwo pewnego naukowca z Los Alamos. Bardzo dziwna zagadka, coś w rodzaju tajemnicy zamkniętego pokoju.

– I jak wam poszło?

– Pytasz, czy ją rozwiązaliśmy? Nie. Sprawa jest otwarta po dziś dzień.

Pierwszy raz usłyszała w jego głosie nutę rozgoryczenia. Najwyraźniej to, że jako początkujący agent nie zdołał zamknąć śledztwa, wciąż go bolało. Dobrze to rozumiała.

– Było to mniej więcej wtedy, kiedy znowu eksplodowały te zwariowane teorie spiskowe. Więc ludzie pomyśleli oczywiście, że naukowca uprowadzili i zamordowali kosmici, i mieliśmy zalew informacji z terenu o Roswell i UFO. Wszystkie musieliśmy sprawdzać, a raczej to ja musiałem sprawdzać, bo Starr zwał na mnie całą brudną robotę. Wierz mi, rozmów z tymi wariatami wystarczy mi do końca życia. – Umilkł na chwilę, po czym spytał: – Daleko jeszcze do skrętu?

Zerknęła na ekran telefonu.

- Czterdzieści osiem kilometrów.
- Niech to szlag.

10

KIEDY ZJECHALI Z AUTOSTRADY, krajobraz zaczął się zmieniać, ustępując miejsca płaskim mesom, wzgórzom, kanionom i suchym jeziorom, po których tu i ówdzie przemykały pustynne diabliki. W oddali, na długiej, niskiej mesie, Corrie dostrzegła coś, co wkrótce okazało się tymczasowym obozowiskiem archeologicznym zastawionym kamperami, blaszanymi barakami i pojazdami roboczymi. Kiedy podjechali bliżej, usłyszała dudnienie łopat śmigłowca lądującego w chmurze kurzu.

– Nieźle – mruknął Morwood, kiedy zwolnili przed bramą w nowo zbudowanym ogrodzeniu z siatki, której pilnował młody wartownik. Zatrzymali się, Morwood opuścił szybę i pokazał mu służbową odznakę, którą nosił na szyi.

– Oczekiwaliśmy państwa. – Wartownik otworzył bramę i pojechali dalej.

Agent się rozejrzył.

– Miło jest być tak bogatym, że można poświęcić kilka milionów na poszukiwania zielonych ludzików.

– Czytałam, że nie są zielone, tylko srebrzyste.

Morwood roześmiał się, skręcił na świeżo ubity parking ziemny i stanął obok dwóch terenówek. Zaraz za parkingiem Corrie zobaczyła grupkę ludzi, wśród których wypatrzyła Norę Kelly.

Kiedy wysiedli z samochodu, doszedł ją delikatny zapach wody po goleniu Morwooda – wody oszczędnie użytej, której nazwa bardzo ciekawiła wszystkich agentów w Albuquerque. Rozejrzała się. Był przyjemny kwietniowy dzień, nie za gorący, taki w sam raz. Wielka

kopuła nieba wyglądała jak gigantyczne niebieskie jajko, a żdźbłami trawy poruszał lekki wiatr.

Podeszła do nich Nora, której towarzyszył wysoki, kędzierzawy mężczyzna w dżinsach, sneakersach i kowbojskiej koszuli z czarnej jagnięcej skóry z guzikami z macicy perłowej.

– Lucas Tappan – rzucił z promiennym uśmiechem, wyciągając do niej rękę.

Oszołomiona uścisnęła mu dłoń. A więc to jest ten słynny miliarder, który to wszystko finansuje, pomyślała. Był zaskakująco młody, no i przystojny. Oczywiście. Przypomniała jej się rada Morwooda: okazać pewność siebie i przejąć inicjatywę.

– Agentka specjalna Corrie Swanson. Prowadzę śledztwo w tej sprawie. A to jest mój... hm... partner, agent nadzorujący Morwood.

Nora znacząco uniosła brwi.

– Miło państwa poznać – powiedział Tappan.

Potem archeolożka przedstawiła ich wszystkim pozostałym. Corrie szybko zauważyła, że nikt nie nosi tu ani uniformów, ani żadnych dystynkcji, które odróżniałyby naukowców od personelu pomocniczego.

– Dobrze, więc może spojrzymy na te, hm... zwłoki? – zaproponował Tappan.

Wyczuła, że miliarder nie lubi tracić czasu.

– Tak, pan prowadzi.

Po krótkim spacerze dotarli do miejsca ogrodzonego palikami i fluorescencyjnym sznurkiem. Jeden kwadrat był już rozkopany i zobaczyła twarz denata, a raczej – co stwierdziła z przerażeniem – coś, co twarz jedynie przypominało.

– Kiedy okazało się, że zwłoki nie są aż tak stare, przerwałam pracę – powiedziała Nora. – Nigdy nie widziałam takiej czaszki.

Corrie też nigdy nie widziała czegoś takiego.

– Na razie będziemy traktowali to miejsce jak miejsce zbrodni. W czaszce widać dwa otwory, które wyglądają na ranę wlotową i wylotową. To ofiara klasycznej egzekucji. Znaleźliśmy łuskę – poinformowała

archeolożka. – Włożyłam ją do torebki. Są na niej odciski palców mojego brata. Radar wskazuje, że jest tam jeszcze jedno ciało.

– Dziękuję. – Corrie rozejrzała się. Tappan, Morwood, Nora i jej brat – pamiętała, że ma na imię Skip – przyszli wraz z nimi i teraz patrzyli na nią wyczekująco. – Obawiam się, że będziemy musieli wypożyczyć panią doktor na kilka dni. Trzeba wydobyć i obejrzeć zwłoki.

Tappan zmarszczył brwi.

– Właśnie zaangażowaliśmy ją do pracy nad naszym projektem. Nie mogłaby przynajmniej dzielić obowiązków między wykopaliska i to?

Corrie się zawahała. Morwood, któremu chyba brakowało tchu, nie reagował, a Nora też milczała. Decyzja należała do niej.

– Przykro mi, ale nie. To ma priorytet.

Tappan szybko pokrył zirytowanie.

– Oczywiście. Współpraca z FBI przede wszystkim.

– Dziękuję. Pani doktor, jak długo to potrwa?

– Jeśli znowu nie znajdziemy tu czegoś niezwykłego, myślę, że dwa dni – odparła Nora.

– Kiedy będzie mogła pani zacząć?

– Natychmiast. Mój zespół może tu być za pół godziny.

– Bardzo dobrze. – Corrie się rozejrzała. – Wyznaczymy strefę o promieniu trzydziestu metrów od tego miejsca. Muszę prosić, żeby oprócz archeologów nikt jej nie naruszał. Technicy z Zespołu Reagowania Dowodowego zbadają ten teren detektorami.

– Czy mógłbym obserwować waszą pracę z nieco mniejszej odległości? – poprosił Tappan. – Nie spoza taśmy?

Corrie zmarszczyła czoło. Coś za coś.

– Dobrze. Nie widzę problemu. Ale tylko pan.

– Dziękuję.

Skip i pozostali odeszli w stronę obozowiska.

– Muszę wziąć narzędzia i skrzyknąć ludzi – powiedziała Nora. – Rozumiem, że państwo zostają.

– Tak, dopóki ciała nie zostaną wydobyte i złożone do trumien dowodowych.

– Gdzie zatrzymacie się na noc?

– W Roswell – odparła Corrie. Do Roswell mieli stąd co najmniej dwie godziny jazdy kiepskimi drogami, ale bliżej nie było żadnego noclegu, dlatego zarezerwowała pokoje w miejscowym motelu.

– Nonsens – wtrącił się Tappan. – Mam tu dwie przyczepy dla odwiedzających i gości. Przenocujcie u nas. Oddalibyście mi przysługę, bo szybciej byście skończyli.

Corrie zerknęła na dziwnie obojętnego Morwooda, który zdawał się czekać na jej decyzję.

– Dziękuję, chętnie skorzystamy. To bardzo miłe z pana strony.

Morwood odezwał się dopiero teraz.

– Proponuję, żeby pan Tappan pokazał mi nasze kwatery, a doktor Kelly i agentka Swanson zabiorą się do pracy.

On i Tappan odeszli i po raz pierwszy Nora i Corrie zostały same.

– Jesteś coraz lepsza – rzuciła Nora.

– Staram się. W akademii nie uczą wszystkiego.

– Więc jak będzie? Znowu „pani doktor” to, „agentko Swanson” tamto? Czy przejdziemy na ty?

Corrie podrapała się w głowę. Tytuły podnosiły autorytet i utrzymywały wszystko na profesjonalnym poziomie. Ale były jednocześnie nudne i sztywne, poza tym one dwie kiedyś uratowały sobie wzajemnie życie.

– Do diabła z tym. Przejdźmy na ty.

Nora się uśmiechnęła. Wyraźnie jej ulżyło.

– Ale chcę cię o coś spytać. Jak się w to wpakowałaś? Instytut nie zajmuje się chyba takimi sprawami.

Uśmiech zniknął.

– Już tam nie pracuję. To długa historia. Chodź, muszę iść po ludzi i sprzęt. Opowiem ci po drodze.

I wracając do obozowiska, opowiedziała jej o tym, jak wyrzucono ją z pracy i jak Tappan ją zwerbował.

– Naprawdę myślisz, że rozbiło się tu UFO? – spytała Corrie.

– Przestań. Ale tak, coś tu spadło i nie był to balon meteorologiczny ani urządzenie do monitorowania prób atomowych. Pomiar georadarowe wskazują na to, że nadleciało z dużą prędkością i wyłobilo bruzdę w ziemi. A potem wszystkie ślady zasypały buldożery.

– Dziwne. Myślisz, że ma to coś wspólnego z tym ciałem?

– Z ciałami – poprawiła ją Nora. – Jestem pewna, że są tam dwa. Ale trochę trudno uwierzyć, żeby morderca pochował tu kogoś zupełnym przypadkiem. Akurat tutaj, pod Roswell.

Weszły do baraku i przedstawiła Corrie dwóm młodym mężczyznom, którzy pracowali na laptopach.

– To są moi asystenci, Emilio Vigil i Scott Riordan. Emilio robi studia podoktorskie z archeologii na Uniwersytecie Stanu Nowy Meksyk, a Scott na Uniwersytecie w Kolorado.

Jeden po drugim Vigil i Riordan z powagą uścisnęli Corrie rękę.

– No to do roboty – rzuciła Nora.

Spakowali sprzęt, wyszli i w drodze do stanowiska naświetliła sytuację swoim pomocnikom. Technicy z Zespołu Reagowania Dowodowego zdążyli już ogrodzić taśmą trzydziestometrową strefę i właśnie przeczesywali ją wykrywaczami metalu, od czasu do czasu przystając, aby oznaczyć chorągiewką jakieś znalezisko. Morwood i Tappan też już wrócili, wraz z kilkoma robotnikami, którzy przynieśli rozkładane krzesła oraz lodówkę z piciem i którzy rozstawili dla nich cienisty namiot.

Brakuje tylko stoiska z hot dogami i można zaczynać mecz, pomyślała Corrie. Nora i jej asystenci rozłożyli kawałek płótna i ułożyli na nim narzędzia. Potem, już w nakolannikach, weszli do rozkopanego kwadratu, uklękli i zaczęli powoli oczyszczać zwłoki z piasku.

GLEBA BYŁA MIĘKKA I SUCHA, więc – przynajmniej jak na niedoświadczone oko Morwoda – praca szła bardzo szybko. Po chwili Tappan opuścił ich cienistą oazę, aby popatrzeć na wykopki z bliska. Kiedyś Morwood by do niego dołączył, ale teraz został, obserwując, jak archeolodzy skrupulatnie odgarniają piasek i wrzucają go na sito, szukając czegoś wartego zainteresowania.

Tego dnia był bardzo zmęczony, lecz z wieloletnią wprawą dobrze to ukrywał. Tylko on i jego osobisty lekarz znali wszystkie szczegóły stanu jego zdrowia. I nie zamierzał tego zmieniać przez najbliższe półtora roku, bo za półtora roku, po dwudziestu pięciu latach nieprzerwanej pracy, przechodził na emeryturę.

„Nieprzerwanej pracy” – na tym zależało mu najbardziej. Nigdy nie zgodziłby się na leczenie. Ktoś powiedziałby może, że z uporu czy zadzierzystości, ale dla niego był to punkt honoru. Chciał być agentem, odkąd mając dziesięć lat, obejrzał wszystkie powtórki *The FBI*. Oczywiście dzisiaj nazwisko Efrema Zimbalisty Juniora, gwiazdora serialu, nic młodszym agentom nie mówiło, ale w przeciwieństwie do innych dziecięcych marzeń Morwoda akurat to przetrwało do okresu dorosłości, zwłaszcza że astma, która prześladowała go przez wiele lat, ustąpiła. Starannie wyznaczył sobie cel i w wieku dwudziestu sześciu lat był już pełnoprawnym agentem z ambicjami, które zamiast w stronę Efrema Zimbalisty poszły bardziej w stronę Eliota Nessa. I nie zamierzał odchodzić na emeryturę po wymaganych dwudziestu latach służby: za półtora roku będzie miał na koncie dwadzieścia pięć. Pięć lat corocznych podwyżek

więcej, ale i tak odejdzie, nie przekraczając obowiązkowych pięćdziesięciu siedmiu lat.

Technicy skończyli przeczesywać teren. Morwood wstał, podszedł do ich furgonetki, żeby odebrać raport, i wrócił do namiotu.

Te pierwsze lata były najbardziej ekscytującym okresem w jego życiu. Miał dar rozwiązywania spraw, a ryzykanctwo pchało go w sam środek najbardziej niebezpiecznych nalotów, strzelanin i aresztowań. Szefowie nagradzali go regularnymi awansami i zanim się spostrzegł, początkowe uposażenie zostało daleko w tyle. Pani Fortuna wyraźnie się do niego uśmiechała.

Aż nagle przestała.

Po dwunastu latach służby przeniesiono go z Albuquerque do Chicago. Nic wtedy nie wiedział o zaburzeniach autoimmunologicznych. Po wytężonych ćwiczeniach na siłowni czy intensywnym pościgu za podejrzanym coraz częściej brakowało mu tchu, ale przypisywał to słabszej formie. Ćwiczył więc coraz ciężiej, a kiedy stało się oczywiste, że nie o to chodzi, wmówił sobie, że po długim okresie uśpienia odezwała się jego astma. Ale zamiast pójść do lekarza, zaczął kupować nebulizatory i inhalatory bez recepty, przez kilka lat ignorując swój pogarszający się stan.

W końcu, kiedy nie mógł już tego lekceważyć, okazało się, że za długo zwlekał. Pulmonolog powiedział mu, że powinien być przyjmować leki przeciwzapalne, że blizny nie znikną i ma trwale uszkodzone płuca. Zastosowanie najlepszego lekarstwa na śródmiąższową chorobę płuc – zmiana pracy i wyeliminowanie czynników niebezpiecznych dla zdrowia – nie wchodziło w rachubę. Dlatego podjął inne kroki, w tym kilka upokarzających. Zrezygnował z bezpośredniego uczestnictwa w akcjach, skupiając się na aspektach śledczych i starannie ukrywając przed kolegami swój stan, a zwłaszcza to, że często brakuje mu tchu. Ale w końcu, po dopuszczeniowym badaniu lekarskim, internista stwierdził, że „przewlekła duszność” wymaga zmiany warunków pracy. I że Morwood nie ma wyboru.

Z zamyślenia wyrwały go podniesione głosy archeologów, którzy najwyraźniej coś znaleźli. Wiedział, że czas tam podejść. Odetchnął kilka razy pustynnym powietrzem i wstał.

Odesłali go z powrotem do Nowego Meksyku właśnie z powodu „czystego, pustynnego powietrza”. Niezły żart – powietrze było rzeczywiście czyste, ale tak pełne nawianego przez wiatr pustynnego kurzu, że pół miasta cierpiało na pylicę i nieustannie pokasływało. No i spadła mu pensja. Najbardziej martwiła go jednak wysokość: prawie dwa kilometry nad poziomem morza. Ale wiedział, że protest tylko pogorszy sytuację, dlatego milczał, próbując zatracić się w pracy z młodymi agentami. Dzięki doświadczeniu i wzorowej pracy w terenie udało mu się zdobyć stanowisko instruktora nadzorującego i wszystko wskazywało na to, że będzie dostawał całkiem przyzwoitą emeryturę.

Oczywiście nie mógł ukryć choroby całkowicie, mógł jednak podsycać domysły. Zaczęły krążyć plotki na temat jego przeszłości: zatrzał się jakimś gazem podczas aresztowania albo wciągnął do płuc haust oparów kwasu akumulatorowego podczas strzelaniny w warsztacie samochodowym. Nie tłumił ich, bo były ciekawsze niż prawda. I teraz żył po prostu z dnia na dzień, nie poddając się i walcząc ze swoją przypadłością najlepiej, jak umiał, najczęściej salbutamolem.

Podszedł do dołu i zobaczył, że Nora Kelly niemal całkowicie odsłoniła ciało. Leżało na plecach, z lekko wykrzywioną nogą i jedną ręką na piersi, a drugą wzdłuż boku. Zauważył, że jest to mężczyzna; nie licząc resztek włosów z tyłu głowy, zupełnie łysy. Do klatki piersiowej przylegało kilka wystrzępionych kawałków koszuli, ale spodnie były w lepszym stanie. Zważywszy na pozycję, w jakiej spoczywało ciało, wyglądało na to, że wtoczono je albo wrzucono do grobu. Nora odsłoniła jedną stopę, potem drugą i zobaczyli dwa skórzane męskie półbuty, mocno skurczone już ze starości.

- Kiepskie obuwie jak na te okolice – powiedział Tappan.
- Bardzo. – Nora wstała i zarządziła przerwę.

Miała znakomite wyczucie czasu i Morwood natychmiast z tego skorzystał. Usiedli w cieniu i popijając zimną wodę, przyglądali się niemal całkowicie odsłoniętemu ciału.

– To ciekawe – rzuciła Corrie. – Tylko twarz jest pokryta skórą o tej dziwnej teksturze. Cała reszta wygląda normalnie. Oczywiście zważywszy na okoliczności.

– Tak, też to zauważyłem – powiedział Tappan. – Pani partner wspomniał, że jest pani antropolożką kryminalistyczną. Domyśla się pani, skąd się wzięły te dziwne łuski?

– Skutek działania kwasu. Albo miotacza płomieni.

– Obstawiam kwas – powiedziała Nora. – Brak śladów osmaień.

– W laboratorium przeprowadzimy badania histopatologiczne. Nasączymy tkanki parafiną, potniemy je na cienkie plasterki i obejrzymy pod mikroskopem. Zrobimy również pełną toksykologię. Jestem pewna, że wszystko się wyjaśni.

Morwood zauważył, że zerknęła na niego w poszukiwaniu akceptacji. Należała do najlepszych agentek, jakie kiedykolwiek prowadził, lecz miała jeden słaby punkt: była niezdecydowana. I ludzie to wyczuwali. Nie nauczyła się jeszcze okazywać pewności siebie. To trudne, ale dobry agent FBI musiał być asertywny i musiał umieć kontrolować innych nawet wtedy, kiedy targały nim wątpliwości.

Po przerwie Nora i jej asystenci wrócili do pracy i zaczęli otwierać kolejne kwadraty. Najpierw usuwali płaty wierzchniej roślinności, odkładając je na bok do ponownego zasadzenia, a potem ostrożnie zdejmowali cienkie warstwy zbitego piasku. Praca przebiegała szybko aż do głębokości niecałego metra, tej samej, na której znaleziono zwłoki. W tym miejscu w glebie pojawiło się odbarwienie i archeolodzy zmienili łopatkę na szpachle.

Morwood wstał i podszedł bliżej dołu.

Najpierw ukazały się identyczne łuski. Pokrywały czoło drugiego ciała.

A jednak są dwa, pomyślał Morwood. Ogarnęło go nietypowe podekscytowanie, jakby podświadomie się tego spodziewał.

– Strzał w głowę – powiedział. – To też egzekucja.

– Tak – potwierdziła Corrie.

Nora poruszyła szpachlą i coś błysnęło w słońcu.

– Druga łuska – rzucił Morwood. – Też od czterdziestki. – Zerknął na Corrie. – Agentko Swanson, nie uważa pani, że oba ciała pochodzą z późnych lat czterdziestych? Te buty, te gabardynowe spodnie... – Uniósł brwi.

– Możliwe – odparła.

– Co by pani powiedziała, gdybyśmy przenieśli zwłoki na brezent i je obszukali? Może znajdziemy jakieś dokumenty?

– Powiedziałabym, że to dobry pomysł.

Nora pracowała dalej. Ciało było bardzo podobne do tego pierwszego, bo rysy twarzy też zostały usunięte jakimś nieznanym jeszcze środkiem. I też leżało na plecach w swobodnej, niedbałej pozycji, ale kiedy archeolożka odsłoniła jego dolną część, Morwood z zaskoczeniem stwierdził, że nie jest to mężczyzna, tylko kobieta.

Szybko ukrył rozczarowanie.

– Proszę, proszę. Co my tu mamy?

– Robi się coraz dziwniej – wymamrotał równie zaskoczony Tappan.

Nora, Emilio i Scott odsłonili resztę ciała. Do zachodu słońca pozostała tylko godzina.

Piasek znów do nich mrugnął i obok kości biodrowej denata wychynęło coś gładkiego i błyszczącego. Z każdym ruchem pędzelka przedmiot wyglądał coraz dziwniej i dziwniej, bo były to dwa jajowate kawałki srebrzystego metalu – jeden miał piętnaście centymetrów średnicy, drugi około czterdziestu pięciu – połączone skomplikowaną plątaniną rurek, przewodów i zaworów. Na jego końcu była tarcza numeryczna.

Wszyscy milczeli, ale zaskoczenie i konsternacja z każdą sekundą się pogłębiały. Nora przerwała pracę i wraz z Emiliem wyszła z dołu, a Scott zebrał narzędzia. Cała szóstka przyglądała się znalezisku w zupełnej ciszy. Było tak niezwykle, tak doskonale skonstruowane i tak... kosmicznie obce, że zaniemówił nawet Morwood.

– No dobra – rzuciła w końcu Nora. – Czy ktoś wie, co to jest?

Zważywszy na plotki o Strefie Pięćdziesiąt Jeden i porywających ludzi kosmitach, agent mógł łatwo się domyślić, co chodziło im po głowie. Ale nikt nie chciał powiedzieć tego na głos.

– Trzeba usunąć do końca piasek i wyjąć to z dołu – powiedział Tappan głosem chrapliwym z tłumionego podekscytowania.

Nora zrobiła serię zdjęć przedmiotu *in situ*, a potem obkopała zwłoki szpachlą. Emilio i Scott skończyli odsłaniać ich dolną połowę i dołączyli do obserwatorów.

Dziesięć minut później tajemniczy przedmiot był już całkowicie oczyszczony. Wtedy Nora podważyła go drewnianym patyczkiem, ostrożnie wyrwała z objęć ziemi i odwróciła.

Na spodzie widniał wyraźny, głęboki stempel.

HiCHEM INDUSTRIES
EDISON, NEW JERSEY
3H SERIA 1X-20X

I kilka numerów.

Znowu zapadła cisza. Nagle Tappan zachichotał, a potem głośno się roześmiał.

– I kto powiedział, że Bóg nie ma poczucia humoru? Przez chwilę myślałem, że to przyleciało z kosmosu! – Markotnie pokręcił głową. – Aż puls mi podskoczył. Chociaż wyraźnie widać, że z New Jersey.

– Skoro nie z kosmosu, to co to, do diabła, jest? – spytała Nora.

– Jutro wydobędziemy ciała – oświadczyła Corrie. – Tymczasem włóżmy to do pudełka na dowody rzeczowe. Wyślemy to do laboratorium i obiecuję, że wkrótce wszystkiego się dowiemy.

Morwood z satysfakcją odnotował, że powiedziała to stanowczym głosem. Tak było dużo lepiej. Ale kiedy znowu zerknęła na niego, szukając aprobaty, zmarszczył brwi i odwrócił wzrok.

12

JADĄC NA ZACHÓD Dolley Madison Boulevard, Lime skręcił w tylny wjazd na teren siedziby CIA i minąwszy kilka parkingów, w pobliżu Memorial Garden znalazł w końcu miejsce, które mu się spodobało. Większość wolnego czasu poświęcał na pielęgnację swojego subaru i samochód po raz kolejny odpłacał mu się miłością.

Zaparkował, wysiadł i okrężną drogą poszedł do wejścia. Mógłby wybrać krótszą, ale pogoda w Langley była ładna, a ponieważ ostatnio pracował głównie za biurkiem, postanowił się nią nacieszyć. Przeciął chłodny hol z długim rzędem wysokich, wąskich kolumn, przeszedł przez punkt kontrolny i skręcił do wind. Pochłonięci swoimi sprawami ludzie jak zwykle deptali wielką pieczęć CIA na podłodze, ale on zawsze starannie ją omijał, orła, tarczę i różę wiatrów.

Na drugim piętrze przeszedł znajomym labiryntem wąskich korytarzy i zaliczywszy drugi punkt kontrolny, wreszcie dotarł na miejsce, do zamkniętych drzwi z ciemnego drewna, obok których wisiała tabliczka z napisem: RUSH, J. Wygładził koszulę i zapukał.

– Wejść – rzucił ktoś w środku.

Lime otworzył drzwi, wszedł i zamknął je za sobą. Gabinet wyglądał jak plan zdjęciowy hollywoodzkiego filmu: duże biurko, laptop, trzy telefony, zaciągnięte zasłony, zdjęcie prezydenta na ścianie i półki pełne oprawionych w ramki medali. Pułkownik Jack Rush – starannie przycięte włosy, szczupła sylwetka, szczupła twarz, wypukłe kości policzkowe i nienagannie skrojony mundur – też tu idealnie pasował.

– Spocznij, Lime. I usiądź. – Wskazał samotne krzesło stojące naprzeciwko biurka.

– Dziękuję, panie pułkowniku.

– Co słychać w Pentagonie?

– To samo, co zwykle, panie pułkowniku.

– Przykro mi, że musiałeś to na siebie wziąć. Wiem, że wolałbyś spędzać więcej czasu w terenie. Ale, jak powiadają, ceną wolności jest wieczna czujność.

Pułkownik miał imponujący zasób przeróżnych aforyzmów, maksym i frazesów, z których często korzystał. Lime zrewanżował mu się tym samym.

– W naszej branży dzień spokojny to dzień dobry.

– Amen. Jak się pewnie domyślasz, nie wezwałbym cię, gdyby panował spokój. – Oprócz telefonów na biurku leżała tylko kartonowa teczka, zapieczętowana i usiana stemplami. Rush otworzył ją i przerzucił kilka kartek. – Wygląda na to, że w naszej zaporze doszło do przecieku.

Choć powiedział to spokojnie i niemal swobodnie, Lime odruchowo zeszywniał.

– Wciąż zbieramy informacje, ale jak wiesz, w tej sytuacji nie możemy czekać. Musimy się zmobilizować.

– Oczywiście.

Rush zamknął teczkę i przesunął ją w jego stronę.

– Dalsze rozkazy dostaniesz normalnymi kanałami. Ale to powinno ci dać punkt wyjścia do wstępnego rozpoznania.

Lime sięgnął po teczkę, lecz pułkownik położył na niej rękę.

– Wygląda na to, że choć na chwilę odejdiesz od biurka.

– Rozkaz. Dziękuję, panie pułkowniku.

Rush zabrał rękę. Lime wziął teczkę i położył ją na kolanach.

– Siedząc w silosach, operatorzy międzykontynentalnych pocisków rakietowych mawiali kiedyś, że ich praca w dziewięćdziesięciu dziewięciu i dziewięciu dziesiątych procent składa się z nudy i z jednej dziesiątej procent paniki. To, co robimy dla kraju, nie jest aż tak nudne, a dzięki naszej czujności jest również wolne od paniki. Ale obowiązuje nas ta sama zasada. Trzymamy straż, wypatrując tych, którzy mogą nam zaszkodzić.

Zaszkodzić w sposób najgorszy z możliwych, bo od środka, celowo czy przypadkowo. A wtedy w razie konieczności wkraczamy do akcji. Od żołnierzy obsługujących pociski nuklearne różni nas jedynie to, że ich nagradza się za lojalność. A nasza ofiarność dla kraju i cel, któremu się poświęcamy i za który czasem oddajemy życie, muszą pozostać tajne.

– To najtrudniejszy rodzaj patriotyzmu. I najważniejszy.

To stwierdzenie nie padło z ust Rusha, tylko kogoś stojącego za Lime'em. Pułkownik natychmiast wstał, a Lime poszedł w jego ślady, odwracając się jednocześnie w stronę drzwi. Ku swojemu wielkiemu zaskoczeniu zobaczył tam generała majora Zephyra, ich naczelnego dowódcę. Zephyr – nikt nie znał jego prawdziwego nazwiska – był żywą legendą i Lime widział go tylko dwa razy: podczas oficjalnego przyjęcia do oddziału, które miało miejsce po intensywnym, zaawansowanym szkoleniu, i dwa lata temu, po pewnym wyjątkowo zaskakującym i frustrującym polowaniu.

Nie słyszał, kiedy generał wszedł ani jak zamykał drzwi. Zrozumiał, że jego obecność ma podkreślić wagę nowej misji.

– Jesteśmy strażnikami świętej wiary, panie Lime – powiedział Zephyr. – Niech pan zawsze o tym pamięta.

– Tak jest.

– Nie ma bardziej niebezpiecznego wroga niż ten, który robi wrażenie sojusznika i przyjaciela, ponieważ jego poczynania zagrażają nie tylko naszemu bezpieczeństwu, ale i egzystencji jako takiej.

– Tak jest – powtórzył Lime.

– Tym razem stawka jest wyjątkowo wysoka. Sprawą najwyższej wagi będą dyskrecja i cierpliwość, ponieważ ci, którzy zagrażają nam swoją ignorancją, są tutaj, bardzo blisko. Ale to nie powinno wpływać ani na pana osąd sytuacji, ani na samą misję.

– Rozumiem. – Lime był zaskoczony: każdy członek jego oddziału natychmiast oddałby życie za Amerykę, bez żadnych pytań. „Są tutaj, bardzo blisko”? Co to znaczy? Musiał wziąć na wstrzymanie i najpierw przestudiować materiały z teczek.

– To dobrze. Rozkazy i autoryzacje będzie pan otrzymywał bezpośrednio od pułkownika Rusha. Życzę powodzenia.

Zasalutowali i generał wyszedł. Wciąż lekko zaszokowany Lime mrugnął raz i drugi. Potem odwrócił się do pułkownika.

– Tak jak powiedziałem – powtórzył Rush. – Koniec z biurkiem. – Posłał mu lekki uśmiech. – Możesz odejść.

13

NASTĘPNEGO POPOŁUDNIA Nora patrzyła na rozmywający się w nicość korkociąg pyłu za samochodem Corrie i Morwooda i furgonetką FBI wiozącą osobliwe dowody rzeczowe, zwłoki oraz inne wykopane przez nich znaleziska.

– Dziwne, nie sądzisz? – rzucił stojący obok Tappan; wydawało się, że zawsze jest w pobliżu, żywo zainteresowany, lecz nie natrętny.

– Bardzo.

– Tych ciał nie pogrzebano tu przypadkowo. Wokoło są setki kilometrów kwadratowych, które nadają się do tego dużo bardziej. Dlaczego akurat pięćset metrów od naszego miejsca? Musi być jakiś powód.

Nora pokręciła głową.

– Więcej dowiemy się pewnie, kiedy je zidentyfikują.

– Myślisz, że zidentyfikują?

– Na sto procent. Corrie, agentka Swanson, przeszła specjalne szkolenia. Kiedy ostatnio razem pracowałyśmy, zrekonstruowała twarz martwego mężczyzny tak dokładnie, że natychmiast go rozpoznano.

– Chciałbym kiedyś posłuchać tej historii.

Nora popatrzyła na sieć kwadratów, którą Emilio i Scott nakładali na teren przyszłych wykopalisk; właśnie wbijali ostatnie paliki i łączyli je fluorescencyjnym sznurkiem.

– Jutro zaczynacie? – spytał Tappan, choć nie zabrzmiało to jak pytanie.

– Tak, chyba że znów natkniemy się na jakiegoś nieboszczyka.

Miliarder stłumił śmiech.

Słońce chyliło się ku zachodowi i dzień pracy dobiegał końca. Corrie i jej ludzie zabawili u nich dłużej, niż się spodziewała, bo przesiewanie piachu

i przeczesywanie terenu jednak trwało. Kątem oka zobaczyła Skipa i Bitana. Nie słyszała, o czym rozmawiają, ale Bitan należał do tych, którzy lubią dramatycznie gestykulować, a teraz był bardzo ożywiony. Ulżyło jej, że brat zrobił na nim dobre wrażenie – więcej niż dobre. Mieli obsesję na tym samym punkcie, a Bitan najwyraźniej lubił otaczać się sympatykami.

Tappan wskazał jej iPad.

– Jak to właściwie działa? Wasze oprogramowanie. Udzielisz mi lekcji?

– To bardzo proste – odparła. – Kopiając, wszystko fotografujemy *in situ*, każdą usuniętą warstwę i każdą próbkę gleby. Następnie wprowadzamy zdjęcia do komputera, aby odtworzyć miejsce wykopaliska w trzech wymiarach i sprawdzić, jak ewoluowało. Można je obracać, oglądać z boku, a nawet od spodu, nie mówiąc już o innych analizach. My wprowadzamy zdjęcia, a procesor robi resztę.

– Ciekawe. Jaki jest plan? Będziecie otwierali te kwadraty po kolei?

– Zaczniemy od pierwszego i pójdziemy w poprzek, od lewej do prawej, jak kosiarka do trawy, za każdym razem zdejmując kolejną warstwę gleby.

– Do jakiej głębokości?

– Najpierw do horyzontu ziemnego z tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego roku, a potem trochę głębiej, żeby sprawdzić, czy na pewno go przekroczyliśmy. To standardowa procedura operacyjna.

Vigil wbił ostatni palik, naciągnął i zawiązał sznurek, złożył tachimetr, zarzucił go na ramię i podszedł do nich.

– Zrobione! – rzucił z zakurzonym uśmiechem pod okrągłymi okularami przeciwsłonecznymi. – Bułka z masłem.

– Świetnie – powiedział Tappan. – Co sądzisz o tym miejscu?

– Jest idealne. Płaski teren, roślinności tyle, co kot napłakał. Piasek jest miękki, ale pod spodem na tyle wilgotny, że trzyma wszystko razem. Lepszej lokalizacji nie można sobie wymarzyć.

Podeszli do nich Bitan i Skip, a wkrótce i pozostali, łącznie z trojgiem inżynierów.

Astronom ogarnął wzrokiem sieć kwadratów.

- Bardzo imponujące.
 - Mogę liczyć na próbki gleby? – spytał Greg Banks.
 - Oczywiście – odparła Nora. – Możemy pobrać, ile chcesz, z dowolnego miejsca.
 - Super. Chciałbym mieć stugramową próbkę z każdego kwadratu, z głębokości, powiedzmy, dwudziestu centymetrów.
 - Załatwione. Szukasz czegoś konkretnego?
 - Chcę je zbadać spektrometrem masowym. No i obejrzeć pod mikroskopem, sprawdzić, czy czymś się nie wyróżniają.
 - Nie ma problemu. Archeolodzy ciągle pobierają próbki. Kto będzie robił spektrometrię?
 - Laboratorium Badań Stosowanych na Uniwersytecie Tekszańskim w Austin. Będę codziennie wysyłał im próbki FedExem.
- Nora kiwnęła głową. Koszty wystrzelą jak rakietą, ale dlaczego nie? Projekt Tappana miał wszystko, co najlepsze.
- Liczysz na to, że znajdziesz jakiś obcy związek chemiczny? – spytał Skip.
 - Nadzieja umiera ostatnia – odparł Baks i wszyscy wybuchnęli śmiechem.
- Tappan rozejrzał się i oświadczył:
- Na dzisiaj skończyliśmy. Zapraszam na małą uroczystość. O szóstej koktajle, o siódmej kolacja.

14

NORA WESZŁA DO PRZYCZEPY, którą dzieliła z bratem. Było to przytulne lokum z dwoma mikroskopijnymi pokojkami na obu końcach, wspólną kuchnią i salonikiem pośrodku oraz łazienką i malutką kabiną prysznicową. W kącie saloniku Skip urządził legowisko dla Mitty'ego, z materacem i miskami na jedzenie i wodę. Przyczepa była mała, lecz niewiele mniejsza od ich domu, no i dużo nowocześniejsza.

Weszła do swojego pokoju, aby zrzucić brudne ubranie i przebrać się do kolacji, choć nie bardzo wiedziała w co. Ostatecznie postawiła na styl kowbojski, na skórzane spodnie, buty z wężowej skóry, czerwoną jedwabną bluzkę i turkusowy naszyjnik. Brat czekał na nią w saloniku, już ubrany. Jego pomysłem na wyszukany styl kolacyjny były dżinsy i czysta koszula robocza.

– Co ci ten Bitan tak opowiadał?

– To i owo.

– Co tak nieśmiało? – spytała przekornie. – No powiedz.

– To prawdziwy geniusz – odparł Skip. – Ma bibliotekę filmów nagranych przez siły powietrzne, zdjęć radarowych UFO, wywiadów i różnych ciekawostek. Siedziałem tam dzisiaj kilka godzin. Większość tych, którzy wypowiadali się do kamery, to oczywiście świrusy, ale nie wszyscy. A te odtajnione filmy nagrane przez pilotów samolotów myśliwskich są niesamowite: pokazują obiekty manewrujące z nieosiągalną dla nas prędkością. Nie mówiąc już o ludziach, których uprowadzono.

– Uprowadzono?

– Tak, żeby przeprowadzać na nich eksperymenty albo się z nimi krzyżować. Na pewno o tym słyszałaś.

– O tak, te filmy obejrzałaś na sto procent. Kosmiczne porno!

Skip się roześmiał.

– Powinnaś rzucić na nie okiem. Wiem, że jesteś sceptyczna, to dobrze. Ale dobrze jest też mieć otwarty umysł.

Nora przyjrzała mu się uważniej. Był taki szczery. Z entuzjazmu promieniała mu cała twarz.

– Obiecuję, że się postaram – powiedziała z całym uśmiechem.

* * *

Gdy dziesięć minut później weszli do „przyczepy jadalnej”, omal nie usiadła z wrażenia. Z dziewięciometrowego domu na kółkach usunięto wszystko oprócz mieszczącej się na końcu kuchni i rozstawiono tam biegnący przez całą długość stół przykryty białym obrusem. Na stole stały srebrne kandelabry, kryształowe kieliszki, pierścienie z białymi jak śnieg lnianymi serwetkami oraz duże ceramiczne talerze w kowbojskie motywy z lat trzydziestych, ozdobione na brzegach paleniami, a na środku malunkami koni, kowbojów i innymi ornamentami rodem z Dzikiego Zachodu.

– Witajcie! – Podszedł do nich Tappan ze srebrną tacą zastawioną sześcioma wysokimi kieliszkami szampana. – Jesteście pierwsi.

Nora i Skip sięgnęli po kieliszki. Tappan był w butach z krokodylej skóry, dżinsach i brązowej kowbojskiej koszuli z perłowymi guzikami i szpanerskimi szwami. Na szyi miał jedwabną bandanę z wysadzonym turkusami srebrnym suwakiem. Było oczywiste, że nie nosi się tak na co dzień, ale dzięki czarnym, kędzierzawym włosom i dołeczkom nie wyglądał zbyt jarmarcznie.

Odstawił tacę, podniósł kieliszek martini, trącili się szkłem i wzniósł toast.

– Za wykopaliska. Niechaj będą nie z tego świata.

– Dobrze mówi! – rzucił Skip.

Przyszedł Bitan w workowatym garniturze i źle zawiązanym krawacie.

– Szampan! – Wziął kieliszek z tacy, rozejrzał się i stwierdził: – Tu jest jak w O.K. Corralu. Czy tylko ja podtrzymuję klasyczne standardy ubraniowe?

– Nie w tym garniturze – odparł ze śmiechem Tappan.

– A co mu dolega?

Tappan pomacał klapę marynarki.

– Trochę za dużo poliestru.

– Jesteśmy na pustyni – zauważył buńczucznie astronom. – Ubranie musi oddychać. Dobrze o tym wiem. Wychowałem się na pustyni Negew.

Potem przyszli Vigil i Riordan, a w ciągu następnych kilku minut reszta naukowców, łącznie z trojgiem inżynierów, którzy chyba wszędzie chodzili grupowo. Kuzniecowa przyniósł dziwnie wyglądający instrument muzyczny, który postawił w kącie.

Przez chwilę rozmawiali, sącząc szampana i jedząc przystawki, wędzonego łososia, bliny z kawiolem, schłodzone krewetki i owiniętego prosciutto melona.

Kuzniecowa przełknął kęs blina, po czym zaskoczony wykrzyknął:

– To prawdziwy rosyjski kawior! – I natychmiast sięgnął po dodatkę.

– Tak – powiedział Tappan. – Osetra z Morza Kaspijskiego, ale ponieważ pozyskano go z jesiotra hodowlanego, a nie złowionego w środowisku naturalnym, jest to kawior, że tak powiem, rozważny.

Słyszając te słowa, Skip przepchnął się do stołu, momentalnie pochłonął jednego blina i zgarnął jeszcze dwa. Nora zauważyła, że błyskawicznie opróżnił dwa kieliszki szampana i właśnie sięgał po kolejny, więc podeszła do niego i lekko trąciła go w bok.

– Zrób sobie przerwę, OK?

– Nie ma sprawy, siostrzyczko. – Brat zabrał rękę.

Tappan zadzwonił widelcem w kieliszek i wszyscy się uciszyli. Miliarder popatrzył na nich błyszczącymi oczami.

– Zanim usiądziemy do stołu, chcę wam coś opowiedzieć, historię niektórym już pewnie znaną.

Z jego zarumienionej twarzy biła radość i podekscytowanie. Nora rzadko kiedy widywała szczęśliwszych ludzi.

– Będzie to opowieść o czymś, co wydarzyło się w laboratorium badawczym w Los Alamos latem tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku, kiedy Los Alamos było jeszcze tajnym miastem. Trwały tam wtedy prace nad bombą wodorową. Enrico Fermi, słynny włoski fizyk, poszedł na lunch z Emilem Konopińskim, Herbertem Yorkiem i Edwardem Tellerem. Wszyscy czterej brali czynny udział w projekcie „Super”, bo taki kryptonim miała bomba. W drodze na lunch zaczęli rozmawiać o coraz liczniej odnotowywanych przypadkach UFO i oczywiście o samym incydencie w Roswell. Dyskusja skupiła się na prawdopodobieństwie istnienia inteligentnego życia w kosmosie. Cała czwórka zgodziła się co do tego, że ponieważ we wszechświecie są miliardy planet, w ciągu miliardów lat zaawansowana obca cywilizacja po prostu musiała gdzieś powstać.

Zrobił pauzę.

– Kiedy zasiedli do stołu, rozmowa zoczyła na inne tematy, rzeczy, o których zwykle dyskutują fizycy, podróże z prędkością większą niż prędkość światła, i tak dalej. Ale kiedy w pewnym momencie zapadła cisza, Fermi nagle wypalił: „Więc gdzie oni są?”. Jego koledzy roześmiali się, wiedząc, że nawiązuje do ich wcześniejszej rozmowy. Bo skoro w każdej galaktyce roi się od inteligentnego życia, to rzeczywiście, gdzie te istoty są? Dlaczego nas nie odwiedziły, i to wielokrotnie? Po powrocie do biura Fermi przeprowadził kilka ogólnych obliczeń. Biorąc pod uwagę olbrzymią liczbę gwiazd w Galaktyce, takich jak choćby nasze Słońce, biorąc pod uwagę wysokie prawdopodobieństwo, że wokół wielu z nich krążą obfitujące w wodę planety podobne do Ziemi, wreszcie biorąc pod uwagę to, że te gwiazdy są miliardy lat starsze od naszej, logiczne jest, że już dawno temu na niektórych z tych planet rozwinęło się inteligentne życie i że te obdarzone inteligencją istoty musiały opanować technikę podróży międzygwiazdnych. Stąd jego zaskoczenie: „Więc gdzie oni są? Powinny byli przylecieć do nas już przed wiekami!”. I tak, moi drodzy,

powstała słynna zagadka, znana dzisiaj jako paradoks Fermiego. Naszym celem, celem tego, co tu robimy, jest jego rozwiązanie. Wszystko wskazuje na to, że obcy już odwiedzili Ziemię. A tutaj, na tej odległej pustyni, w końcu znajdziemy na to dowód. Dowiemy się, że nie jesteśmy sami, że we wszechświecie żyją istoty nam podobne, inteligentne, samoświadome i obdarzone mądrością oraz wiedzą znacznie przekraczającą tę, którą dysponują ludzie. Będzie to największe odkrycie w historii nauki.

– Podniósł kieliszek. – Dlatego wypijmy za nasz projekt i za rozwiązanie paradoksu Fermiego.

Nora i pozostali poszli w jego ślady.

– A teraz zapraszam do stołu.

Nora usiadła – zupełnie przypadkowo – między Bitanem po lewej stronie i Kuzniecowerem po prawej, naprzeciwko Tappana. Kiedy Max, *saucier* i kelner w jednej osobie, postawił na stole sałatki i napełnił winem kieliszki, rozpoczęły się rozmowy.

Siedzący po drugiej stronie Kuzniecowa Skip wyciągnął do niego rękę.

– Gdybyś zapomniał, to jestem Skip.

– A ja Witalij, też gdybyś zapomniał.

– Jesteś Rosjaninem?

– Tak. Przyjechałem do Stanów na wizie H-1B.

– Na czym?

Kiedy Kuzniecow zaczął mu to wyjaśniać, Nora przeniosła uwagę na Tappana.

– To bardzo ciekawa historia.

– Paradoks Fermiego? Czuję coś w rodzaju więzi duchowej z Fermim. Obaj jesteśmy włoskiego pochodzenia: moja matka nazywała się Mazzei. Kiedy zwerbowano go do projektu „Manhattan”, przyjechał do Los Alamos jako Henry Farmer, ale mówił z tak silnym włoskim akcentem, że kiedy tylko otworzył usta, wszyscy się domyślili, że to fałszywe nazwisko. Przedtem zbudował pierwszy na świecie reaktor atomowy w podziemiach Uniwersytetu Chicagowskiego.

– A ty? Co myślisz o jego paradoksie? Bo właściwie dlaczego obcy się do nas nie odzywają?

Miliarder posłał jej czarujący uśmiech.

– Oto jest pytanie, prawda? Przedstawiono dziesiątki teorii na ten temat, ale moją ulubioną jest ta o zoo.

– Że jesteśmy jak małpy na wybiegu, tylko o tym nie wiemy?

– Prawie trafiłaś – odparł ze śmiechem Tappan. – Coś podobnego Noam mówił wczoraj Skipowi. W myśl tej hipotezy Galaktyką rządzi sojusz wysoko zaawansowanych cywilizacji, ale ludzie nie są jeszcze gotowi, żeby się do nich przyłączyć. Jesteśmy albo zbyt prymitywni, albo zbyt niebezpieczni, a może zbyt głupi. Ewentualny kontakt mógłby wprowadzić wśród nas zamęt, a nawet nas zniszczyć. Dlatego wciąż żyjemy w czymś w rodzaju rezerwatu. Obcy nieustannie nas obserwują, ale nie mają prawa się z nami kontaktować.

– Idąc tym torem, nie sądzisz, że jeśli uda ci się znaleźć dowody na ich odwiedzinę, ludzie się trochę zdenerwują? Przecież dowiedzą się, że mieszkają w zoo.

Tappan się roześmiał.

– Myślę, że jakoś sobie z tym poradzą. Tego rodzaju wiedza może wyeliminować nasze małostkowe sprzeczki, zjednoczyć nas i raz na zawsze uwolnić od wojen i konfliktów.

Słyszając te słowa, Bitan podniósł palec i nachylił się ku Norze.

– Poszedłbym nawet o krok dalej.

– Czyli?

Astronom pokiwał palcem.

– Już wkrótce mają otworzyć drzwi zoo. I nas uwolnić. Przekazać nam tajemnice wszechświata. A wszystko to za naszego życia, możliwe nawet, że już za kilka lat, a nawet miesięcy.

– Skąd pan wie?

– Te wszystkie nagrania UFO, incydent w Roswell, te uprowadzenia: oni nas badają. Sprawdzają nasze reakcje. Jak dotąd dobrze nam idzie. Dlatego spodziewam się, że lada chwila odsłonią kurtynę.

– To będzie coś jak Drugie Przyjście? – spytał Skip.

Astronom rozłożył ramiona niczym Mojżesz na górze i jego głos nabrał głębszych tonów.

– Tak jakby. Zapanuje pokój. Znikną właśnie, ubóstwo i głód.

– Z tego, co czytałem, niektórzy uważają, że się mylimy – powiedział Skip. – Twierdzą, że obcy są źli, że chcą tylko podbijać i grabić.

– Czy nie logiczniej jest założyć, że im bardziej inteligentna jest jakaś istota, tym większą ma zdolność do odczuwania współczucia i powinności moralnych, a mniejszą do stosowania przemocy?

– Brzmi sensownie – zgodził się z nim Skip.

– Odszedłem z SETI – ciągnął Bitan – bo zdałem sobie sprawę, że będziemy tylko wsłuchiwać się we wszechświat. Uważałem, że powinniśmy przejść inicjatywę, pokazać, że jesteśmy zainteresowani i chętni do wstąpienia do ich sojuszu. Dlatego kiedy odrzucono moją propozycję stworzenia Projektu Nawiązania Kontakt z Obcą Inteligencją, musiałem zrezygnować.

– Więc jesteś tu, bo liczysz na to, że odkrycie, że odwiedzają nas obcy, przyspieszy dzień objawienia? – spytała Nora.

Astronom uśmiechnął się promiennie.

– Chociaż w tej chwili to tylko spekulacje, odpowiem, że... tak.

CORRIE PATRZYŁA NA SZCZĄTKI dwojga ludzi spoczywające na dwóch wózkach stojących pod jaskrawym światłem na środku laboratorium kryminalistycznego w podziemiach oddziału FBI w Albuquerque. Przeprowadzili już sekcję zwłok, oczywiście tylko na tyle, na ile się dało. Większość tkanek uległa rozkładowi, pozostało jedynie kilka fragmentów mięśni i organów wewnętrznych. Na trzecim wózku leżały nieliczne dowody fizyczne: dwie łuski kaliber czterdzieści pięć, tajemnicze urządzenie z HiChem Industries, monety znalezione w kieszeni martwego mężczyzny oraz klucz. Stał tam również rząd pojemników z próbkami i slajdami histologicznymi do dalszych testów i analiz.

– Wszystko gotowe? – spytał Nigel Lathrop, szef laboratorium, który kierował tą placówką od początku świata. Mówił z silnym brytyjskim akcentem i zalatywał naftaliną nawet dla FBI. – Tip-top?

– Chyba tak – odparła ostrożnie.

W czasach jego świetności patolog kryminalistyczny musiał robić niemal wszystko. Problem polegał na tym, że od ukończenia studiów Lathrop nie robił nic, aby nadążyć za rozwojem nauki, a jednocześnie wciąż demonstrował swoją wyższość, w lekceważący sposób wyśmiewając jej wykszolenie i doświadczenie. Krótko mówiąc, był po prostu zwykłym palantem. Morwood kazał jej się z nim dogadać, więc próbowała, już od siedmiu miesięcy. Ta sprawa była doskonałym przykładem łączących ich stosunków: ona odwaliała dziewięćdziesiąt procent roboty, podczas gdy on cały czas zajmował się jakimiś błahostkami, aby sprawiać wrażenie bardzo zajętego.

Morwood przyszedł punktualnie wraz z agentem specjalnym Julio Garcia, szefem oddziału. Garcia – jak zwykle ubrany nienagannie na niebiesko – był spokojnym, roslym i muskularnym mężczyzną z wystylizowaną na okrągło brodą. W laboratorium widziała go tylko raz i jego niespodziewana wizyta trochę ją zestresowała.

Wyciągnął do niej rękę.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Agent Morwood opowiadał mi o sprawie, którą pani prowadzi, i bardzo mnie zainteresowała. Oczywiście tylko jako postronnego obserwatora.

– Dziękuję. – „O sprawie, którą pani prowadzi”: bardzo jej się to podobało. Garcia robił wrażenie faceta przyzwoitego, choć trochę niedostępnego.

– Tak – odezwał się Lathrop – rezultaty naszej pracy są niezwykle, naprawdę niezwykle. Poświęciliśmy tym biedakom cały dzień i całą noc.

Od chwili, kiedy ciała trafiły do laboratorium, pracowała nad nimi prawie dwanaście godzin na dobę, podczas gdy on poszedł do domu o osiemnastej i wrócił o dziewiątej rano. Ale zachowała to dla siebie.

Morwood spojrzał na wózki.

– Boże, te twarze...

– Dobrze, zacznijmy od twarzy – powiedziała szybko. – Badania histologiczne fragmentów skóry wskazywały, że weszła ona w kontakt z silnym kwasem. Potwierdziła to analiza chemiczna: był to wysoko stężony kwas chlorowodorowy, inaczej solny, HCl. Wygląda na to, że oblano nim jedną i drugą ofiarę, w dodatku kilka razy, czego dowodem są widoczne w próbkach mikroskopowe zniszczenia warstwowe.

– Innymi słowy, ktoś ich torturował? – spytał Morwood.

– Tak, ale nie kwasem. Kwasu użyto dopiero po ich śmierci, aby zatrzeć rysy twarzy i utrudnić identyfikację. Tym samym kwasem oblano palce u rąk, najprawdopodobniej po to, żeby usunąć linie papilarne.

– Niezwykle. Czy to znaczy, że rekonstrukcja nie wchodzi w rachubę?

– Miejscami kwas spenetrował ciało aż do kości, ale uszkodził jedynie ich powierzchnię. Powinnam sobie poradzić.

– A przyczyna śmierci?

– Strzał w lewą skroń, z bliska. Lufę pistoletu, czterdziestkapiątki, przytknięto do skóry, są oparzenia i ślady prochu. Znaleźliśmy obie łuski.

– Rozumiem. A więc torturowano ich przedtem?

– Z kciuka i małego palca prawej ręki mężczyzny oraz z palców wskazujących i środkowych rąk kobiety wyrwano paznokcie.

Morwood pochylił się nad ciałami. Włożył rękawiczki, delikatnie podniósł ich ręce i przyjrzał się dłoniom.

– Palce są również zmiażdżone.

– Tak, mają popękane kości. Zmiażdżono je i wykręcono, najprawdopodobniej za pomocą szczypiec czy czegoś podobnego.

Lathrop nie mógł już się doczekać, żeby wtrącić swoje trzy grosze.

– To prawda, torturowano ich w przerażający sposób. Wyjęliśmy z ciał resztki organów wewnętrznych, żeby poddać je analizie toksykologicznej, i tak dalej. Wszystkie pojemniki z dowodami przyślemy wam jutro.

– Znakomicie – mruknął Morwood. – Spróbujecie ich zidentyfikować?

Lathrop znów nie dopuścił jej do głosu.

– Identyfikacja, tak, to bardzo ważne. Niezwykle ważne. Obie ofiary przechodziły zabiegi dentystyczne. Mamy już zdjęcia rentgenowskie i przeszukujemy bazy danych. Niestety, kwas uniemożliwia porównanie odcisków palców. Mężczyzna ma około czterdziestu, pięćdziesięciu lat, kobieta od trzydziestu pięciu do czterdziestu. Warto zauważyć, że oboje mieli obrączki ślubne, a kobieta skromny pierścienek zaręczynowy z brylantem, zniekształcony, pewnie podczas tortur.

Wyrzucił to z siebie jednym tchem.

– Obrączki ślubne? – spytał ostro Morwood. – Byli małżeństwem?

– Najprawdopodobniej – odparł Lathrop. – W tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym roku kobieta nie prowadziłaby się z mężczyzną, który nie był jej mężem.

– A data?

– Na podstawie znalezionych w kieszeni monet najbardziej prawdopodobną datą jest właśnie tysiąc dziewięćset czterdziesty siódmy,

na co wskazują nowiutka moneta jednocentowa oraz kilka monet z wcześniejszego okresu. Tak więc rok tysiąc dziewięćset czterdziesty siódmy to *terminus post quem*. Łuski też wyprodukowano w tym samym roku.

Corrie wkurzyła się, słysząc to łacińskie określenie. Lathrop uwielbiał go używać i wyśmiał ją kiedyś za to, że go nie znała.

– Ślady promieniowania? – spytał Morwood.

– Od tego zaczęliśmy. Brak.

– Pewnie słyszeliście o dwóch naukowcach, którzy zaginęli w Los Alamos w tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym. Dosłownie rozplynęli się w powietrzu. Potem wyszło na jaw, że byli szpiegami, i zakładano, że uciekli do Związku Radzieckiego. Kiedy odkryto te ciała, pomyślałem, że to oni, ale okazało się, że jedno jest ciałem kobiety. Mimo to zastanawiam się, czy te sprawy nie są ze sobą powiązane. Jak sądzisz, Corrie? – spytał, widząc, że Lathrop znów otwiera usta.

– Myślę, że warto to zbadać. – Dopiero teraz zrozumiała, dlaczego Morwood tak bardzo interesował się ich znaleziskiem i dlaczego był taki zawiedziony, że jedno z ciał należało do kobiety.

– Udało wam się zidentyfikować to urządzenie?

– Jeszcze nie – odrzekła. – HiChem Industries już nie istnieje. Zajmowali się tajnymi badaniami wojskowymi, inżynierią aeronautyczną, pociskami raketowymi i projektowaniem broni. Zrobiliśmy zdjęcia i wysłaliśmy je kilku specjalistom.

– Chciałbym wyrejestrować je z magazynu i zabrać do Los Alamos. Znam tam kogoś, emerytowanego już naukowca. Doktora Eastchestera. Może on będzie wiedział, co to takiego.

– Oczywiście. Jeśli pan chce, może pan zabrać je już teraz. Wyrejestrujemy je za pana. – Włożyła urządzenie do pudełka, zapieczętowała je i oznaczyła.

– Bardzo dziękuję. Papiery podpiszę po powrocie.

Milczący Garcia zatwierdził to skinieniem głowy.

Morwood przeniósł wzrok na Corrie.

– Dobra robota, agentko Swanson. A panu, doktorze, dziękuję za bezcenny wkład. To naprawdę osobliwa sprawa. Ciekawe, co powie mi doktor Eastchester.

16

ŚWIT WSTAŁ JAK ZWYKLE bez jednej chmurki na niebie. Ale piękny początek dnia szybko zepsuł wiatr, który zerwał się wczesnym rankiem i z czasem przybrał na sile. Praca była nieprzyjemna, bo podnosił tumany pyłu i nawiewał go na teren wykopalisk. W okolicy nie rośło ani jedno drzewo, które mogłoby złagodzić wicher. Pył zbierał się we włosach, na twarzy i na ubraniu, wpadał do oczu i chrząścił między zębami.

Mitty, który zwykle nie odstępował Skipa na krok, zirytował się w końcu do tego stopnia, że uciekł od niego pod przyczepę.

Mimo pyłu prace postępowały szybko. Tak jak powiedział Vigil, był to jeden z najłatwiejszych terenów, na jakich Nora kiedykolwiek pracowała, płaski, o miękkiej glebie, bez korzeni i z nielicznymi kamieniami, w dodatku zawierający sporo spajającego grunt hardpanu. Ona i Vigil metodycznie rozkopywali kwadrat za kwadratem, podczas gdy Skip obsługiwał sita, najpierw przesiewając piach przez grubsze, a potem przez drobne. Kuzniecowa i Cecilia Toth przeczesywali każdy kwadrat georadarem. Dostarczone przez nich echogramy miały bardzo wysoką rozdzielczość, ale występujące na nich cienie okazywały się jak dotąd tylko nic nieznaczącymi cieniami.

Niezniechęcony przez wiatr i nudę Tappan spędził poranek, obserwując postęp prac. Zadawał pytania, podsuwał pomysły, słowem, wszędzie było go pełno. Dawał odczuć swoją obecność, lecz się nie narzucał. Nora zastanawiała się, jak prowadził swoje interesy. Zdalnie?

Na prośbę Banksa z każdego kwadratu starannie pobierała stugramową próbkę gleby, którą przesypywała do szklanego pojemnika, oznaczała i stawiała na tacy. Kiedy taca się zapełniała, Skip niósł ją do inżynierów.

Niezmiernie jej ulżyło, kiedy nadeszła pora lunchu. Wszyscy natychmiast uciekli do Baraku 1, gdzie czekały kanapki, sałatki, herbata i kawa.

Nalała sobie kubek kawy, wzięła kanapkę i usiadła, brudna i zmęczona tak jak pozostali. Mówili niewiele. Odsłanili już początek długiej bruzdy w piachu i chciała jak najszybciej dotrzeć do jej końca, który leżał tak głęboko, że nie mogli go zbadać ani georadarem, ani magnetometrem. Możliwe, że coś tam było, fragmenty lub kawałki czegoś, co aż tak rozorało ziemię.

Już zjadła i właśnie ogarniało ją przerażenie na myśl, że zaraz musi wyjść na dwór – dach baraku dygotał targany podmuchami wiatru – kiedy przyszedł Greg Banks, którego nie było na lunchu. Przystanął i z szerokim uśmiechem podniósł ręce.

– Uwaga, uwaga, przygotowałem dla was małą niespodziankę.

Próbował powiedzieć to spokojnie, lecz miał za bardzo spięty głos.

– Jaką? – spytał Tappan.

Banks uśmiechnął się tajemniczo.

– Zobaczycie. Proszę za mną.

Przeszli do sąsiedniego baraku, gdzie czekał na nich Skip i gdzie na dużym stole leżało kilka oznaczonych przywieszką artefaktów, które wykopali tego ranka. Nora już je widziała, wszystkie, oprócz znalezionych podczas sitowania dwudziestowiecznych śmieci: niedopałków papierosów, kapsli, odłamków szkła, pękniętej butelki po whisky, nadgryzionego kikuta ołówka, niedającego się otworzyć scyzoryka, kilku guzików i nitu z dzinsów. Znaleźli także kilka monet jednocentowych, pięciocentówkę, ćwierćdolarówkę – wszystkie z tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego roku lub starsze – parę prehistorycznych indiańskich krzemieni oraz podstawę grotu strzały, a więc rzeczy bardzo ziemskiego pochodzenia. Na końcu stołu znajdowały się pojemniki z próbkami gleby, a obok nich – mikroskop.

– Co za imponująca kolekcja pozaziemskich artefaktów! – zawołał ze śmiechem Tappan.

– Jeśli tak, obcy lubią śmiecić jak ludzie – odparł Banks. – Ale nie to chcę wam pokazać. – Zaprowadził ich do mikroskopu. – Na szkiełku leżą drobiny ziemi. Niech każdy z was im się przyjrzy, ale nic nie mówi. Potem powiecie, co widzieliście.

Jak na cichego, spokojnego naukowca miał dar budowania napięcia. Nora była zaciekawiona.

Bez słowa obejrzeni drobinki w dużym powiększeniu. Kiedy przyszła jej kolej, w pierwszej chwili zobaczyła tylko gigantyczne ziarenka piasku poprządkane puszystymi grudkami ziemi, fragmentami roślin oraz korzeni. Ale potem zauważyła, że są tam również okrągłe kuleczki z jakiegoś szklistego, zielonkawego i przezroczystego materiału.

Odeszła do stołu. Nie bardzo wiedziała, co to znaczy, ale przeczuwała, że coś znaczy.

– Dobrze – powiedział Banks. – Co widzieliście? Zacznijmy od ciebie, szefie.

– Cóż, widziałem mnóstwo ziemi i piasku – odparł ze śmiechem Tappan. – Szczerze mówiąc, nie wiedziałem, czego wypatrywać. Dobra, niektóre ziarenka miały interesujący kształt. Wyglądały jak kryształki.

Banks uniósł brwi i wymienił spojrzenia ze Skipem, który był chyba wtajemniczony.

– Czy ktoś zauważył coś jeszcze?

Obszedł cały pokój, ale nikt nie zauważył nic niezwykłego ponad to, że niektóre kryształki wyglądały jak brylanty.

Banks stracił w końcu cierpliwość.

– Kryształki! Moi drodzy, w dużym powiększeniu wszystkie ziarenka piasku wyglądają jak kryształki! Ostatecznie składają się głównie z ditlenku krzemu. Zapomnijcie o tych cholernych kryształkach! Nikt nie zwrócił uwagi na te mikroskopijne kuleczki?

Zapadła cisza.

– W jaki sposób nabrały takiego kształtu?

– Bo się roztopiły i spadły jako kropelki? – spytała Nora.

– Nareszcie! – Banks uśmiechnął się szeroko. – To są gorące kropelki, które ochłodziły się w powietrzu. Zauważyliście ten zielonkawy kolor? Taki kolor przybiera piasek, który się roztopił albo wyparował. Jeśli uważnie się przyjrzeć, na niektórych widać niewyraźne zawirowania, tak zwane linie Schlierena. Występują na ziarenkach piasku, który wyparował, skroplił się w atmosferze i schłodzony spadł na ziemię.

Tappan podniósł głowę.

– Co to znaczy?

– Te kropelki mają swoją nazwę: mikrotektyty. Do tej pory uważano, że mogą powstać tylko podczas potężnego uderzenia meteorytu. Tymczasem znalazłem je w każdej próbce od Nory. Są wszędzie, miliony mikrotektytów. – Rozejrzał się, budując jeszcze większe napięcie. – Dlatego zadałem sobie pytanie: czy są dowody, że gdzieś w pobliżu spadł meteoryt? Sprawdziłem i odpowiedź brzmi: „nie”

Zrobił kolejną dramatyczną pauzę.

– Wniosek jest jednoznaczny: coś uderzyło tu w ziemię tak gwałtownie, że wyparowało mnóstwo piasku. Z tak wielką siłą nie mógł uderzyć żaden obiekt pochodzenia ziemskiego, ani pocisk, ani samolot. Nie wystarczyłoby im energii do roztopienia krzemionki. Dlatego to coś musiało przylecieć z przestrzeni kosmicznej. Weszło w atmosferę z bardzo dużą prędkością i spadło w tym miejscu.

– To nie mógł być satelita? – spytała Nora.

– Tak, spadający z wysokiej orbity satelita mógłby roztopić piasek. Sęk w tym, że w tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym roku, bo z tego właśnie okresu pochodzą odkopane przez was rzeczy, satelitów jeszcze nie było. Sputnika wystrzelono dopiero w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym siódmym.

Nasuujące się wnioski były oczywiste i w baraku znów zapadła cisza.

– To dość... szokujące – odezwał się w końcu Tappan. – Powiedziałbym, że znaleźliśmy właśnie wyraźny dowód, w każdym razie coś zbliżonego. Potwierdzenie pozaziemskiego pochodzenia tego obiektu.

– Czy nie mógł to być meteoryt, o którego upadku nic nie wiadomo? – spytała nieśmiało Nora.

– To możliwe – odrzekł Banks. – Ale mikrotektyty leżą w badanej przez was bruzdzie, a prawdopodobieństwo, że wyrył ją meteoryt, jest bardzo małe. Znaleźlibyście jego fragmenty. Sprawdziłem wszystkie próbki, przeczesałem je magnesem i zrobiłem testy chemiczne. Nie ma w nich ani śladu pozostałości po meteorycie, ani chondrytów, ani niklu, ani żelaza. Dlatego nie, to, co zrobiło tę bruzdę, nie rozpadło się na kawałki. Ale mogło zostawić słabe ślady chemiczne. Właśnie nad tym siedzę. Za kilka dni powinienem mieć wyniki.

Nora przełknęła ślinę. Był to niezwykle mocny argument przemawiający za katastrofą pozaziemskiego UFO. Rozejrzała się i zauważyła, że Bitan ma niezwykle minę, niemal błogą z podekscytowania. Pozostali też byli w mniejszej lub większej euforii. Większość należała do tych wierzących i właśnie wręczono im dowód, którego tak żarliwie pragnęli.

Tappan energicznie uściśnął Banksowi rękę, poklepał go po plecach i odwrócił się do nich.

– To wielka chwila. Dowód, że jesteśmy na właściwym tropie. – Zniżył głos. – Musimy utrzymać to odkrycie w tajemnicy. Jak najściślej. Rozumiecie? Podpisaliście klauzulę poufności, ale jeszcze raz podkreślam, że nie możemy nic nikomu powiedzieć. Bo jeśli rozejdą się plotki, że znaleźliśmy dowód na katastrofę UFO, nie opędzimy się od prasy i wkroczą w to władze, co zaburzy nam dalszą pracę. W najlepszym wypadku.

Wszyscy kiwnęli głowami w milczącym zrozumieniu.

CORRIE PRECYZYJNIE WETKNEŁA ostatni marker w odlew pierwszej czaszki. Zerknęła na zegarek – była dokładnie piąta – i wstała, aby obejrzeć swoje dzieło. W college’u prawa karnego Johna Jaya uzyskała licencjat z nauk humanistycznych i ścisłych, specjalizując się w antropologii kryminalistycznej i rekonstrukcji twarzy. Zwykle robiły to dwie osoby, antropolog i plastyk, ale jako podwójna licencjatka miała wszelkie kwalifikacje, aby robić to sama. Był to skomplikowany proces wymagający zarówno zdolności rzemieślniczych, jak i artystycznych. Wbrew temu, co pokazywano w telewizji, symulacje komputerowe nie dorównywały jeszcze rezultatom pracy rąk człowieka.

Oczywiście Lathrop nie miał o tym zielonego pojęcia, bo ukończył studia milion lat temu i nie chciało mu się uzupełniać wiedzy. Nie mogła się doczekać, aż wreszcie przejdzie na emeryturę. Tymczasem znów siedział w laboratorium, jak zwykle nic nie robiąc, podczas gdy ona podgrzewała blok plasteliny w misce wody nad palnikiem Bunsena, by odwzorować za jej pomocą mięśnie twarzy martwego mężczyzny.

– Puk, puk. – Zza drzwi głowę wystawił Morwood.

– Proszę! – krzyknął Lathrop, spiesznie odsuwając blokujące wejście pudła. – Robimy fantastyczne postępy!

On zaciągnął Morwooda do stołu, a ona czekała i milczała. Postanowiła dać mu się wygadać. Miała dość tej wiecznej rywalizacji, poza tym była pewna, że Morwood sam się wszystkiego domyśli.

– Jak pan widzi – mówił Lathrop – zrobiliśmy odlew czaszki mężczyzny i właśnie mieliśmy nałożyć mięśnie i ciało, co pomogłoby biedakowi odzyskać twarz i, mam taką nadzieję, nazwisko.

– Bardzo ładnie. – Agent pochylił się nad czaszką, posyłając Corrie znaczące spojrzenie. – Dobra robota, rzeczywiście. Jest szansa, że wkrótce go zidentyfikujecie?

Zadając to pytanie, patrzył na nią, ale do głosu znów dorwał się Lathrop.

– Bez wątplenia. Mamy także zdjęcia rentgenowskie zębów. To stara robota dentystyczna: mężczyzna ma cztery koronki ze stali nierdzewnej, choć w tamtych czasach powszechne były złote lub srebrne.

To też odkryła Corrie bez jego pomocy.

Morwood uniósł brwi.

– To nietypowe?

– Bardzo – odparł szybko Lathrop.

Agent spojrział na Corrie.

– To pomoże nam ustalić, gdzie je wstawiono, prawda?

– Bardzo możliwe – potwierdziła cicho.

Morwooda złapał krótki atak kaszlu. Agent odchrząknął i spytał:

– Mógłbym coś zaproponować? Może wyślemy te koronki do głównego laboratorium w Quantico? Mają tam światowej klasy specjalistów od stomatologii kryminalistycznej.

– Znakomity pomysł – powiedział Lathrop. – Chociaż nie dysponujemy niestety odciskami palców i nie możemy ich wprowadzić do bazy danych, wysłaliśmy do analizy DNA. Jestem przekonany, że wkrótce zidentyfikujemy ich oboje.

– Chciałbym, żebyście przedstawili wyniki swoich badań na naszym cotygodniowym spotkaniu w przyszły wtorek. Myślicie, że zdążycie do tej pory?

– Tak – odparł Lathrop.

– Nie – odparła Corrie.

Morwood popatrzył na nią, potem na niego.

– Więc tak czy nie?

– Genetycy nie zsekwencjonują DNA do wtorku – wyjaśniła. – Stan uzębienia denatów może coś nam dać, ale wątpię, żebyśmy zdążyli.

Pozostaje rekonstrukcja twarzy, ale te zwłoki pochodzą sprzed ponad siedemdziesięciu lat, więc ci, którzy mogliby je zidentyfikować, już nie żyją. Poza tym jeśli w ogóle nam się uda, porównanie zrekonstruowanej twarzy ze zdjęciami też trochę potrwa.

– Agencie Morwood – powiedział Lathrop przymilnym tonem – jestem większym optymistą niż nasza obecna tu Kasandra. Dlatego przeciwnie, uważam, że do wtorku zdążymy ich zidentyfikować albo prawie zidentyfikować.

Morwood skinął głową i posłał Corrie pełne troski spojrzenie. Wiedział, że agentka jest urażona, i chciał ją uprzedzić, żeby nie reagowała. Corrie z trudem przełknęła ślinę. „Niż nasza obecna tu Kasandra”. Naprawdę zamierzała puścić mu to płazem?

– Oboje robicie dobrą robotę – pochwalił ich Morwood. – Corrie, ponieważ to ty prowadzisz śledztwo, we wtorek zrobisz główną prezentację. Chyba nie ma pan nic przeciwko temu?

Lathrop energicznie pokręcił głową.

– Ależ skąd.

– Świetnie. – Morwood spojrzał na zegarek. – Muszę lecieć. O siódmej mam audiencję u doktora Eastchestera w Los Alamos. – Z tymi słowami wyszedł.

W laboratorium długo panowała cisza. Corrie podjęła decyzję. Odwróciła się do Lathropa i cichym, spokojnym głosem powiedziała:

– Nie podobał mi się pana komentarz o Kasandrze. Jeśli to się powtórzy, złożę oficjalną skargę.

– Och, bzdura! – zaprotestował. – W moim komentarzu nie było nic niewłaściwego. Najwyraźniej nie wie pani, że Kasandra była starożytną wieszczką, która mówiła prawdę, tylko nikt jej nie wierzył. Dlatego jak sama widzisz, moja droga, to nie była zniewaga, wprost przeciwnie: to był komplement.

Ta krótka przemowa zbiła ją z tropu, mimo to wciąż uważała, że Lathrop ją obraził. „Moja droga” nie pomogło.

– Nie chodzi tylko o to. Chodzi o wszystko, co dzieje się w laboratorium, odkąd zaczęłam tu pracować. – Starła się mówić wyważonym tonem i starannie dobierać słowa. – Bagatelizuje pan i umniejsza mój wkład. Przypisuje pan sobie rzeczy, których pan nie zrobił. I traktuje mnie pan nie tylko protekcjonalnie, ale i, szczerze mówiąc, seksistowsko.

– Proszę, proszę – burknął obrażony Lathrop. – Nie wiedziałem, że jesteś taka wrażliwa. To jest FBI, moja droga, a nie siedziba cór rewolucji.

To przeważało szalę. Zmrużyła oczy i przeszyła go wzrokiem.

– O czymś pan zapomina. Jako agentka specjalna nie tylko przewyższam pana pozycją, ale i jestem dużo lepiej wykształcona. Podejrzewam, że w ciągu ostatnich dwudziestu lat nie przeczytał pan ani jednej książki z zakresu medycyny sądowej czy kryminalistyki.

Lathrop gwałtownie pobladł, znak, że trafiła w dziesiątkę. Jednak poczucie triumfu szybko ustąpiło miejsca lękowi, bo zobaczyła, jak bardzo jest urażony. I nagle pożałowała, że to powiedziała.

Z twarzą białą jak bryła łożu Lathrop sztywno wyszedł z laboratorium i dokładnie zamknął za sobą drzwi.

GPS W TELEFONIE POINFORMOWAŁ Morwooda, że na skrzyżowaniu Trinity i Oppenheimera musi skręcić w lewo, więc skręcił, podziwiając nazwy ulic tego tajnego niegdyś miasta, kołyski wieku atomowego. Wkrótce dojechał do pomalowanego na szaro skromnego bliźniaka z białymi zdobieniami i zaparkował obok starego pick-upa. Z tylnego siedzenia wziął duży pojemnik i ruszył do wejścia, ale zanim zdążył nacisnąć przycisk dzwonka, Angus Eastchester otworzył drzwi. Minęło wiele lat, odkąd Morwood poznał go jako początkujący agent, ale naukowiec zestarzał się z wdziękiem i miał teraz siwe einsteinowskie włosy i rumianą twarz. Był w okularach w rogowej oprawie, w stosownie wymiętej marynarce ze skórzanymi łatami na łokciach i podpierał się piękną starą laską ze złotym uchwytem.

– Proszę, zapraszam! – powiedział.

Morwood wszedł do skromnego salonu. Eastchester zaproponował mu wysoki fotel, który najlepsze dni miał już za sobą. Agent był zaskoczony, że laureat Nagrody Nobla mieszka w tak skromnych, wręcz spartańskich warunkach. Przecież wraz z nagrodą laureaci dostawali parę milionów dolarów. Niektórym najwidoczniej nie zależało na pieniądzach ani na dobrach doczesnych.

– Dziękuję, że zgodził się pan mnie przyjąć, panie doktorze – powiedział Morwood.

– Najpierw coś ustalmy: ja jestem Angus, a ty Hale. Nie będziemy się tytułować.

– Oczywiście. – Eastchester wciąż był człowiekiem ciepłym i bezpretensjonalnym, tak jak przed dwudziestu laty, zanim dostał nagrodę. Zupełnie go to nie zmieniło.

– Zanim zaczniemy, mogę zaproponować coś do picia? Kawę? Herbatę? Wodę?

– Chętnie napiłbym się kawy. – Z Albuquerque do Los Alamos jest dość daleko i Morwood musiał się zregenerować.

– Ja też. Annie?

Z kuchni wyszła dostojna matrona.

– Poprosimy o kawę.

– Już podaję. – Matrona zniknęła.

Eastchester ruchem głowy wskazał drzwi.

– Kiedy dobiłem do osiemdziesiątki, moje dzieci mi ją wetknęły. Jako pomoc domową. W zeszłym roku złamałem biodro. Nie było łatwo.

– Przykro mi.

– Ba! Starcza niemoc. Straszna nuda. Wraz z wiekiem przybywa nam zaszczytów i bogactw, a kiedy już chcemy się nimi nacieszyć, przychodzi Ojciec Czas i psuje nam ciało. *Pulvis et umbra sumus*, to wszystko.

– Wiem, o czym mówisz. Mam kłopoty z płucami i bardzo mnie to ogranicza.

– Słyszałem, że nadzorujesz teraz młodzież. Przeszedłeś długą drogę, Hale, od nerwowego agenta, który, jak pamiętam, prowadził swoją pierwszą sprawę pod okiem... Jak on się nazywał?

– Mickey Starr. Niestety, ta sprawa jest wciąż otwarta. To boli.

– Tak, wyobrażam sobie.

Matrona przyniosła elegancki srebrny komplet do kawy. Morwood wlał do filiżanki trochę śmietanki, wrzucił dwie kostki cukru, zamieszał i z przyjemnością wypił długi łyk.

– Skoro już się wzmocniliśmy, spójrzmy na to tajemnicze coś – powiedział naukowiec.

– Oczywiście. – Morwood włożył lateksowe rękawiczki, otworzył pojemnik, wyjął znalezione w Roswell urządzenie i położył je na stoliku.

Eastchester gwałtownie wypuścił powietrze. Na jego twarzy zagościł wyraz najwyższego zdumienia.

– Mój Boże, gdzie to znaleźliście?

– Wiesz, co to jest?

– Możesz to odwrócić?

Morwood spełnił jego prośbę.

Naukowiec przyjrzał się uważnie przedmiotowi, usiadł wygodniej i pokręcił głową.

– Jeśli się nie mylę, to jest ściśle tajna część pierwszych bomb wodorowych. Tak zwana strzykawkka.

– Strzykawkka?

– Najpierw małe wyjaśnienie. Jak zapewne wiesz, źródłem wybuchu bomby wodorowej jest niekontrolowana reakcja łańcuchowa, podczas której dochodzi do przemiany wodoru w hel. Ta reakcja wymaga tak dużej temperatury i ciśnienia, że musi inicjować ją detonacja ładunku jądrowego. Bomba wodorowa jest w gruncie rzeczy bombą atomową, w której pluton uruchamia reakcję fuzji w mieszczącym się tuż obok ładunku wodoru.

Morwood nie do końca to zrozumiał, ale naukowiec już mówił dalej.

– W tego rodzaju bombach nie używa się zwykłego wodoru. Używa się jego izotopu, trytu, ^3H . Widzisz ten symbol? Tu, na bocznej ścianie obudowy. To rodzaj wodoru, którego jądro ma dwa dodatkowe neutrony.

– Aha.

– To urządzenie służy do jego przechowywania w bombie. Kręcąc tą tarczą, można zmienić siłę wybuchu, w tym przypadku od jednego do dwudziestu megaton. Przed detonacją urządzenie wstrzykuje do komory reakcyjnej mniejszą albo większą ilość trytu. Stąd jego nazwa, „strzykawkka”. Im więcej trytu, tym potężniejsza eksplozja. Jeśli chcesz rzucić bombę na Moskwę, nastawiasz „strzykawkę” na dwadzieścia megaton i niszczysz całe miasto. A jeśli chcesz zbombardować coś mniejszego, na przykład lotnisko czy fabrykę, wystarczy nędzna megatona.

– Upiorne kalkulacje – mruknął Morwood.

– Rosjanie na pewno też montują podobne regulatory w swoich bombach wodorowych.

– Wciąż jest ściśle tajny?

– O tak. – Eastchester nachylił się ku niemu. – Mogę spytać, skąd go, u licha, wytrzasnęliście?

– To dość dziwna historia. Ale najpierw muszę prosić cię o dyskrecję.

– Naturalnie.

– Więc jest ten miliarder, Lucas Tappan...

– Ten od satelitów i zielonej energii?

– Tak. Interesuje się też UFO i zorganizował wyprawę archeologiczną do Roswell, gdzie w czterdziestym siódmym rozbił się jakoby latający spodek kosmitów.

Naukowiec uniósł krzaczaste brwi.

– Wykopaliska w Roswell? Czysta perwersja.

– Podczas badań wstępnych jego archeolodzy znaleźli grób kilkaset metrów od miejsca domniemanej katastrofy. W grobie były dwa ciała i to urządzenie. Ciała należały do mężczyzny i kobiety, których torturowano, a potem zastrzelono.

– Boże święty! Zidentyfikowaliście ich?

– Jeszcze nie. Ale przez chwilę myślałem, że są to ci dwaj naukowcy, którzy zniknęli w Los Alamos w czterdziestym siódmym, Headley i Warshinski, szpiegzy, którzy według niektórych uciekli do Związku Radzieckiego. Inni, w tym ja, uważają, że zostali zamordowani. Problem w tym, że jedno z tych ciał należało do kobiety, więc najwyraźniej to nie oni.

– Los Alamos było wtedy ściśle tajnym miastem – powiedział Eastchester. – Każdego, kto je opuszczał, dokładnie obszukiwano. Dlatego ciekawe, jak ktoś to przesznuł. Musiał się nieźle nagłówekować. Ale wiesz, tak sobie myślę: czy to możliwe, żeby miało to coś wspólnego z nierozwiązaną sprawą, którą prowadziłeś w dziewięćdziesiątym dziewiątym, z morderstwem tych dwóch atomistów?

– Nie. Tych z Roswell zamordowano dużo wcześniej.

– No tak, oczywiście. – W salonie zapadła cisza. Naukowiec zmarszczył w zadumie czoło i ściągnął usta. I nagle spytał: – Mogę?

– Oczywiście, tylko włóż to. – Morwood wyjął z kieszeni zapasową parę rękawiczek.

Eastchester włożył je, wziął ze stołu regulator i obejrzał go ze wszystkich stron.

– Zbudowano go w Los Alamos, bez dwóch zdań. To chyba jedna z pierwszych serii. Co chcesz z nim zrobić?

– Mamy dobrze zabezpieczony magazyn na tajne dowody rzeczowe. Teraz już wiem, co to jest, i kiedy skończymy oględziny, trafi do magazynu.

– To dobrze. – Naukowiec wciąż oglądał regulator. – Jest jak nowy.

– W tamtych okolicach rzadko pada deszcz, poza tym leżał prawie metr pod ziemią.

Eastchester ostrożnie położył urządzenie na stoliku i zdjął rękawiczki.

– Nie ulega wątpliwości, że masz do czynienia z bardzo zagadkową sprawą, mój rządowy przyjacielu! UFO, szpiegzy, tortury, morderstwo, bomba wodorowa. Kiedy przejdziesz na emeryturę, napisz o tym książkę!

19

NORA ZAJRZAŁA DO LABORATORIUM w Baraku 1. Przed chwilą minęła siódma, już zachodziło słońce i w środku panowały cisza i półmrok. Wszyscy wrócili do swoich kwater, aby przygotować się do kolacji – wszyscy, oprócz jednej osoby. W okrągłej plamie światła w tylnej części pomieszczenia, pochylony nad stołem, stał Tappan.

Kiedy usłyszał, że weszła, wyprostował się i zawołał:

– Nora! – Jego głos poniósł się echem w pustej przestrzeni. – Dzięki, że zgodziłaś się wpaść o tak późnej porze. Zamknij drzwi na klucz, dobrze?

Zamknęła drzwi i przesunęła zasuwę. Była ciekawa, co chce jej pokazać. Prawie całe popołudnie przesiedział tu z Banksem, a potem dziwnie milczący Greg od razu poszedł do swojej przyczepy.

– Chodź, podejdź tu. – Tappan był w rozpiętej pod szyję czarnej koszuli bez kołnierzyka i w dżinsach i natychmiast zauważyła, że rozpiera go tłumiona energia.

Zbliżyła się do stołu. Był zasłany wykresami.

– Już takie widziałaś, prawda?

– Tak. To wykresy spektrometryczne.

– Właśnie. Mam dla ciebie małą zagadkę. – Wziął wykres leżący na wierzchu i przesunął go w jej stronę. – Przyjrzyj się temu.

Był to pionowy wykres słupkowy. Pokazywał „odcisk palca” jakiegoś związku chemicznego, bardzo skomplikowanego, z kilkunastoma słupkami różnej wysokości, przedstawiającymi poszczególne masy składowe.

– Widzisz coś niezwykłego?

Przyjrzała się uważniej i po prawej stronie wykresu zobaczyła pionowy słupek, którego wysokość znacznie wykraczała poza skalę atomową.

– Tu jest błąd. – Postukała palcem w papier.

– Błąd?

– Ten odczyt pokazuje niemożliwie wysoką masę atomową.

– Niemożliwie wysoką? A gdybym ci powiedział, że Banks sprawdzał to pięć razy z różnymi próbkami i za każdym razem otrzymywał taki sam wynik?

Pokręciła głową.

– Nie jestem chemiczką, więc może czegoś nie dostrzegam, ale żaden znany pierwiastek nie daje takich odczytów.

– Właśnie, żaden znany. Greg uważa, że jest to superciężki pierwiastek, którego nikt dotąd nie widział.

Posłała mu pytające spojrzenie.

– Przesiedziałem z nim pół dnia, próbując rozgryźć strukturę molekularną tych widm. Greg twierdzi, że jest podobna do struktury tlenków dwóch metali rzadkich, itru i palladu, związanych z kationami wodoru. Tylko że tutaj zamiast palladu mamy ten superciężki pierwiastek.

– Obawiam się, że sporo już zapomniałam z fizyki.

Tappan przeczesał ręką włosy.

– Liczba atomowa uranu to dziewięćdziesiąt dwa. To znaczy, że w jądrze atomu uranu są dziewięćdziesiąt dwa protony. Atom wodoru ma jeden, hel dwa, i tak dalej. Ale każdy pierwiastek powyżej uranu może być stworzony tylko w laboratorium, ponieważ nie występuje w naturze. Im wyższa pozycja na skali liczb atomowych, tym pierwiastek jest cięższy, mniej stabilny i ma krótszy okres żywotności. Jego atomy po prostu się rozpadają. Nadano im nazwy takie jak ameryk, berkel, einstein czy moskow, aż do oganesonu o liczbie atomowej sto osiemnaście. Ten ostatni udało się uzyskać dopiero w dwa tysiące drugim roku. Po pięciu setnych sekundy rozpadł się i zmienił w coś innego.

Mówiąc, Tappan zaczął krążyć po przyczepie. Długimi krokami dochodził do jej końca, zawracał, szedł przed siebie i znowu zawracał.

– Ale jest pewna dziwna rzecz: fizycy uważają, że w nieco wyższej części układu okresowego, mniej więcej w okolicy pierwiastka o liczbie

atomowej sto dwadzieścia, jest „wyspa stabilności”, grupa pierwiastków, które nie rozpadają się od razu i mogą przeżyć nawet miliony lat.

Podeksytowany przystanął przed Norą.

– Ten wysoki odczyt, który uznałaś za błąd, nie jest błędem. To superciężki pierwiastek. Pierwiastek numer sto dwadzieścia sześć, bo ma w jądrze sto dwadzieścia sześć protonów. I sto osiemdziesiąt cztery neutrony. Sto dwadzieścia sześć protonów i sto osiemdziesiąt cztery neutrony: fizycy nazywają te liczby „magicznymi”, ponieważ dokładnie tyle cząsteczek elementarnych całkowicie wypełnia powłokę elektronową. Dlatego pierwiastek sto dwudziesty szósty ma niezwykłą stabilność.

Nora słuchała go coraz bardziej zafascynowana.

– Wszystko sprowadza się do jednego – ciągnął. – Chociaż wiemy, że ten pierwiastek może teoretycznie istnieć, nie potrafimy go stworzyć. To za trudne. Nie mamy ani wystarczająco silnego akceleratora, ani odpowiednich składników. To wykracza poza znaną nam technologię.

Zrobił pauzę.

– Mimo to, proszę, oto jest. Komuś się jednak udało. Stąd pytanie, Noro: komu?

Zawahała się.

– Obcym – rzuciła na wpół żartem.

Długo patrzył na nią bez słowa, a potem uśmiechnął się, pokazując dołeczki w policzkach.

– Ty to powiedziałaś, nie ja.

Mierzyła się z tym, co właśnie usłyszała. Jeśli dodać do tego odkryte przez Banksa mikrotektyty, wszystko wskazywało na to, że rzeczywiście doszło tu do katastrofy zaawansowanego technologicznie pozaziemskiego statku kosmicznego.

Głośno oddychała, coraz szybciej biło jej serce. Wątpliwości było coraz mniej, mimo to desperacko się ich trzymała. Dopiero teraz dotarło do niej, że po prostu nie jest gotowa pogodzić się z oczywistym wnioskiem, z czymś, co może znacząco zmienić jej postrzeganie świata.

Ale nie tylko to wywołało zamęt w jej głowie. Przyczyniła się do tego również fizyczna bliskość Tappana. Przyspieszone bicie serca, mrowienie w kończynach, zapach jego podekscytowania – od dawna tego nie czuła.

Ale on był chyba tego nieświadomy. Odurzony nowym odkryciem, myślał teraz tylko o nim.

Wzięła głęboki oddech i odsunęła się od niego.

– Jest jeszcze coś – dodał. – Coś znacznie ważniejszego. Ten związek chemiczny przypominający budową tlenek itru i palladu powiązany kationami wodoru jest nadprzewodnikiem działającym w temperaturze pokojowej.

– To niemożliwe.

– A więc rozumiesz, do czego zmierzam! Coś, co bez żadnej rezystencji przewodzi elektryczność w temperaturze pokojowej: próbujemy stworzyć taki materiał od pięćdziesięciu lat. Zrewolucjonizowałyby dosłownie wszystko, od komputerów, po przesyłanie energii. Ale w tym związku pallad zastąpiono pierwiastkiem sto dwudziestym szóstym i wygląda na to, że powstał taki właśnie nadprzewodnik, Święty Graal inżynierii materiałowej.

Chwycił ją za ramiona.

– To ostateczny dowód, Noro. Dowód, którego szukaliśmy. Ten związek, ten stop, mógł powstać tylko w technologii dużo bardziej zaawansowanej niż nasza. W technologii pozaziemskiej.

Nora próbowała się skupić. Powtarzała sobie, że niezwykle wnioski wymagają niezwykle dowodów, że ten, kto bardzo pragnie w coś uwierzyć, może się niebezpiecznie zawieść.

Tappan trzymał ją za ramiona jeszcze przez chwilę, a potem opuścił ręce. Zapadła cisza.

– Nic nie mówisz.

– Bo jestem... – Urwała.

Jego błyszczące szare oczy i świetlista twarz tak blisko jej twarzy coraz bardziej ją rozpraszały.

– Bo jestem pod wrażeniem – dokończyła słabym głosem.

Tappan się roześmiał.

– Pod wrażeniem? Tylko tyle?

– Muszę to przemyśleć, daj mi trochę czasu.

– Ależ oczywiście! Boże, pewnie gadam jak nawiedzony fanatyk. –
Machnął ręką. – Ale wiesz, co to znaczy, prawda?

Nie odpowiedziała.

– Rozumiem, jesteś urodzoną sceptyczką. Ale jak mówiłem, zrobiliśmy pięć niezależnych testów pięciu próbek gleby. We wszystkich pojawił się ten sam superciężki pierwiastek o wykraczającym poza skalę widmie masowym.

– Z którego miejsca pochodzą te próbki?

– Z początku bruzdy, gdzie coś uderzyło w ziemię z dużą prędkością i rozsiało ten związek.

Umilkli i Tappan zaczął zbierać wykresy.

– Zamknę je w sejfie. Na razie nie będę tego rozgłaszał.

– Zaraz. Nikomu nie powiesz?

Tappan przestał się uśmiechać.

– Nie.

– Ale dlaczego?

Uśmiech powrócił.

– Bo najpierw chcę nawrócić urodzoną sceptyczkę, czyli przekonać ciebie.

– Nagle spojrzął na zegarek. – Boże, już dawno minęła pora na moje martini. Napijesz się ze mną? Trzeba to uczcić.

Nora oblała się rumieńcem, bo choć zaproszenie było zupełnie niewinne, myśli, które niespodziewanie zagościły w jej głowie, do niewinnych nie należały. Miała tylko nadzieję, że Tappan nic nie zauważył.

– Nie, dzięki, to był ciężki dzień.

– Naturalnie, oczywiście. „Może” tymczasem wystarczy. Ale zrobię wszystko, żeby już wkrótce zmieniło się w „tak”. Obiecuję.

20

NA WIECZORNYM SPACERZE z Mittym Skip widział, jak Nora wchodzi do Baraku 1. Kiedy zawrócił, aby zaprowadzić psa do przyczepy, podszedł do niego Bitan. Nad rozległym krajobrazem zapadł już zmierzch i na zachodzie pojawiła się pierwsza gwiazda, a właściwie planeta, zachodząca tuż za słońcem Wenus.

– Masz chwilę? – zagadnął go konspiracyjnie astronom.

– Jasne – odparł Skip.

– Przejdźmy się.

Przebierając szybko grubymi, krótkimi nogami, Bitan wyprowadził go poza teren obozowiska. Wiał aromatyczny wiosenny wiatr, niosąc zapach pyłu i tajemniczych pustynnych kwiatów. Za nimi chętnie truchtał Mitty.

Po czterystu metrach astronom nagle przystanął, odwrócił się w stronę odległych baraków, wskazał je ręką i spytał:

– Co widzisz?

Skip zastanawiał się, czy nie ma w tym jakiegoś podstępu.

– Chyba nic, tylko kilka świateł.

– Właśnie. Szliśmy pięć minut i przeszliśmy ile? Kilkaset metrów? Mimo to widać tylko parę światełek na horyzoncie.

Skip kiwnął głową.

– Ludzie to zabawne stworzenia – ciągnął Bitan. – Nawet najbardziej inteligentni z nas oszukują samych siebie i łatwo dają się zwieść pozorom. Rozmawiamy o paradoksie Fermiego i o miliardach planet tętniących życiem. Ale wiesz co? Robimy to głównie po to, żeby dodać sobie otuchy.

– Chyba nie nadążam – przyznał się Skip.

– Przeszliśmy tylko niewielki kawałek, mimo to nie widzimy stąd wykopalisk Nory. Jak myślisz, ile drobinek ziemi leży między nami a tamtym miejscem? W zrozumiałej przez nas skali nawet ten krajobraz jest oszałamiająco rozległy. Czy możemy więc ogarnąć rozumem wielkość kosmosu? Nie. Naukowcy mówią o parsekach, jednostkach astronomicznych, i latach świetlnych, ponieważ mierzenie i szufladkowanie nas uspokajają. Używając miar, wierzymy, że rozumiemy, co tam naprawdę jest.

– Tak – powiedział Skip – to typowe dla ludzi. Szufladkujemy, kategoryzujemy, mierzymy i preparujemy, bo daje nam to poczucie kontroli.

Oczy Bitana rozbłysły w gasnącym świetle dnia.

– Wiedziałem, że to zrozumiesz. A powiedz, co myślisz...

Astronom zawahał się i Skip odniósł nieodparte wrażenie, że chce go w coś wtajemniczyć.

– ...o uprowadzeniach przez obcych.

Ale nie, nie tego się spodziewał. Zastanowił się i starannie dobierając słowa, odparł:

– Myślę, że do niektórych doszło naprawdę. Oczywiście większość to urojenia wariatów chcących zwrócić na siebie uwagę. Ale niektóre przypadki są na to zbyt dobrze ugruntowane i wiarygodne.

Zapadła długa cisza.

– Moje słowa – powiedział w końcu Bitan.

Znowu zamilkli.

– Mogę powiedzieć ci coś w absolutnym zaufaniu, z pełnym przekonaniem, że nikomu tego nie powtórzysz?

– Oczywiście. – Skip nie mógł uwierzyć, że ten światowej sławy naukowiec tak z nim rozmawia. Zrobiło mu się gorąco.

– Przypominasz mi mojego syna, Azriela, który zginął w dwa tysiące czterestym roku podczas wojny w Gazie. Jesteś taki ciekawy, masz tyle różnych teorii. Na połowę pytań odpowiadasz, zanim zdążysz je zadać. Wzgórza Golan. Wiesz, co to jest?

– Płaskowyż oddzielający Izrael od Syrii?

– Tak. Okupowaliśmy je podczas wojny w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym, ponieważ Syryjczycy ostrzeliwali z nich nasze wojska. Są wysokie i surowe, a zimą pokrywa je śnieg. Prawie nikt tam nie mieszka.

Bitan mówił z przyjemnym hebrajskim akcentem i Skip słuchał go w narastającej ciemności.

– Jak pewnie wiesz, większość Izraelczyków odbywa obowiązkową roczną służbę wojskową. Mnie też nie ominęła i w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym roku wysłano mnie w tamte okolice wraz z małym patrolem. W ramach ćwiczeń dowódca plutonu podzielił nas na grupy i zgubiłem się w miejscu zwanym Einot Si'on, bardzo odległym zakątku u stóp góry Hermon.

Astronom wziął głęboki oddech. Skip wyteżył słuch.

– O północy zdałem sobie sprawę, że zabłądziłem, więc wdrapałem się jeszcze wyżej, żeby mieć dobry widok na całą okolicę i wypatrywać stamtąd światła mojego patrolu. Położyłem się i wkrótce zasnąłem. Kilka godzin później obudziłem się w smudze ciepłego, jaskrawego światła. Zerwałem się na równe nogi, myśląc, że to śmigłowiec poszukiwawczy, ale straciłem równowagę i upadłem... do góry. Tak, wiem, że dziwnie to brzmi, ale chwilę później byłem już w jasnym, okrągłym pokoju, na stole z jakiegoś opalizującego materiału. Z otaczającej mnie poświaty wyszło pięć szczupłych, humanoidalnych stworzeń o łagodnych ruchach. Kiedy stanęły wokół stołu, ogarnęło mnie niesamowite poczucie spokoju, przynależności i jedności z tymi istotami.

Skip prawie przestał oddychać. Wiedział, że to nie przewrotny żart: Bitan mówił prawdę, a przynajmniej tak to wszystko zapamiętał.

– Od tego momentu moje wspomnienia zaczynają się rozmywać. W każdym razie badali mnie i do mnie przemawiali. To, co wtedy powiedzieli, wywarło na mnie głęboki wpływ, odmieniło moje życie.

Zapadła noc i nad ich głowami zawisła bezbrzeżna kopała usiana świetlistym gwiazdowym pyłem.

– A powiedzieli mi, że są przedstawicielami wysoko zaawansowanej galaktycznej cywilizacji, w której panują pokój, dostatek, zrozumienie i szczęście. Że rozwiązali wszystkie problemy, z którymi my wciąż się borykamy. I że pewnego dnia poproszą, żebyśmy się do nich przyłączyli, ale przedtem musimy wyleczyć się z wojen, rasizmu, nierówności oraz innych trapiących nas bolączek.

Spytałem: ale dlaczego akurat ja? A oni odpowiedzieli: „Kiedyś zrozumiesz. Jesteś częścią naszego planu”. Potem poczułem, że znowu spadam, i ocknąłem się na ziemi. Wstawał świt. Koledzy mnie szukali i kilka godzin później zobaczyłem ich w dolinie.

Wtedy zrobiłem coś głupiego. Przy pierwszej okazji poprosiłem na bok dowódcę patrolu, porucznika Sił Obronnych Izraela, i wszystko mu opowiedziałem. Był przerażony. Myślał, że zwariowałem, i powiedział, że dla mojego bezpieczeństwa i bezpieczeństwa moich kolegów musi to zgłosić przełożonym. Z wielkim trudem udało mi się z tego szybko wycofać, wszystko odwołać. Przekonałem go, że to był tylko sen, bo gdyby o tym zameldował, wydano by mnie ze służby. Wpisano by do akt, że jestem niezrównoważony psychicznie, i moje życie ległoby w gruzach. Dostałem nauczkę. Dlatego nikomu więcej o tym nie wspominałem, tylko mojemu synowi.

Bitan mówił teraz szeptem i Skip musiał się ku niemu nachylić.

– To zdarzenie pchnęło mnie jednak na ścieżkę, którą znasz z moich książek i badań. Ale wciąż milczałem i milczę do dziś, bo gdybym cokolwiek powiedział, zniszczyłbym sobie karierę. Nawet tutaj, wśród tych wolnych od uprzedzeń naukowców, uchodziłbym za czubka.

– Tak, rozumiem.

– Nie możesz nikomu o tym powiedzieć, nawet siostrze. To musi pozostać między nami. – Astronom spojrział z uśmiechem na psa. – No i Mittym.

– Ma pan moje słowo.

– Ten projekt jest dla mnie nie tylko projektem naukowym. Ma duchowe znaczenie. To odkrycie zbliży nas do dnia, w którym ludzkość

odrzuci wszelkie zło i dołączy wreszcie do galaktycznej cywilizacji.

Skipa przeszedł dreszcz euforii. Bitan, ten słynny naukowiec, wyjawiał mu swoją największą tajemnicę, jemu i tylko jemu.

– Dziękuję – powiedział. – Dziękuję, że mi pan zaufał.

– Miałem w tym swój cel.

– Jaki? – spytał z zapalem Skip.

Bitan roześmiał się głośno i po przyjacielsku ścisnął go za ramiona.

– Wszystko w swoim czasie. A teraz zobaczmy, co nasz drogi Antonetti przygotował na kolację.

HALE MORWOOD Z TRUDEM WYSIADŁ z czarnego cadillaca XT6, odczekał chwilę, żeby odetchnąć nocnym powietrzem, wyjął z samochodu pojemnik z regulatorem, zamknął pilotem drzwi i przez parking dla pracowników ruszył w stronę wejścia do gmachu FBI. Dochodziła północ. Noc była ciemna, bezksiężycowa, i budynki pobliskiego parku biznesowego wyglądały jak przysadziste prostokąty światła.

Nie przepadał za cadillacami ani w ogóle za amerykańskimi samochodami i kupił SUV-a z tego samego powodu, z jakiego wybrał na samochód służbowy tego ohydneho pick-upa z chińskim smokiem na boku: bo XT6 nie wyglądał na samochód policyjny, dobrze chronił przed kolizją i, co najważniejsze, łatwo się do niego wsiadało i wysiadało.

Doszedł do głównego, dwupiętrowego budynku, wszedł do środka, podpisał listę, wymienił uprzejmości z nocnym strażnikiem i miarowym krokiem ruszył do wind. Kiedy otworzyły się drzwi, wszedł do kabiny i zamiast nacisnąć guzik pierwszego piętra, gdzie mieścił się jego gabinet, nacisnął ten oznaczony literą P.

Jazda powolną windą przywróciła mu przynajmniej normalny oddech – jeśli można go było nazwać normalnym. W podziemiach panowała cisza – nic dziwnego, było późno. Wysiadł i skręcił w lewo, w prowadzący do laboratorium słabo oświetlony korytarz; po dziesiątej światła automatycznie się wyłączały. Dwadzieścia kroków – chciał tego czy nie, dobrze pamiętał ich liczbę.

Jedynym plusem tego wymuszonego, siedzącego trybu życia było to, że miał mnóstwo czasu na swoją pasję: historię. A konkretnie historię amerykańskiej wojskowości. Ostatnimi laty czytał dużo i namiętnie.

Co do pułku, szwadronu, a czasem nawet co do kompanii mógł wymienić jednostki, które odwróciły losy bitwy o Bunker Hill, o Midway czy bitwy pod Gettysburgiem, choć jako człowiek z natury skryty rzadko kiedy chwalił się swoją wiedzą i erudycją. Szczególnie interesowały go techniczne aspekty wojny, na przykład to, czy wynalezienie gwintowanej lufy lub celownika bombardierskiego Nordena przyczyniło się do tego czy innego zwycięstwa w takim samym stopniu jak odwaga i strategia.

Doszedł do laboratorium i sam, przez nikogo nieobserwowany, przystanął, aby odetchnąć. Fotelowe hobby pomagało mu czasem w pracy. Bywało, że leżąc w łóżku i nie mogąc zasnąć, wracał myślą do jakiegoś szczegółu bitwy pod Termopilami czy bitwy pierwszej wojny światowej i pośród chaosu i śmierci znajdował rozwiązanie sprawy, którą mu powierzono. Zapisywał swoje myśli w notesie i następnego dnia analizował je w biurze. Zwykle nic z tego nie wynikało, ale od czasu do czasu wywoływało efekt domina.

Jedna z takich myśli przyszła mu do głowy tego wieczoru i jak zwykle ją zapisał. Ale nie poszedł spać, bo to konkretne odkrycie nie mogło czekać do rana.

Wprowadził kod i drzwi otworzyły się z sykiem uciekającego powietrza. Nie licząc czerwonych światełek drogi ewakuacyjnej, w laboratorium było oczywiście ciemno jak w grobie. Wszedł do środka, pomacał ręką i pstryknął włącznikiem. Tuż za progiem, pod jedną ścianą i drugą, stały sterty nieotwartych pudeł Lathropa, które przesłaniały widok na mieszczącą się za rogiem salę główną. No i strasznie tam cuchnęło. Cuchnęło we wszystkich laboratoriach kryminalistycznych, chemikaliami, płynami i zgnilizną, ale w tym bardziej niż w innych, bo dodatkowo unosił się tu słaby zapach jedzenia, wątrobianki, akurat w tym pomieszczeniu doprawdy odrażający. Dobrze rozumiał, dlaczego Corrie nie lubiła pracować z Lathropem. Lathrop był nie tylko starym zrzędą, ale i strasznym bałaganiarzem. Morwood zakonotował sobie w pamięci, że rano musi mu wysłać łagodne upomnienie w tej sprawie.

Ominąwszy pudła, skręcił w lewo, w stronę sali. W oddali widział już ciemny zarys baterii włączników światła. Uśmiechnął się na myśl o Corrie. Ta dziewczyna miała specyficzny rodzaj animuszu: niewymuszony ani niewyuczony, raczej wrodzony instynkt, który nakazywał jej pochylić głowę, zaatakować i...

Kątem oka dostrzegł jakiś ruch, rozmazaną szarość i czerń. Ruch był tak szybki i gwałtowny, że mimo bezpiecznego schronienia instynkt natychmiast ostrzegł go przed zagrożeniem. Zaczął się odwracać, ale pod ramię błyskawicznie wsunęła mu się czyjaś ręka, która chwyciła go za tył głowy i założyła półnelsona. Otworzył usta do krzyku i upuścił pojemnik, jednocześnie podnosząc łokieć, żeby uderzyć napastnika, ale ten się tego spodziewał i pchnął go na metalową półkę. Zabrakło mu tchu, zaczął się dusić i poczuł ukłucie igły na szyi, na wysokości linii włosów. Trzymająca go żelaznym uściskiem ręka nagle zniknęła. Odzyskawszy oddech, Morwood odwrócił się, chcąc zaatakować, ale przez jego plecy przebiegł silny dreszcz i ogarnęła go dziwna słabość, która pełznąc wzdłuż kręgosłupa, stopniowo obejmowała kończyny. Mięśnie zwiotczały mu i – z przerażającą gwałtownością – przestały reagować. Ugięły się pod nim nogi i runął na podłogę, uderzając głową w beton.

Był sparaliżowany: nie mógł poruszyć żadną częścią ciała, nawet szczęką, nie był w stanie nawet mrugnąć. Oszołomiony niespodziewanym atakiem i silnym uderzeniem w głowę zauważył, że zapalają się pozostałe światła. Chwilę później w polu jego widzenia ktoś się pojawił, trzydziesto-, czterdziestoletni mężczyzna o kasztanowych włosach. Był w lateksowych rękawiczkach i ciemnym, konserwatywnym garniturze, jakie nosili często agenci FBI. Odrętwiały zobaczył wyraz zaciekawienia i zatroskania na jego twarzy. Mężczyzna ukląkł i przytknął dwa palce do jego szyi. Potem podniósł rękę i bardzo delikatnie zamknął mu oczy.

Leżąc – całkowicie unieruchomiony, mimo to w pełni świadomy tego, co się dzieje – Morwood usłyszał kroki oddalające się w głąb laboratorium. Ale napastnik i jego niespodziewany atak były w tej chwili mniej istotne niż minutę temu, bo postępujący paraliż dotarł już do jamy

opłucnej i oddech agenta, od lat ciężki i utrudniony, zmienił się teraz w krótkie, płytkie posapywanie.

* * *

Upewniwszy się, że Morwood już mu nie zagraża, Lime szybko ogarnął wzrokiem główną salę laboratorium. Wiedział, że blokujący przewodnictwo nerwowo-mięśniowe związek chemiczny, który wstrzyknął agentowi – paraliżujące skutki jego działania były podobne do skutków działania bromku wekuronium, lecz niewykrywalne podczas sekcji zwłok – robi swoje za piętnaście, dwadzieścia minut; być może szybciej, bo Morwood już teraz oddychał z dużym wysiłkiem. Przygotowania dobiegły końca i powinien spokojnie zdążyć. Pod warunkiem że się pośpieszy.

Podszedł do czarnej torby z balistycznego nylonu, która leżała otwarta na metalowym stole, poszperał w niej i wyjął kilka narzędzi oraz małą, plastikową torebkę z czymś, co wyglądało jak duże brązowe ziarenka ryżu, a było szczurzymi odchodami. Potem stanął w kącie sali, wszedł na stołek, odkręcił osłonę szybu pod sufitem i – położywszy na jego brzegu małą latarkę – zaczął pracować szybko, acz efektywnie. Osiem minut później osłona była już przykręcona, a stołek odstawiony na miejsce i dokładnie wytarty.

Zerknął na zegarek – wciąż trzymał się czasu. Pozostało tylko jedno.

Z małym śrubokrętem w ręku podszedł do wysłużonego, okrągłego urządzenia stojącego w zakurzonej kątce, do autoklawu. Pracując szybko i sprawnie, uklęknął i odkręcił metalową płytkę na jego boku. Odłożył ją na bok, wsunął do środka uzbrojoną w scyzoryk rękę i przez dwadzieścia sekund majstrował w brzuchu urządzenia. Potem przykręcił płytkę.

W końcu jeszcze raz przejrzał w pamięci listę kontrolną. Podszedł do drzwi, którymi wszedł Morwood, sprawdził, czy są dobrze zamknięte i czy automatyczny zamek jest na pewno włączony. Potem wrócił do leżącego nieruchomo Morwooda, znów uklęknął i stwierdził, że agent jest całkowicie nieprzytomny i wciąż oddycha, ale że ciało jest już

w drodze ku śmierci. Odrobina miłosierdzia nigdy nie zaszkodzi: chociaż w tego rodzaju przypadkach lubił używać środków paraliżujących, uduszenie nie należało do najprzyjemniejszych sposobów umierania. Mimo to w płucach agenta patolog musiał znaleźć dym.

Wielka szkoda. Z jego oficjalnego dossier wynikało, że byłby dobrym kandydatem. Jego charakter, przekonania i poglądy były na pewno zgodne z credo Atroposu. Nie próbowano go zwerbować tylko dlatego, że na swoje nieszczęście chorował na płuca.

Teraz już się spiesząc, Lime go obszukał. Przejrzał portfel, rzucił okiem na klucze i włożył wszystko z powrotem do kieszeni. W portfelu znalazł również złożoną karteczkę. Zerknął na to, co było na niej napisane, po czym też włożył ją do kieszeni Morwooda. „Zasada nr 7: Jeśli to możliwe, niczego nie zabieraj i niczego nie zostawiaj”

Dochodzący z autoklawu przytłumiony trzask oznaczał, że operacja już się zaczęła. Po chwili potwierdził to gryzący zapach dymu. Lime podszedł do stołu. Wrzucił do torby narzędzia i jeszcze raz, szybko, lecz dokładnie, sprawdził laboratorium. A potem, ze zrodzoną z praktyki wprawą, zdjął marynarkę i spodnie i przewrócił je na wyłożoną czarnym filcem drugą stronę. Ubrał się, wyjął z torby kominiarkę i naciągnął ją na głowę. Dymu szybko przybywało, lecz alarm się nie włączył, a pod sufitem nie zatańczyły dysze zraszaczy.

Zadowolony zapiął torbę, zarzucił ją na ramię i ruszył w stronę zamkniętej rampy rozładunkowej i małych drzwi serwisowych. Drzwi były lekko uchylone, tak jak je zostawił. Po raz ostatni przystanął, a potem wyszedł, zamknął drzwi i oddalając się szybko od rozrzuconych świateł parku biznesowego, zniknął w ciemności.

KOMÓRKA ZADZWONIŁA tak głośno i nagle, że Corrie gwałtownie drgnęła i natychmiast się obudziła. Nawet w łóżku wciąż była podenerwowana. Nie wiedząc dlaczego, czuła się nieswojo cały wieczór i długo rzucała się w pościeli, zanim zapadła w niespokojny sen.

Podparła się łokciem i wzięła telefon z nocnego stolika. Było wpół do trzeciej. Cholera, spała niecałą godzinę. Na ekranie wyświetlał się anonimowy numer, pewnie jakiegoś autodialera. Niewiarygodne. Postanowiła wytropić tego sukinsyna, właściciela firmy, i powiesić jego jaja na drzwiach do łazienki.

– Tak? – wychrypiała.

– Agentka Swanson? – Męski głos, szorstki i surowy.

Coś w tym władczym tonie kazało jej wrócić myślą do Kansas, do nocy sprzed dziesięciu lat, kiedy do drzwi przyczepy, którą dzieliła z matką, zaczął się dobijać szeryf.

– Agentka Swanson?

Odpędziła niechciane wspomnienia i odchrząknęła.

– Tak?

– Mówi Garcia.

Garcia, szef oddziału terenowego w Albuquerque. To prawda, rzadko go widywała, ale znała jego głos. A mężczyzna mówił chyba trochę innym.

– Tak, słucham.

– Przepraszam, że przeszkadzam o tak późnej porze.

– Nie szkodzi.

– Muszę zadać pani kilka pytań. Kiedy ostatni raz widziała pani agenta Morwooda?

Wciąż odurzona snem, z trudem pozbierała myśli.

– Dziś po południu. To znaczy wczoraj. Wpadł do laboratorium.

W słuchawce zaszeleściły papiery.

– Robiła pani rekonstrukcję twarzy, tak? – Garcia mówił inaczej niż zwykle, lecz zważywszy na godzinę, był niezwykle skupiony i przytomny.

– Tak.

– Pamięta pani, o której przyszedł?

Zmarszczyła czoło. W ciągu tych kilku sekund ona też zdążyła całkowicie oprzytomnieć i była coraz bardziej zaniepokojona jego pytaniami.

– Około piątej.

– Czy powiedział, jak zamierza spędzić resztę dnia?

– Powiedział... powiedział, że chce odwiedzić starego znajomego i pokazać mu urządzenie, które znaleziono w Roswell.

Znów zaszeleściły papiery.

– Tak, pewnie tego naukowca. Wspominał o nim. Jak on się nazywa?

– Eastchester.

– Dobrze. Domyśla się pani, co mógł robić w laboratorium kilka godzin temu?

– Kilka godzin temu? – W tle słychać było gwar głosów. Skąd Garcia dzwonił? – Mógł odnosić do magazynu to urządzenie.

– Tak, oczywiście.

– Może pan powiedzieć, o co chodzi?

Garcia odezwał się dopiero po dłuższej chwili.

– W laboratorium wybuchł pożar. Bardzo groźny.

– Co...? – Corrie urwała. W głowie miała gonitwę myśli. W laboratorium?

– Z przykrością muszę panią poinformować, że agent Morwood nie żyje.

– Co takiego?! – wykrzyknęła piskliwie, nie panując nad głosem.

– Śledztwo dopiero się rozpoczęło. Jutro będę wiedział coś więcej.

Wstrząśnięta Corrie milczała. Gwar głosów w tle przybrał na sile.

– Muszę kończyć. Bardzo mi przykro, Corrie. Wiem, że darzyła go pani wielkim szacunkiem. To dla pani szok, dla nas też. Porozmawiamy rano.

– Niech pan zaczeka! – krzyknęła, ale Garcia już się rozłączył, i rozpłakała się do głuchej słuchawki.

PERSPEKTYWA HARÓWKI w sobotę trochę Skipa przygasiła. Zmęczony katalogowaniem książek Bitana, machaniem szuflą i bezskutecznym przesiewaniem, wolałby dłużej pospać i powylegiwać się w luksusowej przyczepie. Ale Nora i jej zespół nie chcieli przerywać pracy, bo zbliżali się do miejsca, w którym kończyła się bruzda. Dlatego o jedenastej, a więc przed lunchem, wszyscy zasiedli wokół stołu, który rozstawiono w namiocie na skraju wykopaliska.

Rozejrzawszy się, Skip wyczuł, że spotkanie będzie się różniło od tych wcześniejszych. Obok Nory usiadł Emilio Vigil z pokrytą kurzem brodą. Naprzeciwko nich, jeszcze bardziej zakurzony, zasiadł drugi archeolog, Scott Riordan.

Zupełnie nieoczekiwanie przyszedł również Noam, a także Greg Banks i dwoje pozostałych inżynierów. No i Tappan, który zajął miejsce na końcu stołu. Wyglądało na to, że zwykłe poranne spotkanie zmieniło się w ważną naradę.

Skip wypił łyk kawy i czekał.

– Dobrze – zaczęła Nora. – Emilio, mógłbyś nam powiedzieć, czy zrobiliście dzisiaj jakieś postępy?

– Oczywiście – odparł Vigil. – Jak wiecie, badamy pozostawioną przez obiekt bruzdę. Doktor Bitan poświęcił rano dużo czasu na jej dokładne pomiary.

Astronom wiele razy prosił, żeby przerwali pracę, po czym schodził do dołu i mierzył jego głębokość za pomocą teodolitu laserowego. Skip nie bardzo wiedział, co Bitan robi, zwłaszcza że wymijająco odpowiadał na pytania Nory.

– Może więc doktor Bitan podzieli się z nami celem i zakresem tych pomiarów? – spytała oschle siostra.

Skip widział, że jest trochę poirytowana, ale był pewien, że astronom nie bez powodu coś ukrywa.

– Jeszcze nie, jeszcze nie! – wykrzyknął Noam. – Pracuję nad pewną małą teorią, to wszystko.

„Nad pewną małą teorią”, pomyślał Skip, nie patrząc w jego stronę.

– Cóż, dobrze – powiedziała Nora. – Prosimy dalej, Emilio.

– Dzięki. Rano przeżyliśmy duże zaskoczenie. Dotarliśmy do końca bruzdy i... nic tam nie znaleźliśmy. To, co ją zrobiło, po prostu zniknęło.

– Zniknęło? – powtórzył Tappan z nagłym zainteresowaniem. – Jak to?

– Tak, to trochę zagadkowa sprawa – przyznała Nora. – Obiekt nadleciał pod małym kątem. W tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym roku bruzdę oczywiście zasypano, ale jej zarys jest wciąż widoczny i myślałam, wszyscy myśleliśmy, że na jej końcu coś znajdziemy. Tymczasem bruzda rozszerza się i znika, pozostawiając za sobą tylko pasmo stopionego piasku i szkła. Skip pobrał tam dużo próbek, zwłaszcza zeszkłonego piasku. Doktor Banks podda je analizie.

Banks potwierdził to skinieniem głowy.

– Chcemy teraz pójść dalej, poza to miejsce, i sprawdzić, czy czegoś tam nie ma. Zamierzamy też zrobić kilka poprzecznych wykopów próbnych, bo jeśli obiekt rozpadł się na kawałki, być może znajdziemy jego rozrzucone szczątki. Są jakieś pytania czy sugestie?

Odpowiedziała na kilka pytań, po czym zaczęła się dyskusja, która niczego nie wniosła. Tappan zakończył spotkanie słowami: „Tak więc mamy tu prawdziwą zagadkę”. Chciał to powiedzieć weselszym głosem, ale było widać, że jest zawiedziony.

Po spotkaniu Noam gestem ręki zaprosił Skipa do siebie. Weszli do jego gabinetu w Baraku 2 i astronom po cichu zamknął drzwi na klucz.

– Usiądź – rzucił.

Skip usiadł w fotelu naprzeciwko biurka, przejęty, podekscytowany i pewny, że Bitan nawiąże do ich wczorajszej rozmowy i powie coś więcej.

– Pewnie zauważyłeś, że rano kręciłem się po wykopalisku – zaczął astronom z błyszczącymi oczami.

– Tak. Sprawdzał pan jakiś pomysł?

– Właśnie. I pomysł czymś zaowocował. Wczoraj wspomniałem, że nie bez powodu dzielę się z tobą moją historią. Zrobiłem to, bo potrzebuję twojej pomocy.

– Oczywiście, w każdej chwili.

– Wiem. Twoja siostra i wszyscy pozostali są zaskoczeni kształtem bruzdy wrytej przez ten obiekt i jego zniknięciem. Ale dla mnie nie ma w tym żadnej tajemnicy. Przeprowadziłem dokładne pomiary i chyba już wiem, co się stało. – Bitan odchylił się z uśmiechem i zrobił daszek z palców, budując napięcie.

– Co? – spytał w końcu Skip.

– Zacznę od najważniejszego: kopujemy w złym miejscu.

– Ale... ta bruzda, zeszlony piasek, pomiary radarowe... Uważa pan, że nic tu nie spadło?

– Przeciwnie, spadło, i to z wielkim impetem. Ale moje obliczenia wskazują na to, że nadleciało pod tak ostrym kątem, że odbiło się od ziemi jak płaski kamień od wody, poleciało dalej i wylądowało gdzie indziej.

Skip wytrzeszczył oczy.

– O kurczę...

Bitan stłumił śmiech.

– To oczywiście wyjaśnia, dlaczego na końcu bruzdy trysnęła fontanna roztopionego piasku i szkła. Obiekt po prostu odbił się i poszybował dalej.

– Więc miejsce katastrofy jest zupełnie gdzie indziej...

– Otóż to, a kierunek wskazuje bruzda. I tu na scenę wydarzeń wkraczasz ty. Będiesz moim zaufanym poszukiwaczem. Znajdziemy UAP razem, ty i ja.

Astronom otworzył szufladę i wyjął duży arkusz papieru. Położył go na biurku i odwrócił, żeby Skip dobrze widział. Na papierze roilo się od napisanych ołówkiem równań matematycznych. Na środku była

odręczna mapa pełna strzałek i wektorów, a na górze owal narysowany grubą, czerwoną kredką.

– Tu jest nasza baza. – Bitan postukał palcem w papier. – A tu bruzda. Biegnie na północny zachód kursem trzystu dwudziestu jeden stopni. Idąc w tym kierunku, przecięlibyśmy suche jezioro i doszlibyśmy do tych wzgórz i płaskich wzniesień. A owal wskazuje miejsce, gdzie według moich wstępnych obliczeń prawdopodobnie spadł obiekt. Oczywiście dużo zależy od jego prędkości, masy, kształtu i oporu, jaki stawiał w powietrzu. Poza tym kiedy w końcu spadł, mógł się przetoczyć albo ponownie odbić. Tego nie wiemy. Jeszcze.

Skip nie odrywał oczu od mapy.

– Jaki obszar obejmuje?

– Owal? Około czterech kilometrów kwadratowych.

– Sporo.

– Wiem. Jutro niedziela, dzień wolny. Niektórzy pojedą pewnie do miasta na zakupy czy po coś. Ale my spakujemy lunch i powiemy, że idziemy poszukać tej hiszpańskiej wieży obserwacyjnej.

Skip lekko się zawahał. Nie miało to nic wspólnego z historią o porwaniu przez kosmitów, którą Bitan mu opowiadał, przynajmniej nie bezpośrednio.

– Nie chce pan im powiedzieć z jakiegoś konkretnego powodu?

– Tak. Bo to ja muszę dokonać tego odkrycia. To moje przeznaczenie, zostałem do tego wybrany. Każe mi to zrobić objawienie, którego doznałem na górze Hermon. Kiedy znajdę ten obiekt, oczywiście podzielę się tą nowiną z zespołem, ale nie wcześniej. Jesteś ze mną?

– Tak – odparł Skip. – Absolutnie.

– Świetnie! Spotkamy się tu jutro wczesnym rankiem, o wpół do szóstej. Weź plecak, jedzenie i wodę.

– Jasne! – Skip był tak podekscytowany, że nie zaszokowała go nawet ta nieludzka godzina.

Astronom nachylił się ku niemu.

– I coś jeszcze. Jeśli obiekt rzeczywiście spadł gdzie indziej, jest możliwe, że władze go nie znalazły. Co znaczy, że wciąż tam jest.

ZA DZIESIĘĆ DWUNASTA Corrie weszła do holu oddziału terenowego FBI w Albuquerque. Przeszła przez punkt kontrolny, skręciła do wind i pojechała na drugie piętro. Robiła to wszystko prawie nieświadomie, jak żywy trup. Od telefonu Garcii, który zadzwonił przed dziewięcioma godzinami, nie zmrużyła oka, ale wszystko zdawało się nierealne nie dlatego, że była zmęczona, tylko wstrząśnięta.

Po rozmowie z dyrektorem przez pięć minut cicho płakała. A potem po prostu leżała w łóżku, patrząc w sufit i próbując wmówić sobie, że to się nie dzieje. Że nie może. Że pójdzie do pracy i zobaczy siedzącego przy biurku Morwooda, który jak zwykle spojrzy na nią przez szybę ze sceptycznie uniesioną brwią. Oczywiście wiedziała, że tak nie będzie, i musi wziąć się w garść.

Rzadko bywała w pracy w sobotę czy niedzielę, ale kiedy tylko wysiadła z windy, uderzyła ją dziwna, jakby kościelna atmosfera. Labirynt boksów, rząd biur w korytarzu – wszędzie panował stężyły bezruch, który jeszcze bardziej wzmacniał poczucie nierzeczywistości. W oddali, ledwo słyszalnie, szlochała jakaś kobieta. To zabawne, ale zapomniała, że Morwood prowadził też innych młodych agentów.

Im bliżej narożnego gabinetu, tym więcej widziała ludzi. Śmierć agenta FBI, nawet wskutek nieszczęśliwego wypadku, była nie tylko tragedią, ale i bardzo poważną sprawą, którą należało dokładnie zbadać, tym poważniejszą, że Morwood zginął na terenie placówki. Nie ulegało wątpliwości, że właśnie dlatego dyrektor ją wezwał. Czekala ją terapia żałobna.

Przyszła za wcześnie, a ponieważ Garcia nie miał sekretarki, usiadła na krześle pod drzwiami. Zamknęła oczy i kilka razy głęboko odetchnęła. Poczucie niedowierzania było swoistym pancerzem i pomyślała, że jeśli pancerz nie pęknie podczas tego spotkania, wytrzyma do końca weekendu.

Otworzyły się drzwi i z gabinetu wyszło trzech czy czterech starszych agentów w garniturach. Żaden nawet na nią nie spojrział. Przez chwilę panowała cisza, a potem usłyszała:

– Swanson? Zapraszam.

Wstała i weszła do środka. Była u Garcii tylko parę razy, ale wewnątrz gabinetu zawsze wyglądało tak samo: w jednym kącie amerykańska flaga, w drugim flaga FBI, wiszące między nimi oprawione w ramkę zdjęcie prezydenta, wychodzące na autostradę okna, biurko, na biurku starannie poukładane dokumenty i kilka rodzinnych zdjęć, stół konferencyjny, krzesła i pustynne krajobrazy na ścianach. Pamiętała, że uznawszy, że Corrie ma szansę utrzymać się w pracy – dokładnie tak powiedział – Morwood przyprowadził ją tu na pierwsze spotkanie z szefem.

– Dzień dobry – rzucił cicho Garcia. – Proszę zamknąć drzwi i usiąść.

Spojrzał na nią badawczo brązowymi oczami, wstał, aby ucisnąć jej dłoń, a potem usiadł, położył na biurku muskularne ręce i splótł palce. Usta miał proste, ani uśmiechnięte, ani groźnie wykrzywione, ale z drugiej strony nigdy nie widziała, żeby się śmiał czy na kogoś krzyczał.

– Dziękuję, że pani przyszła.

– Dziękuję za zaproszenie, panie dyrektorze.

– Hale... agent Morwood był tu bardzo lubiany. Był oddanym agentem i szanowaliśmy go za lojalność i wierność służbie. To tragedia dla nas wszystkich, bo wszyscy ponieśliśmy wielką stratę. Przepraszam, że przez telefon byłem taki obcesowy.

– Nie szkodzi.

Co dla niego nietypowe, Garcia jakby się zawahał. Mimo szoku i bólu zauważyła, że nie leży przed nim otwarta teczka i że na biurku nie ma żadnego urządzenia nagrywającego, przynajmniej widocznego. To też było niezwykle, bo myślała, że Garcia chce, by zdała mu raport.

Wziął głęboki oddech.

– Żeby sytuacja była całkowicie jasna i żeby lepiej zrozumiała pani moje pytania, najlepiej będzie od razu coś sobie wyjaśnić.

– Oczywiście. – „Żeby sytuacja była całkowicie jasna”?

– W ramach wstępnego śledztwa w sprawie pożaru rozmawiałem dzisiaj z doktorem Lathropem. Otóż doktor Lathrop twierdzi... – Garcia znów się zawahał, choć tym razem krócej. – Że kiedy byliście wczoraj w laboratorium, nie przestrzegała pani przepisów bezpieczeństwa.

Corrie wciąż skupiała się na ochronie swojego pancerza, dlatego chwilę trwało, zanim to do niej dotarło.

– Przepraszam. Że czego nie przestrzegałam?

– Podgrzewała pani plastelinę, tak?

Kiwnęła głową.

Garcia sięgnął po jakąś teczkę, dopiero teraz. Otworzył ją i przerzucił kartkę.

– Doktor Lathrop oficjalnie zeznał, że nieprawidłowo korzystała pani z palnika Bunsena. – Zerknął na następną kartkę. – Twierdzi, że w pobliżu palnika leżał łatwopalny materiał. Że nie sprawdziła pani, czy wąż nie jest uszkodzony albo zgięty. I wreszcie, że zdarzyło się to nie pierwszy raz, że często zostawia pani palnik bez nadzoru, nie zakręca głównego zaworu i tak dalej.

Corrie poczuła, że pancerz powoli pęka pod naporem niedowierzania, urazy i gniewu.

– Panie dyrektorze, czy to znaczy, że Lathrop oskarża mnie o to, że nie zgasiłam palnika i doprowadziłam do wybuchu pożaru? Pożaru, w którym zginął mój szef?

Nieświadomie zaczęła wstawać z krzesła i Garcia podniósł ręce.

– Proszę się uspokoić. Mówię to z czystej uprzejmości, żeby od początku miała pani pełny obraz sytuacji. Lathrop nie oskarża pani o nic konkretnego. I nie jest pani o nic podejrzana. Dobrze pani wie, że mamy tu specjalistów, ekspertów od rekonstruowania tego rodzaju zdarzeń. Opieczętowali laboratorium i już pracują. To oni ustalą, co było źródłem

pożaru i co się właściwie stało. I to będą konkretne ustalenia, a nie oskarżenia. Zeznania Lathropa i innych świadków, w tym pani, też są ważne, ale są jedynie dowodami uzupełniającymi.

Umilkł i znów spojrzał na nią wyrazistymi, przenikliwymi oczami. A ona opadła na krzesło ponownie zaszokowana, choć tym razem z zupełnie innego powodu.

Garcia odchrząknął.

– Powiedziałem to wszystko, bo tak każą przepisy – ciągnął cichym, niemal konfidencjonalnym tonem. – Nieoficjalnie dodam, że jest mi bardzo przykro. W bardziej sprawiedliwym świecie, zamiast zmuszać panią do obrony, dałbym pani czas na żałobę. Doktor Lathrop jest... Myślę, że zgodzi się pani ze mną, że cieszy się określoną reputacją. Co jednak nie zmienia faktu, że pracuje tu od wielu lat i że naszym zadaniem jest zbadać te zarzuty. Dlatego muszę zadać pani kilka pytań i mam nadzieję, że pani to zrozumie. Proszę mi wierzyć: tak jest dużo lepiej.

– Tak, panie dyrektorze. – Corrie gwałtownie wciągnęła powietrze. – Dziękuję.

Garcia znów odchrząknął i wrócił do swojej oficjalnej, władczej roli.

– To nie potrwa długo. – Wyjął z kieszeni długopis. – Wczoraj powiedziała pani, że agent Morwood przyszedł do laboratorium późnym popołudniem. Pracowała pani wtedy z Lathropem?

– Nie, tylko ja pracowałam. On się przyglądał. – Nie zamierzała dłużej odpuszczać temu sukinsynowi, po jej trupie.

Dyrektor coś zanotował.

– Konkretnie co pani robiła?

– Podgrzewałam nad... palnikiem plastelinę w pojemniku z wodą. Do rekonstrukcji twarzy. Zamierzałam nałożyć na odlew warstwę mięśni.

– O czym we troje rozmawialiście?

– Głównie o tym, jakie mamy szanse na identyfikację tych ciał. Lathrop uważał, że duże, a ja, że niewielkie.

– A agent Morwood?

– Był zadowolony z moich postępów. Prosił, żebym przygotowała prezentację na nasze wtorkowe spotkanie.

– A potem agent Morwood wyszedł.

Kiwnęła głową.

– Co było dalej?

– Posprzeczałyśmy się. Lathrop i ja.

– O co?

Westchnęła.

– Panie dyrektorze, doktor Lathrop ciągle mnie deprecjonuje. Robi szydercze, upokarzające i seksistowskie uwagi, a kiedy mu to wytykam, udaje, że tylko żartował. Trwa to, odkąd zaczęłam tu pracować. W obecności agenta Morwooda nazwał mnie Kasandrą, co było niegrzeczne. Powiedziałam, że jeśli się to powtórzy, złożę oficjalną skargę.

– Rozumiem. – Garcia znów coś zanotował.

– Ukończyłam antropologię kryminalistyczną w college'u Johna Jaya, a on zachowuje się jak...

– Rozumiem, agentko Swanson – przerwał jej stanowczo dyrektor.

Umilkła, a on pisał dalej. W końcu podniósł wzrok.

– Kolejny zestaw pytań. Niestety muszę je zadać. Doktor Lathrop wyszedł z laboratorium przed panią?

– Tak. To zakończyło naszą sprzeczkę.

– On wyszedł, a pani pracowała dalej?

Kiwnęła głową.

– Jak długo?

– Godzinę. Może godzinę i kwadrans.

– Więc o której pani wyszła?

– Około wpół do siódmej.

– I doktor Lathrop już nie wrócił?

– Nie.

– Czy kiedy wychodził, palnik Bunsena się palił?

– Tak.

– Jak długo korzystała pani z niego po wyjściu Lathropa?

– Około piętnastu minut. Kiedy plastelina zmiękła, wyjęłam ją z wody, zgasłam palnik i zakręciłam główny zawór. W pobliżu gazu i płomienia nie było żadnych łatwopalnych materiałów.

– Może pani opisać, krok po kroku, co pani zrobiła, aby przed wyjściem zabezpieczyć laboratorium?

– Kiedy skończyłam nakładać plastelinę, schowałam odlew do szafki. Zebrałam narzędzia, zdjęłam rękawiczki i zrobiłam porządek na stole. Ponieważ już zgasłam palnik i zakręciłam główny zawór, dysza zdążyła ostygnąć. Schowałam narzędzia, jeszcze raz sprawdziłam zawór, rozejrzałam się, zgasłam światło, zaczekałam, aż na panelu systemu alarmowego zapali się zielona lampka, i wyszłam.

Myślała, że Garcia będzie notował, tymczasem on tylko uważnie słuchał, obserwując ją i głaszcząc się po brodzie.

– I myśli pani, że agent Morwood wrócił nocą do laboratorium, żeby odnieść do magazynu ten znaleziony przedmiot, tak?

Zawahała się. Nocą?

– Nie jestem pewna.

– Czy domyśla się pani, z jakiego innego powodu związanego z jego pracą lub zamiarami mógł przyjść do laboratorium o tak późnej porze?

– Nie. Czasem pracował do późna. Może chciał sprawdzić, co zdążyłam zrobić.

Garcia przyjął to wszystko z kamienną twarzą. Wreszcie schował długopis do kieszeni i zamknął teczkę.

– Dziękuję, Corrie.

Poczuła się zdezorientowana jak kula na stole bilardowym.

– Panie dyrektorze, chcę pomóc...

– Wiem. Ale musimy pozwolić śledczym robić swoje. Ze względu na zarzuty Lathropa nie może pani być bezpośrednio zaangażowana. Rozumiemy się?

– A moje śledztwo, identyfikacja tych dwóch ciał?

– Ogień mocno je uszkodził. Obawiam się, że będzie pani musiała poczekać, aż skończy się śledztwo. – Garcia zdał sobie sprawę, że zabrzmiało

to lekceważąco, i lekko się skrzywił. – Niech się pani nie przejmuje Lathropem, dobrze? Niech pani wróci do domu i spokojnie się wypłacie. Nabierze do tego dystansu. Zalecam tygodniowy urlop.

– Ale...

– Agentko Swanson, proszę. Tydzień urlopu, zgoda?

– Tak, panie dyrektorze.

– Tu jest mój prywatny numer na wypadek, gdyby chciała pani porozmawiać albo gdyby odgadła pani, dlaczego Morwood tak późno przyszedł do laboratorium. – Dał jej wizytówkę. – A teraz niech pani wraca do domu. I dziękuję.

Chciała z nim jeszcze porozmawiać, lecz zdała sobie sprawę, że nie ma o czym. Wstała, wymamrotała: „Dziękuję”, i wyszła z gabinetu bardziej odrętwiała, niż przyszła.

Z LAPTOPEM W RĘKU, dziwnie zdenerwowana, Nora zapukała do drzwi wielkiej przyczepy. Po chwili drzwi się otworzyły.

– W samą porę! – wykrzyknął Tappan. – Wejdz.

Weszła do eleganckiego salonu. Stojący na środku stół był zasłany mapami i profilami gleby.

– Usiądź. – Tappan odsunął na bok mapy. – Zaprosiłem cię, bo jestem zdezorientowany tym, co dzisiaj odkryliśmy, a raczej, czego nie odkryliśmy, i liczę na to, że po burzy mózgów jakoś to wyjaśnimy. Nie jestem archeologiem, więc musisz być cierpliwa. – Podkreślił swoje słowa dwudoleczkowym uśmiechem i usiadł po drugiej stronie stołu.

– Oczywiście – powiedziała. – Mam pewne przemyślenia.

– Więc wyjaśnij mi archeologicznie, co to znaczy, że ta bruzda czy wyżłobienie rozmywa się nagle w nicłość.

Otworzyła laptop.

– Łatwiej mi będzie pokazać rekonstrukcję naszych wykopalisk. – Zastukała w klawiaturę i na ekranie ukazał się trójwymiarowy obraz. – Usiądź obok mnie, bo nic nie zobaczysz.

Usiadł na kanapie.

– To jest trójwymiarowy obraz tego, co dotychczas odkopaliśmy. Naszym jedynym ważnym znaleziskiem jest bruzda. Tu ją widać. – Nacisnęła klawisz, obracając obraz.

– Rozumiem.

– Można z niej wyczytać, że stosunkowo niewielki obiekt o średnicy niecałych trzech metrów uderzył tu w ziemię pod kątem około dwudziestu stopni.

– Trzech metrów? Naprawdę?

– Taka jest szerokość bruzdy w najwęższym miejscu. Jeżeli był okrągły, to miał trzy metry średnicy. Oczywiście mógł być dłuższy i mieć kształt na przykład cygara albo rakiety, ale uderzył na pewno przodem, dziobem.

– Jasne.

– W miejscu uderzenia powstał duży płytki krater, ten tutaj. Siła zderzenia z ziemią wyrzuciła w powietrze olbrzymią fontannę piasku, z którego powstały znalezione przez Grega mikrotektyty. Aby powstały, obiekt musiał się poruszać z bardzo dużą prędkością. Im dalej od miejsca uderzenia, tym bruzda robi się węższa i płytsza, a jej kąt nachylenia stopniowo maleje. Na głębokości trzech metrów i sześćdziesięciu centymetrów jest niemal pozioma, a tutaj kończy się wielkim bałaganem. – Ponownie obróciła i powiększyła obraz.

– Jakby obiekt po prostu zniknął – powiedział Tappan. – To możliwe?

– Cokolwiek to było, nie mogło tak po prostu zniknąć. Myślę, że ten bałagan jest dziełem buldożerów, które wszystko dokładnie przekopały. Wojsko musiało to coś usunąć, burząc przy okazji archeologiczną spójność gleby. Został tylko groch z kapustą, rozwarstwiona, pozbawiona struktury ziemia i przemieszany piach. Tak więc nie jest to aż tak zagadkowe, jak się początkowo wydawało. Przynajmniej według tej koncepcji. Dalsze wykopaliska i poprzeczne wykopy próbne powinny dostarczyć więcej informacji.

– Rozumiem. A więc to, co wyryło tę bruzdę, leży teraz w zapieczętowanym hangarze w Strefie Pięćdziesiąt Jeden.

Nora nie odpowiedziała.

Tappan spojrział na zegarek i wstał.

– Zostaniesz na drinka?

Zawahała się. Instykt podpowiadał jej, że to raczej zły pomysł, ale za nic nie mogła dociec, dlaczego jako trzydziestokilkuletnia kobieta powinna tak uważać.

– Chętnie – odparła.

– Czego się napijesz?

– Białego wina.

– Już podaję.

Tappan podszedł do barku, wyjął z lodówki butelkę, otworzył ją i nalał kieliszek wina. Postawił go na stole i szybko zrobił martini dla siebie.

– Twoje zdrowie. – Uśmiechnął się i trącił jej kieliszek swoim. Upił łyk i nachylił się ku niej. – Ciekawe, czy już jesteś na „tak”

Pytanie zbiło ją z tropu i dopiero po chwili zrozumiała, że nawiązuje do ich poprzedniej rozmowy. Upiła łyk wina i odstawiła kieliszek.

– Cóż, pół nocy nie spałam, myśląc o tym superciężkim pierwiastku i mikrotektytach. Można chyba powiedzieć, że wciąż jestem sceptyczką.

– Naprawdę?

– Niezwykłe twierdzenia wymagają niezwykłych dowodów.

– A te nie są wystarczająco niezwykłe?

– Mogliśmy popełnić gdzieś błąd. O czymś nie pomyśleć. Problem w tym, że wszyscy mocno w to wierzą, a musisz przyznać, że wiara może wypaczać rezultaty.

Podniósł kieliszek.

– Szanuję i składam hołd twojemu sceptycyzmowi, choć myślę, że trochę przesadzasz. – Zmrużył oczy. – No co?

– Co no co?

– Masz dziwną minę.

– Nieprawda.

– Owszem, masz.

Westchnęła. A co mi tam.

– Dobrze. Właściwie to chodzi o ciebie.

– O mnie? – spytał z udawanym zaskoczeniem.

– Ukrywasz się pod zastoną niewiedzy – odparła i szybko dodała: – Niewiedzy technicznej. Masz wspaniałą wizję, pasję i wyobraźnię, ale kiedy przychodzi do szczegółów, milkniesz i pozwalasz mówić naukowcom.

– I tak powinno być. Za to im płacę.

– Wiem, ale kiedy jesteś podekscytowany... – Zaczynała żałować, że w ogóle poruszyła ten temat, mimo to dzielnie parła dalej. – Zapominasz o zasłonie i zasłona opada.

– Nie rozumiem.

– Tak jak po tej długiej rozmowie w Gregiem. Mówiłeś o ciężkich pierwiastkach i wyspie stabilności tak swobodnie i z taką znajomością rzeczy, jakbyś był fizykiem. Jakbyś znał się na tym bardziej, niż to okazujesz.

Tappan zmarszczył brwi.

– Poważnie?

– Tak.

Wypił łyk martini.

– Dobra, przejrzałaś mnie.

Nora spokojnie czekała, w końcu westchnęła i dodał:

– To prawda, mam bzika na punkcie fizyki. Konkretnie astrofizyki.

– Dyletant nie zostanie wynalazcą i miliarderem. Ale dlaczego grasz?

– Ja nie gram.

Powiedział to bardzo szybko i przez chwilę myślała, że za daleko się posunęła. Ale on dopił martini i stłumił śmiech.

– Dobrze, z dwóch powodów. Pierwszy jest taki, że doświadczenie nauczyło mnie zatrudniać najlepszych. Pchnąć ich w odpowiednim kierunku, od czasu do czasu sprowadzać na właściwą drogę, ale pozwalać im mówić i myśleć. Gdybym zaczął się chwalić swoją wiedzą, tylko bym ich spowolnił i onieśmielił.

Kiwnęła głową. To miało sens.

– A drugi powód?

– To bardziej skomplikowane. – Tappan spojrział na jej kieliszek, zawahał się i poszedł zrobić sobie drugie martini, choć, jak pamiętała, pozwalał sobie tylko na jedno dziennie. Wrócił zamyślony.

– Znasz tę starą historię o biednym, ciężko pracującym ojcu, który haruje dniami i nocami, żeby jego syn został lekarzem albo prawnikiem, podczas gdy syn chce tylko malować albo pisać?

– No jasne. Tak wyglądało życie większości wiktoriańskich pisarzy.

– Moje też, tylko... odwrotnie. Mój ojciec uczył angielskiego w college'u w Dakocie Południowej. Żył literaturą i nią oddychał, marząc o karierze pisarza. Jako nastolatek chciał uciec z farmy, żeby pisać i uczyć. Jego ojciec był wściekły, ale on zrobił to i tak. Tragedia polegała na tym, że pisanie mu nie wychodziło. – Tappan umilkł, błędząc myślami w przeszłości. – Chciał napisać powieść doskonałą, powieść klejnot, jak ten ze *Śniadania u Tiffany'ego*, książkę pełną „wrażliwej, intensywnie odczuwalnej” prozy. Ale nie miał do tego drygu, więc rola słynnego pisarza przypadła mnie, jego pierworodnemu. Problem w tym, że dużo bardziej lubiłem naprawiać traktor, poznawać tajniki budowy wiatraka czy leżąc nocą w stodole, wypatrywać spadających gwiazd i szukać na niebie różnych konstelacji. Książki mało mnie interesowały.

Znów się roześmiał, tym razem gorzko.

– Kiedy nie uczył albo nie darł szkiców swojej powieści, robił wszystko, żebym pokochał literaturę. Regularnie podrzucał mi powieści Roberta Louisa Stevensona i H.G. Wellsa. A nawet obiecywał batonika, żebym tylko jakąś przeczytał. – Poprawił się na kanapie. – Mniej więcej wtedy mama zostawiła nas i przeprowadziła się do rodziców, na to, co zostało z ich farmy.

Nora uznała, że lepiej nie okazywać mu zbyt wielkiego współczucia.

– I czytałeś? Te książki.

– Jasne. Ale po pewnym czasie ta wymuszona batonikami lektura zaczęła być uciążliwa. Ironia polegała na tym, że uwielbiałem czytać, ale książki o liczbach, podręczniki do algebry i geometrii. Powieści Jules'a Verne'a też mi się podobały, ale tylko dlatego, że Verne miał wyobraźnię i zamieszczał w nich dużo informacji naukowych. Zbudowałem łódź podwodną z dwóch związanych ze sobą starych czółen. Omal się nie podpaliłem, eksperymentując z dwuczłonową rakieta. Zbudowałem antenę w kształcie talerza i próbowałem odebrać fale radiowe z odległych systemów gwiazdnych. Oczywiście ojciec też dostrzegał tę ironię. Zamiast pisać opowiadania, bawiłem się w mechanika. Więc pisał i bez końca

poprawiał swoją powieść, a przy okazji pił. I z czasem winą za niespełnione marzenia obarczył mnie. Wtedy jego frustracja przeszła w agresję.

– Chryste – szepnęła.

Tappan wzruszył ramionami.

– Dlatego pojechałem za mamą do dziadków i zacząłem im pomagać. Farma powoli odżyła, tak jak moje młodzieńcze zainteresowania. Algebra, elektrodynamika, inżynieria mechaniczna, radioteleskopy, czarne dziury i kosmologia: uczyłem się wszystkiego, ale najbardziej ciekawił mnie nasz wiatrak i z czasem przebudowałem go tak, że wytwarzał ponad pięć kilowatów mocy. To było na początku lat dziewięćdziesiątych, zaraz po wprowadzeniu PTC.

– Czego?

– Ulg podatkowych dla firm zajmujących się odnawialnymi źródłami energii elektrycznej. Turbiny wiatrowe stały się ciekawe, ale były wielkie i głośne. Majsterkowanie przy naszym wiatraku i to, czego nauczyłem się z inżynierii mechanicznej, podsunęły mi pomysł generatora o bezpośrednim napędzie. Miał mniejszą przekładnię, mniejszą prędkość obrotową i był dużo cichszy. Dziadek zasugerował, żebym wystąpił o patent.

Tappan podniósł kieliszek.

– No i? – spytała.

– Od tego wszystko się zaczęło, od tego małego pomysłu. Wtedy udało mi się zebrać pieniądze tylko na kapitał początkowy, a teraz w oparciu o mój patent, oczywiście znacznie ulepszony, działa sześćdziesiąt procent turbin. A dzięki moim dziecięcym zainteresowaniom raketami zbudowałem równie wydajny prom do wynoszenia satelitów na orbitę. – Upił łyk martini. – Ale gdzieś głęboko w środku, w jakimś zakamarku mózgu limbicznego, wciąż mam wyrzuty sumienia, że nie zostałem poetą. Przynajmniej tyle wpoił we mnie ojciec. Dlatego niewychylanie się z wiedzą przeszło w nawyk.

– Co się z nim stało?

– Z ojcem? Po mojej ucieczce na farmę już ze sobą nie rozmawialiśmy.

– Żyje?

– Tak, jest na emeryturze i mieszka w Dakocie Południowej. Podupadł na zdrowiu, ale wciąż pije i wciąż poprawia swoją powieść. – Odstawił kieliszek bardziej energicznie, niż było to konieczne. – Ale dość o mnie. Posłuchajmy twojej historii. Oczywiście czytałem twoje CV, jest bardzo imponujące: dzieciństwo na farmie pod Santa Fe, praca w Instytucie Archeologicznym, wyjazd na wschód, praca w Muzeum Historii Naturalnej w Nowym Jorku i powrót do Santa Fe. Zastanawiam się tylko... Instytut i cała reszta są OK, ale dlaczego rzuciłaś pracę w muzeum i wyjechałaś z Nowego Jorku? Czy dlatego, że... – Nie dokończył i reszta zdania zawisła w powietrzu.

Oczywiście zdawała sobie sprawę, że Tappan wie o jej małżeństwie i śmierci męża. Dopłała wino.

– Podobało mi się tam. Podobało mi się muzeum i miasto. Ale kiedy zginął Bill... Nie wiem, chyba nie mogłam patrzeć na nie tymi samymi oczami. Chciałam wrócić do brata, do domu. Na bezpieczniejszy teren.

Zapadła cisza.

– Przepraszam – powiedział Tappan. – Nie powinienem poruszać tak wrażliwych tematów.

Pokręciła głową.

– Nie. Zamykanie się w sobie jest niezdrowe. Po prostu... Cóż, wciąż się z tym zmagam.

Umilkli.

– Tak czy inaczej – dodała, zanim cisza stała się niezręczna – kiedy powiesz reszcie? O tym ciężkim pierwiastku.

– Jeszcze trochę się wstrzymam – odparł.

– Dlaczego?

– Mogę zdradzić ci coś w zupełnym zaufaniu?

– Naturalnie.

– Chyba mamy tu kreta. W zespole.

Czekała na dalsze wyjaśnienia.

– Nie, to nic konkretnego – dodał. – Po prostu wiem, wiem, że w rządzie są ludzie, którzy rzucili na szalę swoją karierę, żeby zamieść to pod dywan. Nie chcą nas tutaj. Bardzo ich niepokoi to, co robimy, i już przedtem próbowali nas powstrzymać. Spokojnie i po cichu. Kiedy im nie wyszło, wycofali się i zniknęli. Ale wciąż tam są, wciąż robią wszystko, żeby ukryć prawdę o Roswell. A teraz już wiemy, mamy dowód, że to był pozaziemski statek kosmiczny. Boję się, że może to wywołać... jakąś reakcję.

– Ale dlaczego uważasz, że mamy tu szpiega? Z jakichś konkretnych powodów?

– Nie, to tylko przeczucie. – Tappan podniósł pusty kieliszek, zakręcił nim i postawił na stole. – Wiem, trochę paranoicznie to brzmi, ale właśnie dlatego poprosiłem wszystkich, żeby na razie tego nie rozgłaszali. Aha, i jeszcze jedno.

Nachylił się ku niej, jakby chciał powierzyć jej jakąś tajemnicę, i delikatnie musnął ustami jej usta.

Odsunęła się zaskoczona.

– To chyba niestosowne – powiedział.

Próbowała się uspokoić, ale serce waliło jej jak młotem i miała przyspieszony oddech.

– To zły pomysł.

– Wiem. Bardzo. – Znow się nachylił i poczuła na twarzy jego oddech.

Nagle dotarło do niej, że nie obchodzi jej, czy pomysł jest zły, czy nie, i podała mu usta. Objął ją za szyję i pocałowali się namiętnie, a potem jego ciepła ręka wślizgnęła się pod jej bluzkę, przesunęła po plecach i pomogła jej zająć wygodniejszą pozycję na miękkiej skórzanej kanapie.

* * *

Wracała do siebie po ciemku, nie mogąc się pozbierać po tym, co zaszło. To było szaleństwo, to był błąd, to było dokładnie to, co nie powinno się zdarzyć, a już na pewno nie w pracy, mimo to cała promieniała, mimo to mrowiło ją całe ciało, a wszystkie zastrzeżenia zdawały się trywialne i nieistotne.

Do rzeczywistości przywróciły ją dochodzący zza drzwi cudowny zapach i powitalne szczekanie Mitty'ego.

– Gdzieś ty była! – zawołał z kuchni Skip. – Jeszcze trochę i kolację szlag by trafił. – Szybko nalał jej kieliszek wina i wskazał stół, gdzie stały frytki i guacamole. – Wypij, już kończę.

– Dzięki. – Usiadła w fotelu. Była głodna jak wilk. Nabrała na frytkę trochę pasty.

– Zaczynałem się martwić, bo ktoś powiedział, że poszłaś do Tappana. Byłaś tam strasznie, ale to strasznie długo... – Brat znacząco zawiesił głos.

– Pokazywał mi mapy. – Ku swemu przerażeniu poczuła, że się czerwieni.

– Mapy, wykresy, jasne... – Skip wlał na patelnię trochę wina ze swojego kieliszka i w kuchni głośno zasyczało. Delikatnie zamieszał, potrząsnął patelnią, spróbował sosu, po czym wyłożył danie na talerze wraz z pieczonymi ziemniakami i chińską kapustą.

– Foie gras w sosie z fig misyjnych, krótko podsmażane na czerwonym winie z dodatkiem octu balsamicznego.

– Jeju, niesamowite! – wykrzyknęła.

– Przynajmniej tyle mogłem zrobić. – Brat usiadł obok niej i dolał sobie wina. – Wiesz, nie byłoby źle mieć szwagra miliardera... – I znów znacząco zawiesił głos.

Uderzyła go w ramię mocniej, niż zamierzała.

OLBRZYMI SŁOMKOWY KAPELUSZ, okulary przeciwsłoneczne, plecak, dwie butelki wody u pasa, posmarowany kremem nos i skomplikowany GPS – Bitan przyszedł ubrany jak na safari.

Mitty, który wyczuł go w ciemności, zaszczekał i wybiegł mu na spotkanie. Astronom podrapał go za uszami i powiedział coś pieszczotliwie po hebrajsku.

– Pójdziemy w kierunku, który wskazuje bruzda. – Natychmiast ruszył przed siebie tak szybko, że Skip z trudem za nim nadążał. Przodem biegł w podskokach Mitty. – Ten owal jest mniej więcej osiem kilometrów stąd, na równinie Atalaya, i sięga trzy kilometry w głąb wzgórz.

– Dobra.

– Wieczorem naszkicowałem trasę poszukiwań. Prześlę ci ją bluetoothem. W dolinie się rozdzielimy, żeby zbadać większy teren.

Słońce pokonało horyzont i wspięło się na bezchmurne niebo, rzucając złociste cienie. Wciąż było chłodno, ale Skip wiedział, że szybko zrobi się gorąco. Oby tylko nie za bardzo.

Okazało się, że jak na kogoś dobiegającego pięćdziesiątki, Bitan jest pełen energii. Idąc, opowiadał mu o Beer Szewie na pustyni Negew, biblijnym mieście, gdzie się wychował, gdzie Abraham zasadził tamaryszek, gdzie Bóg przemówił do Izaaka i Jakuba i gdzie podczas pierwszej wojny światowej doszło do słynnej bitwy. Był prawdziwą skarbnicą wiedzy, a ponieważ opowiadał bardzo ciekawie, Skip chłonał każde jego słowo.

Po trzech kilometrach doszli do skraju Diabelskiej Góry, wielkiej, niskiej mesy, na której rozbili obóz, do miejsca, gdzie u podnóża stromego urwiska rozciągała się pozbawiona drzew wielka dolina z suchym jeziorem pośrodku.

Przystanęli tam w porannym słońcu i Bitan spojrzął na ekran GPS-u. Skip skorzystał z okazji i dał psu trochę wody.

– Według mapy to jest dolina Atalaya – powiedział astronom. – Ta biała plama to Martwe Jezioro, a te wzniesienia po drugiej stronie to Wzgórza Końskiego Nieba. Dalej są kopce Los Gigantes, a te błękitne góry to Los Fuertes.

– Same malownicze nazwy.

– To zdumiewające, jak bardzo ten krajobraz przypomina pustynię Negew. Dobrze, ale teraz musimy stąd zejść.

Skip ostrożnie zerknął w dół i zmarszczył brwi. Urwisko miało najwyżej sto metrów wysokości, ale było prawie zupełnie gładkie.

Bitan znów spojrzął na ekran GPS-u.

– Z mapy topograficznej wynika, że po lewej stronie powinien być wąski szlak.

Poszli brzegiem mesy. Słońce stało już wyżej i roztaczał się przed nimi bezkresny widok. Ani dróg, ani szlaków, ani śladu ludzi, krajobraz, który sprawił, że Skip poczuł się mały, ale mały w dobrym tego słowa znaczeniu. A to, że uczestniczy w wyprawie, która mogła zmienić świat, ekscytowało go i napełniało zachwytem.

Astronom od czasu do czasu przystawał i spoglądał przez lornetkę. W pewnej chwili wykrzyknął:

– A niech mnie! Spójrz.

Podał mu lornetkę. Skip spojrzął i w oddali, na krawędzi mesy, zobaczył ruiny kamiennej wieży.

– Wieża obserwacyjna.

– Tylko udawaliśmy, że jej szukamy, a tu, proszę, jest! Biorę to za znak, że nam się poszczęści i znajdziemy to, czego szukamy naprawdę.

Bitan ruszył przed siebie żwawym krokiem i Skip poszedł za nim.

Wieża była okrągła, zbudowana z grubo ciosanych kamiennych bloków zlepionych gliną. Większość bloków stoczyła się z boczem urwiska, a niektóre leżały rozrzucone na ziemi. W środku było trochę cienia, więc

usiedli i napili się wody. Mitty błyskawicznie wychłęptał swoją ze składanej miski.

Skip zauważył kilka szklistych, zielonkawych skorup.

– Co to?

Podał skorupę Bitanowi.

– Pewnie hiszpańska ceramika.

Astronom uważnie ją obejrzał.

– Zabierz. Pokażesz siostrze. Może to rozpozna.

Skip znalazł kilka większych skorup, w tym parę z żółtymi deseniami, i schował je do kieszeni.

Po krótkim odpoczynku poszli dalej i znaleźli ledwo widoczny stary szlak prowadzący do doliny. Kiedy stanęli u stóp urwiska, wzmógł się wiatr, niosąc biały pył z suchego jeziora. Stopniowo rosła temperatura i Bitanowi skończyły się chyba tematy do rozmowy. Wrócili na właściwy kurs i ruszyli przez równinę w kierunku odległych wzgórz. Po dwóch godzinach marszu astronom nagle przystanął i znów spojrzął na ekran GPS-u. Wzgórza, porośnięte trawą i niskimi, powykręcanyimi dębami, były teraz dużo bliżej.

– Jesteśmy na południowym brzegu owalu – oznajmił Bitan. – Czas się rozdzielić i rozpocząć poszukiwania. Spotkamy się tu o piątej.

O piątej. Zostaną im trzy godziny na powrót do obozowiska przed zapadnięciem zmroku. Trochę ryzykowne, ale Skip postanowił tego nie mówić.

Astronom pokazał mu ściągniętą z Google Earth trasę. Komórki nie miały tu zasięgu, lecz zasięg satelitarny był dobry, działał też GPS. Ale patrząc na gorącą, alkaliczną równinę, którą miał zbadać, Skip trochę stracił ducha, bo już teraz mieli za sobą długą wędrówkę w narastającym upale. Wmawiał sobie, że na tych zielonych wzgórzach będzie lepiej. Mitty wciąż tryskał energią i Skip cieszył się, że go ze sobą zabrał.

Bitan rzucił mu na pożegnanie kilka słów i wyraźnie się spiesząc, poszedł swoją trasą. On ruszył swoją, najpierw w lewo, potem w prawo.

Postać astronoma zmniejszyła się szybko do czarnej kropeczki, a potem w ogóle zniknęła.

Po południu upał wzmógł się jeszcze bardziej i Skip postanowił odpocząć. Głodny jak wilk, szybko pochłonął bagietkę z rillettes z kaczką i serem camembert, a Mitty'emu dał sardynki w oliwie z oliwek. Choć był w dobrej formie, już teraz czuł w nogach pokonane kilometry.

Potem poszedł dalej, a za nim pies z wywieszonym językiem. Nic tam nie było, ani śladu miejsca katastrofy UFO, tylko ciągnąca się bez końca biała, płaska, zaskorupiała równina, ale zapraszające wzgórza były coraz bliżej i wreszcie, około czwartej, do nich dotarł. Usiadł w cieniu pod pierwszym napotkanym dębem, wypił z manierki trochę gorącej już wody i podzielił się nią z Mittym. Zaczynał żałować, że zabrał psa; było zbyt upalnie. Bitan gdzieś przepadł, lecz Skip się nie martwił: dobrze znał swoją pozycję, bo wskazywała ją mała, niebieska kropka na mapie Google Earth.

Poszedł dalej. Wzgórza były magiczne. Porośnięte kołyszącymi się i falującymi na wietrze trawami, napełniały powietrze zapachem świeżej zieleni, a wśród rosnących tu i ówdzie dębów czuł się jak w parku. No i było tu chłodniej, dzięki Bogu. Piętrzące się w oddali wzniesienia i góry tworzyły dramatyczne tło. Po pewnym czasie zaczął napotykać słabe zarysy krętych ścieżek, ale szybko zrozumiał, że nie wydeptali ich ludzie, tylko konie, w dodatku dzikie. Podekscytowany, bardzo liczył na to, że zaraz jakiegoś zobaczy. Wzgórza Końskiego Nieba – nazwa pasowała jak ulał.

Jedyny problem polegał na tym, że wędrując, wciąż nie widział najmniejszego śladu katastrofy UFO. Spojrzał na zegarek, a ponieważ było wpół do piątej, uznał, że najwyższa pora wracać. Zaznaczył na mapie miejsce, do którego dotarł i z którego mógł potem wyruszyć na dalsze poszukiwania, i zawrócił w kierunku Diabelskiej Góry.

Do miejsca spotkania doszedł punktualnie o piątą. Bitana nie było. Sprawdził telefon, ale oczywiście nie było również zasięgu.

Słońce chyliło się powoli ku zachodowi. Nadchodził przyjemny wieczór, bo ustał wiatr i pochłodniało. Wzgórza i dalekie góry przecinały smugi

złocistego światła, a powietrze było czyste jak źródłana woda. Skip czekał godzinę. Bitan nie przyszedł. Wracać? Co będzie, jeśli wróci do obozowiska, a Bitan jednak przyjdzie? Wpadnie w furię i straci do niego zaufanie.

Było to trochę irytujące, lecz wcale nie zaskakujące: astronom łatwo się do wszystkiego zapalał i dawał ponieść emocjom. Na równinie nie było ani jednego wzgórza, na które można by się wspiąć i rozejrzeć. W kieszeni zawibrowała komórka. Skip zerknął na ekran i stwierdził, że bateria jest w osiemdziesięciu procentach rozładowana. Szybko wyłączył GPS, zamknął Google Earth i na wszelki wypadek włączył tryb samolotowy.

A potem usiadł w zapadającym mroku, aby zaczekać.

CORRIE SIEDZIAŁA w swoim jedynym wygodnym fotelu – a raczej na psychodelicznym siedzisku, które odziedziczyła po poprzednim lokatorze – próbując czytać mocno sfatygowaną książkę. Przez wychodzące na Jade Park okna wpadało wieczorne światło, malując na podłodze smugi przypominające więzienne kraty.

W pewnym momencie zdała sobie sprawę, że już nie czyta, tylko bezsensownie przesuwając wzrok po słowach wydrukowanych na pożółkłym papierze. Siłą woli spróbowała jeszcze raz.

Czasami przez popołudniowe niebo przechodził księżyc biały jak chmura, dyskretny, bez blasku, niby aktorka, która nie gra w tej chwili i która w zwykłej sukni patrzy z łoża przez chwilę na swoich kolegów, chowając się w cień, nie chcąc zwracać na siebie uwagi. Lubiłem odnajdywać jego wizerunek na obrazach i w książkach, ale – przynajmniej w pierwszych latach, zanim Bloch przyzwyczaiał moje oczy i myśl do subtelniejszych harmonii – owe dzieła sztuki były bardzo różne od tych, w których księżyc wydałby mi się piękny dziś, a w których nie byłbym go poznał wówczas^[1].

– Kurwa mać! – krzyknęła, ciskając książką przez pokój. Trafiła w półkę, na której stał kaktus w doniczce, pluszowy miś cholla, i kaktus zwałił się wraz z półką na podłogę, zasypując ją ziemią i skorupami.

W szkole średniej, w Medicine Creek w Kansas, bardzo dużo czytała. Wsiadała na rower, jechała za miasto, siadała pod linią wysokiego napięcia i pochłaniała, co tylko wpadło jej w ręce, tandetne science fiction, thrillery, horrory, a czasem nawet klasyki. Cieszyła się wszystkim, co pomagało jej uciec z Medicine Creek, od wiecznie wrzeszczącej matki alkoholiczki, od znęcających się nad słabszymi kolegów i „spoko”

dzieciaków. Z zasady olewała nauczycieli, ale pisarz, o którym wspomniał nauczyciel angielskiego, utkwiał jej w pamięci: Francuz Marcel Proust. Pisał ponoć książki, w których bez końca rozwodził się nad przeżyciami z okresu dorastania, i to dziwactwo, myśl, że można przez całe życie wracać wspomnieniami do dzieciństwa – czysty egocentryzm, który pchnął go do spłodzenia liczącego milion słów monologu na temat samego siebie – bardzo ją zaintrygowała. Dlatego któregoś dnia sięgnęła po *W poszukiwaniu straconego czasu* i zaczęła czytać. Książka okazała się trudna, miejscami męcząca, zwłaszcza że zasadniczo nic się w niej nie działo, lecz jej tęskne rozmarzenie powoli ją urzekło i powieść stała się jej lekturą ucieczkową.

Ale nie tego dnia.

Tego dnia nie pomagało dosłownie nic.

Wiedziała, że obsesyjna żałoba jest niezdrowa. Nagła śmierć mentora uświadomiła jej, jak bardzo jest samotna, i to wszędzie, w nowej pracy, w tym dziwnym mieście i w tym pustynnym stanie. Myślała, żeby zadzwonić do ojca, a nawet – co dziwne – do Nory Kelly, ale żadne z nich nie znało sytuacji na tyle, by ją zrozumieć. Tak naprawdę chciałaby się zwrócić tylko do Hale'a Morwooda, ale Morwood nie żył. Za późno zdała sobie sprawę, że był dla niej kimś więcej niż tylko szefem. Nie widziała w nim ojca, raczej kogoś solidnego i zrównoważonego, kogoś, kto miał na nią stabilizujący wpływ, tak potrzebny na początku kariery zawodowej.

Popatrzyła na rozbitą doniczkę i brudną podłogę. Szok i smutek zaczęły ustępować gniewowi i niepokojowi. Lathrop, ten stary, pretensjonalny sukinsyn, chciał ją oczernić. Dogryzał jej, odkąd tu przyjechała, młodej kobiecie, która zagrażała jemu i jego laboratoryjnej władzy. Zarzucał jej, że zaproszyła ogień. Słowo przeciwko słowu, tak pewnie myślał, ale śledztwo na pewno ją oczyści.

Nagle znów ogarnął ją niepokój. Wbrew temu, co powiedziała Garcii, nie mogła być na sto, na tysiąc procent pewna, że zgasła palnik i zakręciła zawór. Tak, dawała głowę, że to zrobiła – wpajano jej to podczas niezliczonych godzin, które spędziła w różnych laboratoriach na studiach –

ale kto coś takiego pamięta? To było jak zamykanie drzwi samochodu po skończonej jeździe.

Bzdura. Oczyszczą ją z zarzutów. Wiedziała, że pożar nie wybuchł z jej winy. To wykluczone, żeby zabiła swojego mentora i przewodnika. W domu czuła się bezsilna i nie była w stanie nic robić. Czas strasznie się wlokł i tydzień wolnego wydawał się wszystkim, tylko nie tygodniem gojenia się ran.

– Kurwa. – Tym razem zakłęta cicho i celowo. Wstała, zamiotła podłogę, zebrała skorupy i wrzuciła smętny kaktus do kosza. *W poszukiwaniu straconego czasu* wylądowało na fotelu. Jednego była pewna: najgorsze, co mogła zrobić, to zacząć się nad sobą uzalać.

„Tu jest mój prywatny numer”

Weszła do sypialni, wyjęła z torebki wizytówkę Garcii i szybko – żeby się nie rozmyślić – wybrała numer. Dwa sygnały i...

– Garcia, słucham.

– Pan dyrektor? Mówi Corinne Swanson.

– Tak?

Umilkł, więc skoczyła na głęboką wodę.

– Panie dyrektorze, bardzo dziękuję za propozycję urlopu. Ale przemyślałam to i doszłam do wniosku, że może jednak mogłabym się do czegoś... przydać – zakończyła bez przekonania.

Garcia milczał jeszcze przez chwilę.

– Jest pani pewna?

– Tak, muszę się czymś zająć.

– Dobrze. Może tak będzie lepiej. Tak się przypadkiem składa, że mam dla pani tymczasowego opiekuna.

– Tymczasowego? – Nie wiedziała, że coś takiego istnieje.

– Ktoś zgodził się panią prowadzić do czasu, aż znajdziemy stałe zastępstwo. Pracuje w Waszyngtonie i przyjechał do Albuquerque, żeby zebrać dowody w skomplikowanej sprawie o oszustwo. Prowadził już młodych agentów i zostanie tu jakiś czas.

– Oczywiście. Bardzo dziękuję.

– W takim razie skontaktuję się z nim i spytam, czy jest zainteresowany.
I zanim zdążyła dobrze się zastanowić, Garcia przerwał połączenie.

SKIP CZEKAŁ coraz bardziej zaniepokojony. Noam był ponad dwie godziny spóźniony. Słońce dotykało już horyzontu, a Bitan przepadł.

– Gdzie on, do diabła, jest, Mitty?

Słyszając swoje imię, pies postawił uszy i spojrzał na niego pytająco. Skip podrapał się po głowie, ciesząc się, że nie jest sam.

Szukał Bitana całą godzinę. Podążał jego śladami po suchym jeziorze, co było łatwe, ale kiedy astronom wszedł między trawiaste wzgórza, ślady kompletnie zniknęły. Wspiął się na kilka wyższych wzniesień, żeby się rozejrzeć, lecz na próżno. W końcu, coraz bardziej spanikowany, wrócił na miejsce spotkania.

Przez głowę przebiegło mu kilka scenariuszy: Noam spadł ze skały i jest ranny. Znalazł miejsce katastrofy UFO i zafascynowany odkryciem, stracił poczucie czasu. Wyczerpała się bateria w jego GPS-ie i się zgubił. Ukąsił go grzechotnik.

Wyłączył tryb samolotowy w telefonie, aby wysłać mu SMS-a, ale nigdzie nie mógł złapać zasięgu, nawet na wierzchołkach wzgórz. Jedyne skutki były takie, że z dwudziestu procent baterii zostało tylko pięć. W końcu w ogóle wyłączył komórkę, żeby zachować tę ostatnią odrobinę prądu. Do obozowiska było co najmniej dziesięć kilometrów i bał się, że bez GPS-u nie znajdzie po ciemku szlaku prowadzącego na szczyt mesy.

Kilka chwil później słońce zniknęło za horyzontem w kipieli złocistego światła i nadszedł zmierzch. Wiedział, że na pustyni ciemność zapada bardzo szybko, więc sytuacja pogarszała się z minuty na minutę. Coś się stało Bitanowi i musiał wrócić do bazy, żeby zawiadomić ludzi i rozpocząć poszukiwania. Ale będzie wracał po ciemku, bezksiężycową nocą.

Wstał i po raz ostatni powiódł wzrokiem po suchym jeziorze. Potem odwrócił się i spojrzał w stronę odległej Diabelskiej Góry, czarnej kreski na horyzoncie. Nie widział ruin wieży obserwacyjnej, były za daleko. Potrzebował ustalić dokładny kierunek marszu, a żeby to zrobić, musiał włączyć telefon. Tak, ustali kierunek, a potem znów wyłączy komórkę.

Pełen lęku nacisnął przycisk i po chwili z ulgą zobaczył na ekranie logo Apple.

Chwilę czekał, aż telefon się uruchomi. W końcu ukazał się ekran blokady, ale komórka cicho pisnęła i wskaźnik baterii zaświecił na czerwono. Skip zaklął i włączył Google Earth. Teraz z kolei czekał, aż GPS połączy się z satelitą i załaduje aplikację. GPS działał również bez satelity – wszystkie niezbędne mapy ściągnął już przedtem – ale musiał ustalić swoją pozycję. Zużywał dużo prądu, a wskaźnik baterii był już tylko cieniutką czerwoną kreską.

I nagle, jak na komendę, ekran zgasł.

– Niech to szlag! – krzyknął Skip.

Serce waliło mu jak szalone. Niebo na zachodzie pokrywało się coraz głębszym fioletem. Był głupi – bardzo głupi. Powinien był wyruszyć w drogę powrotną godzinę temu. Ale za bardzo się bał, że Noam wróci, nie zastanie go i się wkurzy.

Spojrzał na odległą Diabelską Górę. Było już za ciemno, żeby mógł wracać po swoich śladach, postanowił więc iść na czuja i u stóp urwiska poszukać prowadzącego na górę szlaku. Jeśli nie znajdzie go w jednym miejscu, spróbuje w innym, a na szczycie mesy będzie wypatrywał świateł obozowiska.

– Dobra, współniku – rzucił do psa. – Idziemy.

Świadomość, że ma już plan działania, podniosła go na duchu i ruszył przed siebie szybkim krokiem. Na niebie pojawiły się pierwsze gwiazdy, najpierw te najjaśniejsze, i planety, a potem się od nich zaroilo. Było coraz chłodniej i miał jeszcze wodę. Założył, że jest około ósmej. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, o dziesiątej dotrze do obozowiska, skrzyknie ludzi i pojedą szukać Bitana. Na szczycie mesy jeep znakomicie sobie radził, a szlak

prowadzący do suchego jeziora, ten obok wieży, też był dość szeroki, tyle że stromy.

Już niedługo wszystko się skończy. „Zachowaj spokój i rób swoje”, mamrotał, powtarzając słowa, dzięki którym Brytyjczycy przetrwali niemieckie naloty.

Więc szedł w kierunku ciemnej linii skał, aż noc zapadła na dobre. Bez zanieczyszczenia świetlnego gwiazdy wyglądały niesamowicie, jak wielkie obłoki świetlistego pyłu. Księżyc jeszcze nie wzeszedł i Skip nie widział już, gdzie idzie, bo ziemia zmieniła się w morze czerni. Ale spojrzał w niebo, szybko wypatrzył Gwiazdę Polarną i skręcił na południowy wschód. Z Gwiazdą Polarną za plecami, za lewym ramieniem, powinien utrzymać stały kurs, bez zbaczania z trasy czy kręcenia się w kółko.

Po godzinie marszu alkaiczna skorupa suchego jeziora wreszcie zniknęła. Poczuł, że teren się podnosi, i dziesięć minut później stanął u stóp urwiska, czarnej ściany przesłaniającej niebo.

Na razie wszystko szło dobrze. Tylko gdzie jest ten szlak? Założył, że po lewej stronie, i ruszył w tamtym kierunku. Było tak ciemno, skalna ściana była tak bezkształtna i rozmazana, że musiał sprawdzać każdą szerszą bruzdę. Na próżno, bo ilekroć zaczynał się wspinać, zawsze natrafiał na litą skałę.

Osiemset metrów dalej znalazł w końcu obiecującą skarpe. Żałował – który to już raz? – że nie zabrał latarki czołowej, ale kto mógł przypuszczać, że będzie wracał po ciemku?

Z sercem przepelnionym nadzieją zaczął się wspinać. Ściana stawała się coraz bardziej stroma – dużo bardziej, niż to pamiętał – mimo to nie zrezygnował. Kilkanaście metrów wyżej stromizna powiększyła się jeszcze bardziej. Zdał sobie sprawę, że choć to nie szlak, może go doprowadzić na szczyt mesy.

Wspinał się więc dalej, teraz już na czworakach, po bokach mając skalne ściany ginące w nieprzeniknionej ciemności. Widział, że czworonożny Mitty radził sobie lepiej, i pogłaskał go po puchatej głowie, żeby dodać sobie otuchy. Zakołysał nim nagły podmuch wiatru. Zakręciło mu się

w głowie i zdezorientowany, szybko usiadł, żeby się uspokoić. Spojrzał za siebie, na równinę, i z zaskoczenia wstrzymał oddech.

Światła. Zobaczył światła!

W oceanie czerni pływały malutkie punkciki. Tak, to na pewno były światła, bardzo odległe, ledwo widoczne. Po chwili stwierdził, że się poruszają. Jedno zgasło, potem zgasło drugie, lecz po kilku sekundach znowu się zapaliły. Nie wiedział, w którym dokładnie są miejscu, ale majaczyły chyba na Wzgórzach Końskiego Nieba albo gdzieś za nimi.

Czy Noam zabrał ze sobą latarkę albo lampę? Nic o tym nie wspominał. No i na pewno zabrałby dwie. Coraz bardziej chciało mu się pić, więc wyjął butelkę wody. Cholera. Potrząsnął nią i wypił łyk, zostawiając troszkę na samym dnie. On i Nora wychowali się na ranchu, a jedna z żelaznych zasad, które wpoił im ojciec, głosiła, że nigdy, przenigdy nie pije się wody do końca. Ojciec umarł z pragnienia na pustyni, ale kiedy go znaleziono, wciąż miał wodę w manierce.

Po chwili wahania dał resztkę swojej Mitty'emu, który błyskawicznie ją wychłęptał.

Znów spojrzał na światła. Ich obecność znaczyła, że Bitan mógł spotkać jakichś ludzi, przypadkowo lub nie. Pomagali mu? Po prostu miał szczęście? Na pewno nie była to grupa poszukiwawcza z obozowiska. Co oni, u licha, robili na tym pozbawionym dróg pustkowiu? Światełka poruszały się bardzo dziwnie, niemal chaotycznie, ale może było to tylko złudzenie wywołane przez otaczające je morze czerni i brak stałych punktów odniesienia. Poza tym piekły go oczy podrażnione pyłem i słońcem.

Włożył pustą butelkę do plecaka i znów zaczął się wspinać po coraz bardziej przerażającej stromiznie. A potem stromizna natrafiła na pionową skalną ścianę.

Chryste, będzie musiał zejść na dół, a schodzenie jest zawsze trudniejsze. Odwrócił się ostrożnie, uklęknął i zaczął powoli zsuwać się na poślądkach, ale zbocze było naprawdę mocno nachylone, pokryte piaskiem i luźnym żwirem, więc już po kilku sekundach przyspieszył. Rył ziemię rękami, zapierał się nogami, lecz tylko pokaleczył dłonie. Rozpaczliwie krzycząc

przy wtórze głośnego szczekania Mitty'ego, przerażony zsuwał się coraz szybciej i szybciej.

29

NORA OBUDZIŁA SIĘ gwałtownie. Czytając thriller, czekała na brata na kanapie w saloniku i nie zamierzała zasypiać, ale pokonała ją absurdalna historia o ostatnich ziemskich cyklopach. W pełni rozbudzona spojrzała na zegarek. Była piąta rano. Czyżby Skip wrócił tak cicho, że go nie słyszała? Może, ale na pewno usłyszałaby powitalne szczekanie Mitty'ego.

Zerwała się z kanapy. Drzwi do pokoju brata były zamknięte, więc zapukała. Nic, cisza. Otworzyła je i ujrzała puste, posłane łóżko.

– Cholera! – zaklęła, intensywnie myśląc.

Skip powiedział, że wieczorem nie zrobi kolacji, bo idzie z Bitanem na całodzienną wyprawę w poszukiwaniu hiszpańskiej wieży obserwacyjnej. Wyszedł wczesnym rankiem. I nie wrócił.

A Bitan?

Zrzuciła piżamę, szybko się ubrała i otworzyła frontowe drzwi. Przyczepa Bitana stała niedaleko, więc pobiegła tam i zapukała. Nikt jej nie odpowiedział. Poruszała klamką i kiedy okazało się, że drzwi nie są zamknięte na klucz, weszła do środka. W przyczepie panował bałagan i łóżko było nieposłane, ale Noam też gdzieś przepadł.

Momentalnie przeszła na tryb pełnej paniki i pobiegła do przyczepy Tappana. Nie zwracając sobie głowy pukaniem, wpadła do środka i załomotała do drzwi sypialni. Po chwili otworzył je tylko w bieliźnie i podkoszulku.

– Przyszłaś na drugą rundkę? – spytał, ale na widok jej miny natychmiast przestał się uśmiechać.

– Nie ma Skipa i Noama – wysapała. – Wczoraj poszli na wycieczkę i nie wrócili.

– Zaczekaj. – Tappan ubrał się i wyszli na dwór. Tappan przytknął dłonie do ust i zrobił wszystkim głośną pobudkę, a Nora biegała wokoło, łomocząc do drzwi przyczep.

Pięć minut później przed kwaterą Tappana zebrała się grupa zdezorientowanych, zaspanych i rozczochranych obozowiczów. Zapłonęły reflektory, kąpiąc ich w jaskrawym żółtym świetle.

– Zaginęło dwóch... – zaczął Tappan, lecz przerwało mu dobiegające z ciemności szczekanie psa. Po chwili, wciąż głośno szczekając, w krąg światła wpadł Mitty.

– Skip! – zawołała Nora. – Skip!

Z mroku dobiegł niewyraźny głos.

– To on! – krzyknął ktoś, kiedy Skip wyszedł chwiejnie z ciemności – brudny, rozczochrany, w porwanym ubraniu, z zakrwawionym nosem i podrapanym czołem.

Nora podbiegła do niego i wzięła go w ramiona.

– Skip! Jesteś cały?

– Tak, tylko zsunąłem się z urwiska. Posłuchaj, Noam zaginał...

– Ty krwawisz!

Skip wyswobodził się z jej objęć.

– To tylko małe zadrapania. Daj mi coś powiedzieć! – Miał chrapliwy głos.

Nora cofnęła się o krok.

– Możecie dać mi trochę wody? – zawołał. – Zaszło mi w gardle.

Ktoś pobiegł po wodę, a on ciągnął:

– Poszliśmy na całodzienną wycieczkę do tej hiszpańskiej wieży obserwacyjnej. I znaleźliśmy ją. Ale... ale poszliśmy dalej, na równinę i do tych wzgórz. Rozdzieliliśmy się i mieliśmy się spotkać o piątej, ale Noam nie przyszedł. Czekałem kilka godzin, a potem chciałem wrócić tutaj, ale zabłądziłem i padł mi telefon. Zsunąłem się z urwiska i mam podrapane ręce, ale nic mi nie jest. Aha, i uderzyłem się w nos. Myślałem,

że Mitty sprowadzi pomoc, ale nie chciał mnie zostawić. Musimy poszukać Bitana.

Powiedział to jednym tchem, a potem łapczywie wypił wodę.

– Mogę jeszcze? – wysapał, oddając szklankę komuś, kto przyniósł miskę dla psa.

– Skip? – odezwał się Tappan. – Czegoś tu nie rozumiem.

Skip zerknął na niego i widząc minę brata, Norze zamarło serce.

– Skoro celem waszej wycieczki była wieża, po co poszliście dalej? I dlaczego się rozdzieliliście? – Tappan zmarszczył brwi. – Chyba czegoś nam nie mówisz.

Zapadła cisza. Skip spojrzał na Norę, która zapominając na chwilę o trosce o brata, spiorunowała go wzrokiem.

– Dałem mu słowo...

– Nie czas na tajemnice – przerwał mu gniewnie Tappan. – Na miłość boską, Noam może być ranny, nawet umierający. Musisz nam powiedzieć, co tam robiliście.

– Tak, wiem, ale... – Patrząc niepewnie na stojących przed nim kolegów, Skip wciąż się wahał. – Więc Noam myśli, że... – Urwał.

– Mów dalej – ponaglił go Tappan.

Skip wziął głęboki, drżący oddech.

– Noam uważa, że kopie w złym miejscu. Że ten obiekt tylko odbił się tu od ziemi i spadł gdzieś dalej. Obliczył, że powinien leżeć na równinie Atalaya albo za ciągnącymi się za nią wzgórzami. Właśnie tego szukaliśmy, prawdziwego miejsca katastrofy.

– Dokładnie gdzie według niego to jest? – spytał poirytowany Tappan.

Skip otworzył plecak i wyjął pomietą kartkę.

– Narysował mapę. Ten obszar jest zaznaczony czerwoną kredką.

Tappan wyrwał mu kartkę z ręki i spojrzał na mapę.

– I chcieliście to ukryć? Co wam przyszło do głowy?

– To była jego tajemnica. Nie mogłem jej zdradzić. – Skip zwiesił głowę.

– Chciał znaleźć to sam. I dopiero wtedy powiedzieć.

Nora czuła się strasznie. Skip zawałił – znowu. Widziała, że Tappan jest wściekły, ale dobrze to maskuje.

– Dobrze, wrócimy do tego później. Można dojechać tam jeepem?

– Tak, obok wieży obserwacyjnej jest zejście. Współrzędne wieży zaznaczyliśmy na mapie. – Skip zrobił pauzę. – Jest jeszcze coś. Wracając, widziałem światła na wzgórzach. Nie wiem, czy to był Noam, czy ktoś inny.

– Światła? – Tappan umilkł. Potem spojrzał na nich i oznajmił: – Zrobimy tak: załadujemy do trzech jeepów wodę, jedzenie i apteczki pierwszej pomocy. Wyruszymy o brzasku, a więc już za godzinę. Przeszukamy cały obszar zaznaczony na mapie. Czy to jasne?

Szybko wydał kilka bardziej szczegółowych rozkazów. Potem spojrzał na Norę.

– Ty zostaniesz z bratem. Trzeba go umyć i opatrzyć. Zabierzemy walkietalkie i jeśli będziemy mieli do niego jakieś pytania, skontaktujemy się z wami. Skip nadrabia miną, dlatego dobrze go obejrzyj. Potem włącz telefon satelitarny, zadzwoń do swojej znajomej z FBI, zgłoś zaginięcie Bitana i spytaj, co mamy robić.

– Dobrze.

Delikatnie położył rękę na jej ramieniu.

– Dziękuję, Noro. – Spojrzał na swoich ludzi. – Dobra, więc do roboty. Zapakujmy jeepy, zatankujmy i w drogę.

30

PRZESTAŃ, NIC MI NIE JEST – powtórzył poirytowany Skip, kiedy chciała wytrzeć mu zakrwawiony nos. Nos nie był złamany, ale mocno podrapany. Brat miał też mocno poobcierane dłonie, naderwany paznokieć i otarte kolano. Mitty leżał na legowisku kompletnie wykończony.

– Boli? – Poruszała jego palcami, aby sprawdzić, czy nie są złamane.

Drgnął z bólu.

– Nie.

– Co się stało, Skip?

– Przecież mówię: zjechałem na tyłku z urwiska. Muszę tylko wziąć prysznic i będzie po krzyku.

– Dobrze. – Nora wstała. – Potem posmaruję skaleczenia maścią z antybiotykiem i obandażuję.

– Super. – Skip wstał z jękiem z kanapy i pokuśtykał do łazienki. Po chwili usłyszała szum wody.

Był poniedziałek, szósta rano. Za wcześnie, żeby zadzwonić do Corrie? Chyba nie – Corrie była najprawdopodobniej rannym ptaszkiem. Podeszła do telefonu i wybrała numer.

Corrie odezwała się po kilku sygnałach.

– Halo?

Nora natychmiast wyczuła, że coś jest nie tak.

– Corrie? Wszystko w porządku?

Agentka odpowiedziała po długiej chwili milczenia.

– Niezupełnie.

– Co się stało?

Znowu zapadła cisza.

– Morwood nie żyje. Zginął w pożarze.

– Co takiego?

Corrie ciężko westchnęła.

– W piątek wieczorem w laboratorium wybuchł pożar. Morwood tam był, nie wiadomo dlaczego. Nawdychał się dymu i...

– Boże, tak mi przykro.

– Jeszcze to do mnie nie dotarło.

– Straszne. Był porządnym człowiekiem. Wiadomo już, co było przyczyną pożaru?

– Wszczęto śledztwo. Wygląda na to, że wszystko się posypało. Nie zadziałał alarm, nie włączyły się zraszacze, kompletna katastrofa... – Corrie mówiła coraz ciszej, w końcu zamilkła.

– Idziesz... idziesz dzisiaj do pracy?

– Chcieli mi dać tydzień wolnego, ale idę. – Odchrząknęła. – Jest szósta rano, więc pewnie nie dzwonisz bez powodu. Nie chcę obarczać cię moimi kłopotami.

– Niczym mnie nie obarczasz, miałam dla Morwooda dużo szacunku. – Nora zawahała się, lecz postanowiła mówić dalej. – Tak, to prawda, mamy tu mały problem i chciałam zasięgnąć twojej rady, ale to chyba zły moment.

– Zły moment? – Corrie roześmiała się głucho. – Przeciwnie, doskonały. Muszę się od tego oderwać, a nic nie pomoże mi tak jak praca.

– Rozumiem. – Nora przełknęła ślinę. – Zaginął jeden z naszych naukowców, doktor Noam Bitan. Nie wiem, być może się zgubił. Chodził po jakichś wzgórzach na zupełnym pustkowiu i nie wrócił na noc. Wysłaliśmy już ludzi na poszukiwania, ale Tappan prosił, żebym do ciebie zadzwoniła i spytała, co mamy robić, jeśli go nie znajdą.

– Wiecie gdzie mniej więcej zaginął?

– Najprawdopodobniej w okolicach Wzgórz Końskiego Nieba na północ od Martwego Jeziora.

– Nie mam pojęcia, gdzie to jest. W hrabstwie Chaves?

– Chyba tak. Zajęlibyście się czymś takim?

– Tylko wtedy, gdyby miało to związek z tym podwójnym zabójstwem, a to raczej mało prawdopodobne. Nasza jurysdykcja tam nie sięga, więc musiałby się temu przyjrzeć miejscowy szeryf.

– Czyli kto?

– Nie wiem. Mogę zadzwonić do szeryfa Wattsa i się dowiedzieć. Zresztą i tak dobrze by było wprowadzić go w sytuację. Mieszka w Socorro, kilka hrabstw na zachód od was.

– Zgłosić to już teraz czy najpierw upewnić się, że Bitan rzeczywiście zaginął?

– Już teraz, jak najszybciej. Jeśli wróci za kilka godzin, nic się nie stanie. Pocieszę cię: zdecydowana większość zaginionych odnajduje się w ciągu dwudziestu czterech godzin. Przekręcę do Wattsa i spytam, z kim powinniście się skontaktować. Oddzwonię.

– Dzięki. I bardzo mi przykro z powodu Morwooda.

– Przynajmniej mam teraz co robić. Na razie.

Otworzyły się drzwi i rozczesując włosy, z łazienki wyszedł Skip w szlafroku.

– No – rzuciła. – Nareszcie nie wyglądasz jak brudny, obdarty ze skóry kot. Usiądź. Muszę cię obejrzeć.

Usiadł i ponownie zbadała jego nos. Będzie miał podbite oko, ale otarcia i zadrapania rzeczywiście były tylko powierzchowne. Posmarowała je maścią z antybiotykiem i obandażowała.

– I proszę, jesteś jak nowy.

– Dzięki, siostrzyczko. – Skip podrapał się w głowę. – Chyba dałem ciała.

– A jak myślisz?

– Tappan jest wkurzony.

– Prawdopodobnie.

– Może mnie wyrzucić.

– Może.

– Cholera, po co ja dałem Bitanowi słowo, że nic nikomu nie powiem? Był taki pewny siebie. Chryste, zawsze muszę wszystko spieprzyć. – Ukrył

twarz w dłoniach.

Zalała ją fala współczucia. Biedny Skip. Był taki łatwowierny, tak łatwo dawał się zwieść.

– Wygląda na to, że wyprowadził cię w pole. Może Tappan to dostrzeże.
– W razie konieczności mogła go przekonać, żeby nie karał brata zbyt surowo. Przypomniało jej się ich krótkie, lecz szalone spotkanie w przyczepie. Ale nie, nigdy by tego nie wykorzystała.

– Na pewno mnie wyrzuci – wymamrotał Skip zbyt pochłonięty sobą, by zauważyć rumieńce na jej twarzy.

– Posłuchaj, Bitan się znajdzie. Przeprosi nas i wszystko będzie jak dawniej. A to, co mówił, że ten obiekt tylko tu zrykoszetował, ma dużo sensu. Żałuję, że sama na to nie wpadłam. Myślę, że Tappan daruje mu ten wygłup. Musimy teraz znaleźć właściwe miejsce katastrofy i znów zacząć kopać.

– Ciągle myślę o tych światłach. Widziałem je chyba tam, gdzie szukaliśmy.

– Może to jakiś ranczer szukał swoich koni. Albo szpiedzy. Może Bitan jest szpiegiem i ktoś miał go tam odebrać. Moim zdaniem to najbardziej prawdopodobne.

Skip podniósł głowę.

– Bitan szpiegiem?

– Możliwe.

– I dla kogo szpieguje?

– Nie wiem. – Nora się zawahała. – Niech to zostanie między nami, ale Tappan podejrzewa, że mamy tu kreta. Może to on.

– Nie, chyba nie... – Skip spojrział na nią niepewnie. – Coś mi opowiedział. Historię, która przydarzyła mu się, kiedy służył w izraelskim wojsku. Dałem mu słowo, że nikomu tego nie powtórzę.

Nora czekała. Nie była pewna, czy chce to usłyszeć. Bała się, że Skip może wpaść w jeszcze większe tarapaty. Ale po chwili brat i tak jej powiedział.

– Porwali go kosmici.

– Żartujesz.

– Nie. Na górze Hermon w Izraelu. Rozmawiali z nim, powierzyli mu misję, powiedzieli, że to jego przeznaczenie...

– Jaką misję?

– Ma udowodnić światu, że obcy nas obserwują i czekają, że chcą dla nas jak najlepiej i mają dla nas plan, dobry plan.

Nora przyjrzała mu się uważnie. Brat nie fantazjował.

– Dobrze. Naprawdę myślisz, że to... prawda? A może Bitan jest trochę... pokręcony? – Była pewna, że jest, ale chciała poznać opinię Skipa.

– On naprawdę w to wierzy – odparł. – Bez dwóch zdań. Posłuchaj, to nie fanatyk, to jeden z najwybitniejszych astronomów na świecie. Instytut Weizmanna, Kalifornijski Instytut Techniczny, SETI. Znasz kogoś bardziej wiarygodnego? Więc jeśli mówi, że tak było... – Nie dokończył i zdanie zawisło w powietrzu.

Nora spróbowała spokojnie to przeanalizować. Myśl była oczywiście absurdalna. Gdyby obcy chcieli zdradzić swoją obecność i ujawnić jakiś plan dla ludzkości, nie zrobiliby tego, wprowadzając młodego izraelskiego żołnierza. To nie miało sensu. Ale Skip podchodził do tego tak poważnie, że nie było też sensu z nim dyskutować. Zastanawiała się, czy powiedzieć o tym Tappanowi. Ostatecznie nie miało to związku ze zniknięciem Bitana, a mogło stworzyć dodatkowe problemy, zwłaszcza gdyby astronom się odnalazł i odkrył, że Skip wszystko wygadał.

– Myślę – powiedziała powoli – że lepiej będzie, jeśli zatrzymasz to dla siebie.

CORRIE SIEDZIAŁA PRZY BIURKU, po raz dziesiąty przeglądając te same papiery. Spotkanie miała dopiero o jedenastej, ale przysłała o ósmej z mocnym postanowieniem, że skoro już zrezygnowała z urlopu, musi pracować do upadłego, bez względu na to, czy każą jej gasić jakieś pożary, czy nie.

Pożary. Skrzywiła się i dała sobie w duchu porządnego kopniaka. Była wkurzona, że nie może dokończyć rekonstrukcji twarzy, bo w laboratorium wybuchł pożar, zapominając, że w tym właśnie pożarze zginął jej szef.

Po rozmowie z Garcia starała się nie myśleć o śmierci Morwooda ani o oskarżeniach Lathropa. Bardzo jej pomógł telefon od Nory Kelly, bo miała teraz pretekst, aby zadzwonić do Homera Watta, szeryfa hrabstwa Socorro, i spytać go o radę w sprawie tego zaginionego naukowca. Nie, chyba nie nazwałaby tego „pretekstem”, bo chociaż Watts się jej podobał – brązowe oczy, czarne włosy, gwiazdorska uroda, kowbojski kapelusz i dwa colty – w ciągu ostatnich kilku miesięcy prawie w ogóle o nim nie myślała. Ucieszył się na jej telefon, a wiadomość o śmierci Morwooda napełniła go szczerym smutkiem. Kiedy wyjaśniła, po co dzwoni, głośno jęknął. Okazało się, że szeryfem hrabstwa Chaves jest niejaki Buford – „To nazwisko mówi wszystko”, tak powiedział – porządny gość, sęk tylko w tym, że dużo bardziej woli się dumnie przechadzać, pobrzękując kajdankami u pasa, niż rozwiązywać sprawy. Mimo to obiecał do niego zadzwonić, jeśli Corrie zechce spotkać się z nim jutro na śniadaniu, aby nadrobić zaległości, oczywiście zawodowe. Chociaż nie widziała takiej potrzeby – bo co tu było do nadrabiania? – chętnie się zgodziła, ciesząc się w duchu z zaproszenia.

– Cześć, Corrie.

Obok boksu przeszedł ich listonosz, a na biurko spadła duża gruba koperta, międzyagencyjna przesyłka. Natychmiast ją otworzyła. Wyniki badania koronek – właśnie na to czekała. Z zainteresowaniem przeczytała cały raport. Okazało się, że koronki są zrobione z AISI 321, stopu stali nierdzewnej, niklu i chromu. Na świecie było tylko jedno miejsce, gdzie tak starannie je odlewano i obrabiano: Związek Radziecki. I robiono je tylko od tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego do tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku.

Usiadła wygodniej. A więc znaleziony na pustyni mężczyzna był Rosjaninem. A przynajmniej mieszkał jakiś czas w Związku Radzieckim. Co robił w Meksyku w tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym roku? Odpowiedź na to pytanie nie była całkiem niejasna.

Zerknęła na zegarek. Cholera, już jedenasta. Zerwała się z fotela i wybiegła z boksu. Jeśli ten starszy agent naprawdę zgodził się ją prowadzić, choćby jedynie tymczasowo, spóźnienie się na pierwsze spotkanie było ostatnią rzeczą, jakiej by chciała.

Drzwi do gabinetu – dawnego gabinetu – Morwooda były otwarte, więc zapukała w metalową futrynę.

– Proszę – powiedział ktoś barytonem.

Weszła do środka...

I z zaskoczeniem stwierdziła, że prawie nic się tam nie zmieniło. Z biurka zniknęły osobiste drobiazgi Morwooda, a ze ścian oprawione w ramki pochwały, ale wszystkie meble stały tam, gdzie przedtem, nie zdjęto też obrazów z pustynnymi krajobrazami ani nie tknięto książek na półkach. To, wraz z niecierpliwą chęcią poznania nowego opiekuna, napełniło jej serce smutkiem i poczuciem winy. Nie wiedziała, czy brak zmian przypisać niedawnemu przybyciu agenta, czy szacunkowi dla Morwooda. A może jednemu i drugiemu? Tak czy inaczej, jeszcze mocniej podkreślało to fakt, że jej mentor był bardzo skryty i nie wystawiał się na pokaz.

Nowy użytkownik gabinetu wstał na powitanie. Uderzyło ją, że w porównaniu z Morwoodem tak młodo wygląda, ale szybko

zauważyła, że ma twarz, po której trudno jest odgadnąć wiek: mógł mieć zarówno trzydzieści pięć, jak i czterdzieści pięć lat. W garniturze, dobrze ostrzyżony i starannie ogolony, pasował do obrazu typowego agenta FBI, ale było w nim coś – może ten przyjazny, otwarty uśmiech albo to, że byle jak leżało przed nim kilka otwartych teczek – co skojarzyło się jej z agentem Pendergastem i jego niechęcią do biurokracji.

– Agentka Corinne Swanson, prawda? Miło mi. Proszę spocząć.

– Dziękuję, panie naczelniku. – Odruchowo zrobiła krok w stronę krzesła, na którym zawsze siadała, lecz w ostatniej chwili usiadła na sąsiednim.

– Chciałam podziękować, że zechciał pan...

Podniósł do góry ręce, jakby się poddawał.

– Proszę. Po pierwsze, nie wiem, jak długo tu zostanę, chociaż sprawa, którą prowadzę, może się przeciągnąć. A po drugie, mogę się okazać nieznośnym tyranem.

Znów się uśmiechnął, a ona skinęła głową i też posłała mu lekki uśmiech. Poczucie ulgi, które ogarnęło ją na wiadomość, że zostanie tymczasowego opiekuna, jeszcze bardziej się nasiliło. Znaczyło to, że będzie mogła dalej pracować i, co więcej, że rozumiejąc jej sytuację, nowy mentor postara się zrobić wszystko, aby poczuła się swobodniej.

– Zrobmy tak. – Przeczesał ręką kasztanowe włosy. – Ponieważ jest to nasze pierwsze spotkanie, będę mówił głównie ja. A pani spróbuje się rozluźnić. Wiem, że to był ciężki weekend.

– Dziękuję, panie naczelniku – powtórzyła.

– Najpierw chciałbym powiedzieć, że śmierć Hale’a Morwooda bardzo mną wstrząsnęła. Wiem, że panią też. Nie znałem go, ale cieszył się wielkim szacunkiem wśród kolegów i na początku kariery wyszedł cało z kilku eskapad, które starzy weterani wspominają do dziś. Może kiedyś o nich pani opowiem.

– Chętnie posłucham.

– Najlepsze, co mogę teraz zrobić, to wprowadzić panią w szczegóły śledztwa w sprawie pożaru, oczywiście z zastrzeżeniem, że dochodzenie dopiero się zaczęło. Nie znaleziono żadnych katalizatorów, ale ponieważ

laboratorium mieści się w podziemiach gmachu FBI, trudno zakładać, że doszło do celowego podpalenia. Cokolwiek go wywołało, pożar był bardzo intensywny i obawiam się, że niewiele tam zostało. Jeśli chodzi o agenta Morwooda, początkowe ustalenia wskazują, że była to śmierć przez uduszenie. Za parę dni, po sekcji zwłok, lekarz sądowy przedstawi szczegóły. Może pani wysłuchać jego raportu razem ze mną, jeśli oczywiście pani chce.

– Tak, chciałabym.

– Może do tego czasu domyśli się pani, co Morwood tam robił o tak późnej porze, chociaż z drugiej strony rozumiem, że był nocnym markiem.
– Agent pytająco uniósł brwi.

– Tak, to prawda.

– Dobrze. A teraz porozmawiajmy o tym, czym się pani obecnie zajmuje... – Przesunął kilka teczek, w końcu znalazł tę, której szukał. – Dwie niezidentyfikowane osoby zastrzelone i zakopane w pobliżu Roswell. Zerknąłem na dokumenty, ale szczegóły wolałbym usłyszeć bezpośrednio od pani. Ostatecznie to pani prowadzi tę sprawę. – Uśmiechnął się i figlarnie błysnął oczami.

Wzięła głęboki oddech i przedstawiła mu pokrótce fakty – można to było zrobić kilkoma przygnębiająco krótkimi zdaniami.

– Dziękuję – powiedział, kiedy skończyła. – Następne kroki?

– Dziś rano dostałam wyniki badań tych czterech stalowych koronek.

Znów uniósł brwi.

– Proszę wybaczyć, jak już wspominałem, nie znam szczegółów.

– To koronki mężczyzny. Ponieważ są wykonane z dość niezwykłego materiału, wysłałam je do Quantico do analizy. Okazuje się, że zrobiono je w Związku Radzieckim. Mężczyzna był prawdopodobnie Rosjaninem i, zważywszy na miejsce i czas, szpiegiem.

Powoli skinął głową.

– No i?

– Jeśli tak, bez wątplenia interesował się programem badań nad bronią nuklearną w Los Alamos, o którym w tysiąc dziewięćset czterdziestym

siódmym roku Sowieci wiedzieli już wszystko. Z tego, co wiem, większość ich agentów rezydowała w Santa Fe.

– Bardzo ciekawe.

– Choć to mało prawdopodobne, w jakimś zakurzonej archiwum w Santa Fe wciąż może leżeć dokumentacja dentystyczna, która pomogłaby ustalić jego tożsamość. Chcę tam pojechać, choćby tylko dlatego, że jest to jeden z nielicznych dowodów, jakimi dysponujemy.

– Dobry plan.

– Dziękuję, panie naczelniku.

Odłożył teczkę i lekko nachylił się ku niej.

– Oczywiście chciałbym być na bieżąco. Najlepiej by było, gdyby przedstawiła mi pani wszystkie ślady i dowody, które udało się do tej pory zgromadzić. Zorientowalibyśmy się, na czym stoimy, i zdecydowalibyśmy, co dalej, zwłaszcza po tym, co się stało.

Znów przypomniała sobie o pożarze i śmierci Morwooda i poczuła ukłucie bólu.

Naczelnik musiał się tego domyślić, bo zniżył głos.

– Proszę posłuchać. Wiem o tych zarzutach, słyszałem też trochę o Lathropie. Nie jest pani o nic oskarżona i nie toczy się przeciwko pani śledztwo. Jeśli ma to jakieś znaczenie, myślę, że zostanie pani w stu procentach oczyszczona. Dlatego sugeruję, a nawet rozkazuję, żeby przestała się pani zadręczać. Czytałem raporty agenta Morwooda na pani temat i odniosłem wrażenie, że uważał panią za najlepszą młodą agentkę, jaką kiedykolwiek prowadził.

Było to tak nieoczekiwane, że całkowicie roztrzaskało jej pancerz. Coś w środku pękło i z trudem powstrzymała łzy.

– Dziękuję, panie naczelniku – powiedziała, próbując zachować spokój.

– Dobrze, w takim razie oto mój ostatni rozkaz. – Na jego twarz powrócił słaby uśmiech. – Proszę nie tytułować mnie „naczelnikiem”. Wystarczy „agent Lime”. A ja będę zwracał się do pani per „Swanson”. Umowa stoi?

– Stoi – odparła, gdy udało jej się zapanować nad drżącym głosem.

– Stoi...

– Agencie Lime – dodała.

– Właśnie, tak jest dużo lepiej. Dziękuję, Swanson. A teraz proszę zebrać materiały do omówienia. – I ruchem głowy dał jej znak, że jest wolna.

Corrie wstała, wyszła z gabinetu i wróciła do swojego boksu.

GREG BANKS ZATRZYMAŁ SIĘ obok jeepa Tappana i trzeciego jeepa, który prowadziła Cecilia Toth. Kiedy opadła chmura kurzu, wszyscy wysiedli i popatrzeli na płaską, białą równinę i ciągnące się za nią wzgórza. Przerazająca pustka, mimo to piękna, pomyślał Banks. Widział takie krajobrazy tylko w filmach science fiction, które oglądał pasjami jako dzieciak.

Tappan spojrział na ekran GPS-u.

– Tu Skip miał się spotkać z Bitanem. Od tego miejsca zaczniemy.

Słońce stało już wysoko nad horyzontem i szybko rosła temperatura. Niczym wyprężony błady wąż w oddali przemknął pustynny diablik.

– Widać ich ślady – dodał Tappan.

Na miękkiej, alkaicznej skorupie pokrywającej suche jezioro łatwo było je dostrzec. Jedne prowadziły w lewo, drugie w prawo. Banks powiódł wzrokiem po bezkresnej równinie. Nikogo. Ani śladu Bitana.

– Greg – rozkazał Tappan. – Ty pojedziesz w lewo, my w prawo. Cecilia weźmie środek. Kierujemy się na wzgórza.

Wsiedli do jeepów. Banks wrzucił bieg i powoli ruszył. Ślady prowadziły prosto, skręcały i zawracały – zapewne celowo – aż dotarły do pierwszych wzgórz. Tam Banks się zatrzymał, bo teren był nieprzejezdny. Wysiadł, aby się rozejrzeć, lecz na trawiastych zboczach nie było widać żadnych tropów.

Zatrzeszczało radio.

– Banks? – wywołał go Tappan. – Przez wzgórza pójdziemy na piechotę, w odległości kilometra od siebie.

– Przyjąłem.

– I nie wyłączaj GPS-u.

Greg włożył plecak z wodą i lunchem. Idąc w górę zbocza, myślał o Bitanie i jego dziwactwach. Głupi palant, od początku go podejrzewał. Nie wiedział dlaczego, ale zawsze miał wrażenie, że astronom coś knuje. Poza tym odstręczały go jego arogancja i wyniosłość.

Wszedł na szczyt pierwszego wzgórza, przytknął lornetkę do oczu i kilometr w prawo zobaczył kogoś, kto robił to samo. Stłoczone pagórki, falująca na wietrze wysoka trawa, tu i ówdzie niskie dęby powykęcane jak miniaturowe bonsai – poczuł się jak na obcej planecie. Wzgórza były poprzecinane małymi wąwozami. Gdyby ktoś do takiego wpadł, nigdy by go nie znaleziono.

Kątem oka dostrzegł jakiś ruch i szybko przesunął lornetę w tamtą stronę. Zboczem sąsiedniego wzgórza biegło stado koni, które szybko zniknęły po drugiej stronie, zaniepokojone, że ktoś wtargnął do ich krainy. Wzgórza Końskiego Nieba – pasująca nazwa, pomyślał, schodząc na dół.

Szedł dalej, cały czas na północ, to wdrapując się na wzgórza, to z nich schodząc, a czasem idąc wydeptanymi przez konie ścieżkami. Ale nie widział nic oprócz płochliwych jak jelenie koni, które natychmiast uciekały na jego widok. Po kilku kilometrach wzgórza przeszły w szeroką dolinę najeżoną piaskowcowymi kopcami. To pewnie Los Gigantes, pomyślał, dolina olbrzymów. Za kopcami teren zaczynał się wznosić i stopniowo przechodzić w góry, fioletowe w przedpołudniowym słońcu.

Zrobił sobie odpoczynek pod cienistym dębem, napił się wody i zjadł granolę. Trafił tu trochę zwariowanym sposobem, nagle i zupełnie niespodziewanie. Trzy tygodnie temu ktoś do niego zadzwonił do Londynu, jakaś kobieta, która powiedziała, że zaraz połączy go z Lucasem Tappanem. W pierwszej chwili pomyślał, że to koledzy robią mu kawał, ale kiedy w słuchawce odezwał się Tappan, zdał sobie sprawę, że to wszystko dzieje się naprawdę. A potem była propozycja pracy, niewiarygodne wynagrodzenie i żądanie, żeby natychmiast wszystko rzucił. Tydzień później był już tutaj, na drugim końcu świata, gdzie miał zbadać miejsce domniemanej katastrofy UAP. Choć od dawna wierzył,

że niezidentyfikowane zjawiska powietrzne naprawdę istnieją, miał poważne wątpliwości co do Roswell. Ale wszystkie się rozwiały, kiedy wyniki badań spektrometrem masowym ujawniły obecność śladowych ilości nieznanego superciężkiego pierwiastka. Przeżył wtedy największy wstrząs w życiu. Sprawdził wyniki sto razy, ale za nic nie mógł zinterpretować ich inaczej. To był jednoznaczny dowód, dowód, że naprawdę spadł tu obiekt zrobiony z nieznanego materiału, wytwór pozaziemskiej inteligencji. Jeszcze nie ogarnął w pełni znaczenia tego odkrycia. Czuł, że na pewno zmieni jego życie, ale jak? Tego nie wiedział.

Nieuchronnie nasuwały się też inne wnioski: amerykański rząd rzeczywiście znalazł w Roswell jakiś pozaziemski obiekt i starannie ten fakt ukrył. Co się działo przez te siedemdziesiąt lat? Czyżby władze korzystały już z pozaziemskich technologii? Czyżby kontaktowały się z kosmitami? Jak by zareagowały, gdyby ktoś odkrył ich wieloletni spisek? Greg czuł, że wpływa na niezbadane wody.

No i był jeszcze Tappan, który nalegał, aby utrzymać to wszystko w tajemnicy. Ciekawe dlaczego.

Znowu zatrzeszczało radio.

– Masz coś?

– Nie, nic.

– Idź dalej. Spotkamy się w dolinie, przy tych kopcach. – Tappan przysłał mu współrzędne miejsca spotkania.

– Dobra, przyjmąłem.

Greg przełknął ostatni kęs granoli, wypił łyk wody i poszedł dalej. Zastanawiał się, co się mogło stać Bitanowi. Facet wychował się na pustyni Negew, więc powinien dobrze tu sobie radzić. Poza tym trudno tu było się zgubić. Nawet jeśli padł mu GPS, musiałby tylko wejść na pierwsze lepsze wzgórze, rozejrzeć się i ustalić kierunek marszu. Oczywiście mógł wpaść do wąwozu albo nadepnąć na jadowitego węża, ale bardziej prawdopodobne było to, że zaaranżował swoje zniknięcie. Światła, które widział Skip, wskazywały, że ktoś go po prostu odebrał. Ale jeśli tak, dlaczego nie zauważyli śladów opon?

Dolina pełna wysokich na dziesiątki metrów piaskowcowych kopców o płaskich wierzchołkach robiła dramatyczne wrażenie. Nigdzie nie było ani odrobiny cienia.

* * *

Trzy godziny później byli już z powrotem przy jeepach. Za suchym jeziorem nie znaleźli śladów Bitana ani śladów stóp, ani żadnych innych śladów obecności człowieka. Ku wielkiej uldze Banksa o pierwszej, po siedmiu godzinach bezowocnej wędrówki, Tappan zarządził koniec poszukiwań i powrót do obozowiska.

O PIĄTEJ NORA WESZŁA DO BARAKU 1, a za nią niechętnie jej brat. Skip nie chciał przyjść na zwołaną przez Tappana naradę – za bardzo się wstydził i bał, że Tappan go wyrzuci – ale wytłumaczyła mu, że swoją nieobecnością jeszcze bardziej pogorszy sytuację. Przy dużym stole w sali konferencyjnej zasiedli wszyscy naukowcy. Tappan przyszedł jako ostatni, pięć minut spóźniony, i od razu ruszył w stronę końca stołu. Ale zamiast usiąść, położył ręce na oparciu krzesła i ogarnął wzrokiem zatroskaną grupę.

– Jak wiecie – zaczął – nie znaleźliśmy doktora Noama Bitana. Nie jesteśmy pewni, czy jego zniknięcie było zamierzone, czy przypadkowe. Jesteśmy oczywiście zaniepokojeni i zawiadomiliśmy FBI oraz szeryfa hrabstwa.

Znów się rozejrzył.

– Jak większość z was już zapewne wie, doktor Bitan odkrył coś niezmiernie ważnego dla naszego projektu, coś, co może wyjaśnić jego zniknięcie. – Zatrzymał wzrok na Skipie. – Zdradził to odkrycie swojemu asystentowi, Skipowi Kelly’emu, i teraz poproszę, żeby Skip zdradził je nam.

Nora zerknęła na brata i zobaczyła na jego twarzy przerażenie.

– Ja... ja? – wyjąkał.

– Tak, ty. – Tappan przeszył go wzrokiem. – Rozumiem, dlaczego czułeś się zobowiązany do zatajenia tej informacji, ale nadszedł czas się nią podzielić. Musimy usłyszeć to z twoich własnych ust.

– Tak jest – powiedział Skip. – Przepraszam. Jest mi bardzo przykro. Wiem, że was zawiodłem.

Tappan machnął ręką.

– Wstań, żeby wszyscy cię widzieli.

Skip wstał, nerwowo poprawiając włosy.

– Jak już mówiłem niektórym z was, Bitan doszedł do wniosku... To znaczy z jego obserwacji i obliczeń wynikało, że ten obiekt nie spadł tutaj, pod Roswell, tylko zupełnie gdzie indziej. Nadleciał pod tak ostrym kątem, że tutaj tylko odbił się od ziemi, znów wzbił w powietrze i poleciał dalej. Bitan obliczył przybliżone współrzędne miejsca jego upadku. I właśnie jego szukaliśmy, tego obiektu, kiedy Noam... zniknął.

– Rozumiem, że obiektu nie znaleźliście? – spytał Tappan.

– Nie.

– Dziękuję. Chcesz coś dodać?

Skip się zawahał.

– Nie, chyba nie. – Usiadł z twarzą błyszczącą od potu.

Nora ucieszyła się, że nie wyskoczył z tą historią o porwaniu przez obcych.

– Nasi inżynierowie sprawdzili jego obliczenia – kontynuował Tappan. – I potwierdzili, że miał rację: obiekt rzeczywiście odbił się od ziemi i poleciał dalej. Co więcej, potwierdza to również fakt, że w bruzdzie, czy też wyłobieniu, które wyrył, Nora nie znalazła jego szczątków. Greg Banks sprawdził i uściślił jego prawdopodobną trajektorię. Greg?

Banks wstał w plikiem kartek w rękę.

– Zweryfikowaliśmy obliczenia Bitana, modelując komputerowo przypuszczalny kształt obiektu, jego prędkość, kąt lotu, wagę, opór i tak dalej. Oczywiście brakuje nam kilku danych, ale model wskazuje, że Bitan niedokładnie obliczył współrzędne ostatecznego miejsca upadku. Naszym zdaniem trajektoria lotu była dłuższa i obiekt wylądował w pobliżu kopców Los Gigantes albo jeszcze dalej, u podnóża gór.

– Na ile jesteście tego pewni? – zapytał Tappan.

– Na osiemdziesiąt procent. Obiekt powinien spoczywać w obrębie elipsowatego obszaru, który zaznaczyliśmy na mapie. Właśnie skanują go lidarem.

– Dziękuję, Greg, Witalij o tym opowie. Witalij?

Kuzniecowa wstał i wygładził włosy.

– Kiedy Greg skończył obliczenia, ściągnęliśmy samolot z lidarem. Mieliśmy szczęście, bo udało się to zrobić w ostatniej chwili i oczywiście za odpowiednią cenę. Samolot przyleciał z Albuquerque około czwartej i, jak wspomniał Greg, krąży teraz nad tym obszarem. Przeskanowanie trzynastu kilometrów kwadratowych potrwa około trzech godzin. Do jutra rano powinniśmy przetworzyć dane, ale jest mały haczyk.

– To znaczy?

– Część przestrzeni powietrznej nad wschodnią częścią Los Fuertes jest zamknięta. Ten obszar leży poza miejscem przypuszczalnego lądowania obiektu, dlatego nie sędę, żeby miało to wpływ na nasze poszukiwania. Ale żeby omijać te rejony, pilot musi latać skomplikowaną trasę.

– Zamknięta? – powtórzył ostro Tappan. – Dlaczego?

– Nie jest to aż tak niezwykle. Około trzydziestu procent przestrzeni powietrznej Nowego Meksyku jest zamknięte dla ruchu cywilnego, z wielu powodów. Baza sił powietrznych Holloman, poligon Białe Piaski, duży obszar wokół Los Alamos i nad górami Sandia: wszędzie tam albo projektuje się i testuje pociski nuklearne, albo je składa, dlatego lata się tam jak po szachownicy.

Tappan trochę złagodniał.

– Rozumiem. Dziękuję, Witalij. Świetnie się sprawiliście, wszyscy. Jeśli skanowanie lidarem przyniesie oczekiwane rezultaty, jutro przeniesiemy naszą bazę w nowe miejsce. Oczywiście nie całą, to zbyt skomplikowane, ale na pewno przetrzucimy tam archeologów. Rozmawiałem już o tym z Norą, która popiera ten pomysł. Mamy ciężki sprzęt i zbudujemy drogę, aby swobodnie dojeżdżać ze starej bazy do nowej. Ponieważ jest to teren federalny, nasze pozwolenia są ważne również tam.

Znów powiódł wokoło wzrokiem.

– Czy są jakieś pytania?

Rozległ się szmer głosów i Nora wyczuła wokoło powiew świeżego entuzjazmu.

– Myślisz, że ten obiekt wciąż tam jest? – spytała Toth. – Że ci z rządu go nie znaleźli?

– Możliwe – odparł Tappan.

– A co z Bitanem? – spytał Emilio. – Powinniśmy zrobić coś jeszcze?

– Zrobiliśmy wszystko, co mogliśmy, i zawiadomiliśmy odpowiednie władze. Sprawa spoczywa teraz w rękach profesjonalistów. Będziemy z nimi współpracowali, ale tymczasem musimy maksymalnie przyspieszyć prace nad naszym projektem, a poszukiwania Bitana zostawić im. – Tappan zniżył głos. – Wspomniałem, że nie ma pewności, czy jego zniknięcie jest przypadkowe. Ale moim zdaniem było z góry ukartowane.

– Ukartowane? – nie zrozumiał Emilio. – Ale dlaczego?

– Kto wie? Zataił ważne informacje, nakłonił jednego z nas do krętactwa: bardzo mi się to nie podoba. – Spojrzał na Skipa, który natychmiast poczerwieniał. – Ale Skip wyraził skruchę, był z nami szczery. Poza tym okazał się cennym członkiem zespołu, dlatego postanowiłem go zatrzymać. Jednak nie będę dłużej tolerował żadnych sekretów. Mam nadzieję, że wyraziłem się jasno. – Spojrzał na zegarek. – Szósta! Moja *happy hour!* Jeśli nie ma więcej pytań, do zobaczenia jutro.

Idąc wraz z pozostałymi w stronę drzwi, przystanął i dotknął ramienia Nory.

– Wpadniesz do mnie na chwilę? Chciałbym omówić z tobą plany przeprowadzki.

Nora stłumiła przyspieszone bicie serca.

– Tak, dobrze.

Ruszyli w stronę jego przyczepy.

– Posłuchaj – powiedziała – chcę ci podziękować za Skipa, za to, że...

Znów położył rękę na jej ramieniu.

– Przestań się o niego martwić. Mówiłem ci o moich podejrzeniach, że mamy w zespole kreta, i zniknięcie Bitana tylko to potwierdza. Skip dał mu się zauroczyć, a takie rzeczy się wybacza. Poza tym to twój brat, więc...

Weszli do przyczepy, zamknął drzwi, przygniótł ją do nich, owiał chrapliwym oddechem, zaskakująco silnymi rękami podniósł i owinął jej

nogi wokół swoich bioder.

BEZPIECZNY W KRYJÓWCE, którą mu przydzielono – w pełni umeblowanym mieszkaniu w Quaker Heights na spokojnych przedmieściach Albuquerque – agent Lime stanął przy oknie i bez większego zainteresowania spojrzął na cichą, ciemną ulicę. Po chwili zaciągnął zasłony i zamknął wewnętrzne żaluzje specjalnie zaprojektowane tak, aby emitowały fałszywą sygnaturę cieplną, blokowały mikrofałę syndromu hawańskiego oraz sygnały wysyłane przez IMSI-catchera, „łapacza”, który podszywając się pod prawdziwą stację bazową operatora, przechwytywał rozmowy prowadzone przez telefon komórkowy. Podszedł do drewnianego biurka, usiadł, dotknął ukrytego czytnika odcisków palców i otworzył dolną szufladę wyłożoną nitrocelulozowym katalizatorem, który wykrywszy próbę nieautoryzowanego otwarcia, momentalnie niszczył jej zawartość. Między innymi leżał w niej rząd pięciu identycznych telefonów oraz małe pudełko zabezpieczone od wewnątrz warstwą ołowiu. Lime otworzył je, wyjął jednorazową kartę SIM, włożył ją do tego pierwszego z lewej, schował pudełko i zamknął szufladę.

Telefon, mały i nijaki, mógłby uchodzić za prymitywny, bo nie wyposażono go – celowo – ani w GPS, ani w wiele innych funkcji powszechnie stosowanych we współczesnych komórkach. Ale pod jednym względem był wyjątkowy: wykorzystując tajną technologię, zamiast z naziemnymi stacjami bazowymi łączył się z satelitami szpiegowskimi.

Lime spojrzął na zegarek. Punktualnie pięć po siódmej – co do sekundy – wystukał na klawiaturze ciąg liczb, chwilę odczekał, wprowadził kod

autoryzacyjny, a następnie kilka innych krótszych liczb. Rozległa się seria kliknięć i znajomy głos podał hasło.

– *Servandae vitae mendacium.*

Lime podał odzew.

– *Nemini dixeris.*

– Melduj – rozkazał pułkownik Rush.

Lime przeszedł od razu do rzeczy; tak go wyszkolono.

– Zainterweniowaliśmy w samą porę. Izolacja okazała się nieskuteczna i agentka Swanson zrobiła większe postępy, niż zakłada Wroga Interdykcja Trzy. Mimo pożaru agresywnie podążyła pozostałymi śladami.

– Może zrobić dalsze postępy?

– To się dopiero okaże.

– Uważasz, że likwidacja byłaby właściwym środkiem zapobiegawczym?

– Z całym szacunkiem, panie pułkowniku, ale trochę na to za wcześnie.

Swanson jest podejrzliwa i może zacierać ślady dowodowe. Nie chciałbym obdzierać zająca ze skóry, dopóki nie sprawdzę, czy gdzieś w pobliżu nie ma jego bobków.

– Barwne powiedzenie. Tam je słyszałeś?

– Dziś rano.

– Postaram się je zapamiętać. Jesteś pewny, że powinniśmy dać jej na razie spokój?

– Tak. Wyeliminowałem największe, najbardziej bezpośrednie zagrożenie. Gdyby coś się jej teraz przydarzyło, posypałyby się pytania. Uważam, że dużo bardziej niebezpieczne są te wykopaliska. Mogę spytać, jak przebiega przesłuchanie?

– Już się skończyło, ale uzyskaliśmy tylko kilka użytecznych informacji. Zatrzymany nie zlokalizował Alfę, ale odkrył, że Beta jest tylko miejscem, gdzie doszło do rykoszetu. Ich zespół szuka teraz Alfę.

– Jeśli znajdą... Panie pułkowniku, jak pan wie, nigdy nie ukrywałem moich wątpliwości co do tego, czy ekipy przeczesujące Betę zrobiły to wystarczająco dokładnie.

– Nie mamy prawa oceniać tych, którzy byli tu przed nami.

- Nigdy bym nie śmiał.
- I rozumiesz, dlaczego dalsza eksploracja Alfy nie była i w najbliższej przyszłości nie będzie możliwa?
- Tak, ale nie neguje to możliwości... – Lime zawiesił głos.
- Kontaktu?
- Tak.
- Twoja uwaga została odnotowana.
- Chcę zapewnić, że będę pilnie śledził poczynania agentki Swanson, i w razie konieczności natychmiast wkroczę do akcji.
- Bardzo dobrze. Jeśli to wszystko, porozmawiamy jutro o umówionej godzinie, chyba że przedtem zajdzie coś nieprzewidzianego.
- Dziękuję, panie pułkowniku. – Telefon dwa razy kliknął i połączenie zostało przerwane.

Lime siedział przez chwilę, odtwarzając w pamięci rozmowę i zastanawiając się, czy nie musi zmieniać swoich planów. Doszedłszy do wniosku, że nie, wyjął z telefonu kartę SIM i odwrócił się z fotelem w stronę niezwykłego urządzenia, które wyglądało jak mała beczka na ropę, zwieńczona stalowym cylindrem połączonym z podstawą elastyczną metalową siatką. Otworzył cylinder, wrzucił do środka kartę, a kiedy go zamknął, rozległ się głuchy trzask i szalejący w cylindrze ogień doszczętnie ją strawił. Potem spojrzął na telefon, licząc w myśli, ile razy go użył. Pięć. Chociaż aparat był odporny na zaawansowaną technologicznie infiltrację, obowiązujące w branży zasady nakazywały jego wymianę. Wrzucił go do cylindra.

Tym razem trzask był nieco głośniejszy, choć niewiele donośniejszy niż odgłos cichego stąpania, i na pewno nie zakłócił spokoju wczesnego wieczora.

CORRIE PODNIOSŁA GŁOWĘ i spojrzała na wiszący nad drzwiami do wind zegar w kształcie piramidy. Za kwadrans ósma? Niemożliwe. Siedziała przy biurku od spotkania z Lime'em, układając w porządku chronologicznym wydarzenia związane ze śledztwem, od telefonu Nory, po poranną rozmowę telefoniczną z szeryfem Wattsem. Tam, gdzie mogła, porównywała szczegóły ze zdjęciami w bazie danych, z próbkami DNA, wymiarami rekonstruowanych twarzy i wynikami testów balistycznych, słowem, ze wszystkim tym, co każde dochodzenie przyciągało tak, jak magnes przyciąga żelazne opiłki. Skończywszy, poczuła dziwną satysfakcję, bo chociaż wiele dowodów niemal na pewno przepadło w pożarze, udało jej się zbudować solidny fundament, na którym wraz z Lime'em będzie mogła oprzeć dalsze śledztwo.

Równie satysfakcjonujące i nieoczekiwane było to, że aż tyle osób podeszło do niej, aby wyrazić swoje współczucie i wsparcie. Głównie młodszy agenci, w tym – co zaskakujące – dwóch typowych macho, którzy przedtem odnosili się do niej bardzo chłodno. Kilku starszych – ci z kolei traktowali ją zawsze jak powietrze – też przystanęło przy jej boksie, aby ją pozdrowić, czy choćby skinąć jej głową. Nikt nie powiedział nic konkretnego, ale i tak wszystko rozumiała: pogłoski o oskarżeniach Lathropa już się rozeszły i panowała powszechna zgoda, że to głupi palant. Wiedziała, że nie jest lubiany, i być może miało to wpływ na ich opinię. Ale wiedziała, że o jednym nigdy nie zapomni: Lime, jej nowy opiekun, jako pierwszy głośno wyraził swoje jednoznaczne dla niej poparcie.

Zaczęła robić porządek na biurku i przygotowywać się do wyjścia. Chociaż wciąż była wstrząśnięta i smutna, Lime bardzo ją zaciekał.

Po południu słyszała plotki przy automacie z chłodzoną wodą i okazało się, że ma równie tajemniczą przeszłość jak Morwood. Pracował z nim tylko jeden agent, dawno temu, i nie zdążył go dobrze poznać. W sumie żadna niespodzianka, bo niektórzy woleli nie chwalić się swoim CV, zwłaszcza jeśli nie należało do najwspanialszych. Słyszała też, jak ktoś z niego szydził: dwa lata za biurkiem w Waszyngtonie, no i proszę, w nagrodę wylądował na prowincji jako opiekun żółtodziobów. Ta radość z cudzego nieszczęścia bardzo ją zaskoczyła. Może Lime czuł się tu jak outsider?

Byłoby ich dwoje.

Ogarnęła biurko i odwróciła się do komputera, aby go wyłączyć. Na ekranie widniała odpowiedź na jej pismo w sprawie DNA. Dosłownie nigdzie, nawet w olbrzymich bazach danych gromadzących wyniki badań komercyjnych, do których FBI miało dostęp, nie znaleziono najmniejszego śladu DNA ofiar spod Roswell. Ani DNA autosomalnego, ani mitochondrialnego, co było naprawdę dziwne. Przecież tych dwoje musiało mieć gdzieś krewnych. Postanowiła wystąpić z wnioskiem o powtórne sprawdzenie.

Wstała, przebiła się przez labirynt boksów i minąwszy windy, zeszła schodami do głównego holu. Był już kwadrans po ósmej, ale cieszyła się, że jest tak późno, bo im mniej czasu miała na myślenie, tym lepiej. Zobaczyła, że przy barierce w punkcie kontrolnym sadowi się strażnik Shady, pulchny, życzliwy były policjant o okrągłej jak księżyc bladej twarzy i głowie łysej jak kula bilardowa. Nalegał, żeby zwracano się do niego tym tajemniczym pseudonimem, lecz nikt nie wiedział, skąd Shady go wytrzasnął. Należał do najbardziej przyjaznych pracowników oddziału i na jego widok zawsze czuła przypływ sympatii.

– Cześć, Shady – rzuciła, podchodząc do okienka.

– Witam, panno Swanson. – Nigdy nie zwracał się do nikogo per „agent” i „agentko”, tylko zawsze per „pan”, „pani”, „panno”, „panie naczelniku” czy „panie dyrektorze”.

Uśmiechnęła się, wyjęła długopis z torebki i zaczęła wypełniać kartę wyjścia; musieli to robić wszyscy wchodzący lub wychodzący z budynku poza normalnymi godzinami pracy. „Swanson, C; SA, GS-11/1; Wydział 2G”

– Panno Swanson – powiedział Shady nietypowym dla siebie, poważnym głosem. – Bardzo mi przykro z powodu śmierci pana Morwooda.

– Dziękuję. – Podpisała się na dole karty.

– Porządny był z niego gość. Wszyscy wpadają tu i wypadają, jakby się paliło... Przepraszam, nie chciałem, ale naprawdę tak jest, a pan Morwood zawsze przystawał, żeby spytać, co u mnie. Czasem wysłuchiwał nawet moich opowieści. – Strażnik stłumił śmiech.

Corrie podniosła wzrok. Shady był gliniarzem starej daty, i to w każdym calu, bo dotyczyło to również jego pistoletu, porządnie wytartego colta Detective Special. Zastanawiała, czy ktoś czeka na niego w domu. Długie, monotonne noce – on też czuł się tu chyba samotnie. A może był nocnym markiem?

– Do zobaczenia. – Wsunęła kartę do okienka.

– Miłego wieczoru. – Shady chciał ją wziąć i zmarszczył brwi.

Zamyślona Corrie nie puszczała karty.

– Panno Swanson?

Rozluźniła palce.

– Przepraszam, jestem trochę rozkojarzona. Shady, chciałabym o coś spytać...

– Chętnie odpowiem.

– O której agent Morwood zwykle wychodził z pracy? – Wiedziała, że późno, ale nigdy nie zwracała uwagi na godzinę.

– Cóż, raz wcześniej, raz później, bez żadnej reguły. Dam pani przykład. – Shady spojrział na ekran komputera i palcem wskazującym zastukał w klawiaturę. – Weźmy choćby zeszły tydzień. W poniedziałek wyszedł o szóstej. We wtorek o ósmej dwadzieścia. W środę pięć po dziewiątej. W czwartek za kwadrans szósta. A w piątek o piątej. Rozumie pani?

– Tak. – Rzeczywiście wychodził raz wcześniej, raz później. Nie była nawet pewna, dlaczego zadała to pytanie. Coś kazało jej po prostu zaglądać pod każdy kamień, chwycić się wszystkiego, co pomogłoby odtworzyć ostatnie dni życia Morwooda. Czuła, że agent coś ukrywał, ale czy naprawdę ukrywał, czy była to tylko jej wyobraźnia, tego nie wiedziała.

– Dzięki.

– Cała przyjemność po mojej stronie, panno Swanson. Miłego wieczoru.

Przeszła przez barierkę i szukając w torebce kluczyków, zbiegła schodami na dół. Ale na ostatnim stopniu gwałtownie się zatrzymała.

36

PRZEZ CHWILĘ STAŁA bez ruchu, prawie nie czując wieczornego wiatru na twarzy ani nie słysząc odgłosów ruchu na I-25. Potem zawróciła, wbiegła na górę i znowu stanęła przed okienkiem.

Shady skończył właśnie skanować jej kartę. Odłożył ją na bok i zmarszczył brwi.

– Jakiś problem, panno Swanson?

– Nie, nie – odparła, siląc się na obojętność. – Tylko zaciekawiło mnie coś, co pan powiedział. W piątek agent Morwood wyszedł o piątej?

– Zaraz sprawdzę. – Kilka kliknięć i Shady zbliżył twarz do ekranu. – Tak jest, a dokładniej minutę po.

– W takim razie jakim cudem znaleziono go w laboratorium? Pożar wybuchł dopiero o północy.

– Bo pan Morwood wrócił.

Tego się nie spodziewała.

– O której?

– Późno. Cholera, to było ledwie trzy dni temu, powinienem pamiętać...

– Znowu spojrzał na ekran. – Za dziesięć dwunasta.

– I poszedł prosto do biura?

– Nie. Zgłosił, że idzie do laboratorium.

– Do laboratorium?

– Tak tu jest napisane.

– Miał coś ze sobą, coś niósł?

– Niebieskie pudełko na dowody rzeczowe, takie z przywieszką.

– Często przychodził tu o tej porze?

– Nie. Często zostawał do późna, czasem do bardzo późna, ale kiedy już wyszedł, to wracał dopiero rano.

Udała lekko zaciekawioną, choć w głowie miała gonitwę myśli.

– Miał pan wtedy służbę, prawda?

– Od poniedziałku do piątku, od ósmej wieczorem do czwartej rano, jak w szwajcarskim zegarku.

– Więc to pan pierwszy... – Nie wiedziała, jak to taktownie ująć. – Więc to pan pierwszy dowiedział się o pożarze?

– Nie, pierwszy dowiedział się Harold Lamson.

– Harold Lamson? Kto to jest?

– Nocny konserwator. Kiedy włączył się alarm, pracował na drugim końcu budynku.

– O której to było?

– Chyba tuż przed pierwszą. On zadzwonił do mnie, ja wezwałem straż pożarną, zawiadomiłem dyrektora i grupę szybkiego reagowania. W tej kolejności.

– I ten Lamson pracował na końcu budynku?

Shady kiwnął głową.

– Dziwne, prawda? Alarm włącza się tak daleko od pożaru. Ale mówią, że laboratorium jest hermetyczne. W każdym razie ja dymu nie czułem, to na pewno.

– A kiedy wezwał pan pomoc...

– Nic tu więcej nie ma. Mówią, że do tego czasu pożar już się wypalił. – Shade wzruszył ramionami.

– Bardzo panu dziękuję.

Znów powoli ruszyła do wyjścia i znowu się zatrzymała.

– Cholera – zaklęła. – Zostawiłam papiery, które chciałam przejrzeć w domu. Zamknęłam je w szufladzie i wyszłam.

– Pewnie miała pani ciężki dzień.

– Muszę wypełnić nową wejściówkę, tak? – spytała niepewnie.

Shady się zawahał.

– Chyba tak, zwłaszcza po tym wszystkim. – Podał jej kartę przez okienko. – Przykro mi.

– To moja wina. – Wpisała wszystkie szczegóły, łącznie z celem wizyty: wydział 2G. Podpisała się na dole i podała kartę strażnikowi. – Dzięki.

– Nie ma sprawy, panno Swanson.

Ruszyła w stronę schodów i przystanęła.

– Aha, niech pan się nie zdziwi, jeśli trochę to potrwa. Muszę jeszcze coś dokończyć.

– Żaden problem.

Przebiegła hol i skręciła za róg, w stronę schodów. W pustej przestrzeni głośno stukotała obcasami, więc kiedy punkt kontrolny zniknął jej z oczu, zdjęła buty. Zamiast wejść na górę, rozejrzała się, upewniła, czy wszędzie panuje cisza, po czym zbiegła do podziemi. Laboratorium mieściło się u stóp schodów. Ponieważ część klatki schodowej przesłaniała duża brezentowa płachta, wślizgnęła się za nią, przykucnęła i jak najciszej i najszybciej zeszła na dół. Była tam kamera bezpieczeństwa, lecz założyła, że zasłaniają ją brezent i sterty worków, do których zapakowano nadpalone dowody rzeczowe.

Prześlizgnęła się za róg i przystanęła. Z góry nie dochodziły ostrzegawcze krzyki, nie słyszała też kroków nadbiegającego strażnika. Trzymając się za brezentową płachtą wyściełającą ścianę korytarza, ruszyła w kierunku drzwi.

Płachta kończyła się tuż za wejściem. Drzwi były zamknięte i zabezpieczone taśmą policyjną, ale bez trudu pod nią przeszła. Minęła ciemny, najwyraźniej wyłączony panel bezpieczeństwa, ostrożnie przesunęła do góry dźwignię blokady bezpieczeństwa i bojąc się, że lada chwila zza rogu wyjdzie konserwator czy jakiś zapóźniony robotnik, uchyliła drzwi na tyle, żeby wślizgnąć się do środka.

W laboratorium panowała zupełna ciemność – nie działały nawet światła ewakuacyjne – i natychmiast uderzył ją gryzący odór dymu, stopionego plastiku, spalonej elektroniki i czegoś, czego nie próbowała nawet rozpoznać. Wyprostowała się i zamknęła drzwi. Wyjęła z torebki silną latarkę i pstryknęła włącznikiem.

W świetle ledowej żarówki o mocy tysiąca lumenów ukazał się wilgotny krajobraz z piekła rodem. Skierowała światło w dół, pod nogi, ale przedtem zauważyła, że jedyna w laboratorium kamera jest nadpalona,

oklejona taśmą i częściowo zdemontowana. Nie musiała się przynajmniej martwić, że ktoś ją zobaczy.

Ciężko oddychając, zgasiła latarkę i znieruchomiła. Co ona tu, do diabła, robiła?

Odpowiedź była oczywista. Tak jak w sobotę, dzisiaj też wiele razy zerknęła w stronę schodów prowadzących do podziemi. Garcia i Lime zapewniali ją, że nie musi się niczym martwić, ale słowa to tylko słowa. Nie mogła tego tak zostawić. Nie mogła czekać na wyniki Bóg wie jak długiego śledztwa: musiała się dowiedzieć, czy to przez nią zginął Morwood. I to już teraz. Poza tym wciąż się zastanawiała, dlaczego Morwood wrócił do laboratorium w piątek o północy. Co było aż tak pilnego, że nie mogło poczekać do rana?

Musiała się pośpieszyć. Podjęła tę decyzję pod wpływem nagłego impulsu i gdyby ją tu przyłapano, miałyby poważne kłopoty, zwłaszcza po oskarżeniach Lathropa. Chryste, trzeba zrobić swoje i uciec stąd, zanim na dobre spanikuje.

Znow zapaliła latarkę. Zdążyła już przywyknąć do widoku długiego, wąskiego korytarza, tym węższego, że zastawionego rzędami pudeł i materiałów do pakowania, których Lathrop nigdy nie raczył usuwać. Ale teraz widziała jedynie zgliszcza, stosy spopielałych i na wpół spalonych nierozpoznawalnych rzeczy, mokrych, zapadniętych w sobie i pokrytych pianą gaśniczą. Na ścianach i suficie wiły się smugi sadzy, szponiaste i dziwaczne jak sylwetki z niemieckiego filmu ekspresjonistycznego. Wszędzie stały małe chorągiewki, czerwone, żółte i niebieskie, i z przerażeniem zobaczyła, że wyjątkowo duże ich skupisko tuż przed nią ma kształt ludzkiego ciała.

Stłumiwszy okrzyk strachu, uciekła wzrokiem w bok i trzymając się rzędu nadpalonych pudeł pod ścianą, poszła dalej. Jej celem był palnik Bunsena: musiała go obejrzeć, a potem wziąć nogi za pas.

Ostrożnie skręciła za róg i światło latarki przecięło główną salę laboratorium. Szybko wycelowwała nim w kamienny stół, na którym stał palnik, i od razu go zobaczyła. Był osmolony, lecz cały i... wyłączony.

Dzięki Bogu.

Oświetliła odłączony gumowy wąż, a potem zawór, też zakręcony. Oczywiście mogli go zakręcić śledczy, lecz było to mało prawdopodobne, bo przede wszystkim zakręciliby mieszczący się w głębi sali zawór główny, aby do końca dochodzenia niczego tu nie przestawiać ani nie przesuwac.

Zawstydzona tym przemożnym i egoistycznym poczuciem ulgi, poświęciła wokoło latarką. Większego spustoszenia nie dokonałby pluton żołnierzy z miotaczami płomieni. Ze ścian zwisały szafki magazynowe z nadtopionymi szybami. Inne, kiedyś pełne dokumentów i dowodów rzeczowych, były teraz bezkształtnymi bryłami stali i węgla. Te, w których spoczywały szczątki ofiar spod Roswell, pękły pod wpływem wysokiej temperatury, odsłaniając – niczym upiorne krematoria – ich całkowicie spaloną zawartość. Stół, na którym robiła rekonstrukcję twarzy, przestał istnieć, zmieniając się w niski stos popękanego metalu, tak jak wszystko inne najeżony kolorowymi chorągiewkami. Było tak, jak mówił agent Lime. Dowody rzeczowe przepadły. A Lathrop pieprzył, tak jak myślała. Pożar nie wybuchł z jej winy.

To czyste szaleństwo, powinna czym prędzej uciekać. Nie mogła tu zostać ani minuty dłużej, nie mogła sobie na to pozwolić.

Odwracając się, musnęła światłem coś połyskującego matowo na podłodze, w stopionym pojemniku na dowody rzeczowe: urządzenie, które Morwood odwiózł do laboratorium po wizycie u Eastchestera. Przyjechał tu właśnie po to? Jeśli tak, dlaczego czekał aż do północy? Z Los Alamos wróciłby nie później niż o wpół do dziesiątej albo o dziesiątej.

Przyjrzała się uważnie. Urządzenie było osmolone dymem, ale chyba całe. Pod wpływem impulsu wyjęła z kieszeni komórkę i – pochylając się ostrożnie, żeby nie zostawić śladów w warstwie mokrego popiołu i rzece plastiku – zrobiła kilka zdjęć, z góry, z boków i od spodu, gdzie wytłoczono jakieś numery.

Potem podeszła po cichu do drzwi, uchyliła je lekko i sprawdziwszy, czy nikogo nie ma na korytarzu, wyslizgnęła się ukradkiem z laboratorium.

NOREŃ OBUDZIŁ ZAPACH jajek na bekonie i odgłosy porannej rozmowy Skipa z Mittym, który słuchał go z przejęciem i zerowym zrozumieniem.

Kiedy wyszła z sypialni, brat odwrócił się i powiedział:

– Daję głowę, że dobrze spałaś.

– Niby dlaczego? – Ona usiadła, a on postawił przed nią szklanę latte.

– Cóż – odparł wesoło. – Wieczorem wyglądałaś tak, jakbyś przebiegła maraton. Miałaś zaróżowione policzki i cała promieniałaś.

– Możesz się zamknąć? – Zatopiła usta w ciepłej pianie i upiła łyk kawy.

– Apetyt też pewnie masz, że hej.

Była głodna jak wilk, lecz milczała coraz bardziej zirytowana. Po chwili Skip postawił przed nią talerz z jajkami. Natychmiast się za nie zabrała z nadzieją, że skończy jeść, zanim brat coś doda.

No i dodał.

– Wiesz, siostrzyczko, naprawdę lubię Lucasa. Porządny z niego gość. Mógł mnie przeciągnąć po rozżarzonych węglach, a nie przeciągnął. Za Bitana.

– Po prostu miałeś szczęście.

– Wolałbym myśleć, że jestem ważnym członkiem zespołu, że to dlatego – powiedział Skip z nutą urażonej dumy w głosie.

– Bo jesteś.

I rzeczywiście był, stanął na wysokości zadania. Nie tylko znacząco wzbogacił swoją już i tak dużą wiedzę na temat UFO i umiał prowadzić głębokie rozmowy z naukowcami, ale i sumiennie dbał o bibliotekę oraz zgromadzone przez nich znaleziska. Badając stare skorupy w instytucie, bardzo dużo się nauczył.

Usiadł naprzeciwko niej ze swoją porcją jajek.

– Mogę spytać, czy ty i Tappan to poważna sprawa?

– To naprawdę takie oczywiste, że... coś nas łączy?

– Żartujesz? Idziesz do niego niby na krótką rozmowę, a wracasz po dwóch godzinach, cała w skowronkach. Tak, to naprawdę oczywiste.

Ogarnęło ją przerażenie. Oczywiście, brat miał rację. Przecież na takiej farmie mrówek wszyscy by to zauważyli.

– Ludzie gadają?

– Ze mną nie. Ale między sobą? Na sto procent.

O Boże. To, co robili z Tappanem, było głupie zarówno dla niej, jak i dla niego, ale jakaś jej część miała to gdzieś. Od śmierci Billa minęło kilka lat. Czuła, że coś w niej odżywa, i to gwałtownie. Jednocześnie zdawała sobie sprawę, że ich namiętne spotkania są niepoprawne, niestosowne i strasznie lekkomyślne. Co ważniejsze, nie mogła dopuścić do tego, żeby uczucia przesłoniły jej trzeźwość osądu i... obiektywizm. Bo co będzie, jeśli gorliwa wiara Lucasa w istnienie UFO wpłynie na jej własne opinie na ten temat?

Z drugiej strony życie było krótkie. No i jakże przyjemne.

Skip nagle spoważniał i położył rękę na jej dłoni.

– Ale nie pozwolisz, żeby zrobił ci krzywdę, prawda? Te dołeczki, te szare oczy, no i ta kasa: pewnie uganiają się za nim miliony dziewczyn. To dobrze, że zafundowałaś sobie trochę rozrywki, bo jak najbardziej na to zasługujesz, ale nie chciałbym, żeby coś poszło nie tak.

– Nie pójdzie – odparła, doskonale wiedząc, że skoczyła na głęboką wodę. Ale dokąd ją to zaprowadzi? Nie miała pojęcia i doszła do wniosku, że najlepiej będzie o tym nie myśleć. Ostatecznie sypiali ze sobą dopiero od dwóch dni. Byli dorośli i wiedzieli, co robią. Albo to sobie wmówiła.

– Dobra, dość gadania. – Skip spojrział na zegarek. – Już prawie ósma. Pora na kolejne spotkanie.

* * *

Kilka minut później weszli do Baraku 1. Banks ustawił projektor cyfrowy, rozwinął ekran i zajęli miejsca. Kiedy tylko usiedli, wstał Tappan.

– O piątej rano nadeszły wyniki skanowania lidarem – oznajmił. – Witalij?

Światło pociemniało i na ekranie ukazała się niezwykle dokładna mapa w skali szarości. Tappan niczego więcej nie dodał, więc obraz zawisł w ciszy i mroku.

Nora pochyliła się. Niemal natychmiast to dostrzegła: stare zaburzenia w dolinie Los Gigantes, słaby zarys drogi, która dochodziła tam i zataczała krąg. Duży obszar, z tej wysokości dziwnie rozmyty, z prawie niewidocznymi śladami przecinającymi się na środku kręgu. Tak, to wyglądało na miejsce dawnej katastrofy, przed dziesięcioleciami przysypane ziemią i od tej pory nietknięte.

Nie tylko ona to zobaczyła, bo w pokoju rozbrzmiał gwar podekscytowanych głosów.

– Obraz jest wart więcej niż tysiąc słów – odezwał się w końcu Tappan. – A ten pokazuje nowinę dobrą i złą. Dobra jest taka, że to musi być miejsce, którego szukamy. Zamaskowali je najlepiej, jak mogli. Resztę zrobił czas, ale przed lidarem nic się nie ukryje i nawet po tylu latach ślady są dobrze widoczne. Ale ślady te i zakłócenia wskazują na to, że władze znalazły ten obiekt już dawno temu. I to jest właśnie druga nowina, ta zła. – Powiódł wzrokiem po ich twarzach. – Czy są jakieś pytania?

– Górny róg mapy przecina kreska – powiedział Banks. – To jakaś droga?

– Tak – odparł Kuzniecowa. – Na naszych mapach jej nie ma, ale w tych okolicach jest dużo starych, wiejskich dróg, których nikt nigdzie nie naniósł. Nie przypuszczam, żeby akurat ta miała jakieś znaczenie.

– Może to tam ktoś odebrał Bitana? – nie ustępował Banks.

– Możliwe, ale już na pierwszy rzut oka widać, że nie ma na niej żadnych świeżych śladów. Nie zbadaliśmy jej szczegółowo.

– Dziękuję, Witalij – powiedział Tappan. – Noro? Twoja kolej.

Nora wstała. Rozejrzała się, lecz nie dostrzegła wymownych uśmiezków na twarzach kolegów.

– Kiedy tylko zbudujemy drogę i przewieziemy sprzęt, natychmiast zaczniemy kopać. Wszystko wskazuje na to, że ten, hm, obiekt zrykoszetował, wylądował w miejscu, które widać na mapie, i że władze go znalazły.

– Ile potrwa budowa drogi? – zapytał Banks.

– Można tam dojechać już teraz, na przełaj. Ciężkim sprzętem trzeba wyrównać tylko kilka odcinków, głównie dla jeepów. Trzeba też ominąć te trawiaste wzgórza, ale to nie problem. Powinniśmy się wyrobić w niecały dzień.

– Ile to kilometrów? – spytał Vigil.

– Stąd tam? Trzyście.

– Jak długo potrwają wykopaliska?

– Nie wiadomo, jak głęboko będziemy musieli kopać, ale wygląda na to, że struktura gleby jest tam taka sama jak tutaj – odparła. – Powiedziałabym, że tydzień, może nawet krócej, bo obszar jest mniejszy. Na wszelki wypadek przejrzałam też nasze pozwolenia. Mamy zielone światło. Musimy tylko zawiadomić Departament Spraw Wewnętrznych, że zmieniliśmy miejsce.

Siadając, wyczuła, że pokój wypełnia dziwna energia. Nowe odkrycie wszystkich wyraźnie podekscytowało. Z drugiej strony istniały mocne podstawy do tego, by uważać, że władze już do tego miejsca dotarły. Ale dotarły i co? Wciąż nie chciała przyjąć do wiadomości, że spadł tam jakiś pozaziemski obiekt. I, co paradoksalne, coraz bardziej utwierdzała się w swoim sceptycyzmie, być może w reakcji na to, co czuła do Tappana. Przecież mógł to być jakiś zaawansowany technologicznie pocisk albo niezwykle meteoryt czy eksperymentalny pojazd latający – każdą z tych rzeczy władze chciałyby na pewno odnaleźć i zatrzymać ślady jej upadku.

Ale o tym nie wspomniała. A wtedy, ponieważ pytań już nie było, Tappan zakończył spotkanie.

WYSADZANA TOPOLAMI DROGA skończyła się nagle tuż przed szeroką piaszczystą plażą, za którą wiła się wstęga Rio Grande. Nad rzeką wschodziło słońce, zmieniając ją w roztopione złoto.

Watts zatrzymał jeepa, otworzył okna i wyłączył silnik. Potem sięgnął na tylne siedzenie po uchwyty do kawy i podał jej wielki kubek z przykrywką wraz z zawiniętym w folię burrito.

– Kawa i śniadanie, zgodnie z obietnicą.

Corrie chętnie przyjęła poczęstunek. Rozłożyła na kolanach kilka serwetek i upiła łyk kawy, odnotowując, że jest słodka i z podwójną śmietanką.

Szeryf jakby czytał w jej myślach.

– Pamiętałem, że taką pijesz, słodką i gęstą.

Spodziewała się śniadania w kawiarni, a nie tego. To było bardziej jak... śniadaniowa randka. Szybko odpędziła tę myśl. Agentki FBI nie umawiały się z szeryfami. Zwłaszcza na śniadanie.

– Kiedy byłem mały, przyjeżdżaliśmy tu konno – ciągnął Watts. – To jedno z moich ulubionych miejsc. Przeprowadziliśmy się w bród przez rzekę i jechaliśmy do Bosque del Apache, tego wielkiego lasu topól na drugim brzegu. Mieszkasz tu od niedawna i pomyślałem, że zechcesz to zobaczyć.

Mówił szybko, bardzo nerwowo jak na kogoś tak swobodnego jak on.

– Tu jest przepięknie – powiedziała. – Cieszę się, że mnie tu przywiozłeś.

Cicho szemrząca rzeka, świecące przez topole słońce, tonące w fioleciech dalekie góry – nie kłamała, było naprawdę pięknie, nawet magicznie. Zerknęła w bok i zobaczyła, że z ulgą spostrzegł, że nie jest znudzona. Wiedziała, że mężczyznę tak młodego i kiczowato ubranego – te

rewolwery, ten kosztowny kowbojski kapelusz – łatwo by było natychmiast spławić. Ale tak jak góra lodowa, Watts miał w sobie więcej, niż dawało się zauważyć na pierwszy rzut oka.

Słuchając jego opowieści, pociągnęła łyk kawy i odgryzła kęs burrito.

– Bosque del Apache znaczy Zagajnik Apaczów, bo kiedyś obozowali tam Apacze z Ciepłych Źródeł. Rosną tam najwyższe i najpotężniejsze topole na świecie, bo pnie niektórych mają ponad dziewięć metrów obwodu. Ciągną się kilometrami. A na tych piaszczystych wzgórzach za lasem jest Senecú, zaginione pueblo. Jego ruiny widać było jeszcze w osiemnastym wieku, ale potem zasypały je lotne piaski. Teraz nie wiadomo, gdzie jest.

Czułość, z jaką opowiadał o swoim kraju i jego historii, zrobiła na niej duże wrażenie.

Słońce wspinało się coraz wyżej, a oni jedli w milczeniu. W końcu się odezwał.

– Powinniśmy chyba porozmawiać o sprawach służbowych. Po to przyjechałaś.

– Tak – powiedziała trochę zawiedziona.

– Rozmawiałem z Bufordem. Uważa, że Bitan po prostu dał nogę i prędzej czy później gdzieś się pokaże. Chyba się z nim zgadzam, zwłaszcza że ktoś widział światła w miejscu, w którym zniknął. Buford myśli, że ta sprawa ma drugie dno.

Corrie się zawahała. Nie była tego pewna, ale nie miała też dowodów, że jest inaczej. A Morwood wbił jej do głowy, że agenci FBI nigdy nie zdradzają swoich przeczuć.

Watts jakby czytał w jej myślach.

– Uważasz, że nie?

Wzruszyła ramionami.

– Zgoda, dowody wskazują na to, że Bitan się ulotnił. Ale na środku pustyni? Zostawiając brata Nory? Trochę to dziwne, ale to nie moja sprawa.

– À propos twoich spraw. Te wykopaliska w Roswell to według mnie zupełne wariactwo.

– Według mnie też.

– Co się tam dzieje?

Nie bardzo wiedziała, czy może zdradzić mu szczegóły, ale doszła do wniosku, że może. Szybko opowiedziała mu o Norze, o miliardrze, który finansował projekt, o znalezionych na pustyni zwłokach i o śmierci Morwooda. Kiedy skończyła, zapadła cisza.

– Czytałem o tym w „Journalu” – odezwał się w końcu Watts. – O Morwoodzie. Makabra.

– Tak. – Corrie z przerażeniem stwierdziła, że łamie jej się głos.

Watts położył rękę na jej ramieniu.

– Hej, widzę, że mocno to przeżyłaś. Przepraszam, że do ciebie nie zadzwoniłem.

Zawstydzona pokręciła głową.

– Nie musiałeś, jesteśmy tylko kolegami.

– Miałem nadzieję, że zwróciłaś się do mnie jak do... przyjaciela.

Wytarła łzę. Robiło się coraz bardziej absurdalnie. Jeszcze trochę i się rozryczy.

– Chyba tak. Po prostu źle się wyraziłam.

– Nie szkodzi, rozumiem.

– Zupełnie się rozsypałam, przepraszam. – Spróbowała wziąć się w garść.

– Po południu jadę po wyniki sekcji zwłok Morwooda, co znaczy, że zobaczę jego zwłoki. Bardzo się tego boję.

– To nie jedź. Przejrzysz protokół, i już.

– Nie. Muszę. Muszę tam być.

Watts ścisnął lekko jej ramię.

– W razie czego wiesz, gdzie mnie szukać. Będę czekał jako kolega i... jako przyjaciel.

– Dziękuję. Bardzo to doceniam, naprawdę.

Wreszcie udało jej się nad sobą zapanować.

– Nie chodzi tylko o śmierć Morwooda. Ogień zniszczył najważniejsze dowody. Zrekonstruowałam twarze ofiar i prawie całkowicie się spaliły,

tak jak ich ciała. Poza tym... – Zawahała się. – Nasz patolog zarzuca mi, że nie zgasiłam palnika.

– Że nie zgasiłaś... Co to za bzdura?

– Wiem, że wyniki dochodzenia temu zaprzeczają, ale stres robi swoje.

– To prawdziwy cud, że tak dobrze się trzymasz. Masz tam na kim się oprzeć?

– Przydzielono mi nowego opiekuna, agenta Lime'a. Bardzo mi pomaga.

– To dobrze. Przejdziesz przez to, zobaczysz. Jesteś twarda i chyba o tym wiesz.

Kiwnęła głową. Tak, wiedziała, że jest twarda i że sobie poradzi.

– Lepiej już jedźmy. Dzięki, że zadzwoniłeś do Buforda. Bardzo mi pomogłeś.

Watts zwinął w kulki folię, wepchnął je do pustych kubków, a kubki wrzucił do torby. Zapalił silnik.

– Będę cię informował, ale to prawdopodobnie banalna sprawa. Gość po prostu dał nogę i zniknął.

– Dziękuję, że mnie tu przywiozłeś. To naprawdę wyjątkowe miejsce.

– Może umówimy się kiedyś na kolację?

Szeryf wyskoczył z tym zupełnie niespodziewanie. A w jego głosie znów pojawiła się ta nietypowo nerwowa nuta.

– Jak na... randkę?

– No wiesz, żebyś była na bieżąco w sprawie Bitana.

Nie pierwszy raz poczuła, że wzbiera w niej fala podekscytowania i miłej niepewności.

– Chętnie – powiedziała. – Ale wolałabym na lunch. Dobrze?

Kiwnął głową i uśmiechnął się swobodnie.

– Jasne, nie ma sprawy. – Potem wycofał i piaszczystą drogą pojechali z powrotem.

WIDZIAŁA WIELE SEKCJI i ta nie będzie się od nich różniła – a przynajmniej tak sobie wmawiała.

Lime wielokrotnie zapewniał ją, że może pójść sam, i kilka razy omal nie zrezygnowała. Ale nie, czuła, że musi wysłuchać tego osobiście, bezpośrednio z ust lekarza sądowego, że to jej obowiązek.

Z trudem tłumiąc lęk, wraz z Lime'em stanęła przed drzwiami laboratorium, gdzie powitał ich niski, korpulentny patolog Boyd Mason.

Zaprowadził ich do jasno oświetlonej sali, gdzie pod plastikowymi prześcieradłami na wózkach leżały zwłoki. Jego ruchliwość i gadatliwość podniosły ją trochę na duchu. Pomyślała, że właśnie tak trzeba traktować śmierć, rzeczowo i profesjonalnie. Zwłoki to tylko martwe ciała, nic więcej, martwe i obojętne jak kamień czy pień drzewa.

Mason ujął róg prześcieradła i podniósł wzrok.

– Oczywiście widzieliście już ciało po sekcji zwłok, prawda?

Kiwnęli głowami, a on ściągnął prześcieradło.

Corrie momentalnie zamarła z przerażenia i żołądek podjechał jej do gardła. Próbowwała zapanować nad mdłościami, lecz niemal natychmiast poczuła, że jest to walka z góry przegrana.

– Przepraszam, ale... ale muszę na chwilę...

Pobiegła do toalety – dzięki Bogu, że miała niedaleko – i gwałtownie wymiotowała śniadanie, raz i drugi. Zawstydzona, zasmarkana, z mokrymi od łez policzkami, pełna odrazy do samej siebie, klęczała przed muszlą klozetową i rzygała. Boże, jak ona siebie nienawidziła. W końcu wstała, podeszła chwiejnie do umywalki, umyła się, wytarła papierowym ręcznikiem, wypłukała usta i zaryzykowała spojrzenie w lustro.

Wyglądała koszmarnie.

Weź się w garść. Wracaj tam i zrób swoje.

Poprawiła włosy, obciągnęła żakiet, pociągnęła szminką usta i sztywnym krokiem wróciła do sali.

Lime spojrział na nią z z troskaniem.

– Nie musi pani tu być, to zupełnie niekonieczne. Przeciwnie, wolałbym nawet...

– Bardzo przepraszam – przerwała mu najchłodniej, jak umiała. Przeniosła wzrok na patologa. – Możemy kontynuować?

– Naturalnie – odparł nieporuszony Mason. Miała wrażenie, że widzi taką reakcję nie pierwszy raz, i poczuła się trochę lepiej.

Ciało, a dokładniej górna jego część, zachowało się w całkiem dobrym stanie. Podczas autopsji wyjęto z niego wszystkie organy oraz mózg, następnie zostało prowizorycznie zszyte. Szczyt czaszki przytwierdzono na powrót do pustej puszkii mózgowej i okryto pomarszczonym, odstającym skalpem. Wyglądało strasznie, tym bardziej że miało otwarte oczy. Ale Corrie trzymała nerwy na wodzy. Nic gorszego już nie zobaczy. Przestało jej się nawet zbierać na wymioty.

– Jak widać, przeprowadziliśmy kompletną sekcję zwłok. Zbadaliśmy wszystkie organy wewnętrzne, obejrzeliliśmy pod mikroskopem wycinki płuc, serca, mózgu i wątroby, zrobiliśmy również pełną toksykologię. Przyczyna śmierci jest jasna: uduszenie spowodowane brakiem tlenu oraz zatrucie tlenkiem węgla spowodowane wdychaniem dymu. Agent Morwood cierpiał na przewlekłe schorzenie autoimmunologiczne, zwane czasem śródmiąższową chorobą płuc. Charakteryzuje się ona bliznowaceniem tkanki płucnej oraz częstymi stanami zapalnymi. Utrzymywał ją pod kontrolą, przyjmując środki przeciwzapalne i kortykosteroidy, ale płuca były już trwale uszkodzone.

Ciało znaleziono w przedniej części laboratorium i, jak widać, spaliła się tylko jego dolna część. Doszło do tego po śmierci: kiedy ogień do niej dotarł, ofiara już nie żyła.

Mason mówił rzeczowym, kojącym głosem.

– Przy chorobie takiej jak śródmiąższowa choroba płuc nawet niewielka ilość tlenu węgla wydzielającego się podczas pożaru może doprowadzić do utraty przytomności. Agent Morwood mógł nawet nie zdawać sobie sprawy, że gdzieś się pali. Jego płuca nie miały żadnych rezerw, żadnego zabezpieczenia przed spadkiem poziomu tlenu i gęstniejącym dymem. – Zrobił pauzę. – Czy mają państwo jakieś pytania?

Corrie odchrząknęła.

– Wspomniał pan, że przeprowadziliście badania histologiczne wycinka płuc...

Mason kiwnął głową.

– Mogłabym zobaczyć wyniki?

– Naturalnie. – Lekarz sięgnął po tablet, nacisnął klawisz i przywrócił go do życia. – Proszę. Wyraźnie widać powiększenie przestrzeni powietrznej między oskrzelikami końcowymi i ich zniszczone ścianki. No i oczywiście zwłóknienia.

Tak, rzeczywiście. W oskrzelikach były również drobinki sadzy i dymu. Ale nie tak dużo.

– Wygląda na to, że nie wchłonął zbyt dużo dymu.

– To prawda. Tak jak mówiłem, tlenek węgla i gwałtowny spadek poziomu tlenu doprowadziły prawdopodobnie do szybkiej utraty przytomności; proszę pamiętać, że pożar wybuchł w stosunkowo niewielkiej przestrzeni. Już nieprzytomny zaczął wdychać dym i wkrótce potem nastąpił zgon.

– Dziękuję. – Oddała mu tablet. – A co pokazują wyniki badań toksykologicznych?

– Nic. Nie znaleźliśmy ani środków uspokajających, ani niczego, co mogłoby go obezwładnić czy choćby wskazywać, że coś takiego mu podano. Nie znaleźliśmy też alkoholu ani narkotyków. Był czysty.

– Proszę wybaczyć, że pytam, ale czy mogliście coś przeoczyć?

– To mało prawdopodobne, lecz zawsze istnieje możliwość, że podano mu coś bardzo rzadko spotykanego czy nieznanego, ale przeprowadziliśmy pełny zestaw testów. I proszę mi wierzyć: te testy obejmują wszystko,

łącznie ze środkami paralityczno-drgawkowymi, radionuklidami i innymi podejrzanymi substancjami, zwykłymi czy też nie.

Dużo ją to kosztowało, ale jeszcze raz przyjrzała się ciału. Mocno cuchnęło spalonymi włosami i antyseptykami. Żołądek znów podjechał jej do gardła, lecz zepchnęła go na miejsce.

– Na szyi jest zadrapanie.

Lekarz pochylił się nad stołem.

– Tak, zauważyliśmy je.

– I?

– To tylko powierzchowne draśnięcie. Ciała prawie zawsze noszą ślady drobnych urazów. Zadrapanie tu, siniak tam. Zwłaszcza ciała mężczyzn aktywnych fizycznie.

– Więc to nic podejrzanego.

– Ponieważ brakuje śladów walki, nie, nie powiedziałbym, że jest to coś znaczącego.

Zerknęła na Lime'a i ujrzała wyraz współczucia na jego twarzy. Pewnie myślał, że Corrie chwytą się brzytwy. Może i tak było.

– Mogę zobaczyć jego rzeczy?

– Oczywiście.

Mason odwrócił się i przyciągnął bliżej drugi stół. Leżało na nim ubranie Morwooda. Niemal wszystko poniżej pasa uległo zwęgleniu, ale marynarka, koszula i krawat były prawie nietknięte, tak jak górna część ciała. Na stole leżały też jego okulary, osmalone klucze, grzbiet spalonego portfela i stopione karty kredytowe, które oblepiły karteczkę z notesu. Jej dolna połowa się spaliła, lecz na górnej widniało pojedyncze słowo:

ITEM

Rzecz, przedmiot, punkt, pozycja...

– Ta karteczka... Wiadomo, co to jest?

Mason pokręcił głową.

– Wygląda na początek jakiejś listy.

– Nie da się odzyskać całości?

– Czasem się daje, z popiołu, ale nie w tym przypadku. Dół kartki jest całkowicie spalony.

Corrie popatrzyła na ciało. Nie była już przerażona. Czegoś szukała, czekała na jakieś objawienie. Ale nie, nic z niego nie wyczytała. Co mogło być na tej liście? ITEM. Słowo było podkreślone, więc pewnie ważne. Cholera, że też reszta kartki musiała się spalić.

– Mają państwo jeszcze jakieś pytania?

– Więc nic nie wskazuje na to, że mogło to być zabójstwo?

– Rozstrzyganie, czy doszło do celowego podpalenia, czy też nie, nie należy do mnie. Ale jeśli chodzi o przyczynę śmierci, jestem na sto procent pewny, że agent Morwood udusił się, wdychając dym i tlenek węgla, przy jednoczesnym spadku poziomu tlenu w pomieszczeniu. Pożar wybuchł w głębi laboratorium, a on był blisko wejścia i zanim zdał sobie sprawę z tego, co się dzieje, albo zaczynał tracić przytomność, albo był już nieprzytomny. – Mason spuścił wzrok. – Na pewno nie czuł bólu.

– Dziękuję, panie doktorze.

– Nie ma za co, agentko Swanson.

* * *

Cieszyła się, że Lime nie wytknął jej tej nagłej rejterady. Natomiast ona powiedziała mu o telefonie od Nory i o tym zaginionym naukowcu, Bitanie. Zamierzała zrobić to na ich pierwszym spotkaniu, ale zestresowana po śmierci Morwooda po prostu zapomniała.

– Zaginął? – spytał Lime. – Powiedziała, w jakich okolicznościach?

– Był mniej więcej osiem kilometrów od obozowiska. Szukał czegoś na pustyni i zniknął.

– I jego koledzy się niepokoją?

– Nie tyle się niepokoją, ile są wściekli. Z tego, co wiem, podejrzewają, że dla kogoś pracował, być może dla izraelskiego wywiadu, i kiedy zdobył to, co chciał, ktoś go po prostu stamtąd odebrał.

– Coś jeszcze?

Zawahała się.

– Rozmawiałam z szeryfem Homerem Wattsem z Socorro. Kiedyś z nim pracowałam i uznałam, że to właściwa osoba. Skontaktował się już z Randalem Bulfordem, szeryfem hrabstwa Chaves, gdzie są te wykopaliska. – Doszła do wniosku, że Lime nie musi wiedzieć, że kilka godzin temu jadła z Homerem śniadanie. Zresztą pewnie i tak wiedział o tym posiłku więcej, niżby chciał.

– I co pani teraz zamierza?

– Chciałabym jeszcze raz porozmawiać z doktor Kelly. Zdobyć więcej informacji, a nawet się tam wybrać.

Lime zrobił sceptyczną i trochę rozbawioną minę.

– Myśli pani, że to dobry kierunek działania?

Zmarszczyła brwi.

– Naprawdę uważa pani, że zniknięcie tego naukowca ma jakiś związek z zabójstwem sprzed ponad siedemdziesięciu lat? Jeśli tak, chciałabym wiedzieć dlaczego.

– Tak, rozumiem, co ma pan na myśli.

– A co mam na myśli?

– To, że nie wszystko ma związek ze wszystkim innym. I że zniknięcie Bitana nie ma prawdopodobnie nic wspólnego z tym podwójnym zabójstwem.

Lime się uśmiechnął.

– Nigdy nie będę tak dobrym opiekunem jak agent Morwood, ale się staram. O to właśnie chodzi: ponieważ zniknięcie Bitana niemal na pewno nie ma żadnego związku z tym podwójnym zabójstwem i ponieważ jest to tylko przypadek zwykłego zaginięcia, sprawa została przekazana odpowiednim władzom, a konkretnie szeryfowi hrabstwa Chaves. Przekazana przez panią. – I nie przestając się uśmiechać, dodał: – Bardzo dobra robota, agentko Swanson.

– Dziękuję – powiedziała i czekając na windę, próbowała sobie przypomnieć, czy Morwood choć raz się do niej uśmiechnął.

NIGDY DOTĄD NIE BYŁA w Los Alamos i to niegdyś tajne miasto, gdzie zbudowano pierwszą na świecie bombę atomową, bardzo ją ciekawiło. Ale kiedy w końcu tam przyjechała, okazało się, że jest to tylko typowy ośrodek administracyjny, choć otoczony wspaniałymi górami, sosnowymi lasami i głębokimi kanionami.

Zatrzymała się w punkcie kontrolnym i okazała dokumenty wartownikowi. Ten dał jej specjalną przepustkę dla gości – uprawniała do wstępu do strefy, w której pracował doktor Eastchester – i wytłumaczył, jak tam dojechać.

Strefa, otoczona podwójnym ogrodzeniem z siatki zwieńczonej drutem ostrzowym, leżała za miastem, na długim, skalnym cyplu wychodzącym z gór Jemez. Zatrzymała się w drugim punkcie kontrolnym, okazała przepustkę drugiemu wartownikowi, a ten powiedział jej, gdzie ma zaparkować i jak trafić do gabinetu Eastchestera.

Przed drzwiami budynku stał kolejny wartownik, który znów sprawdził jej przepustkę, poprosił, aby zostawiła broń, po czym zaprowadził ją do otwartych drzwi na końcu długiego, chłodnego korytarza.

– Panie doktorze? – rzucił. – Pański gość.

Weszła do przestronnego, skromnie urządzonego gabinetu z widokiem na kępę sosen i ośnieżone góry. Na jednej ze ścian wisiała duża tablica zapisana równaniami.

Z wygodnego fotela stojącego przy dębowym biurku zavalonym stertami czasopism i dokumentów wstał chwiejnie starszy pan.

– Agentka specjalna Swanson, prawda?

– Proszę nie wstawać, panie doktorze.

Ale on już wyciągał do niej rękę.

– Bardzo mi miło. Proszę, niech pani spocznie.

Usiadła przed biurkiem, a on w fotelu. Spojrzał na nią z poważną miną i powiedział:

– Strasznie mi przykro z powodu śmierci Hale’a. Domyślam się, że był pani bliski. Mnie również. Przeżyłem potworny wstrząs.

Kiwnęła głową, starając się nie okazywać wzruszenia.

– Poznałem go, kiedy był młodym agentem, jak pani teraz. Dopiero co wstąpił do FBI i trafił pod opiekę Mickeya Starra. Proszę przyjąć moje kondolencje.

Chciała jak najszybciej przejść na mniej emocjonalny grunt.

– Dziękuję i proszę przyjąć moje. – Korzystając z okazji, zajrzała do notatek. – Wspomniał pan o Mickeyu Starze. Jakim był człowiekiem?

– Twardym i szorstkim. Kwadratowa szczęka, wojskowy jeź na głowie, granatowy garnitur. Był dla Hale’a bardzo surowy, nawet bezwzględny. Szczerze mówiąc, nie lubiłem go. – Eastchester odkaszlnął. – Nie wiem, co się z nim stało. Żyje?

– Zmarł kilka lat temu. – Dowiedziała się tego od starszych kolegów z pracy.

Naukowiec kiwnął głową.

– Rozumiem, że agent Morwood prosił pana o zidentyfikowanie pewnego urzędnika.

Eastchester lekko się zawahał.

– Wiem, że to tajne – dodała – ale proszę się nie niepokoić. Mam wszystkie niezbędne upoważnienia.

– Bardzo dobrze. – Mimo to, od lat nawykły do dyskrecji, odpowiedział dopiero po chwili. – Tak jak mówiłem Hale’owi, jest to urządzenie do regulowania mocy wybuchu bomby wodorowej, tak zwana strzykawka, bo robi to, wstrzykując do komory fuzyjnej więcej lub mniej trytu. Pewien wesołek zażartował kiedyś, że po takim zastrzyku bomba albo wszystko pali, albo przypieka na chrupko. – Uśmiechnął się słabo. – Czy zna pani podstawowe zasady działania bomby wodorowej?

Corrie nie знаła, lecz nie chciała się do tego przyznać.

– Mniej więcej.

– Detonację bomby wodorowej, czyli fuzyjnej, inicjuje wybuch zwykłego ładunku rozszczepialnego. A to urządzenie reguluje jej moc. Nie uczestniczyłem w pracach nad jego projektowaniem. Powstało na długo przed moim przyjazdem do Los Alamos, poza tym nie jest już stosowane.

Corrie zapisała to w notesie.

– Czy wie pan coś o sprawie, nad którą agenci Starr i Morwood wtedy pracowali?

– Wiem, nawet sporo. Ale czy nie macie jej akt?

– Mamy, sześć metrów teczek. Ale ponieważ był pan bezpośrednim kontaktem Morwooda w Los Alamos, chciałabym, żeby opowiedział pan o tym własnymi słowami. Oczywiście jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

– Ależ skąd. To było dziwne... Czytała pani *The Hollow Man* Johna Dicksona Carra?

– Niestety nie.

– W jednym z rozdziałów Carr opisuje sposoby, jakimi można popełnić morderstwo doskonałe w zamkniętym pokoju. Zagadka zamkniętego pokoju: ta sprawa właśnie taka była. Ale... czy mogę spytać, co ma wspólnego z tą, którą pani teraz prowadzi?

– Prawdopodobnie nic. Próbuję tylko osadzić ją w jakimś kontekście. – Rzeczywiście zastanawiała się, czy te dwie sprawy mogą być ze sobą powiązane. Ostatecznie mimo upływu czasu jakoś się zazębiały. Ale wiedziała, że nie powinna o tym mówić, dopóki nie zdobędzie mocnych dowodów.

– Łatwo tę zbrodnię opisać. Właśnie to jest najbardziej zaskakujące: jej prostota. – Eastchester wziął głęboki oddech i ponad jej ramieniem spojrzął w dal, jakby szukał tam wspomnień. – Ofiarą był starszy naukowiec, szef grupy. Nazywał się Arvesen. Henryk Arvesen. Pewnego ranka w styczniu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku jego ciało znaleziono w pokoju mieszczącym się w ściśle tajnej strefie

ośrodka. Pokój spełniał najwyższe standardy bezpieczeństwa. Był „czysty”, szczelnie zamknięty i wyposażony w skomputeryzowane urządzenie rejestrujące wszystkich, którzy tam wchodzili i wychodzili. Drzwi otwierały się dopiero po wprowadzeniu odpowiedniego kodu cyfrowego, po zweryfikowaniu zdjęcia osoby wchodzącej czy też wychodzącej oraz odcisku jej palca wskazującego. Arvesen zginął od strzału w głowę oddanego z bardzo małej odległości. Był sam. W pokoju nie znaleziono broni, więc nie popełnił samobójstwa. Mimo to z nagrań wynikało, że o dziewiątej wieczorem poprzedniego dnia wszedł tam i już nie wyszedł. Oprócz niego nikt tam nie wchodził ani nie wychodził aż do rana, kiedy znaleziono go martwego.

– Czy ktoś nie mógł włamać się do systemu bezpieczeństwa?

– Tak początkowo podejrzewano. Ale po przeprowadzeniu wielu skomplikowanych analiz sprowadzeni z zewnątrz eksperci nie wykryli żadnego śladu włamania. Proszę mi wierzyć: system chroniący to pomieszczenie był i wciąż jest nie do zhakowania.

– Kto znalazł ciało?

– Kierownik laboratorium Arvesena, który też miał wszystkie możliwe upoważnienia i uprawnienia. Z zapisów rejestratora wynikało, że Arvesen wszedł do pokoju o dziewiątej i już nie wyszedł, co było dziwne. Dlatego kierownik zajrzał tam i... znalazł jego ciało.

– Nie mógł go zabić zaraz po wejściu?

Przez twarz naukowca przebiegł słaby uśmiech. Starzec podziwiał chyba jej zaciętość.

– Nawet gdyby udało mu się oszukać kamerę bezpieczeństwa, temperatura ciała Arvesena za bardzo spadła. Lekarz sądowy ustalił, że zgon nastąpił około północy.

– Może pan zdradzić, czym się Arvesen zajmował?

– Był szefem grupy pracującej na wydziale chemii nuklearnej bomb termojądrowych. W pierwszych bombach tego rodzaju paliwem był tryt, ale potem odkryto, że można go połączyć z litem, i tak powstał wodorek litu sześć. Bombardowany neutronami podczas eksplozji inicjującej,

woderek litu wytwarza duże ilości trytu, który staje się z kolei paliwem w drugiej fazie wybuchu. W pewnych warunkach jeszcze skuteczniejszy okazał się woderek litu siedem... Więcej szczegółów nie mogę chyba zdradzić. Krótko mówiąc, zespół Arvesena szukał lepszych paliw dla bomby wodorowej. On i jego ludzie pracowali w ścisłej tajemnicy i „strzykawka”, urządzenie, które pokazał mi Hale, okazała się z czasem przestarzała. Działała jedynie z trytem w postaci skompresowanego gazu, który stosowano w programie „Super”, w serii testów Greenhouse... Niech sobie przypomnę... W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym roku. Późniejsze bomby wodorowe były już na paliwo stałe.

– Rozumiem. – Corrie zawahała się i spytała: – Czy przychodzi panu do głowy jakikolwiek powód, dla którego ktoś mógłby chcieć zabić agenta Morwooda?

Eastchester gwałtownie uniósł brwi.

– Podejrzewacie, że go... zamordowano?

– Nie, nie. – Corrie szybko się wycofała. – Wszystko wskazuje na to, że to był wypadek. Ale zadajemy to pytanie, że tak powiem, rutynowo. – Miała nadzieję, że to go zadowoli.

– Nie, nic takiego nie przychodzi mi na myśl. Dobry agent FBI musi mieć dużo wrogów, prawda? Ludzi, których posłał do więzienia, ich rodziny, wspólników i tak dalej. Ale osobiście nie znam nikogo, kto chciałby zrobić mu krzywdę. – Naukowiec potarł czoło. – Największym problemem w sprawie Arvesena był całkowity brak dowodów rzeczowych. Z ciała wydobyto kulę, na podłodze leżała łuska. To wszystko. Nie znaleziono śladów wtargnięcia. Arvesen był człowiekiem bardzo bezpośrednim, etycznym, otwartym i prostolinijnym. Wszyscy bardzo go lubili i nie miał oczywistych wrogów. A garstka tych, którzy tego wieczoru mogli tam wejść, miała alibi. Mocne alibi. Hale i Starr natychmiast natrafili na gruby mur i przez wiele lat tłukli weń głowami. – Eastchester ciężko westchnął. – Na próżno.

* * *

Opuściwszy pilnie strzeżoną strefę, wracała krętą drogą do Albuquerque, myśląc o pożarze w laboratorium. Widok, jaki tam zastała – zwłaszcza w upiornym świetle latarki – i wypełniający pomieszczenie gryzący zapach wryły jej się w pamięć jak wypalone gorącym żelazem ślady. Swoje odręczne szkice, zdjęcia rentgenowskie zębów, diagramy oraz inne dane przechowywała w sieci komputerowej, więc ogień ich nie dosięgnął. Problem w tym, że były to dane niekompletne. Oczywiście dokumentację dentystyczną też trzymała w chmurze, ale jak dotąd do niczego się jej nie przydała. Ciała ofiar zmieniły się w popiół, zrekonstruowane twarze były niemal całkowicie zniszczone. A bez kompletnych czaszek nie mogła ich naprawić. Więc jak je teraz zidentyfikuje?

Ale była jeszcze ta atomowa „strzykawka”. Wiedziała już, co to jest, a odciski na niej numery seryjne mogły ją do czegoś doprowadzić.

Sęk w tym, że nie miała pojęcia do czego.

NORA OGARNEŁA WZROKIEM MIEJSCE przyszłych wykopalisk i poczuła, że zalewa ją fala podekscytowania. Kiedy tylko ukończono budowę drogi, wraz z Emiliem i Skipem wskoczyła do jeepa i kilka minut po dwunastej byli już w Los Gigantes.

Było to miejsce dużo bardziej działające na wyobraźnię, poza tym w dolinie znacznie mniej wiało. Tu i ówdzie stały piaskowcowe kopce, czerwone w południowym słońcu. Ale nigdzie nie zauważyli śladów zaburzeń z tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego roku. Były widoczne tylko dzięki potędze lidar, który dostrzegł je wyraźnie z powietrza.

I znowu pomyślała: czy to naprawdę możliwe, że rozbił się tu pozaziemski statek kosmiczny? Musiała przyznać, że dowodów ciągle przybywało. Coś jej mówiło, że wykopaliska, które miała niebawem rozpocząć, rozstrzygną to raz na zawsze. Myśl ta była ekscytująca i niepokojąca zarazem.

Skip spojrzął w lewo, spojrzął w prawo, wziął się pod boki i spytał:

– Dobra, więc jaki jest plan?

– Najpierw badanie terenu – odparła. – Potem podzielimy go na kwadraty i zaczniemy kopać. – Była pewna, że pod koniec dnia przyjedzie Tappan, i chciała, by zobaczył, że nie próżnują. – Do roboty.

Powoli obeszli cały teren wzdłuż i wszerz, wypatrując powierzchniowych artefaktów. Zajęło im to godzinę i znaleźli tylko zardzewiałe pudełko po tytoniu do żucia.

Nadeszła pora na kwadraty. Wyjęli z jeepa narzędzia, w tym drewniane paliki i fluorescencyjny sznurek. Vigil rozstawił teodolit, Skip biegał z łatą i pod jej kierunkiem – oraz pod kierunkiem GPS-u – uwinęli się w godzinę.

Ledwo skończyli i zobaczyła korkociąg kurzu na horyzoncie. Kilka minut później przyjechał Tappan. Zatrzymał samochód, wysiadł i z szerokim uśmiechem popatrzył na miejsce przyszłych wykopalisk.

– I to jest właśnie szybkość działania.

Zrobiło jej się bardzo miło, choć nie wiedziała dlaczego.

– Przyjechałeś w samą porę, właśnie mieliśmy zaczynać.

– Bardzo na to liczyłem.

Stanąwszy przed pierwszym kwadratem, Nora i Vigil ostrożnie wykopali kilka kęp traw, odłożyli je na bok i przystąpili do pracy, warstwa po warstwie usuwając piaszczystą glebę. Tappan obserwował ich z namiotu rozstawionego na skraju wykopaliska, od czasu do czasu rozmawiając z kimś przez radio.

Ponieważ kiedyś już tu kopano – nie szkodzi, że wiele lat temu – pracowało im się szybko i łatwo, tak jak się spodziewała. Ona i Vigil grzebali w ziemi, a Skip rzucał ją na sita, grube przeznaczał na większe znaleziska, a cienkie na mniejsze. Mijały godziny, a oni wciąż natrafiali tylko na jednolity piasek. Sita też nic nie wyłowiły i wyglądało na to, że teren jest zupełnie czysty – podejrzenie czysty. Nie znaleźli nawet kamieni.

Późnym popołudniem Tappan nagle zawołał:

– Noro, możesz na chwilę?

Wyszła z dołu.

– Właśnie rozmawiałem z Cecilią. Przeanalizowała z Kuzniecowerem chmurę punktów z lidar, tym razem na powiększonym i poprawionym obrazie, i znaleźli coś jeszcze. Dużo późniejsze zaburzenia. Poprosiłem ją, żeby przywiozła nam mapę.

Dwadzieścia minut później na horyzoncie znów wykwitł korkociąg kurzu i wkrótce potem przyjechała Cecilia Toth z dokumentami na siedzeniu pasażera. Wysiadła z jeepa i z powiewającymi na lekkim wietrze rudymi włosami ruszyła w ich stronę. Weszli do namiotu i usiedli.

– Dzięki, że przyjechałaś – powiedział Tappan.

– Nie ma sprawy. – Geofizyczka wyjęła z tuby mapę i rozwinęła ją na stole.

– Bawiliśmy się trochę chmurą punktów i spójrzcie, co znaleźliśmy. Tutaj, w górnym rogu.

Dwa i pół kilometra od miejsca, gdzie teraz siedzieli, Nora zobaczyła niewyraźne ślady opon samochodowych. Zaczynały się na zachodzie, wijąc się, przecinały podnóże Los Fuertes i ginęły w północnej części mapy.

– A teraz powiększenie. – Cecilia rozwinęła drugi zwój.

Ślady wchodziły na ich teren z lewej strony, biegły na wschód przez dolinę Los Gigantes i zatrzymywały się na przeciwległym skraju wykopalisk. Potem, zatoczywszy kilka chaotycznych kręgów, skręcały w przeciwnym kierunku.

– Są świeże – powiedziała Toth. – Bardzo świeże. Moim zdaniem w tym miejscu odebrano Bitana.

Nora kiwnęła głową.

– Co więcej – ciągnęła Cecilia – wygląda na to, że próbowano je zatrzeć. Prawdopodobnie ktoś wiedział, że użyjemy lidar. – Wyjęła z tuby trzecią mapę. – Ta jest w jeszcze większym powiększeniu.

Nora przyjrzała się uważnie i po jej plecach przemknął zimny dreszcz. Zobaczyła plątaninę śladów stóp i opon samochodowych, ewidentnie zatartych, lecz wciąż widocznych.

– Prowadzą na północ, w góry. Ale dokładnie dokąd?

– Nie wiemy. I trudno będzie to ustalić.

– Dlaczego?

– W tym miejscu zaczyna się zamknięta przestrzeń powietrzna. Stary poligon doświadczalny Pershinga, dawno opuszczona baza wojskowa. Zakaz wstępu z ziemi i z powietrza.

Tappan cicho zagwizdał.

– Zazwyczaj nie wpadam w paranoję, ale to mnie naprawdę zastanawia. Bitan znika, a te ślady prowadzą do opuszczonej bazy. Podobno opuszczonej. Więc co tam jest? Strefa Pięćdziesiąt Dwa? Można wysłać tam dron i zerknąć?

- Nie – odparła geofizyczka. – Chyba że chcemy stracić licencję operatora.
- A Google Earth?
- Sprawdziłam. Kilka porzuconych budynków, to wszystko. Brak jakichkolwiek śladów. Nic się tam ostatnio nie działo.

W namiocie zapadła cisza.

– I jeszcze coś – dodała po chwili Cecilia. – Po południu przyjechało do nas dwóch szeryfów. Prowadzą śledztwo w sprawie zniknięcia Bitana i chcą z wami rozmawiać.

– Chryste, tylko tego nam brakowało. – Tappan spojrzał na Norę. – Skończmy na dzisiaj i zobaczymy, czego chcą. Zresztą i tak już prawie wieczór.

GDY PÓŻNYM POPOŁUDNIEM CORRIE mijając drzwi dawnego gabinetu Morwooda – teraz zajmowanego przez Lime’a – Lime poprosił ją do siebie.

– Agentko Swanson?

Corrie cofnęła się i przystanęła. Agent siedział przy biurku, a krzesło stojące naprzeciwko niego zajmował główny inspektor pożarowy, z otwartą teczką na kolanach.

– Zapraszam – powiedział Lime. – Zna pani inspektora Feeneya?

– Tak.

Feeney wstał i wyciągnął do niej rękę. Przesłuchiwał ją na początku śledztwa. Ścisnęło ją w piersi.

– Proszę usiąść.

Kiedy usiedli, Lime podparł się łokciami, nachylił w ich stronę i spojrzał najpierw na nią, a potem na inspektora.

– Przejdźmy od razu do rzeczy, dobrze? Do szczegółów dotyczących agentki Swanson.

– Oczywiście. – Feeney zwrócił się w jej stronę. – Ustaliliśmy źródło pożaru. Było nim krótkie spięcie w autoklawie.

– Czyli nie palnik Bunsena, jak sugerował Lathrop – wtrącił Lime.

– Nie. Zawór palnika był zamknięty, zawór główny też.

Mimo że już to wiedziała, odczuła wielką ulgę.

– Co więcej, dochodzenie wykazało, że autoklaw nie był odpowiednio konserwowany. Zraszacze i czujniki dymu nie działały, ponieważ kable były przegryzione. Tak, przez szczury, których obecności nie wykryto. System przeciwpożarowy powinien być regularnie sprawdzany. Lathrop

kilka razy prosił, żeby inspektorzy przyszli kiedy indziej, bo był zajęty, skutkiem czego ani zraszaczy, ani czujników nie kontrolowano według ustalonego grafiku. I wreszcie, pożar dodatkowo podsycały sterty nieotwartych przesyłek, kartonów i pudeł, które stały w korytarzu za drzwiami.

– Jako kierownik laboratorium za wszystkie te niedociągnięcia odpowiadał Lathrop – podsumował Lime.

Ta ostatnia informacja wprawiła Corrie w osłupienie, dlatego chwilę trwało, zanim ją przetworzyła. A potem wpadła w gniew.

– I co z nim zrobicie? Przecież agent Morwood zginął z jego winy!

– Dostanie wygrawerowaną plakietkę i przejdzie na emeryturę.

– To wszystko?

Lime podniósł wzrok.

– Rozumiem pani gniew. Ja też jestem zły. Ale według prawa Lathrop nie dopuścił się żadnego przestępstwa kryminalnego. Była to jedynie seria zaniedbań, które doprowadziły do tragedii.

Corrie przełknęła ślinę i umilkła. Uważała, że Lathrop powinien odpowiadać za nieumyślne spowodowanie śmierci. Co najmniej.

– Jego największym przewinieniem było to, że próbował zrzucić winę na panią. Pani koledzy bardzo źle to odebrali: szef laboratorium, który obwinia jednego ze swoich. Na polecenie dyrektora od jutra bierze urlop, a zaraz potem przechodzi na emeryturę. Już go tu nie zobaczymy.

Kiwnęła głową. Wciąż paliło ją w piersi. To było takie niesprawiedliwe. Lathrop powinien wylądować za kratkami. Z drugiej strony zdała sobie sprawę, że Lime zorganizował to krótkie spotkanie, aby mogła zamknąć pewien etap swojego życia, nawet jeśli nie do końca. I za to była mu wdzięczna.

– Dziękuję, inspektorze – powiedział.

Feeney wstał. Lime zaczekał, aż wyjdzie, i dodał:

– Wiem, że jest pani ciężko. Ale musi pani iść dalej. To bardzo ważne, jestem pewien, że się pani ze mną zgodzi. Dlatego proszę mi opowiedzieć

o sprawie, którą pani prowadzi. Jak przebiega śledztwo? Rano rozmawiała pani z doktorem Eastchesterem, prawda?

Powrót do rzeczywistości kosztował ją wiele wysiłku. Streściła mu przebieg wizyty, powiedziała, że chce wysłać numery seryjne „strzykawki” do Quantico, aby tamtejsi specjaliści spróbowali dowiedzieć się czegoś więcej o pochodzeniu tego dziwnego urządzenia. W sprawie dokumentacji medycznej nie zrobiła większych postępów, lecz miała nadzieję, że w najbliższej przyszłości znajdzie czas, aby się jej przyjrzeć. I że nie zleci tego nikomu z zewnątrz, tylko zajmie się tym sama.

Lime słuchał jej uważnie, kiwając głową, a potem pogratulował jej świetnej roboty.

43

KIEDY WRÓCILI DO OBOZOWISKA, Nora zobaczyła na parkingu pick-up z odznaką szeryfa na drzwiach. Obok pick-upa stał brzuchaty mężczyzna w kowbojskim kapeluszu, z notesem w rękę, a obok niego drugi, dużo młodszy, którego natychmiast rozpoznała.

Tappan wysiadł i ruszył w ich stronę. Ona i Skip poszli za nim.

– Lucas Tappan – przestawił się miliarder ze sztuczną wesołością. – A to są moi współpracownicy, Nora Kelly i Skip Kelly. W czym mogę pomóc?

– Nora! – wykrzyknął Watts. – Jak miło panią widzieć! – Dwa colty, fantastyczny kowbojski kapelusz, kowbojskie buty – najwyraźniej nie zmienił swoich znaków rozpoznawczych.

– Szeryf Randall Buford. – Ten brzuchaty uściśnął im rękę. Około sześćdziesiątki, ogolony, miał potrójny podbródek i był w ciemnych awiatorach.

– Pan Tappan – powiedział. – Człowiek, którego szukam. Obecny tu szeryf Watts zaoferował mi pomoc w śledztwie, które prowadzę. Chodzi o zaginięcie... – Otworzył notes i przerzucił kilka kartek. – Niejakiego Noama Bitana.

– Tak – potwierdził Tappan.

– Świetnie. Chciałbym też porozmawiać z panem Elwynem Kellym, który z nim wtedy był.

– To ja – powiedział Skip.

– Może przejdziemy do mnie – zaproponował Tappan. – Chciałbym też zaprosić Norę, naszą główną archeolożkę.

– Oczywiście.

Weszli do przyczepy.

– Klimatyzacja! Co za miła odmiana – powiedział Buford, siadając ciężko na tapczanie i kładąc notes na stół. – Ma pan niezłą bryczkę.

Obok niego usiadł Watts, a Nora, Tappan i Skip zajęli miejsca naprzeciwko.

– Dobrze, zacznijmy od Elwyna Kelly’ego. – Buford zajął do notatek. – Elwyn, niech pan opowie, co się stało. Był pan wtedy z zaginionym, tak?

Skip streścił mu przebieg wydarzeń, wyraźnie niezadowolony, że szeryf zwraca się do niego tym imieniem, a potem Tappan opowiedział o ich bezowocnych poszukiwaniach. Buford od czasu do czasu coś notował. W końcu spytał:

– Ten Bitan jest z Izraela?

Tappan skinął głową.

– Czego on tam szukał?

– Pewnych... cech archeologicznych związanych z naszymi wykopaliskami.

Tappan celowo odpowiedział mgliście, ale Buford nie był zainteresowany szczegółami.

– Jaką ma wizę? Żeby tu legalnie pracować, musi jakąś mieć.

– H-1B, ze względu na jego specjalizację.

– To znaczy?

– Jest ekspertem SETI.

– SETI? Chyba nie słyszałem.

– Zajmują się tam poszukiwaniem dowodów na istnienie inteligentnych cywilizacji pozaziemskich.

– I nie znaleźli do tego żadnego Amerykanina?

– Bitan specjalizuje się w bardzo rzadkiej dziedzinie.

– Jasne, w zielonych ludzikach. – Buford zachichotał i spojrzał na Wattsa, który miał kamienną twarz.

– Dobra, a waszym zdaniem? Co mu się mogło przytrafić?

– Tak jak mówiliśmy, w miejscu, gdzie zaginął, Skip widział światła. Myślę, że ktoś go odebrał. – Tappan zawahał się i dodał: – Poza tym

znaleźliśmy tam świeże ślady opon samochodowych. Prowadzą na północ, w kierunku dawnego poligonu Pershinga.

Buford kiwnął głową i otworzył notes.

– „Światła w czasie i miejscu zaginięcia” – mamrotał, pisząc. – „Świeże ślady opon” – Podniósł wzrok. – Dziewięćdziesiąt pięć procent zaginionych to osoby zaginione z własnej woli. Zgodzi się pan ze mną?

– Tak – odparł Tappan.

Szeryf zamknął notes.

– Moim zdaniem jest oczywiste, że dał drapaka. Nieważne, z jakiego powodu. Może pracował dla izraelskiego rządu. Może uciekł, bo jakaś baba zalażała mu za skórę. Może wezwwała go nagła sprawa rodzinna. A może po prostu chciał wrócić do domu.

Z trudem wstał i spojrzął na Wattsa.

– Cóż, szeryfie. Nic więcej tu chyba nie zdziałamy.

– Zanim pan odjedzie... – zatrzymał go Tappan. – Co pan wie o tym poligonie?

– Jest ogrodzony. Od lat zamknięty. Nie można tam wchodzić. Zakaz wstępu.

– Dlaczego?

– Pełno tam niewybuchów, porzuconych pocisków i starych składów amunicji. Zamiast posprzątać, wojsko wolało zamknąć cały teren.

– Więc dlaczego te ślady tam prowadzą?

Szeryf zrobił skonfundowaną minę.

– Cóż, właściwie to nie powinny. Mówi pan, że prowadzą na poligon? Do bramy?

– Nie wiemy, czy do bramy, ale na pewno w tamtym kierunku. Nie możemy wysłać tam dronów, bo przestrzeń powietrzna jest zamknięta.

– Tak jak nad połową hrabstwa – mruknął Buford. – Pełno tu różnych baz i poligonów.

– Tak, ale tę bazę zlikwidowano dziesiątki lat temu. To chyba lekka przesada.

Szeryf wzruszył ramionami.

- Też tak uważam – odezwał się Watts.
- Nie ma to jak rządowa biurokracja.
- Bo dokąd mogą prowadzić? – myślał na głos Watts. – Warto to sprawdzić.

Wszyscy popatrzyli po sobie i zapadła cisza.

- Panie szeryfie... – Buford z trudem stłumił śmiech. – Jeśli chce pan wykorzystać swoje niezwykle umiejętności tropicielskie, proszę bardzo, serdecznie zapraszam! Hrabstwo Chavez będzie panu wdzięczne.

Watts, w pierwszej chwili zaskoczony, roześmiał się dobrodusznie.

- Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, chętnie spróbuję.
- Ależ proszę bardzo – powtórzył Buford.
- Czy ma pan zdjęcia tych śladów?

Tappan szybko wyjął mapę i Watts ją obejrzał.

- Ciekawe. – Zerknął na Skipa. – Będę potrzebował przewodnika. Pokażesz mi, gdzie widziałeś te światła?

- No jasne! – odparł z entuzjazmem Skip. – Mogę zabrać psa?
- Nie. Mógłby zdeptać ślady. Zaczniemy jutro rano. Mogę zatrzymać mapę?

- Jest poufna, więc tylko do pańskiego użytku.
- Oczywiście. Będę tu o wpół do szóstej. Punktualnie.
- Tak wcześnie? – jęknął Skip.
- Rano upał jest mniejszy. – Watts klepnął go przyjacielsko w plecy. – Na razie, partnerze!

CORRIE SKRĘCIŁA w ciemną uliczkę, przejechała pół kwartału, zaparkowała przy krawężniku i rozejrzała się, nie gasząc silnika. Była w starej części Albuquerque, gdzie przeważały domy z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, ale nie te w przeholowanym stylu *neo-pueblo*, z których lada chwila mogliby wyjść kumple Freda Flintstone'a. Upewniła się, czy w pobliżu nikogo nie ma. Potem przyjrzała się domowi, przed którym parkowała. Był podobny do pozostałych. Parterowy, pomalowany na beżowo, z kamiennymi akcentami u podstawy i z dobudowanym półpiętrzem stał w głębi podwórza, ale nie porośniętego trawą, tylko wysypanego kostkami lawy wulkanicznej i ozdobionego kaktusami oraz jukkami. Nad drzwiami paliło się światło, tak jak we frontowym pokoju, pewnie w salonie. Musiało się włączać automatycznie. W domu nikogo nie było. Nie zauważyła też nigdzie tablicy z ogłoszeniem, że posesja jest na sprzedaż, ale na to było chyba za wcześnie.

Sprawdziła w komórce numer. Tak, to na pewno tu.

Pojechała dalej i skręciła w prawo, gdzie – przynajmniej według Google Maps – miał być mały park z karuzelami, huśtawkami i stołami piknikowymi. I rzeczywiście, ciągnął się wzdłuż całej ulicy, zbyt dobrze oświetlony, żeby przychodziły tam prostytutki albo dilerzy. Po drugiej stronie ulicy była podstacja elektryczna, jedna z tych, do których zaglądano tylko wtedy, kiedy coś się zepsuło. Bardzo jej ulżyło, bo nie musiała się martwić o kamery bezpieczeństwa na domach ani o inteligentne wideodomofony.

Zerknęła na zegarek, wsłuchiwała się w noc i odczekała dwie minuty. Nic, oprócz ledwo słyszalnych dźwięków ZZ Top z jednej strony i Nasa

z drugiej. Jak ogień i woda, pomyślała.

Wysiadła, wzięła torbę z przedniego siedzenia, oparła się o drzwi, delikatnie je zamknęła i obesła wyżwirowany parking, obserwując okolicę niby od niechcienia, lecz uważnie. Zatoczywszy dwa kręgi, zeszła z parkingu w najciemniejszym miejscu, minęła rząd klonów, przebiła się przez krzaki i pokonała stary, pęknięty płot. Przystanęła w cieniu tylnego tarasu.

Rozejrzała się, wyjęła z torby latarkę z osłoniętym reflektorem, nastawiła ją na najniższy poziom światła, zanurkowała pod taras i obejrzała okna pod stropem piwnicy. Były małe, ale mogłaby się przez nie precyzyjnie. Powiodła światłem po parapetach, a potem poświeciła do środka, wypatrując jakichś zabezpieczeń czy systemu alarmowego. Niczego takiego nie dostrzegła. Znajac Morwooda, pewnie nic nie zabezpieczyłoby domu lepiej niż on sam.

W świetle latarki zobaczyła stół roboczy, wiszącą nad nim długą półkę ze starannie poukładanymi narzędziami elektrycznymi i równo ułożoną stertę walizek w kącie. Wydawało się, że niczego tu nie tknięto i wszystko wygląda dokładnie tak jak przed pięcioma dniami, kiedy Morwood był w domu ostatni raz. O ile wiedziała, nie miał bliskich krewnych, więc trochę potrwa, zanim ruszy postępowanie spadkowe czy inne.

Odłożyła latarkę, wyjęła z torby długi wąski płaskownik i stosując technikę, której nauczyła się na zajęciach pozaszkolnych w ogólniaku, wepchnęła jego koniec między ramę okna i dolną część ościeżnicy. Wsuwał się z trudem – dom mógł nie mieć alarmu, ale na pewno był dobrze zabezpieczony przed żywiołami – lecz po chwili poczuła, że opór maleje i zatrask puszcza.

Rozejrzała się, jeszcze raz analizując powody, dla których tu przyjechała. Jakkolwiek by na to patrzeć, włamywała się właśnie do czyjegoś domu. To, że była agentką federalną, niczego nie zmieniało. Gdyby wpadła, poniosłaby poważne konsekwencje.

Więc co takiego ją tu przygnało? Dlaczego aż tak ryzykowała?

Patrząc wstecz, rozmowa z doktorem Eastchesterem zrodziła więcej pytań niż odpowiedzi. Poza tym miała wyrzuty sumienia, ale już nie z powodu palnika, tylko dlatego, że gdyby zrobiła większe postępy, Morwood nie pojechałby może o północy do laboratorium. Była więcej niż pewna, że nie chodziło mu jedynie o zwrot tego urządzenia. A nad tym wszystkim, niczym znak zapytania, wisało to straszne spotkanie z patologiem po sekcji zwłok, a zwłaszcza tajemnicza nadpalona lista. Spalone laboratorium też nie ujawniło prawie żadnych sekretów. No i największy znak zapytania: dlaczego Morwood wyszedł z domu w środku nocy i pojechał prosto do laboratorium? Uznała, że najlepiej będzie, jeśli sprawdzi, czy nie zostawił tu czegoś, co rzuciłoby na to trochę światła. Była pewna, że gdyby poprosiła o pozwolenie na przeszukanie, odmówiono by jej z braku konkretnych powodów, a przy okazji mogłaby się zdradzić ze swoimi przeczuciami, że w śmierci Morwooda jest coś podejrzanego, choć ustalono, że był to zwykły wypadek.

Odkładając na bok samousprawiedliwienie, jednego była dziwnie pewna: Morwood chciałby, żeby to zrobiła.

Otworzyła okno, wepchnęła do środka torbę, wślizgnęła się do piwnicy i po cichu zeskoczyła na podłogę. Znieruchomiła, nie wiedząc, czy nie pomyliła się co do alarmu. Mógł być cichy, więc na wszelki wypadek nie zamknęła okna i często na nie zerknęła, wypatrując policyjnych radiowozów nadjeżdżających z wyłączonymi syrenami.

Piwnica była betonowa, niewykończona, ze stołem roboczym, który widziała już przez okno. Na górę prowadziły schody. Z wciąż przestłoniętą i skierowaną w dół latarką weszła na nie, otworzyła drzwi, zgasiła latarkę i zastygła bez ruchu, nasłuchując, czy nikt nie zauważył jej wtargnięcia. W środku unosił się lekki zapach pasty do podłogi i – co ją zaskoczyło – płynu po goleniu Morwooda.

Stłumiła mimowolny szloch. Przyjechała tu po informacje, a nie po nostalgiczne wspomnienia. Rozejrzała się szybko, szukając jego gabinetu. Dała sobie kwadrans, nie więcej.

Po krótkim rozpoznaniu okazało się, że w domu są dwie sypialnie i dwie łazienki. W jednej znalazła jego wodę kolońską Creed Santal. Wiedziała, że miał tu też pokój do pracy, więc szybko przeszła przez cały dom i w końcu go znalazła. Zastawione półkami ściany, biurko, na biurku komputer, sterta książek i rozrzucone papiery – jeśli w ogóle miała coś znaleźć, to tutaj.

Okna wychodziły na ulicę. Postawiła torbę i zamknęła drewniane żaluzje. Nie chciała ryzykować i musiało jej wystarczyć słabe światło latarki. Zerknęła na zegarek. Kwadrans, który sobie narzuciła, zmniejszył się do dziesięciu minut.

Stanęła przy biurku. Włączyć komputer? Bez sensu, jest na pewno zabezpieczony hasłem. Popatrzyła na półki. Nie było na nich ani rodzinnych zdjęć, ani pudełek z medalami, nic, tylko encyklopedie, materiały źródłowe, stare numery „National Review”, „Aviation Weekly”, „Military History” oraz kilka periodyków Janes na temat bezpieczeństwa narodowego. Na ścianach też nie było żadnych odznaczeń ani listów pochwalnych, a na biurku stały jedynie dwa zdjęcia. Przyjrzała się im. Jedno, bardzo stare, chyba z przełomu wieków, przedstawiało kobietę i mężczyznę w mocno znoszonych ubraniach, pozujących przed progiem farmerskiego domu. Drugie, polaroid z lat osiemdziesiątych zeszłego wieku – trzech obejmujących się za ramiona nastolatków na boisku baseballowym. To było bardzo wyblakłe, lecz bez cienia wątpliwości w chłopcu stojącym pośrodku rozpoznała Morwooda.

Wzięła głęboki oddech. Obok biurka stała półka i wyglądało na to, że trzymał na niej książki, do których najczęściej zaglądał, głównie wojskowe prace historyczne: *The Guns of August*, *The Two-Ocean War*, *Strzelby, zarazki, maszyny – losy ludzkich społeczeństw*. Były tam również *On Thermonuclear War* Hermana Kahna i diaboliczna *Dark Sun* Richarda Rhodesa. Wszystkie miały przetarte grzbiety od lat czytania. Obok stała druga półka, na której z zaskoczeniem dostrzegła wczesne thrillery: *Zagadkę piaszczystych ławic*, *Watcher in the Shadow*, *Rogue Male* i kilka innych.

Przeniosła wzrok z powrotem na biurko. Po lewej stronie piętrzyła się sterta starych numerów „Bulletin of the Atomic Scientists”, a obok leżały bloczek papieru i duża otwarta książka. Książka miała wytarty grzbiet, co wskazywało na to, że zwykle stała na półce obok biurka.

Ale ją zainteresował bloczek papieru. Wzięła go do ręki. Kartki były tej samej wielkości i rodzaju co nadpalona karteczka, którą znaleziono w kieszeni Morwooda.

Usiadła i przyjrzała się dokładniej bloczkowi. W świetle latarki zobaczyła pływające rysy na pierwszej kartce, dowód, że na tej, która była nad nią, coś napisano.

Wyjęła ołówek z pojemnika, przyłożyła go równoległe do kartki i ostrożnie potarła ją czubkiem. Niepokryty grafitem papier szybko ujawnił swoją tajemnicę.

ITEM

Zmarszczyła brwi. Dziwne. Pod spodem nie było żadnej listy. Było tylko to jedno słowo. Coś przeoczyła? Potarła ołówkiem jeszcze raz. Wciąż nic.

Wyrwała karteczkę i obejrzała ją ze wszystkich stron. A więc Morwood napisał tylko to. Nie sporządził żadnej listy. W takim razie dlaczego wyrwał kartkę i zabrał ją do laboratorium? To nie miało sensu. Schowała do kieszeni tę pomazaną ołówkiem.

Pięć minut.

Jej wzrok spoczął na koszu stojącym obok biurka. Leżało w nim kilka zmiętych karteczek, chyba z tego samego bloczku. Wyjęła je i wygładziła na biurku.

Widniejące na nich słowa były równie zagadkowe. Na jednej Morwood napisał – własnoręcznie, znała jego charakter pisma – „E: wspomaganie”. A na drugiej: „1947/51 DATA????”. Miało to niewiele większy sens niż „Item”, ale i tak schowała obie do kieszeni.

Choć kończył jej się czas, skupiła uwagę na grubej książce leżącej na biurku grzbietem do góry. Była to *Encyklopedia wieku atomowego*. Ostrożnie podniosła ją i odwróciła.

Encyklopedia była otwarta na rozdziale *Operacja Greenhouse* i kiedy przebiegła wzrokiem parę stron, okazało się, że piszą w nim o wczesnych próbach nuklearnych, zwłaszcza o pierwszych amerykańskich „strzałach” z ładunkami rozszczepialnymi w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym roku. Z tego, co zrozumiała, były one poświęcone – przynajmniej częściowo – testowaniu regulatora w rodzaju tego, który Nora wykopała na pustyni.

Pierwsza próba (o kryptonimie George), podjęta w celu zweryfikowania teorii bomby termojądrowej zwanej „klasyczną Super”, utorowała drogę pełnowymiarowemu testowi pod kryptonimem Ivy Mike, który przeprowadzono rok później. Druga próba z serii Greenhouse (o kryptonimie Item) przeprowadzona 25 maja 1951 roku była pierwszym testem w pełni wspomaganym syntezą termojądrową, podczas której do komory fuzyjnej wstrzyknięto tryt w postaci skompresowanego gazu, co ponaddwukrotnie spotęgowało siłę eksplozji...

Podniosła wzrok. Jezu Chryste. Przypomniały jej się słowa Eastchestera: „On i jego ludzie pracowali w ścisłej tajemnicy i »strzykawka«, urządzenie, które pokazał mi Hale, okazała się z czasem przestarzała. Działała jedynie z trytem w postaci skompresowanego gazu, który stosowano w programie »Super«, w serii testów Greenhouse... Niech sobie przypomnę... W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym roku”.

Seria testów Greenhouse. Powinien był powiedzieć: „w teście Greenhouse-Item”.

„Item”. To nie był początek listy. To był kryptonim testu nuklearnego. I właśnie to odkrycie kazało Morwoodowi odłożyć encyklopedię, wyjść z domu i pojechać do laboratorium.

Ale właściwie co odkrył? I nagle ją olśniło.

Jednoznacznie ustalono, że kobieta i mężczyzna, których zwłoki Nora wykopała w pobliżu Roswell – pogrzebane w ziemi wraz z atomową „strzykawką” – zostali zamordowani w tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym roku. Tymczasem z encyklopedii wyraźnie wynikało, że regulator

mocy był gotowy do użytku dopiero w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym roku.

„1947/51 DATA???” Tak napisał Morwood na karteczce, którą potem zmiął i wrzucił do kosza.

Skończył jej się czas. Wstała, sprawdziła, czy na biurku wszystko leży tak jak przedtem, wyjęła z torby komórkę, wyłączyła flesz i zrobiła kilka zdjęć pokoju oraz biurka. Potem zapięła torbę, zarzuciła ją na ramię, otworzyła żaluzje i po cichu wyszła z domu tą samą drogą, którą weszła.

Wracając do domu, często zerkała we wsteczne lusterko. Ale ulice były puste i nikt za nią nie jechał.

SKIP WSTAŁ O CZWARTEJ, jęcząc i przeklinając. Zabrał Mitty'ego na spacer, nakarmił go, a potem, starając się nie zbudzić siostry, spakował do plecaka wodę, kanapki, termos z kawą i kilka batoników müsli. Gdy zobaczył światła nadjeżdżającego SUV-a, na niebie wciąż mrugały gwiazdy.

Kiedy Watts się zatrzymał, Skip wskoczył do samochodu i rzucił plecak na tylne siedzenie.

– Dzień dobry. – Szeryf zawrócił i nową drogą pojechali w kierunku suchego jeziora. – Kawy? – Wskazał kubek stojący w uchwycie pod deską rozdzielczą. – Dla ciebie. Może być trochę zimna.

– Czytasz w moich myślach. – Skip miał swoją w termosie, ale nie chcąc być nietaktowny, wziął kubek i wypił łyk letniej kawy.

Watts był młodszy od niego, ale biły z niego pewność siebie i spokój, cechy, które Skip podziwiał. W szarym kowbojskim kapeluszu, z rewolwerami, które wisiały teraz na tylnej półce, wyglądał trochę jak gwiazdor hollywoodzkiego westernu. Był to jednak wygląd naturalny, a nie sztuczne przebranie.

– Najpierw chciałbym pojechać tam, gdzie widziałeś te światła – powiedział szeryf. – Myślisz, że znajdziesz to miejsce?

– Chyba tak.

Pojechali przez wyboistą prerię. Niczym gigantyczny żąb na skraju mesy ukazały się wkrótce ruiny wieży obserwacyjnej. Minęli ją i zjechali na dół, do podnóża klifu.

Szeryf zahamował.

– Zobaczmy, czy uda nam się znaleźć twoje ślady. Jesteś w tych samych butach? I był z tobą pies, tak?

– Tak, w tych samych. I tak, byłem z Mitym.

Wysiedli.

– Przejdź się kawałek i wróć.

Skip zrobił, co mu kazano, i Watts przyjrzał się jego śladom.

– Dobra, dzięki. Zostań tu.

Szeryf ruszył przed siebie z latarką w rękę i ze wzrokiem wbitym w ziemię. Wschodni horyzont zaczynał przybierać bladożółty kolor.

Watts podniósł rękę.

– Mam!

Skip podszedł do niego, spojrzął na ziemię, ale nie zobaczył nic oprócz kilku niewyraźnych zagłębień.

– To moje ślady?

– Tak, a tu twojego psa. Prowadzą w obu kierunkach, tam i z powrotem. Poszedłeś stąd na północ czy na południe?

– Na północ.

– Świetnie. Pójdiesz dwadzieścia kroków za mną, dobra? Po moich śladach, nie po swoich. Nie chcę ich zdeptać.

– Jasne.

Szeryf ruszył szybkim krokiem wzdłuż podnóża klifu. Po kwadransie skręcił i zaczął się wspinać na zbocze, wciąż idąc starymi śladami Skipa.

– To z tej skarpy widziałeś światła? – spytał.

– Chyba tak.

Im wyżej wchodzili, tym skarpa stawała się węższa i bardziej stroma. Zza horyzontu wyjrzało słońce.

– Wszedłeś tu po ciemku? Miałeś szczęście, że nie... A nie, jednak spadłeś.

Skip spojrzął pod nogi. Nie musiał być tropicielem, aby zauważyć głębokie bruzdy, ślady hamowania w luźnym piasku.

– Zobaczyłem światła, wchodząc na górę. Gdzieś tutaj zrobiłem sobie odpoczynek. A schodząc, spadłem.

– Dobra. – Watts rozejrzał się i wszedł trochę wyżej.

– Tu siedziałeś. Chodź tu i pokaż, gdzie widziałeś światła.

– Było ciemno... – Skip spojrział na białe jezioro, na zielone Wzgórza Końskiego Nieba i na kopce w dolinie Los Gigantes. Zmrużył oczy, próbując sobie przypomnieć, w którym miejscu wielkiego oceanu nocy mrugały te ruchome punkciki.

– Skup się i pomyśl: były tuż pod horyzontem czy trochę niżej? W którym kierunku wtedy patrzyłeś?

Skip wyobraził je sobie i nałożył na dzienny krajobraz.

– Mniej więcej... tam. Za tym ostatnim kopcem, na równinie przed wzgórzami.

Watts podążył wzrokiem za jego wyciągniętą ręką.

– Dobra, widzę. – Rozwinął mapę Tappana. – Bardzo ciekawe. To tam, gdzie są świeże ślady opon.

Podniósł wzrok i klapnął Skipa w plecy.

– Dobra robota. Chodźmy.

Wrócili do samochodu i pojechali przez suche jezioro. Zerkając na mapę, szeryf okrążył trawiaste wzgórza i skręcił w kierunku Los Gigantes. Zaparkował, wysiedli i Watts zatoczył szeroki krąg, szukając tropów.

– Aha! – zawołał. – Ślady stóp. Sprzed trzech dni.

– Nic nie widzę – powiedział Skip.

– Pamiętasz, w jakich butach był Bitan?

– W starych taktycznych butach bojowych. Głupio w nich wyglądał.

– Znakomicie. To on. Idziemy.

Watts poszedł dalej. Szedł tak szybko, że Skip z trudem za nim nadążał, zrównując się z nim tylko wtedy, kiedy szeryf przystawał, aby spojrzeć na mapę. Trop wił się u podnóża gór, w końcu skręcił na dno wyschniętego strumienia. Tam szeryf przystanął i ze zmarszczonymi brwiami zrobił kilka kroków w jedną stronę, w drugą i trzecią.

– No i co? – spytał Skip.

– Tu się spotkali. Są ślady opon. Zatarte, pewnie broną ciągniętą za samochodem. Ale od tamtego czasu nie padało i wciąż je widać. Prawie wszystkie. Bez pomocy deszczu, wiatru i czasu nie da się całkowicie zatrzeć śladów na piasku.

Szeryf pokrażył jeszcze trochę po okolicy, w końcu skręcił w stronę kamieni zaścielających dno strumienia. Pogrzebał wśród nich i krzyknął:

– Tutaj! Zobacz.

Skip podbiegł do niego.

Spod kamieni wystawało coś, co wyglądało jak karta kredytowa, częściowo przysypana piaskiem.

– Nie dotykaj. – Szeryf zrobił kilka zdjęć, wyjął plastikową torebkę strunową, włożył lateksowe rękawiczki i wrzucił do niej kartę. Obejrzał ją uważnie, a potem pokazał Skipowi.

– To identyfikator Bitana – stwierdził Skip. – Wszyscy musimy je nosić. Jest czymś pomazany...

– Krwią. Niemal na pewno Bitana. – Watts schował torebkę do kieszeni plecaka. – Moim zdaniem jest jasne, co się stało. Dwa pojazdy terenowe odcięły mu drogę, jeden z przodu, drugi z tyłu. Próbował uciec, ale dogoniło go czterech mężczyzn. Doszło do szarpaniny i został ranny, stąd krew. Zakrwawiony piasek usunęli. Wygląda na to, że w którymś momencie Bitan rzucił identyfikator w ciemność, jak okruszek chleba z bajki. Innego wytłumaczenia nie ma: gdyby napastnicy zobaczyli, że to zrobił, szukaliby aż do skutku.

– I wyczytałeś to wszystko z piasku?

Szeryf wzruszył ramionami.

– A więc go porwali...

– Tak. Zważywszy na ten zakrwawiony identyfikator i na to, że Bitan nie pojawił się w żadnym szpitalu, możliwe też, że go zabili albo ciężko ranili.

– Dokąd prowadzą te ślady, te, które próbowali zatrześć?

– Na północ. W kierunku poligonu Pershinga.

– To daleko?

– Nie wiem. Wejźmy na to wzgórze. W tym miejscu kończy się mapa.

Poruszając się zwinnie jak górska kozica, Watts wspiął się na górujące nad strumieniem skaliste wzgórze. Skip poszedł za nim i wkrótce stanęli na wierzchołku, z którego roztaczał się dobry widok na północ. Szeryf

wyjął lornetkę, przytknął ją do oczu i popatrzył na łagodnie pofalowane wzgórza i doliny ciągnące się w kierunku gór.

Podał lornetkę Skipowi.

– Spójrz na te wzgórza.

Skip spojrział i po chwili zobaczył siatkowe ogrodzenie, które przecinało krajobraz jak wstążka. Przesunął lornetkę i natrafił na zamkniętą bramę. Obok bramy wisiały tablice z jakimiś napisami, ale były za daleko, aby dało się je odczytać. Za ogrodzeniem stało kilka budynków, kilka samochodowych wraków i stara drewniana wieża ciśnień z wgniecionym zbiornikiem.

– Poligon – powiedział Watts.

– Chyba... opuszczony.

– Tak. – Szeryf umilkł i dodał: – Tylko że prowadzą tam świeże ślady opon samochodowych.

TO, CO ZOBACZYŁA, wjeżdżając na parking przy St. Michael's Drive, nie było zbyt zachęcające. Siedziba Skonsolidowanych Partnerów Dentystycznych zajmowała nowy budynek w stylu podrabianego pueblo. Nie wyglądał na taki, w którym przechowywano by starą dokumentację stomatologiczną.

Zawiesiła na szyi smycz ze służbową odznaką i weszła do środka. Próbowiła uprzedzić ich telefonicznie, ale ciągle włączała się poczta głosowa, a kiedy się wreszcie dodzwoniła, jakiś pracownik niskiego szczebla poinformował ją, że nic nie wie o starej dokumentacji, i nie był chętny się dowiedzieć. Myślała, że pojedzie z nią Lime, ale taktownie dał jej do zrozumienia, że to strata czasu, bo dokumentacji sprzed siedemdziesięciu lat nikt już nie znajdzie.

Poszukiwania zaprowadziły ją do dużej praktyki dentystycznej w Santa Fe, należącej do sieci komercyjnych szpitali, która z biegiem lat wykupiła kilkanaście mniejszych przychodni. Trzymała się nikłej nadziei, że może te mniejsze zachowały starą dokumentację. Problem polegał na tym, że w Santa Fe było mnóstwo nieczynnych przychodni, których sieć nie wykupiła. Lime miał rację: to był rzeczywiście strzał w ciemno.

Weszła do dużej, sterylnej recepcji, w której za szkłem siedziały trzy recepcjonistki. Wybrała tę, która robiła wrażenie najbardziej przytomnej. Podeszła i pokazała jej odznakę.

– Agentka specjalna Corinne Swanson, Federalne Biuro Śledcze, Albuquerque. Jak się pani miewa?

Recepcjonistka długo patrzyła na nią przekonana, że Corrie się wygłupia, w końcu spytała:

- Słucham, w czym mogę pomóc?
- Czy mogłabym rozmawiać z kimś z kierownictwa? – spytała Corrie wciąż uprzejmym tonem.
- To jakiś kawał?
- Nie, proszę pani – odparła spokojnie. – Mam szczerą nadzieję, że nie będą państwo utrudniali mi pracy.
- Dobrze. – Kobieta wstała, wyszła na zaplecze i po chwili wróciła z mężczyzną w błyszczącym granatowym garniturze i krawacie z dzianiny. Nie był dentystą: wyglądał na urzędasę. Przedstawił się jako Murphy.
- Ma pani jakieś dokumenty? – spytał podejrzliwie.
- Pokazała mu odznakę. Patrzył na nią i patrzył.
- Skąd mogę wiedzieć, czy jest prawdziwa?
- Proszę zadzwonić do FBI w Albuquerque.
- Ściągnął usta, nie odrywając wzroku od odznaki.
- Ma pani nakaz?
- Nie był to obiecujący początek, lecz Corrie nie ustąpiła.
- To nie jest oficjalne przeszukanie, panie Murphy. Próbuję zidentyfikować ofiarę zabójstwa i liczyłam na to, że udostępni mi pan wasze archiwum. Dobrowolnie.
- Dokumentacja medyczna jest prywatna. Ustawa o odpowiedzialności w ubezpieczeniach zdrowotnych.
- Tak, wiem, ale interesują mnie dokumenty sprzed siedemdziesięciu, siedemdziesięciu pięciu lat. Pacjent już nie żyje. I czy wspomniałam, że chodzi o zabójstwo?
- Nie mamy tak starej dokumentacji.
- A macie dokumentację z wykupionych przychodni?
- Oczywiście.
- Przeglądaliście ją?
- Nie było takiej potrzeby. Robimy to tylko wtedy, kiedy potrzebne nam są dane pacjenta sprzed konsolidacji.
- Skoro jej nie przeglądaliście, to skąd pewność, że nie ma tam dokumentów sprzed siedemdziesięciu lat?

- Bo to mało prawdopodobne.
- Ale nie wiecie tego na pewno.

Mężczyzna zmarszczył brwi.

- Przykro mi, agentko Swanson, ale muszę odmówić. Nie jestem pewny, czy miałbym prawo umożliwić pani dostęp do naszego archiwum, poza tym musiałbym dysponować bardziej konkretnymi informacjami.

Corrie wzięła głęboki oddech, starając się zachować pogodny wyraz twarzy.

- Powiem panu, jaki ma pan wybór, panie Murphy. Może pan odmówić i ma pan do tego prawo. Wtedy wrócę do biura, sporządzą nakaz, zawiozę go sędziemu do podpisania i wrócę tu z sześcioma kolegami. Na czas przeszukania będziemy musieli wyprosić wszystkich pacjentów i odizolować personel; to standardowa procedura. Przeszukanie może potrwać wiele godzin, a nawet dni, bo nie wiem, jak duże macie archiwum. Ale może pan również wyrazić zgodę, oczywiście dobrowolnie, a wtedy przeszukam archiwum nieoficjalnie, osobiście, bez konieczności zamykania przychodni i w obecności wyznaczonego przez pana pracownika, jeśli pan sobie tego życzy. Nie musiałby pan też martwić się o swoje kompetencje w tej kwestii.

Odczekała chwilę i posłała mu promienny uśmiech.

- Więc jak będzie? Drzwi numer jeden czy drzwi numer dwa? Dama czy tygrys?

Murphy zaczerwienił się i wytarł chustką usta.

- Skoro tak to pani ujmuje, możemy spełnić pani prośbę. Proszę, chodźmy.

Zaprowadził ją do labiryntu boksów i zawołał jakiegoś pracownika.

- Darren, pani jest agentką FBI. Zaprowadź ją do przyczepy i pomóż jej znaleźć to, czego szuka, dobrze?

Darren spojrzał na nią i wytrzeszczył oczy, zaskoczony jej urodą i wiekiem. Zdążyła już do tego przywyknąć i zachowała kamienną twarz. Koniec z uprzejmościami. Wyciągnęła do niego rękę.

- Agentka specjalna Swanson.

– Eee... Darren Schmitz.

Od miesiący ćwiczyła ze ściskaczem do wzmacniania siły uścisku, więcomal nie zmiażdżyła mu dłoni, w najprostszy sposób zaznaczając, kto tu rządzi.

– Dobrze, chodźmy – wymamrotał, zabierając zwiotczałą rękę.

Tylnymi drzwiami wyszli na dwór i tam, w miejscu przeznaczonym do wysyłki i odbioru przesyłek, zobaczyła obskurną przyczepę stojącą na pustakach, z drzwiami, do których prowadziły schodki. Schmitz wszedł na nie, wprowadził kod, otworzył kłódkę, zdjął ją, otworzył drzwi i zapalił światło.

Corrie stanęła na najwyższym stopniu schodków i zdrętwiała. Od podłogi po sufit wszystkie ściany przyczepy były zastawione starymi kartonami i metalowymi pudłami, po trzy, cztery warstwy w głąb.

– Jak to jest zorganizowane? – spytała.

Schmitz znów wytrzeszczył oczy.

– To znaczy?

– Jak szukacie dokumentów? Po nazwisku pacjenta?

– Najpierw po nazwie przychodni, potem po roku i dopiero wtedy po nazwisku. Alfabetycznie.

– Naprawdę? Jak w tym bałaganie można cokolwiek znaleźć?

– Nie wiem.

– A czy ktoś wie?

– Nikt tu nie przychodzi. Tylko ja.

– Po co to w ogóle trzymacie? Nie lepiej od razu wszystko wyrzucić?

– Najpierw musielibyśmy przejrzeć każdą teczkę. Taniej wychodzi je składować.

– A jeśli pan umrze? Pana następcę się w tym połapie?

Schmitz nie odpowiedział.

Zdała sobie sprawę, że za daleko się posunęła. Przecież gdyby wyrzucili dokumentację, jej wizyta byłaby czysto akademicka. Spojrzała na jego zestresowaną, spoconą twarz – w przyczepie było gorąco jak w piecu – i nagle zrobiło się jej go żal. Pokręciła głową.

– Przepraszam, jestem trochę niecierpliwa. I dziękuję, że chce mi pan pomóc. Pokażę panu, czego szukam, i może wpadnie pan na jakiś pomysł.

– Otworzyła aktówkę i wyjęła teczkę. – To są zdjęcia rentgenowskie zębów ofiary, które zrobiliśmy w laboratorium FBI. Niech pan zwróci uwagę na te niezwykle koronki. Odlano je ze stopu stali nierdzewnej, niklu i chromu, precyzyjnie obrobiono i wyszlifowano. Niemal na pewno w Związku Radzieckim, w latach czterdziestych.

Schmitz zmrużył oczy.

– Ze stali nierdzewnej?

– Tak. W Stanach używamy jej tylko do pulpotomii w stomatologii pediatrycznej, ale pan zna się na tym lepiej ode mnie. Tymczasem ofiara była osobą dorosłą i została zamordowana w tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym roku, w dodatku tutaj, w Nowym Meksyku.

Schmitz podniósł wzrok.

– Jedyne, co przychodzi mi do głowy, to dział ze zdjęciami rentgenowskimi osobliwości i patologii stomatologicznych. Zbierał je hobbystycznie dentysta, którego kiedyś wykupiliśmy.

– Dobrze, zacznijmy od tego.

Pięć minut później oglądała stare brązowawe zdjęcia czterech koronek, dokładnie tych, których szukała. Miała nieprawdopodobne szczęście. Znaleźli je w dziale z osobliwościami, w segregatorze oznaczonym napisem „Rzadkie metale i stopy dentystyczne”. A do zdjęć przyczepiono spinaczem karteczkę z nazwiskiem, adresem pacjenta i datą: 3 sierpnia 1945.

Co za triumf. Co za wyczyn. Lime będzie zachwycony. Nie mogła się doczekać, kiedy wróci do biura i mu to powie.

Kiedy wsiadała do samochodu, zadzwonił telefon. Zerknęła na ekran. Watts.

– Obawiam się, że mam złe wiadomości – powiedział, kiedy odebrała.

– Co się stało?

– Uprowadzenie, możliwe, że i zabójstwo.

Natychmiast zapomniała o swoim triumfie.

– Kto?

– Noam Bitan.

WĘDRUJĄCE NA ZACHÓD SŁOŃCE przecięło już południk, ale prace posuwały się bardzo sprawnie. Nora nie mogła wymarzyć sobie lepszego terenu. Piasek był czysty, bez żadnych artefaktów, kamieni ani niczego, co mogłoby ich spowolnić. Obszar poszukiwań? Tylko dziewięć metrów kwadratowych. Kiedy coraz bardziej zniecierpliwiony Tappan zakasał rękawy i do nich dołączył, zaczęli kopać jeszcze szybciej. Na jej prośbę przyjechała też Cecilia Toth z magnetometrem, aby sprawdzić, czy da się coś wypatrzeć na większej głębokości. Scott wrócił do obozowiska; chciał przygotować sprzęt.

O siódmej wieczorem, gdy dotarli do granicy dwóch metrów, Nora wstrzymała prace, przekazując pałeczkę geofizyczne.

Kiedy wszyscy wyszli z dołu, Cecilia włączyła niezgrabną, zwalistą maszynę, dostroiła ją, wtoczyła po rampie do dołu i – jak kosiarką do trawy – zaczęła jeździć nią po płaskim dnie wykopu.

– Hej, co jest?! – krzyknęła w połowie pierwszego przejazdu. Pochyliła się, kręcąc gałkami.

– Coś się stało? – spytał Tappan.

– Jakaś usterka. – Geofizyczka majstrowała przy maszynie jeszcze przez chwilę, a potem oznajmiała: – Muszę go zrestartować.

Jej palce znów zatańczyły na konsolcie. Nora i reszta czekali.

– To jakieś szaleństwo! – burknęła zirytowana Cecilia. – Muszę jeszcze raz.

Czekali i czekali. W końcu geofizyczka odgarnęła do tyłu włosy i zmarszczyła brwi.

– Albo jest tu wyjątkowo silne pole magnetyczne, albo coś nawaliło.

– Może dasz go na górę? – zaproponował Tappan. – Zobaczymy, czy działa z dala od wykopu.

Toth wjechała maszyną na brzeg dołu.

– Dalej – rzucił Tappan.

Cecilia przetoczyła magnetometr piętnaście metrów dalej i ponownie go zrestartowała.

– Teraz działa. Ale pole magnetyczne jest bardzo zaburzone.

Tappan wyjął z kieszeni kompas. Obszedł wykop i pokazał kompas Norze.

– Zobacz.

– To nie jest północ.

– Właśnie. Kiedy szedłem, igła cały czas wskazywała środek dołu. Tam musi być coś mocno namagnetyzowanego.

Zapadła cisza.

– Namagnetyzowanego? – powtórzyła Nora.

– Chodź.

Tappan stanął na krawędzi wykopu i wyciągnął przed siebie rękę z kompasem. Igła zawirowała, zakręciła się tak gwałtownie, że spadła z trzpienia i uderzyła w plastikową obudowę.

– O cholera – sapnęła Nora.

Tappan spojrzał na Cecilię.

– Możesz ustawić go na silniejsze pole?

– Maksymalnie zmniejszą czułość i zobaczymy, co będzie. – Geofizyczka pokręciła gałkami. – Już.

– Daj go z powrotem.

Cecilia wtoczyła magnetometr do wykopu.

– OK, już nie wariuje. – Zrobiła kilka kroków i przystanęła. – Nie, zaczekajcie. Chyba się pospieszyłam. Znowu szaleje.

Chciała go ponownie wyregulować, ale rozległ się głośny trzask i ekran magnetometru pękł, siekąc wokoło odłamkami szkła. Cecilia odskoczyła do tyłu.

W tym samym momencie Nora spostrzegła, że leżąca obok maszyny łopatką zadrżała, podskoczyła, stanęła dęba, obróciła się i zapadła w piasek. Szybko dołączyły do niej dwie szpachle i pędzel z metalową rączką, a oparta o ścianę wykopu szufla zaczęła sunąć po ziemi jak przyciągana jakąś niewidzialną siłą.

– Ja piórkuje! – krzyknął Emilio. – Widzicie to?

– Cecilio, uciekaj stamtąd! – zawołał Tappan. – Natychmiast. Cofnąć się! Wszyscy!

Nie musiał ich ostrzegać, bo porzuciwszy cenny sprzęt, w tym magnetometr, wszyscy wzięli nogi za pas. Magnetometr zaczął skrzypieć i wibrować, a jego koła zapadły się w piasek, jakby coś ciągnęło je w dół. Nora zobaczyła, jak jej tablet – leżał na brzegu wykopu – gwałtownie podskakuje, spada i jak wessany znika w piasku.

I nagle wszystko ucichło.

– Co to, do diabła, było? – Vigil ostrożnie zrobił krok do przodu.

Tappan wypuścił powietrze. Popatrzył na Norę i pozostałych.

– Tam coś...

Nie dokończył, nie musiał.

– Co robimy? – spytała Cecilia.

– Co robimy? – powtórzył zdziwiony. – Zaraz to wykopujemy.

CORRIE ODŁOŻYŁA TELEFON, delektując się chwilą. Analityk FBI, z którym właśnie rozmawiała, wszystko potwierdził: to był prawdziwy przełom. Jej strzał w ciemno opłacił się z nawiązką. Ale nie, samozadowolenie mogło poczekać: musiała pozbierać myśli i pójść do Lime'a. Była już prawie siódma. Lime pracował czasem do późna i miała nadzieję, że go złapie.

I złapała. Siedział przy biurku w dawnym gabinecie Morwooda, przy otwartych drzwiach. Kiedy zapukała, podniósł wzrok i uśmiechnął się szeroko.

– Corrie! Proszę, niech pani wejdzie. Jak poszło w Santa Fe?

Przysiadła na brzegu krzesła.

– Bardzo dobrze.

Uniósł brwi.

– Niech pani opowiada.

– Zidentyfikowałam obie ofiary.

– Naprawdę? – spytał szczerze zaskoczony, choć z nutą sceptycyzmu w głosie.

– Tak. – Poprawiła się na krześle. – To byli sowieccy szpiedzy udający francuskich uchodźców. François i Marie Abadie. Przyjechali do Santa Fe w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym, na początku projektu „Manhattan”, rzekomo z Francji, a potem zainteresowały ich prace nad bombą wodorową. Zniknęli w tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym. Krążyły pogłoski, że przeprowadzili się do Los Angeles, ale zostali zamordowani pod Roswell.

– Bardzo ciekawe. Niezwykłe. Skąd pewność, że tak rzeczywiście było?

– Znalazłam zdjęcia rentgenowskie zębów François Abadiego w magazynie w Santa Fe. Nasz analityk przejrzał historię tej pary. Do tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego i po tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym nic się nie działo. Pracowali jako nauczyciele zastępczy, jako mąż i żona, ale musieli być szpiegami, bo skąd mieliby ten ściśle tajny regulator mocy? To był najprawdopodobniej wczesny prototyp, prekursor tego, który wykorzystano w pierwszym teście bomby wodorowej. Test miał kryptonim Greenhouse Item, a próby dokonano w atolu Eniwetok na Wyspach Marshalla, ale dopiero w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym roku. Pamięta pan tę karteczkę z kieszeni Morwooda? Napisał na niej: „Item”. Wszyscy myśleliśmy, że to początek jakiejś listy, ale okazało się, że tuż przed śmiercią Morwood szukał informacji na temat tego testu. Jestem pewna, że właśnie dlatego pojechał do laboratorium, nie tylko po to, aby zwrócić regulator, ale i z dużo ważniejszego powodu. – Zawahała się. Nie chciała zdradzić, że część tych wniosków wyciągnęła po włamaniu się do jego domu.

– Ale co sowieccy agenci robili pod Roswell? Co Roswell ma wspólnego ze szpiegostwem atomowym?

– To pytanie jest trudniejsze. Próbowалам poukładać fragmenty tej układanki i pasuje tylko jeden scenariusz. Moim zdaniem naukowcy, którzy zniknęli w Los Alamos, sprzedawali tajemnice atomowe Sowietom za pośrednictwem Abadiech. Naukowcy wpadli. Zostali jakoś zdemaskowani i schwytani, najprawdopodobniej przez OSS; jak pan na pewno wie, OSS, Biuro Służb Strategicznych, było poprzednikiem CIA. Ale jako szpiegzy musieli mieć prowadzących, którym przekazywali zdobyte informacje, i wygląda na to, że OSS nie mogło ich namierzyć. Kiedy doszło do incydentu w Roswell, wiadomość ta trafiła na pierwsze strony gazet, a coś takiego jak katastrofa UFO, to, że Amerykanie mogliby wejść w posiadanie pozaziemskich technologii, na pewno by Sowietów zainteresowało. Dlatego Roswell wydawało się idealnym miejscem na przeprowadzenie prowokacji: amerykański wywiad zawiózł tam naukowców, aby zwabili swoich prowadzących obietnicą ważnych

informacji o UFO i marchewką w postaci wczesnego prototypu tego, co doktor Eastchester nazywa „strzykawką”

– Zaraz – powiedział Lime. – Nie do końca rozumiem. Dlaczego OSS po prostu nie zmusiło ich do wydania nazwisk prowadzących? Po co w ogóle ściągało ich do Roswell?

– Używali martwych skrzynek kontaktowych. Naukowcy nie wiedzieli, kim są ich prowadzący. Ze względów bezpieczeństwa nigdy się z nimi nie spotkali. Zostawiali wiadomość czy przesyłkę w ściśle określonym miejscu, takim, które nie wzbudziłoby podejrzeń w Los Alamos, po czym odchodzili. A Sowieci podejmowali przesyłkę dopiero później. Z tego, co czytałam, tak działało wtedy szpiegostwo atomowe, to była standardowa procedura. OSS musiało wywabić Abadiech z ukrycia, żeby ustalić ich tożsamość. Stąd Roswell. W martwej skrzynce można zostawić jakiś przedmiot, ale nie miejsce.

– Rozumiem. Proszę dalej.

– Więc kiedy Abadie tam przyjechali, schwytano ich, poddano torturom, wyciągnięto z nich wszystkie informacje, następnie zastrzelono. Na wypadek gdyby kiedykolwiek znaleziono ich ciała, ręce i twarze oblano kwasem. A naukowców wywieziono na przesłuchanie czy gdzieś. W każdym razie zniknęli.

– Dlaczego nie wymierzono im sprawiedliwości, nie postawiono ich przed sądem?

– Może nasz wywiad nauczył się czegoś po sprawie Klaus Fuchsa. Fuchs był naukowcem. Brał udział w projekcie „Manhattan” i szpiegował dla Sowieców. Wpadł, przyznał się i brytyjski sąd skazał go tylko na czternaście lat więzienia, co rozwścieczyło amerykański kontrwywiad. Dlatego można sobie wyobrazić, że wywiad lub jakaś mała grupa agentów postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce i zająć się państwem Abadie.

Wyraz zaskoczenia i aprobaty na twarzy Lime’a bardzo ją ucieszył.

– Jeśli już, to raczej ci drudzy – powiedział. – Nasz rząd nigdy nie zaakceptowałby takich działań, a już na pewno nie egzekucji z zimną krwią.

- Jest jeszcze coś.
- Posłuchajmy.
- Kilka godzin temu rozmawiałam z szeryfem Wattsem. Jak pan wie, Watts pracuje z szeryfem Bufordem nad sprawą zaginięcia Noama Bitana. Lime lekko się zawahał.
- To nie nasza działka, Corrie.
- Wiem, ale niewykluczone, że wkrótce będzie i nasza. Watts ma dowody, że Bitana uprowadzono. Znalazł na pustyni jego zakrwawiony identyfikator. Ze śladów wynika, że zatrzymało go czterech mężczyzn w pojazdach terenowych. Doszło do szarpaniny. Bitan został ranny albo stało się coś gorszego, w każdym razie obezwładniono go i wywieziono.
- Ale dokąd?
- Watts twierdzi, że ślady opon prowadzą na północ, w kierunku poligonu Pershinga. Nie wie, gdzie się kończą, bo nie ma tam wstępu, a przestrzeń powietrzna nad tym rejonem jest zamknięta. Przed pierwszą wojną światową testowano tam amunicję artyleryjską, a w latach trzydziestych poligon zamknięto. Ale może wciąż jest wykorzystywany przez tych, którzy uprowadzili Bitana.
- Doprawdy niezwykle. Kto to mógł być?
- Nie mam twardych dowodów, ale czy mogę pospekulować?
- Proszę.
- Załóżmy, że pod Roswell rzeczywiście rozbiło się UFO i rząd rzeczywiście to ukrył. Ale „rząd” nie jest dobrym określeniem. Zgodził się pan ze mną, że jedynie grupa czy komórka działająca w jego strukturach, na przykład w CIA czy w Agencji Wywiadowczej Departamentu Obrony, mogłaby zamordować tych szpiegów i „śpiochów”, którzy ich prowadzili. Ponieważ doszło do tego pod Roswell i ponieważ miejsce to było owiane tajemnicą i wciąż okrywa je atmosfera tajności, czy nie jest logiczne, że tego rodzaju grupa mogłaby wejść w posiadanie UFO i jego tajemnic?
- Zakładając, że UFO w ogóle tam spadło. – Lime próbował powiedzieć to z lekkim sceptycyzmem, lecz Corrie widziała, że robi to jedynie dla formalności.

– Oczywiście. Wiem, że to czysta spekulacja. Ale wszystko pasuje. I wyjaśnia niemal całą tajemnicę: od tego czasu ta komórka strzeże sekretów UFO, najprawdopodobniej bez wiedzy reszty rządu. A przekonało mnie do tego jedno: wydaje się, że ze wszystkich członków ekspedycji Bitan był najbliższym odkrycia tajemnicy Roswell. Bo skoro nie było żadnego UFO, skoro rząd nie miał czego ukrywać, nie licząc egzekucji paru szpiegów w latach czterdziestych, po co by go porywali? Chyba że bali się, że Bitan ujawni ich tajemnicę.

Było oczywiste, że Lime za nią nadała, nie wiedziała tylko, co o tym myśli. Miał nieprzeniknioną twarz.

– Świetna robota, Corrie – powiedział po chwili. – Myślę, że wpadła pani na coś dużego. Nie, nie myślę: ja to wiem. – Umilkł. I nagle na jego neutralnej dotychczas twarzy pojawił się wyraz ponurej determinacji. – Musimy działać, i to szybko. Szybko i w tajemnicy, bo nie wiemy, kto dokładnie jest w to zamieszany.

Corrie zmarszczyła brwi.

– Zrobi pani tak: proszę wrócić do biura i zebrać wszystkie dokumenty dotyczące tej sprawy. Jeżeli ma pani rację, możemy mieć do czynienia z potężnymi manipulacjami, możliwe, że zakamuflowanymi w naszym rządzie. Dlatego jedynym wyjściem jest wyjazd do obozowiska pod Roswell, ocena sytuacji, zabezpieczenie terenu, ostrzeżenie członków ekspedycji i, przede wszystkim, podjęcie kroków mających na celu ich ochronę.

– Tak jest – powiedziała Corrie, słysząc nutę zdumienia w swoim głosie. Weszła do gabinetu zadowolona, że udało jej się poukładać fragmenty układanki, lecz nie przypuszczała, że sprawy przybiorą aż tak poważny obrót, oczywiście zakładając, że miała rację.

– Szeryf Watts musi też pokazać nam te ślady. – Lime zdołał już opanować zaskoczenie i zaimponował jej tym, że tak szybko opracował plan działania. – Jest tam z Bufordem?

– Nie, Buford ma podobno atak podagry. Ale kiedy rozmawiałam z Wattsem kilka godzin temu, wciąż był na pustyni z bratem Nory Kelly.

– Polecimy śmigłowcem. Do obozowiska, pani i ja.

Skonfundowana zmarszczyła brwi.

– Teraz?

– Teraz. Nawet jeśli są to tylko domysły, na pewno dostrzega pani powagę sytuacji. Proszę z nikim nie rozmawiać. Proszę zabrać potrzebne dokumenty i wrócić tu za dziesięć minut. Nie mamy ani chwili do stracenia.

49

W BAZIE MANZANO czeka na nas śmigłowiec – powiedział, kiedy wsiedli do samochodu.

Nie wiedziała, gdzie to jest, lecz się nie odezwała. Nowy Meksyk był usiany wojskowymi bazami. Lime uruchomił silnik, wyjechał z parkingu i skręciwszy w Pan American Frontage Road, włączył koguta i syrenę.

– Nie zażądałem śmigłowca bezpośrednio od FBI, bo nie wiemy, kto jest w to zamieszany.

Wpadli na rampę międzystanówki I-25.

– Myśli pan, że FBI też macza w tym palce? – spytała. – Dlaczego? – W swoich domysłach nie sięgała poza wojsko, CIA i jej poprzedników.

– Corrie, nie chciałem mówić tego przedtem, ale to, co powiedziała pani w biurze, zgadza się z pewnymi nieprawidłowościami, które wykryto w Departamencie Obrony. Teraz już nie muszę tego ukrywać: przysłano mnie do Albuquerque, żebym zbadał doniesienia o elementach wywrotowych w naszych szeregach. Agent Morwood o tym wiedział i jest bardzo prawdopodobne, że właśnie dlatego go zamordowano. – Lime posłał jej znaczące spojrzenie. – Mam wrażenie, że pani też podejrzewała, że jego śmierć nie była przypadkowa.

Dostała wypieków na myśl, że jej instynktowne wątpliwości nareszcie znalazły potwierdzenie. Kiwnęła głową.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć – ciągnął. – Nie dysponuję żadnymi dowodami, ani ja, ani mój bezpośredni przełożony. Na razie. Ale to, co pani odkryła, może mieć przełomowe znaczenie. Omijanie standardowych procedur obowiązujących w FBI jest tylko środkiem

ostrożności, a tak się przypadkiem składa, że mam dobre kontakty w Manzano. Dadzą nam helikopter, pilota i żołnierza, na wszelki wypadek.

Znów skinęła głową zaskoczona jego znajomościami i tym, że tak szybko załatwił śmigłowiec.

– Niepokoi mnie zwłaszcza to, że padła im łączność.

Corrie była coraz bardziej zaskoczona.

– W obozowisku? Kiedy?

– Po pani wyjściu próbowałem się do nich dodzwonić. Mają kilka telefonów satelitarnych i nagle wysiadły. Wszystkie. Coś jest nie tak, być może bardzo nie tak, dlatego musimy jak najszybciej tam dotrzeć. Martwię się też o Watta. Może pani do niego zadzwonić, sprawdzić, czy odbierze? Proszę mu powiedzieć, żeby nigdzie się stamtąd nie ruszał, że po niego przyjedziemy. Niech pod żadnym pozorem nie wraca do obozowiska. Nie wiemy, co się tam dzieje.

Wybrała numer i zadzwoniła. Ku jej uldze szeryf odebrał.

– Homer? Mówi Corrie...

– Hej, siedzimy już w samochodzie. Nie weszliśmy na teren poligonu. Nie chcieliśmy ryzykować i wracamy do...

– Nie, zaczekaj, nie wracajcie. Tam może być niebezpiecznie. Lecimy do was helikopterem, agent Lime i ja. Padła im łączność.

– Wiem, dzwoniłem do nich i nie odbierają. Co się dzieje?

– Nie mam pojęcia, ale zostańcie tam, gdzie jesteście, to was odbierzemy.

– Zerknęła na Lime'a, który kiwnął głową. – Podaj mi współrzędne.

Watts podał jej współrzędne GPS.

– Będziemy za godzinę.

Zjechali z autostrady, odbili na południe i okazawszy dokumenty na posterunku kontrolnym w bazie sił powietrznych Kirtland, skręcili w pustynną drogę dojazdową prowadzącą w kierunku gór Manzano, a potem, u podnóża gór, w jej odgałęzienie. Zaliczywszy drugi posterunek kontrolny, przejechali przez bramę w siatkowym ogrodzeniu, minęli dwie wieżyczki strażnicze i znaleźli się na terenie bazy wojskowej składającej się z blaszanych baraków, hangarów i niskiego metalowego budynku.

Za budynkiem było lądowisko, a na lądowisku stał śmigłowiec. Kiedy uruchomił silniki, dotarło do niej, że Lime nie może być tylko agentem FBI i musi pełnić też jakąś tajną funkcję w wojsku. Słyszała pogłoski o agentach FBI, którzy zajmowali wysokie stanowiska w CIA, DIA czy innych agencjach wywiadowczych.

Lime wjechał na lądowisko i zaparkował sto metrów od helikoptera. Podbiegło do nich dwóch żołnierzy. Odprowadzili ich do maszyny i jeden wskoczył na pokład. Posadzono ich i dano im słuchawki z mikrofonem. Zanim zdążyła je włożyć i zapiąć pas, wirniki zwiększyły obroty, śmigłowiec wzbił się w powietrze i poleciał nad górami w kierunku rozciągającej się za nimi pustyni. Słońce dotykało już horyzontu i patrząc, jak porośnięte jodłami zbocza ustępują miejsca piaskowi, stwierdziła, że wszystko przyspieszyło tak gwałtownie, że tak bardzo zaskoczyła ją nagłość tej sytuacji, że nie miała nawet czasu spokojnie pomyśleć i mogła jedynie reagować. Z jakiegoś niezidentyfikowanego powodu ogarnął ją dziwny niepokój. Coś było nie tak, ale co? Tego nie wiedziała.

50

ZACZEKAJ, NIE ZEPSUJMY TEGO w ostatniej chwili – powiedziała Nora, kiedy Tappan odepchnął na bok magnetometr, chwycił szufłę i zaczął bez ładu i składu wrzucać piasek do taczki. – Jesteśmy archeologami, a nie poszukiwaczami skarbów.

Tappan przestał kopać i ciężko dysząc, oparł się o szufłę. Wytał spocone czoło.

– Przepraszam, masz rację.

– Najlepiej by było, gdybyśmy zrobili sobie przerwę, ogarnęli sytuację i spokojnie pomyśleli.

– Wykluczone. Jesteśmy prawie u celu. Czy tuż przed dotarciem do Nowego Świata Kolumb zrobił sobie przerwę w podróży?

Nora miała sprzeczne uczucia. Rozejrzała się. Na wszystkich twarzach malował się wyraz niecierpliwego wyczekiwania i chęci kontynuowania pracy.

– Dobrze, ale przestrzegajmy procedur. Bardzo o to proszę.

– Zgoda.

– Potrzebujemy więcej światła. Emilio, włączysz agregat i rozstawisz reflektory? I zabierzmy stąd magnetometr, bo nie będziemy mogli pracować.

Tappan oparł szufłę o ścianę wykopu i pomógł Cecilii wyprowadzić maszynę z dołu. Potem stanął obok Nory, patrząc, jak Vigil rozstawia reflektory dookoła wykopu. Nic nie mówił, lecz Nora czuła bijące z niego podekscytowanie: było jak elektryczna aura. Nią też miotają chaotyczne emocje, ogromna ciekawość, lęk i wyczekiwanie. Kopanie byle szybciej, na złamanie karku, mijało się ze zdrowym rozsądkiem, ale wiedziała,

że Tappana nic teraz nie powstrzyma. Zresztą ją też trawił głód odkrycia prawdy.

– Myślę, że stoimy u progu największego znaleziska archeologicznego w historii – powiedział cicho miliarder.

W tej samej chwili słońce schowało się za horyzontem i wszyscy ucichli. W jego ostatnich promieniach milczące olbrzymy w dolinie Los Gigantes rozjarzyły się na czerwono, a potem, gdy promienie zgasły, przybrały kolor mrocznego fioleto.

– Gotowe – zameldował Emilio.

Zapłonęły reflektory, zalewając wykop jaskrawym światem.

– Tylko powoli – przypomniała im Nora. – Warstwa po warstwie. Jeśli na coś natraficie, natychmiast przerwijcie pracę. Emilio, odpowiadasz za taczkę. Skupimy się na czterech środkowych kwadratach. Zewnętrzne na razie pominiemy.

Pracowali w ciszy, przerywanej jedynie pobrzękiwaniem i skrobaniem łopatek, chrzęstem piasku i popiskiwaniami koła taczki, którą Emilio wywoził urobek. Zapadła ciemność i bezkresne niebo powoli zgęstniało od gwiazd. Kwadraty szybko się pogłębiały. Nora kopała razem z nimi, chcąc mieć pewność, że robią to metodycznie, starannie i bez pośpiechu.

Warstwa po warstwie przebijali się powoli przez miękki wilgotny piasek, gdy nagle rzuciła:

– Stop!

Cecilia, Tappan i Emilio znieruchomieli.

Po latach grzebania w ziemi wyrobiła w sobie szósty zmysł, który ostrzegał ją, że zaraz coś znajdzie. Tym razem poznała to po twardości i teksturze piasku.

– Chyba coś mamy. – Odłożyła łopatkę i wzięła pędzelek.

Wszyscy stłoczyli się wokół niej, żeby popatrzeć. Dotarli do głębokości prawie dwóch i pół metra i, co dla niej nietypowe, ogarnęło ją uczucie klaustrofobii. Ale nie, piasek miał dużo spoiwa, ściany wykopu były twarde, solidne i zabezpieczone klamrami.

– No i? – spytał stojący tuż za nią Tappan. – Zobaczymy, co to jest?

Pstryknęła kilka zdjęć, wyczuwając zniecierpliwienie, które biło z niego jak fale gorąca.

– Zrobicie mi trochę więcej miejsca?

Odsunęli się niechętnie. Ostrożnie zdjęła pędzelkiem kolejną warstwę i wtedy to zobaczyła. Spomiędzy grudek piasku oblepiających leżący w ziemi przedmiot popłynęło dziwne zielonkawe światło, w którym ich twarze przybrały niezwykle kolor.

Zawahała się i mocniej ujęła pędzelek, chcąc przesunąć nim ostatni raz.

I nagle usłyszeli rytmiczne dudnienie, zupełnie nieoczekiwany warkot szybko zbliżających się śmigłowców. Spojrzała w tamtą stronę i w oddali, za ścianą światła z reflektorów, ujrzała dwa szybko lecące czarne helikoptery. Z otwartymi drzwiami, najeżone lufami karabinów, zatoczyły krąg i wylądowały, jeden po jednej stronie wykopu, drugi po drugiej, wzbijając w powietrze tumany piasku, który błyskawicznie pochłoniął wszystko i wszystkich.

ZE ŚMIGŁOWCÓW WYSKOCZYŁO kilkunastu żołnierzy i zasłaniając się przed huraganowymi podmuchami powietrza, usłyszała rozkazujący krzyk.

– Ręce na widoku! Wyłazić z dołu! Wszyscy!

– A wy kto?! – odkrzyknął Tappan.

Prawie nie mogła otworzyć oczu, lecz czuła, że w piaskowej burzy wybuchło jakieś zamieszanie.

– Wyłazić z dołu i odejść na bok! Ręce do góry, bo będziemy strzelać!

– Przedstawcie się! – krzyknął Tappan.

Odpowiedział mu huk serii wystrzałów i świst kul nad głowami.

– Drugiego ostrzeżenia nie będzie!

Kiedy wyszła z wykopu, jeden z żołnierzy obrócił ją, chwycił za rękę, skrępował je i ściągnął trytki tak mocno, że aż dźwięcznie zawibrowały. Sześciu innych podbiegło do jeepów, uruchomiło silniki i, po trzech w aucie, natychmiast odjechało.

– Precz z łapami! – krzyknął zdeorientowany Vigil.

Oszołomiona rozejrzała się wokoło. Śmigłowce – wciąż z obracającymi się wirnikami – włączyły reflektory. To były pozbawione oznaczeń black hawki.

Ustawiono ich szeregiem, ją, Tappana, Vigila i Cecilie. Podszedł do nich żołnierz z kapitańskimi belkami na ramionach.

– Co wy, co diabła, robicie? – Vigil wyszarpnął się mundurowym i ruszył w jego stronę.

– Stój! – Kapitan wyjął pistolet.

Vigil szedł dalej.

– Nie gróż mi bronią, skurwysynu! Zaliczyłem dwie tury w Afganistanie!

Kapitan oddał dwa szybkie strzały i Vigil upadł. Stojąca za nim Cecilia przeraźliwie krzyknęła, osunęła się na kolana i chwyciła za nogę.

– Ty sukinsynu! – krzyknął Tappan. – Zabiłeś go!

Kapitan odwrócił się, zdzielił go w twarz pistoletem, a dwóch żołnierzy przytrzymało szarpiącego się miliardera. Vigil leżał na ziemi w kałuży krwi. Cecilia szlochała na kolanach, trzymając się za łydkę. Spomiędzy jej palców wypływała krew.

– Na pokład z nimi. – Kapitan machnął pistoletem, wskazując najbliższej stojący śmigłowiec. – Ten, kto się odezwie, oberwie kulkę.

Odrętwiałą z szoku Norę popchnięto w tamtą stronę. Za nią szli Tappan i podtrzymywana przez dwóch żołnierzy Cecilia. Po chwili byli już na pokładzie maszyny, gdzie znów pchnięto ich na fotele.

Zamknęły się drzwi i wystartowali. Na oddalającej się ziemi widać było, jak mundurowi z drugiego śmigłowca ostrożnie podchodzą do wykopu.

Nora spojrzała na siedzącego obok Tappana. Z rozcięcia nad jego okiem lała się krew. Spotkali się wzrokiem. Miał oczy pełne furii.

GREG BANKS WYSZEDŁ z dziewięciometrowej przyczepy jadalnej i rozejrzał się, spoglądając na blaszane baraki, lądowisko, parking, kampery i przyczepy mieszkalne. Nie chciał nazywać tego „domem”, nawet tymczasowym. Krajobraz był po prostu zbyt złowrogi, zbyt obcy dla kogoś wychowanego w Londynie. A propos obcych: parszywy nastrój, który nie opuszczał go od rana, ani myślał ustępować. Zresztą on sam tego nie chciał. Przeklęta Cecilia. Dlaczego to akurat jej pozwolono pojechać na wykopki? Zanosіło się na historyczne odkrycie, a już na pewno interesujące, i miał do tego takie same prawo jak ona. Jeśli nie większe.

Z jakiegoś powodu wysiadły wszystkie telefony i internet, więc po południu nie miał nic do roboty. Miał za to cholernie dużo czasu, żeby się porządnie wynudzić.

Popatrzył w kierunku miejsca nowych wykopalisk. W kierunku bardzo ogólnym, bo wszystko tonęło w ciemności i nic tam nie zobaczył.

Tappan to cholernie tajemniczy gość, pomyślał. To jego wyluzowanie to przynajmniej po części fasada, pod którą kryje się wyniosła pewność siebie typowa dla wszystkich miliarderów. Wkurzył się, bo nie znalazł Bitana? Przecież próbowałem. Wszyscy próbowali.

Doszedł do wniosku, że nie warto się nad tym zastanawiać. Nigdy nie będzie wiedział tego na pewno, a Tappan mu nie powie. Tak czy inaczej, wykopaliska wkrótce się skończą, a wtedy – już z pieniędzmi w kieszeni – powie mu, żeby się wypchał.

Delektując się tą gorzką fantazją, przestał zwracać uwagę na otoczenie. I nagle zdał sobie sprawę, że widzi światła na horyzoncie. Wytężył wzrok.

Tak, na równinie podskakiwały dwie pary świateł, reflektorów samochodowych.

Zerknął na zegarek – było dwadzieścia po ósmej – i szybko wrócił do przyczepy. Przy stołach siedzieli głównie ludzie z pierwszej tury, personel pomocniczy, ochroniarze i mechanicy samolotowi. Nie spieszyli się. Spokojnie pili kawę i jedli deser, wiedząc, że archeolodzy jeszcze nie wracają. Banks wszedł do dobrze wyposażonej dużej kuchni, gdzie Antonetti żonglował czterema miedzianymi rondlami, w których gotowały się cztery różne składniki. Choć był szefem kuchni w dwugwiazdkowej restauracji, służył kiedyś na lotniskowcu i miał bzika na punkcie punktualności. Jeżeli druga tura kolacyjnych gości – naukowców i grubych ryb – nie zgłodniała do wpół do dziewiątej, zaczynał się wkurzać.

– Spokojnie, Tony – powiedział Banks. – Już wracają, widać ich światła. Będą za dwadzieścia minut.

Antonetti mruknął coś pod nosem, brzęknął garnkami i kazał Małowi – stojącemu tuż obok chudzinie, saucierowi i chłopcu na posyłki, dwa w jednym – zaczekać z *beurre noisette*.

Banks wrócił do jadalni.

– Dwadzieścia minut! – krzyknął, aby dać znać jedzącym, że wkrótce będą musieli się wynosić. Nagrodą za tę odrobinę troskliwości były jęki, szydercze buczenie i wulgarne gesty.

Wyszedł na dwór. Dołączyli do niego Kuzniecow, Scott i Mitty. Najwyraźniej on też był głodny.

– Żarcie trochę się spóźni – poinformował ich Greg. – Kazałem Tony’emu zaczekać.

– Po cholere? – spytał rozgoryczony Kuzniecow; Antonetti zgrywał czasem primadonnę i serwował posiłki dla drugiej zmiany bez względu na to, czy wróciła do obozowiska, czy nie.

– Bo widziałem ich jeepy – odparł Banks. – Są kwadrans stąd.

– Chyba bliżej – mruknął Scott.

Greg spojrział na odległą równinę. Rzeczywiście, światła były dużo bliżej, pokonały już urwisko. Z jakiegoś powodu Tappanowi bardzo się

spieszyło. W tym tempie dojadą do obozowiska za niecałe dziesięć minut.

Stali we trzech w świetle bijącym z jadalni i patrzyli. Prędkość prędkością, ale coś jeszcze było nie tak. Banks zmrużył oczy, bo raziło go światło reflektorów. W jeepach siedzieli chyba... obcy ludzie, obcy w mundurach.

Niski, ciemnowłosa Kuzniecowa, też skonsternowany, powiedział coś po rosyjsku.

I zanim się spostrzegli, z rykiem silników auta wzięły ostatni zakręt, wjechały do obozowiska i gwałtownie zwolniły w tumanach kurzu. Jeden zatrzymał się po lewej stronie Banksa, drugi po prawej, oświetlając jego, Kuzniecowa i Scotta. Z jeepów wyskoczyli żołnierze w połowych mundurach. Poruszali się szybko, uzbrojeni w pistolety maszynowe i wyposażeni w sprzęt taktyczny, w tym w zwisające na szyjach noktowizory.

Greg zamrugął. Nie, nie miał przywidzeń: to były samochody, którymi Tappan i reszta pojechali rano na wykopaliska. Do konsternacji dołączył lekki niepokój. Chciał wrócić do jadalni, lecz nie zdążył: tamci otoczyli ich z bronią co prawda opuszczoną, lecz gotową do strzału.

Ich dowódca, major – liście dębu na ramionach były jedynym rozpoznawalnym elementem jego munduru – przyciszonym głosem wydał im kilka rozkazów. Żołnierze zaszalutowali i trzech z nich zniknęło w ciemności. Dwóch pozostałych wbiegło do jadalni.

Major stanął przed Banksem, Kuzniecowem i Scottem. Popatrzył na nich i zatrzymał wzrok na Gregu.

– Idziemy na kolację, kolego? Nie wiem, co tam gotują, ale ładnie pachnie.

Nikt mu nie odpowiedział. Banks wciąż miał w głowie mętlik. Major mówił z amerykańskim akcentem. To musiało być amerykańskie wojsko, nic innego nie miało sensu. Ale po co tu przyjechali, w dodatku jeepami Tappana i ciężko uzbrojeni? Coś kazało mu milczeć i czekać.

Major zajrzał przez okno do przyczepy.

– Pełna sala. Dlaczego nie jecie?

– Bo to nie nasza zmiana – odparł Scott.

– Zamknij gębę – warknął Greg.

Major parsknął śmiechem. Z przyczepy dobiegały podniesione głosy żołnierzy.

– Gdzie są Lucas i reszta? – nie wytrzymał Kuzniecow.

– Znaleźli coś bardzo niebezpiecznego.

– Ale co? – spytał natychmiast Scott.

– Jakiegoś pozaziemskiego wirusa.

Ta informacja rozwiązała Banksowi język.

– Więc gdzie jest Tappan?

– W bazie wojskowej na północny zachód stąd. Obawiam się, że są w kiepskim stanie. Mobilizujemy już ludzi. – Wskazał drzwi. – Wejdźmy. To, co powiem, dotyczy was wszystkich.

Zapędzili ich do przyczepy. Greg zauważył, że mundurowi poruszali się i wciąż poruszają bardzo szybko, cała szóstka. „Terror jest najlepszym strażnikiem”.

Co mu przyszło do głowy i dlaczego akurat to? Gdzie to słyszał?

Kiedy weszli do jadalni, jeden z żołnierzy, którzy już tam byli, stanął przed majorem i zameldował:

– Wszyscy obecni. Brakuje tylko mechanika z parku maszynowego.

– Przyjąłem. – Major sięgnął po przymocowany do ramienia radionadajnik i przekazał tę informację dalej. Potem dał znak podwładnym i jeden żołnierz zniknął w kuchni, a drugi stanął przy drzwiach, z palcem wskazującym nad osłoną spustu.

Major ogarnął wzrokiem wnętrze przyczepy. Sprawiał wrażenie zadowolonego, jakby z operacyjnego punktu widzenia ktoś odwalił za niego całą robotę.

Siedzący przy stole mężczyźni i kobiety zapomnieli o kawie i deserze i patrzyli na żołnierzy z niepewnością i coraz większym niepokojem. Wstał Wallensky, jeden z mechaników.

– Hej, Greg, co się tu dzieje?

– Coś poszło nie tak.

– Proszę usiąść – powiedział major. – Zaraz wszystkiego się dowiecie.

Po chwili z kuchni wyszedł żołnierz. Przyproceedził Antonettego.

– Był jeszcze jeden, smażył coś na gazie. Zwiął tylnymi drzwiami, zanim zdążyłem go zatrzymać.

– Na gazie, hę? – Major znów zagadał do mikrofonu.

Tony'emu kazano stanąć z przodu, obok Banksa, Kuzniecowa i Scotta. Żołnierz, który wrócił z kuchni, zaczął zamykać okna i zaciągać zasłony w kowbojskie wzory.

– Posłuchajcie – powiedział major twardszym głosem. – Tappan i jego pracownicy mieli kontakt z nieznanym wirusem, prawdopodobnie pozaziemskiego pochodzenia. Przyjechaliśmy, żeby odkazić obozowisko, sprawdzić, czy wy też nie jesteście zarażeni, i ewakuować was w bezpieczne miejsce.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi i żołnierz wprowadził do przyczepy Maęa oraz brakującego mechanika. Maęa był w zakurzonym podkoszulku i ciężko oddychał.

Mundurowy wepchnął ich do środka lufą karabinu. Banks zerknął przez ramię i zobaczył, że jeden z tych, którzy zostali na dworze, ładuje do jeepa laptopy i sprzęt naukowy. Robił to bardzo szybko, jakby gonił go czas.

Co się tu, do diabła, dzieje?

– Próbował uciec – zameldował majorowi żołnierz, wskazując Maęa.

„Terror jest najlepszym strażnikiem”. Greg wreszcie sobie przypomniał: powtarzał to czasem Bitan. Ale dlaczego?

– Wszyscy obecni – dodał mundurowy.

– Co ty robisz, do cholery? – spytał Wallensky tego, który zamykał okna. Banksowi przyszło coś do głowy.

– Jeśli doszło do biologicznego skażenia, dlaczego nie jesteście w kombinezonach ochronnych?

– To niekonieczne, kolego – odparł major z przyjaznym uśmiechem i powiedział coś cicho do żołnierza, który przyproceedził Maęa i mechanika. Mundurowy kiwnął głową i zniknął w kuchni. Jego kolega, ten z palcem na osłonie spustu, zajął pozycję przy otwartych drzwiach.

Z zewnątrz dobiegł głośny trzask i patrząc ponad jego ramieniem, Greg zobaczył, jak dwóch czy trzech innych wrzuca pod ich przyczepę twarde dyski, notebooki, segregatory i szafki do przechowywania próbek. Robili to, jakby się paliło.

Wallensky znów wstał i zrobił krok w stronę żołnierza, który zamykał właśnie pobliskie okno.

– Głuchy jesteś? Odpowiesz, kurwa, czy nie?

Mundurowy odwrócił się, wystrzelił krótką serię i Wallensky runął do tyłu, na stół, zostawiając na blacie krwawy ślad. Naczynia i sztucce spadły na podłogę i ich trzask zmieszał się z przeraźliwym krzykiem zrywających się z krzesel ludzi.

– Szkoda – mruknął major.

Wrócił wysłany przez niego żołnierz.

– Miał pan rację. Co do miejsca.

Dwaj pozostali wymierzili w ogarniętych paniką pracowników.

– Kurek odkręcony?

– Teraz już tak. Do końca.

Pod podłogą znów zadudniło, bo ci z zewnątrz wrzucili tam kolejną porcję kosztownego sprzętu.

– Zostańcie na miejscach! – rozkazał ostrzegawczo major.

– Zastrzeliliście go! – krzyknęła jakaś kobieta.

– Nie jesteście prawdziwymi żołnierzami! – zawtórował jej mechanik z parku maszynowego.

– Pogonić skurwysynów! – wrzasnął pilot śmigłowca.

– Nie dałbyś rady, kolego. – Major zdjął z ramienia pistolet maszynowy.

„Terror jest najlepszym strażnikiem”. Banks, wciąż przekonany, że to tylko koszmarny sen, przypomniał sobie w końcu, skąd pochodzi ten cytat. Troje dziadków Bitana zginęło w niemieckich obozach koncentracyjnych. Czwarty przeżył Buchenwald i powiedział młodemu Bitanowi, jaką dewizą esesmani witali nowo przybyłych. Była okrutna i wyjaśniała, w jaki sposób tak niewielu mogło zapanować nad tak wieloma i tak wielu

zamordować. Utrzymać ich w ruchu, w ciągłym ruchu. W ruchu i strachu. „Terror jest najlepszym strażnikiem”

Odwrócił się, aby chwycić i obezwładnić majora. Ale zrobił to za późno, bo mundurowi wycofywali się już z przyczepy, celując w nich z karabinów. Major spojrział na niego i spotkali się wzrokiem.

– Innym razem, kolego.

Zamknęły się drzwi, trzasnął zamek. W tym samym momencie Greg poczuł zapach gazu.

„Na gazie, he?”

„Pełna sala”

„Teraz już tak. Do końca”

Wszystko to przebiegło mu przez głowę w ułamku sekundy. A potem, tak jak pozostali, potykając się, rozpychając i tratując innych, ruszył do drzwi. Rozległ się obłąkany krzyk. Ludzie walili pięściami w okna. Przez szparę w zasłonach zobaczył, że mundurowi wskakują do jeepów, a major siedzi już za kierownicą tego, który miał jechać przodem. Wciąż trzymał w rękach broń i celował w tył przyczepy.

Tam, gdzie był zbiornik z butanem.

Greg otworzył usta do krzyku, lecz w tym samym momencie major wystrzelił dobrze wymierzoną krótką serię... i świat Banksa skończył się w morzu ognia.

ŁOPATY WIRNIKA Z ŁOSKOTEM przecinały noc. Nora siedziała między Tappanem i Cecilią. Cecilia cicho popłakiwała, jej ramiona unosiły się ciężko i opadały. Jeden z żołnierzy zacisnął prowizoryczną opaskę nad jej kolanem, a potem wepchnął ją do śmigłowca. Ale teraz nikt jej nie doglądał i bandaż, którym naprędce owinięto jej łydkę, nasiąkł krwią.

Nora ciągle walczyła z obezwładniającym przekonaniem, że jest to tylko sen, straszny, nonsensowny koszmar. Wszystko stało się tak szybko. Stali u progu oszałamiającego odkrycia, a kilka sekund później, niczym rydwany złych bogów, z nieba spadły na nich śmigłowce. Z zimną krwią zamordowano Vigila, a teraz wieziono ją w noc ku nieznanemu przeznaczeniu.

Nic nie miało sensu, oprócz bólu nadgarstków, na których brutalnie zaciśnięto plastikowe kajdanki, bo tylko ten ból dowodził, że to jednak nie sen.

Tappan milczał. On też krwawił z rozcięcia na czole, lecz krwotok powoli ustawał. Po tym jak zaraz po starcie wymienili spojrzenia, odwrócił głowę i z kamienną twarzą wbił wzrok w żołnierza siedzącego po drugiej stronie kabiny.

Ona też. Sądząc po dystynkcjach, był kapitanem, ale nic więcej nie mogła o nim powiedzieć. Miał na sobie połowy mundur, lecz nigdy dotąd nie widziała munduru w jasnoszarym kolorze. Na piersi, w miejscu, gdzie żołnierze nosili baretki, miał kilka dziwnych małych naszywek.

Patrzył na nich obojętnie z rękami na kolanach. W prawej trzymał luźno służbowego sig sauera, tego samego, z którego z takim okrucieństwem zastrzelił Vigila i ranił Cecilię.

Z zamyślenia wyrwało ją charakterystyczne uczucie: zniżali lot, i to szybko. Spojrzała w okno, lecz zobaczyła jedynie pustynną ciemność. Nie, coś jednak zobaczyła, cztery czerwone światełka, które obracały się, powoli mrugając. Z pokładu helikoptera trudno było określić, jak nisko są i jak duży oświetlają teren.

Ale śmigłowiec wciąż opadał, teraz już pionowo, i szybko stało się oczywiste, że oświetlają lądowisko.

Kilkadziesiąt sekund później koła dotknęły ziemi. Wydawało się, że byli w powietrzu pięć, może dziesięć minut, ale wciąż zdezorientowana, nie była tego pewna. Ktoś z zewnątrz otworzył drzwi i ujrzała kolejnych żołnierzy uzbrojonych w broń automatyczną. Kapitan wysiadł, a potem wyprowadzono ich – niezbyt delikatnie – ze śmigłowca. Jakiś żołnierz pomógł rannej Cecilii.

Nora rozejrzała się, lecz niewiele zobaczyła. Byli chyba na równinie między niskimi ciemnymi wzgórzami, u podnóża gór, pod bezkresnym morzem gwiazd. Po lewej stronie stał niski budynek, kiedyś pewnie hangar, ale teraz miał częściowo zapadnięty dach, spod którego niczym żebra sterczały metalowe rozpory. Obok rysowały się ciemne sylwetki innych, równie zapuszczonych budynków przypominających koszary. Obrazu kompletnej ruiny dopełniała zniszczona wieża ciśnień. To wszystko, niczego więcej tam nie było. Nawet lądowisko zbudowano na gołej ziemi, ledwie pokrytej piaskiem, który od silnych podmuchów powietrza bijącego spod wirników ułożył się w dziwne spirale.

Kapitan wydał rozkaz i żołnierze, wymachując lufami karabinów, znów ustawili ich w szereg. Milczący i wciąż zaszokowani, nie zaprotestowali. Rozległ się kolejny szczekliwy rozkaz i przerażona Nora pomyślała, że zaraz ich rozstrzelają.

Ale strzały nie padły. Na chylącej się ku upadkowi wieży ciśnień zamrugało zielone światło i nagle poczuła ruch pod nogami, nagle usłyszała głęboki pulsujący hałas. Ponownie ogarnęło ją wrażenie sennego odrealnienia, lecz po chwili zdała sobie sprawę, że opadają. Śmigłowiec, żołnierze, oświetlające lądowisko lampy, pustynny piasek –

to wszystko znajdowało się na platformie, która, niczym gigantyczna winda na lotniskowcu, właśnie zniknęła pod ziemią. Zjechali na głębokość co najmniej trzydziestu metrów, zanim platforma znieruchomiła w rozświetlonym na czerwono mrocznym hangarze.

Kapitan skinął głową i pod leniwie obracającymi się wirnikami śmigłowca podeszło do nich kilku mundurowych, którzy wymachując bronią, kazali im zejść z lądowiska. Kątem oka Nora zauważyła, że kiedy tylko zeszli, grupa robotników zaczęła wyrównywać ziemię i posypywać platformę świeżym piaskiem, przygotowując ją do powrotu na powierzchnię.

A potem, wysoko nad nimi, zamknął się maskujący luk i podziemne pomieszczenie zalało jaskrawe światło. O ile na górze było niemal zupełnie pusto, o tyle tu, na dole, najwyraźniej coś się działo. Z boku stały dwa inne śmigłowce, za nimi, na niewielkim parkingu, kilka odkrytych jeepów, a przez okna w przeciwległym kącie widać było warsztat mechaniczny. Podeszedł do nich ubrany w kombinezon mężczyzna, pchając przed sobą nosze na kółkach. Położono na nich Cecilie i podniesiono boczne barierki.

Dwóch żołnierzy poprowadziło ich szerokim korytarzem, jeden z przodu, drugi z tyłu. Nora, wciąż z boleśnie skrępowanymi rękami, rozglądała się, próbując ustalić, gdzie są, co to za miejsce, ale szok jeszcze nie ustąpił i wszystko było zbyt dziwne, aby to logicznie przetworzyć. Sądząc po oznaczeniach na ścianach i sterylnym spartańskim wyglądzie, przywieziono ich do jakiegoś kompleksu wojskowego, na pewno dużo nowszego niż ruiny, które widziała na górze. Pomalowane na jasnozielono podłoga i ściany były z lanego betonu. Od czasu do czasu mijali otwarte drzwi i duże okna, jedne zaciemnione, inne z widokiem na pochylonych nad komputerami żołnierzy, a raz zobaczyła przez okno dużą serwerownię. Tu i ówdzie korytarz się rozwidlał. Na pierwszym rozwidleniu mężczyzna w kombinezonie skręcił i powiózł gdzieś protestującą Cecilie. Najbardziej uderzyły ją olbrzymia wielkość i stosunkowa pustka obiektu. To oraz poczucie, że zbudowano go do jakiegoś osobliwego celu. Ale jakiego? Nie miała pojęcia.

Idący przodem żołnierz przystanął przed drzwiami. Widniał na nich jedynie naniesiony szablonem czarny numer, poza tym nic nie różniło ich od kilkunastu innych drzwi, które widzieli po drodze. Mundurowy zapukał dwa razy kolbą karabinu, a potem odsunął je z wyraźnym trudem, aż zniknęły w betonowej ścianie.

Poczuła, że ten z tyłu trąca ją w krzyż lufą automatu. Weszli do dużego, nagiego, okrągłego pomieszczenia z wbudowanymi tuż pod sufitem długimi ciemnymi oknami, łagodnie wygiętymi i dopasowanymi kształtem do ścian.

Na środku sali stał stół z surowego drewna, równie spartański jak cała reszta, oraz trzy krzesła. Przy stole, na czwartym krześle, siedział jakiś mężczyzna. W przeciwieństwie do ubranych w moro żołnierzy miał na sobie mundur wyjściowy. Nie wstał na ich widok. Bardzo szczupły, miał wyblakłe oczy, krótko ostrzyżone siwawe włosy i jak wyciosane toporkiem policzki.

Żołnierze stanęli z boku z bronią gotową do strzału. Kiedy zajęli pozycję, mężczyzna krótko skinął głową jej i Tappanowi.

– Pułkownik Rush – powiedział. – Mam do was kilka pytań.

ŚMIGŁOWIEC WYSTARTOWAŁ, kiedy tylko Watts i Skip zapięli uprząż. Zapadła noc. Gdy nabrali wysokości, patrząc na południe, Corrie ujrzała baterię reflektorów oświetlających miejsce wykopalisk. Nieco dalej, na Diabelskiej Górze, mrugała dużo większa grupa świateł: obozowisko. Reszta krajobrazu tonęła w bezkresnej ciemności.

Po osiągnięciu wysokości przelotowej śmigłowiec skręcił na północ i zwiększył prędkość. Czekala, aż zawrócą, lecz nie zawrócili. Już miała zapytać Lime'a, dlaczego nie lecą do obozowiska, gdy noc rozświetlił potężny rozbłysk. Chwilę później z szybko rozrastającego się obłoku kurzu makabrycznie podświetlonego przez szalejącą na ziemi pożogę w niebo wystrzeliła wielka kula ognia i dosięgła w nich fala uderzeniowa, grzmot, od którego śmigłowiec zakołysał się na boki.

– Co to było?! – krzyknęła przerażona, patrząc w okno.

– Cholera jasna! – zawtórował jej Skip. – To u nas?

Fala nadciśnienia się przetoczyła i pilot ustabilizował maszynę. Kiedy Corrie odwróciła głowę i spojrzała na współpasażerów, odebrało jej mowę: Lime już nie siedział – stał, celując w nią z pistoletu, podobnie jak żołnierz.

– Wyjmij broń – rozkazał agent.

– Co się... – Nie potrafiła przetworzyć tej serii gwałtownych, zupełnie niespodziewanych wydarzeń.

– Pan też, szeryfie. Powoli i spokojnie, dwoma palcami. Potem wyciągnijcie ręce i żołnierz ją zabierze.

Oszołomiona Corrie siedziała jak sparaliżowana.

– Zrób, co mówię, bo będziemy musieli cię zabić. Pewnie trudno ci to zrozumieć, ale wierz mi, to twój obowiązek. Jako patriotki.

Corrie wciąż nie mogła mówić. Skip gapił się na agenta wytrzeszczonymi oczami.

Jako pierwszy doszedł do siebie Watts.

– Podobno jesteś jej szefem – powiedział z mroczną twarzą. – A tak naprawdę? Dla kogo pracujesz?

– Dla rządu Stanów Zjednoczonych – odparł Lime. – Tak jak wy. A teraz róbcie, co mówię. Drugi raz tego nie powtórzę.

Szeryf zawahał się, wyjął rewolwery i podał je żołnierzowi.

– Corrie? – rzucił agent.

Corrie odzyskała w końcu głos.

– Jako patriotki? Co ty bredzisz?

Lime uderzył ją na odlew w twarz tak mocno, że zobaczyła gwiazdy.

– Przykro mi, ale musisz zrozumieć, że nie żartuję. Lepsze to niż kula w czaszce. A teraz broń poproszę. Dwoma palcami.

Silny cios ją otrzeźwił. Z piekącym policzkiem rozpięła kaburę i dwoma palcami wyjęła pistolet. Ten też trafił do żołnierza.

– Kim ty jesteś? – spytała. – Rosyjskim szpiegiem?

– Nie. Kiedy dolecimy na poligon, zostaniecie przesłuchani. Koniec gadania.

Zabezpieczywszy broń, mundurowy rozpiął ich uprząże. Potem wykręcił jej do tyłu ręce i skrępował je trytkami.

– Ten wybuch – powiedział nagle Skip spiętym, piskliwym głosem. – To u nas, w obozowisku?

– Godne ubolewania, lecz konieczne – odparł Lime.

– Kurwa, a co z moją siostrą?

– Nie było jej tam. Jest na poligonie.

– A mój...

– Jeszcze jedno słowo i oberwiesz kulkę.

Agent powiedział to spokojnie – aż za spokojnie – i Corrie czuła, że nie żartuje. Modliła się, żeby Skip się zamknął.

I się zamknął. Skrępowawszy jej ręce, żołnierz chciał skrępować i jego, ale wypięty z uprzęży Skip zaprawił go z byka w brzuch, powalił, ze zduszonym krzykiem wpadł do kokpitu, objął przedramieniem szyję pilota, odchylił mu do tyłu głowę i zaczął go dusić.

Śmigłowiec gwałtownie skręcił i rzuciło ich na burtę, ale wciąż wrzeszcząc jak opętany, Skip nie zwolnił uścisku. Doskoczył do niego żołnierz z nożem w ręku. Chciał odciągnąć go do tyłu i poderżnąć mu gardło, lecz śmigłowiec obracał się tak gwałtownie, że wszyscy byli na łasce i niełasce siły odśrodkowej. Oprócz pilota wszyscy byli też wypięci z uprzęży i wciąż skrępowaną trytkami Corrie ciągle rzucało z boku na bok. W huku na oślep oddanych wystrzałów zupełnie bezradna wraz z pozostałymi koziołkowała po podłodze, ale tylko przez chwilę, bo śmigłowiec wpadł w niekontrolowany korkociąg, który szybko skończył się potężnym zgrzytliwym upadkiem. A potem nie było już nic oprócz ciemności.

TAPPAN ODEZWAŁ SIĘ jako pierwszy. Jego głos wydał się Norze zaskakująco spokojny.

– Co to za miejsce?

Pułkownik popatrzył na niego bez cienia emocji na kanciastej twarzy. Do sali wszedł mężczyzna w mundurze porucznika. Nachylił się i szepnął mu coś do ucha. Pułkownik skinął głową i mężczyzna szybko wyszedł, głośno stukając obcasami w betonową podłogę i zamykając za sobą ciężkie drzwi. Rush znów przeniósł na nich wzrok.

Nora zauważyła, że chociaż jego mundur jest podobny do klasycznych mundurów oficerskich, są na nim niezwykle naszywki, medale i baretki, tak jak na mundurze kapitana, tego ze śmigłowca. I że podobnie jest z całym tym podziemnym kompleksem, bo choć bazy wojskowe nigdy nie grzeszyły luksusem, tę urządzono wyjątkowo po spartańsku. Nie licząc stołu, krzesel i przyciemnionych okien – które kojarzyły jej się z weneckimi lustrami w policyjnych salach przesłuchań – w pomieszczeniu był tylko jeden element ozdobny: emblemat wiszący na ścianie za pułkownikiem. Przedstawiał orła krążącego nad Ziemią z rozpostartymi skrzydłami i obnażonymi szponami, jakby próbował ochronić swoje pisklęta. Pod emblematem widniał napis: SERVANDAE VITAE MENDACIUM.

– Co to za miejsce? – powtórzył Tappan.

Tym razem pułkownik odpowiedział.

– Rozumiem, że przynajmniej częściowo jest to pytanie retoryczne. Podejrzewam, że domyślacie się, kim jesteśmy, dlaczego tu jesteśmy i jaką pełniemy misję. – Mówił łamiącym się głosem.

Znów otworzyły się drzwi i dwóch żołnierzy wniosło czarną skrzynkę o długości mniej więcej sześćdziesięciu centymetrów. Ostrożnie postawili ją na biurku. Rush wstał i cofnął się o krok.

– Wszystko sprawdzone?

– Tak jest.

– No i?

– Czysto.

– Bardzo dobrze.

Jeden z mundurowych trzasnął zamkiem i ostrożnie otworzył skrzynkę. Wewnętrzna strona wieka, podobnie jak całe jej wnętrze, była wyłożona ciemnoszarym materiałem przypominającym grafit. Nora nie widziała jej zawartości. Widziała jedynie zielonkawe światło, które padło na twarz pułkownika – światło identyczne z tym, które biło spod piasku w dole na wykopaliskach. Rushowi stężała twarz i rozbłyśły oczy. Lekko oszołomiony znowu się cofnął, dał znak żołnierzowi, a ten zamknął wieko.

– Zanieście to do dziewiętnastki.

Kiedy żołnierze wyszli, spojrzął na Tappana. Przez chwilę milczał, jakby próbował się pozbierać.

– Chyba powinienem wam podziękować, że to znaleźliście. Tak jak mówiłem, mam do was kilka pytań...

– Wal się – przerwał mu Tappan.

Żołnierz stojący po jego prawej stronie zrobił krok do przodu i uderzył go pięścią w twarz. Tappan głucho jęknął i upadł na podłogę.

– Sierzancie! – warknął pułkownik. – Pomóżcie mu wstać.

Sierżant postawił na nogi kaszłącego, z trudem łapiącego oddech miliardera i znów zajął pozycję po jego prawej stronie.

– Nie chcemy zrobić wam krzywdy...

– Powiedz to pan mojemu asystentowi. – Tappan splunął krwią. – Temu, któremu pana bandyci strzelili w głowę.

– Tak, to godne ubolewania. Ale proszę uważać na słowa: to nie są „bandyci”. Tak jak miejsce, w którym kopaliście, nie jest piaskownicą. Pewnie nie zdajecie sobie z tego sprawy, ale naruszyliście granicę strefy

wojennej, dlatego za wszystkie straty uboczne odpowiadacie na równi ze mną.

– O czym pan mówi? – nie wytrzymała Nora. – Jakiej strefy wojennej?

Rush przeniósł na nią wzrok.

– Mam dwa pilne pytania. Muszę wiedzieć, po pierwsze, co dotychczas odkryliście. I po drugie, kto jeszcze o tym wie. Oczywiście poza obecnymi tam pracownikami.

– Co odkryliśmy? – powtórzyła Nora. – Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

Natychmiast się domyśliła, że może mu chodzić tylko o jedno. Drgnęły mu usta i zrozumiała, że on też o tym wie.

– Proszę nie obrażać mojej inteligencji – powiedział. – Tak jak mówiłem, nie chcę niepotrzebnego rozlewu krwi. Ale postawiliście mnie w trudnej sytuacji. Jeżeli nie otrzymam potrzebnych informacji, nie będę miał wyboru. Założę najgorsze i zareaguję stosownie do tego założenia.

Powiedział to tak, że Norę zmroziło.

– Dokąd pojechali pana ludzie naszymi jeepami? – zapytał Tappan.

Pułkownik milczał.

– Nie chce pan niepotrzebnego rozlewu krwi, tak? – ciągnął Tappan. – Więc niech pan zagwarantuje bezpieczeństwo moim pracownikom, wtedy odpowiem na wszystkie pytania.

Nora zerknęła na niego. On na nią nie spojrzał.

Rush powoli wypuścił powietrze.

– Nikt nic nie wie – dodał Tappan. – Tylko nasza czwórka. A właściwie trójka, dzięki pana impulsywnemu kapitanowi. Nie wiem, czego szukacie, ale my tego nie mamy i nic nie wiemy. Natomiast jest oczywiste, że wy wiecie, kim jesteśmy i co robimy. Prawdopodobnie zna pan też odpowiedzi na swoje własne pytania. Więc jak będzie? Zagwarantuje pan bezpieczeństwo moim ludziom?

– Zrobię, co będę mógł – odparł pułkownik po chwili namysłu. – Ale tak jak wspomniałem, jesteśmy na terenie instalacji wojskowej objętej strefą wojny. A to może skomplikować sprawę.

– Tu nie ma żadnej wojny! – prychnął szyderczo Tappan.

– I tu się pan myli. Wojna jest. Wojna trwa. Tajna wojna. Zaczęła się bardzo, bardzo dawno temu.

Popatrzył na nich i wyglądało na to, że podjął jakąś decyzję.

– Usiądźcie. – Wskazał im krzesła.

Po długim wahaniu Nora usiadła. Tappan też.

– W geście dobrej woli odpowiem na pana pierwsze pytanie, ponieważ jeśli mam dobre informacje, kto jak kto, ale wy powinniście to zrozumieć.

Usiadł prosto i splótł na biurku szczupłe palce.

– Jesteśmy hybrydową agendą sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych i amerykańskiego wywiadu, założoną w tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym roku jako komórka OSS i, zgodnie z Ustawą o Bezpieczeństwie Narodowym z czterdziestego siódmego, oficjalnie zatwierdzoną rok później. W tajnych kręgach cywilnych jesteśmy znani jako Atropos, choć jako część amerykańskiej sieci bezpieczeństwa nie uważamy, żebyśmy potrzebowali nazwy.

– Nigdy o was nie słyszałem – powiedział Tappan.

Rush uśmiechnął się gorzko.

– Gdyby pan słyszał, byłaby to klęska naszego wywiadu. Wszystko, co nas dotyczy, nasza historia, źródła finansowania, metody działania i bazy, jest ściśle tajne. Nie ze względu na nasze bezpieczeństwo, tylko ze względu na bezpieczeństwo obywateli, którym służymy. – Zrobił pauzę.

– Widzę wyraz sceptycyzmu na pana twarzy. Ale prawda jest taka, że jesteśmy jednym z najważniejszych, jeśli nie najważniejszym, ogniw systemu, który utrzymuje was przy życiu i zapewnia wam bezpieczeństwo.

– To zabawne, bo w tej chwili nie czuję się bezpieczny. – Tappan odwrócił głowę i znów splunął krwią.

– Myślę, że po krótkim wyjaśnieniu spojrzysz pan na to inaczej. Najprościej mówiąc, jesteśmy strażnikami Interakcji Roswell.

– Interakcji Roswell – powtórzyła Nora.

– Tak, strażnikami pozaziemskiej sondy kosmicznej, która rozbiła się tu w tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym roku. Nie wybieraliśmy tego

obowiązku dobrowolnie ani go nie pragnęliśmy. Po prostu spadł na nas w rezultacie odkrycia zbyt monumentalnego, aby można go było powierzyć niekompetentnemu rządowi, słabemu wywiadowi i źle zorganizowanym siłom zbrojnym.

– Niekompetentnemu rządowi i słabemu wywiadowi? – spytał z niedowierzaniem Tappan.

– Tak, niekompetentnemu i słabemu po drugiej wojnie światowej, w panującym wtedy chaosie i w obliczu narastającego sowieckiego zagrożenia. Choć pochodzimy z różnych sektorów sił zbrojnych, z wojsk lądowych, marynarki wojennej, paramilitarnego X2 i z Biura Służb Strategicznych, zjednoczył nas gniew, że miejsca takie jak Los Alamos, Oak Ridge czy Richland są dziurawe jak sito. Przed Hiroszimą tylko kilkaset osób miało jakoby wiedzieć, czym tak naprawdę jest Little Boy, ale nie minął rok, jak wszystkie nasze atomowe tajemnice przeciekły do Sowietów. Atropos stworzono po to, żeby te przecieki zastopować, uchronić Amerykę przed samą sobą. I było tak do dnia, gdy nagle powierzono nam misję jeszcze ważniejszą.

– Roswell – powiedziała Nora.

Pułkownik skinął głową.

– Ponieważ mieliśmy strzec tajemnic państwowych i walczyć ze szpiegostwem, wysłano tam naszych ludzi, zespół z Los Alamos. Na pewno domyślacie się, co znaleźli na pustyni.

– Statek kosmiczny obcych – odparł po chwili Tappan.

– Sondę – poprawił go Rush. – Bezzałogową. Ale pominął pan najważniejsze słowo: wrogą. Wrogą bezzałogową sondę.

Tappan lekko się skrzywił.

– To paranoiczne myślenie rodem z zimnej wojny. Nie ma powodu zakładać, że pozaziemska cywilizacja, zdolna do tego, aby nas odnaleźć, jest nam nieprzyjazna.

Pułkownik uśmiechnął się smutno.

– Powiedział pan to z ignorancją, na którą stać jest tylko bogatego dyletanta. – Spojrzał na Norę. – Jak rozumiem, jest pani archeolożką, czyli

przynajmniej po części naukowcem. Co pani na to? Uważa pani, że wszyscy obcy są zagorzałymi pacyfistami, istotami niskimi, grubymi i tak brzydkimi, że aż uroczymi? Że ich palce świecą jak bożonarodzeniowa choinka?

Nora nie odpowiedziała.

– Milczy pani. Bardzo mądrze, bo wbrew temu, co twierdzi pani przyjaciel, nikt, kto ma w sobie choć odrobinę pokory, nie może tak myśleć. – Rush nachylił się ku nim i złożył palce w daszek. – Ta „przyjazna” sonda zabiła prawie czterdziestu naszych ludzi. Gdyby nie była uszkodzona, bez wątpienia zabiłaby dużo więcej. Nie tylko ich, ale i miliony innych.

Popatrzył na Norę, potem na Tappana.

– Po wydobyciu i zabezpieczeniu jej wraku zbadaliśmy go pod kątem technologicznym. Analiza wykazała, że sondę wysłała obca cywilizacja jako wstęp do ataku. Z wrogą misją rozpoznawczą, jeśli wolicie.

– Skąd pewność, że z wrogą? – spytał Tappan.

– To, że podczas pierwszego kontaktu zabiła dwudziestu czterech żołnierzy, pana nie przekonuje? Od tamtej pory przeprowadziliśmy setki prób i symulacji. Wszystkie zostały zarejestrowane i być może pokażę wam film, a wtedy sam się pan przekona. Gdyby był pan trochę bardziej obiektywny i mniej arogancki, w ogóle nie musiałby pan zadawać tego pytania.

Potarł czoło.

– To, że opieracie się prawdzie, jest zrozumiałe. Wszyscy chcielibyśmy wierzyć, że wszechświat jest ciepły i gościnny. Ale są to jedynie mrzonki, naiwne i utopijne. Witając Corteza, Montezuma też dał się zwieść całkiem zrozumiałej fantazji, że ma do czynienia z Bogiem. Wiemy, jak to się skończyło: zniszczeniem jego cywilizacji. – Powiódł wzrokiem po ich twarzach. – Pójdźcie nocą do starego lasu. Zobaczycie, że kipi w nim życie, że roi się tam od wszelkiego rodzaju stworzeń, od owadów i pajaków, po salamandry, żaby, węże, ptaki oraz inne zwierzęta, małe i duże. A co wszystkie robią? Polują. Ewolucja to gwałtowna walka o zasoby,

bezlitosne zabijanie i pożeranie ofiar. To odwieczna, uniwersalna zasada. Galaktyka jest jak ten las. Pełno w niej myśliwych, którzy szukają nowych planet do splądrowania. Którzy polują na rozwijające się technologicznie gatunki, aby je eksterminować i pozbyć się rywali. Pierwszą komercyjną audycję radiową nadano w tysiąc dziewięćset dwudziestym roku. Od tej pory krzyczymy w eter jak głupi i słyszy nas teraz każda planeta w promieniu stu dwóch lat świetlnych od Ziemi. Skutek? Skutkiem było Roswell.

– Bzdura – powiedział Tappan. – To tylko spekulacje.

– Chciałbym uważać pana za inteligentnego człowieka. Wspomniałem o Montezumie. Proszę prześledzić następne stulecia i zobaczyć, jak bardzo nasza cywilizacja, rozwinięta wtedy dużo bardziej niż aztecka, skorzystała na zniewoleniu innych. Niech pan zobaczy, co dzieje się teraz: niszczymy naszą planetę szybciej, niż jest w stanie się odrodzić. – Pokręcił głową. – Postęp technologiczny i ewolucja inteligencji służą jedynie doskonaleniu naszego okrucieństwa. W rękach przedstawicieli obcej rasy wiodłoby się nam bardzo, bardzo źle.

– Te wasze siły zbrojne – odezwała się Nora. – Jaką pełnią teraz misję?

– Jest oczywiste, że nasza misja z czasem ewoluowała. Ale wciąż jesteśmy tajną komórką wywiadu wojskowego i wciąż poświęcamy życie tylko jednej sprawie: ratowaniu naszej planety. Częścią naszej misji jest minimalizowanie zagrożenia, jakie Ziemia sama dla siebie stwarza. Inną częścią, co oczywiste, jest badanie sondy. Próbujemy zgłębić skomplikowany mechanizm jej działania, aby w stosownym czasie ujawnić jej prawdziwy charakter i pomóc światu przygotować się do inwazji.

– Minimalizowanie zagrożenia, jakie Ziemia sama dla siebie stwarza? – spytał Tappan. – Czyli usuwanie astronomów czy fizyków, których odkrycia wam nie pasują? Psucie satelitów albo... teleskopów kosmicznych? Niszczenie startujących raket czy lądujących promów, z niewinnymi ludźmi na pokładzie?

Rush wyprostował się i lekceważąco machnął ręką.

– Usuwamy przecieki. Omijając nieskuteczne sądownictwo, w razie konieczności po cichu zabijamy zdrajców, jak choćby tych, których ciała znaleźliście na pustyni. To zawsze było częścią naszej misji i wypełniamy ją bez żadnych wahań i wątpliwości. Straty uboczne są godne pożałowania, lecz czasem niezbędne. Nasi ludzie nie są impulsywni, a zatwierdzone i stosowane przez nas sankcje mają jedynie na celu eliminację tych, którzy próbują wystawić naszą planetę na ryzyko ekspozycji.

– W takim razie rozumiem, że nie popieracie takich organizacji jak SETI. Działań bardziej aktywnych, czy nawet agresywnych.

Pułkownik nie odpowiedział.

– Á propos: co z Bitanem? Co z nim zrobiliście?

– Z jednym z najbardziej niebezpiecznych ludzi na ziemi? Autorem Projektu Nawiązania Kontakt z Obcą Inteligencją? Kimś, kto chciał nagłośnić naszą obecność w całej Galaktyce? Zrobiliśmy to, co musieliśmy.

– Jesteście usatysfakcjonowani?

Rush westchnął.

– Poświęciłem czas, żeby opowiedzieć wam o naszej misji. Cierpliwie znosiłem pana dyletancką podejrzliwość i obiekcje. Powiem wprost: zarówno pani, jak i pan moglibyście się nam przydać, zwłaszcza teraz. Ale czas ucieka, a moja cierpliwość ma granice. – Wstał. – Dam wam trochę czasu, żebyście mogli przedyskutować to w cztery oczy.

Skinął na wartowników, a ci – jednym długim korytarzem, a potem drugim – zaprowadzili ich do małej celi, rozkuli, wepchnęli do środka i zamknęli ciężkie stalowe drzwi.

Nora się rozejrzała. W celi były tylko małe polowe łóżko z kocem, umywalka i metalowa toaleta.

Rozmasowując nadgarstki, odrętwiała opadła na łóżko. Tappan, z zakrzepłą na twarzy krwią, usiadł powoli obok niej. Objął ją, przytulił i siedzieli tak w milczeniu.

CORRIE PRÓBOWAŁA SIĘ OCKNAĆ. Gęsty mrok, który ją pochłonał, kiedy śmigłowiec uderzył w ziemię, nie chciał jednak ustąpić i ogarnięta paniką myślała przez chwilę, że oślepla. Ale wraz z haustem duszącego – i gorącego – powietrza zrozumiała, że otacza ją gęsty czarny dym.

Poczołgała się w jedynym sensownym kierunku: jak najdalej od gorąca. Czołgała się powoli, bo ze skrępowanymi rękami trudno jej było omijać walające się wszędzie części wraku. Dym stopniowo się przerzedził i kiedy dotknęła brzuchem ziemi, z trudem wstała i zataczając się, odeszła jak najdalej od płonącej maszyny. Bolała ją każda część ciała.

Śmigłowiec spadł na dziób, więc kokpit zmienił się w kłębowisko zmiążdżonego, płonącego metalu. Siła uderzenia zabiła pilota, ale też wyrzuciła ją z kabiny, a sądząc po tym, że we wraku brakowało drzwi, pewnie nie tylko ją.

Rozejrzała się, omijając wzrokiem śmigłowiec. Najpierw zobaczyła żołnierza, który ich pilnował. Leżał na brzuchu, z wyciągniętymi nogami. Z szyi sterczał mu nóż, ten sam, którym chciał zabić Skipa. Nieco dalej, w ciemności rozpraszanej migotliwym blaskiem ognia, dostrzegła sylwetkę Skipa, też bezwładną i nieruchomą jak sterta szmat.

– Corrie!

Odwróciła się i ujrzała idącego ku niej Watta. Udało mu się odzyskać z wraku jeden rewolwer i nie licząc tego, że lekko utykał, nic mu chyba nie było. Wyjął nóż z szyi martwego żołnierza, wytarł go i przeciął krępującą ją trytki.

– Jesteś cała?

– Nie wiem – odparła, wciąż oszołomiona.

– Zaczekaj, obejrzę cię. – Obmacał ją delikatnie od głowy po stopy. – Żadnych poważniejszych urazów. Prawdziwy cud.

– Chyba jestem tylko w szoku. – Rozejrzała się w poszukiwaniu pistoletu, lecz nigdzie go nie było.

Lime. Obróciła się wokoło i nagle usłyszała krzyk Watts.

– Stój!

Wtedy go zobaczyła. Miał podarte ubranie i ubrudzone ziemią włosy. W ręku trzymał pistolet, z którego przed chwilą w nią celował. Na krzyk szeryfa zastygł bez ruchu.

– Rzuć broń – rozkazał Watts. – Tutaj, pod moje nogi.

Lime powoli opuścił rękę i zrobił, co mu kazano, lecz zamiast w jego stronę rzucił pistolet nieco w bok.

– Powiedziałem: pod moje nogi!

– Przepraszam, jestem w kiepskim stanie. – Agent pochylił się i oparł ręce na kolanach.

– Podnieś łapy! – warknął Watts.

– Dajcie mi chwilę, dobra? Kręci mi się w głowie.

Czekali w słabnącym blasku ognia. Corrie rozejrzała się, wypatrując swojego pistoletu. Może był we wraku.

Lime wyprostował się powoli. Wytarł rękawem czoło.

– Wasz przyjaciel chciał chyba umrzeć. – Wskazał leżącego nieruchomo Skipa. – Co za głupota...

– Łapy w górę! – powtórzył szeryf.

Zamiast go posłuchać, Lime wypuścił powietrze, stanął w rozkroku i wziął się pod boki.

– Nie.

– Mam cię postrzelić?

– Wątpię, czy strzeli pan do agenta federalnego.

Watts zawahał się i zerknął na Corrie.

– Kto to, kurwa, jest?

– Nie wiem – odparła. – Od śmierci Morwooda był moim prowadzącym. W Albuquerque nikt go nie zna, ale podobno przysłano go do nas

w sprawie jakiegoś śledztwa.

– Skąd przysłano?

– Z Waszyngtonu – odezwał się Lime. – Już mówiłem: ja też pracuję dla rządu Stanów Zjednoczonych.

– Bzdura – powiedziała. – Żaden z ciebie patriota. Jesteś szpiegiem albo kimś takim.

Ale ona też zaczynała mieć wątpliwości. Od roku wbijano jej do głowy, że posłuch względem starszego agenta powinien być czymś tak naturalnym jak oddychanie. A Lime ją wspierał, wierzył w nią, kiedy inni stracili do niej zaufanie. Bronił ją przed oskarżeniami Lathropa, no i błyskawicznie załatwił śmigłowiec.

– Zastanówcie się, co robicie. – Agent spojrzał na Watta. – Próbowałem wam to wytłumaczyć, to wszystko sięga głębiej, niż myślicie. – Przeniósł wzrok na nią. – Corrie, dobrze wiesz, jak działa ten system. Każdy z nas wie tylko tyle, ile trzeba, nic więcej. Poziomów wtajemniczenia jest bardzo, bardzo wiele.

– Czyli? – spytał szeryf. – Prawdziwy agent FBI nie rozbroiłby i nie skrupował młodszej partnerki.

– Zrobiłem to dla jej własnego dobra. Chodzi o to, że Corrie nie wie wszystkiego. Przypadkowo wplątała się w operację wojskową, operację większą i bardziej skomplikowaną, niż możecie to sobie wyobrazić.

– A konkretnie?

Sfrustrowany Lime pokręcił głową.

– Już mówiłem, wszystkiego dowiedziecie się na poligonie Pershinga. Niech pan opuści rewolwer. Proszę. Przecież pan widzi, że jestem nieuzbrojony.

Szeryf z wahaniem opuścił rękę.

– Nie na poligonie, tylko tu i teraz. Tam coś jest? O ile wiem, to od dawna opuszczona ruina.

– Pozornie i celowo. To tajna baza wojskowa, niezwykle ważna dla bezpieczeństwa narodowego.

Szeryf oblizał usta. On też zaczynał tracić pewność siebie.

– A ten wielki wybuch w obozowisku?

– Kto powiedział, że w obozowisku? – spytał Lime.

Watts i Corrie wymienili spojrzenia.

– Szeryfie, wygląda pan na porządnego człowieka. Dlatego myślę, że nie obrazi się pan, jeśli powiem, że wie pan jeszcze mniej niż Corrie. Nie oczekuję, żebyście uwierzyli w coś, czego nie rozumiecie. Ale proszę jeszcze raz: zastanówcie się, co robicie. Mam władzę operacyjną, która obejmuje FBI i sięga znacznie wyżej. Macie wybór. Możecie pozwolić mi skontaktować się z dowództwem poligonu i ściągnąć tu śmigłowiec ratunkowy. Załatwimy wam tymczasowy certyfikat bezpieczeństwa, a potem będziecie mogli nam pomóc. Bo szczerze mówiąc, potrzebujemy waszej pomocy. – Westchnął. – Albo możecie mnie zastrzelić. I wiecie co? Wtedy też pozostaniecie w systemie, tyle tylko, że na jego drugim końcu. Więzienie to paskudne i okrutne miejsce. Można tam skończyć tylko w jeden sposób.

Zapadła cisza przerywana jedynie trzaskiem płomieni i jękiem metalu.

– Jeszcze nie jest za późno – dodał Lime. – Niech pan schowa broń i działajmy razem.

Watts z wahaniem schował rewolwer do kabury.

Szybka jak szarżująca żmija prawa ręka agenta śmignęła za plecy i wróciła z gotowym do strzału pistoletem. Ale szeryf był jeszcze szybszy: błyskawicznie dobył broni i oddał dwa strzały. Zaskoczony Lime krzyknął z bólu i zatoczył się do tyłu, a Watts chwycił Corrie za rękę i pociągnął ją za skały. Odczekał chwilę i ostrożnie wyjrzał.

– Nie ma go. – Pomógł jej usiąść.

– Na pewno?

– Na pewno, ale może wrócić. – Podniósł jego pistolet, ten, który agent miał rzucić mu pod nogi, a potem pokazał jej małokalibrowy pistolet, który Lime wyjął zza paska, groteskowo zdeformowany przez kulę z rewolweru.

– Celowałeś w pistolet?

– Pewnie. Mam nadzieję, że przy okazji odstrzeliłem mu palec. Właśnie dał nam dowód swojej prawdomówności i patriotyzmu. Co za sukinsyn. –

Odrzucił uszkodzony pistolet na bok i dał jej ten drugi.

W tej samej chwili ktoś wyłonił się z mroku – trzymając się za głowę, chwiejnie szedł ku nim Skip.

– Co się stało? – spytał nieprzytomnie. – Co to za huk?

– Ten pierwszy, bardzo głośny, to byłeś ty i śmigłowiec, który rozwaliłeś – odparł szeryf. – A ten drugi, znacznie cichszy, to byłem ja i mój pojedynek z Lime'em.

– Z szefem Corrie? Trafiłeś go?

– Tak, ale nie tak skutecznie, jak bym chciał. Mam nadzieję, że się wykrwawi.

Mówiąc, Watts zauważył coś ponad ramieniem Skipa. Zaklął, popędził do śmigłowca i przesłonił go dym. Po chwili wrócił.

– Cholera jasna! – wykrzyknął, wymachując kosztownym kowbojskim kapeluszem z wypaloną w koronie dziurą i nadpalonym rondem. – Niech to szlag! – Obrócił go w rękach. Corrie nigdy dotąd nie widziała go tak zdenerwowanego. Znów zaklął i naciągnął kapelusz na głowę.

– Wejdem na to wzgórze. Zobaczę, gdzie jesteśmy.

Kiedy odszedł, Corrie wyjęła magazynek z pistoletu Lime'a, sprawdziła, czy jest pełny, wetknęła go do uchwytu i schowała broń do kabury. Był to glock 19, identyczny jak jej własny.

Wrócił Watts.

– No i? – spytał Skip.

– Poligon jest jakieś dwa kilometry na północ stąd.

– Musimy odejść jak najdalej od wraku – powiedziała. – Wyślą swoich ludzi, żeby sprawdzili, co się stało.

– Ludzi i drony – dodał Skip. – Słyszycie?

Z oddali niosło się ciche brzęczenie, jakby roju pszczół. Z sekundy na sekundę stawało się głośniejsze, choć oprócz gwiazd na niebie nie było widać żadnych świateł.

– Pod skały! – rzuciła Corrie.

Przywarli do skał i po chwili nadleciały dwa czarne drony. Zatoczyły kilka kręgów nad płonąącym śmigłowcem, a potem rozdzieliły się

i odleciały w przeciwnych kierunkach.

Corrie, Watts i Skip popatrzyli po sobie.

– Co robimy? – spytał szeryf.

– Idziemy na poligon – odparł Skip. – Moja siostra tam jest.

– To samobójstwo.

– Oni mają moją siostrę!

– Musimy stąd wiać, trzeba wezwać posiłki.

– Jak? – spytał gniewnie Skip. – Jesteśmy prawie sześćdziesiąt pięć kilometrów od najbliższego miasta. Nawet dobrą drogą szlibyśmy tam ze dwa dni. Nie mamy ani wody, ani jedzenia. Tamci wiedzą, gdzie jesteśmy, albo wkrótce się dowiedzą. A wtedy na pewno nas znajdą.

– Popieram Skipa – oświadczyła Corrie. – Poligon to ostatnie miejsce, gdzie się nas spodziewają.

Umilkli. W końcu Watts kiwnął głową.

– Skoro tak, musimy opracować jakiś plan. I zrealizować go, dopóki jest ciemno.

– Najpierw stąd odejźmy – powiedziała Corrie. – Zanim to oni wezwą posiłki.

Z nieba popłynęło pulsujące dudnienie silników, tym razem dużo głębsze.

– Już wezwali – mruknął Watts.

WYDAWAŁO SIĘ JEJ, że siedzi obok niego od wieków. W tej prawie nagiej celi, w ciszy, z mętlikiem w głowie, próbując doszukać się w tym jakiegoś sensu, zastanawiając się, co robić. W szerokich korytarzach za pozbawionymi okna drzwiami też panowała cisza, rzadko przerywana odgłosem kroków.

– Lucas. – Po długim milczeniu miała dziwnie obcy głos.

Tappan nie odpowiedział.

– Lucas.

Spojrzała na niego i zamilkła. Tappan siedział w zupełnym bezruchu, patrząc przed siebie nieobecny wzrokiem.

Odchyliła się, zacisnęła pięść i uderzyła go w ramię.

– Chryste! – wykrzyknął, rozmasowując mięsień. – Za co?

– Odpłynąłeś. Musiałam zwrócić na siebie uwagę.

Zerknął na nią poirytowany. Z połową twarzy pokrytą zakrzepłą krwią przybrał prawdziwie janusowe oblicze.

– I przy okazji nabiłaś mi siniaka.

– Potem będziesz mógł wyrzucić mnie z pracy. Powiedz, o czym tak myślisz.

Pokręcił głową, wciąż rozmasowując ramię.

– To moja wina. Postęp naszych prac i to, że każdy problem rozwiązywałem, szastając pieniędzmi, oślepił mnie tak bardzo, że nie dostrzegłem sygnałów ostrzegawczych.

– Sygnałów?

– Choćby tego, że te dawne naciski tak nagle ustąpiły. Zniknięcie Bitana też było sygnałem. – Ciężko westchnął. – Ci od teorii konspiracyjnych cały czas mieli rację. Rząd rzeczywiście próbował coś zatuszować i robił to

na niewyobrażalną wprost skalę. Powinienem być się spodziewać takiej reakcji.

– Cóż, już się w to wpakowaliśmy, więc lepiej pomyślmy, co dalej.

– Niby co możemy wymyślić?

– Pułkownik złożył nam propozycję. Musimy ją rozważyć. – Objęła go, niby dla pokrzepienia, przysunęła usta do jego ucha i szepnęła: – Obserwują nas i podsłuchują.

Kiwnął głową.

– Jestem pewny, że zabije nas bez względu na to, co zrobimy.

– Może nie.

– Nie?

– Oni działają w głębokim ukryciu – odparła, zastanawiając się, czy Tappan rozumie, o co jej chodzi, i czy żeby zyskać choć trochę czasu, pójdzie z nimi na udawaną współpracę.

– Tak, Bitana pewnie też zabili „w głębokim ukryciu”.

– Chodzi mi o to, że nie obnoszą się ze swoją obecnością. Nie działają pośpiesznie. Jak długo kopiemy? Od dwóch tygodni? Musieli nas cały czas obserwować. Reagują tylko przyparci do muru, a my staliśmy u progu przełomowego odkrycia. Są ostrożni, metodyczni.

Tappan energicznie pokręcił głową.

– Nie wyjdą nagle z ukrycia, żeby nas wszystkich zlikwidować – upierała się Nora.

– A skąd wiesz? – Lucas machnął ręką w stronę drzwi. – Widziałaś, jakie mają wpływy. Widziałaś, jakimi środkami dysponują. Kiedy powiemy Rushowi, co wiemy, każe nas zabić.

– Nie sądzę. W pewnym sensie oni też błędzą po omacku. Mam na myśli nas i to, jak szeroki krąg osób o tym wie. Pamiętasz, o co cię najpierw zapytał? Właśnie o to. Ale dodał, że możemy im się przydać.

– Jeśli myśli, że po tym, co zrobił, będę tańczył, jak mi zagrają, to może mi naskoczyć.

Nora wciąż nie wiedziała, w co Lucas gra, ale przedłużanie tej konspiracyjnej narady mogło mieć katastrofalne skutki. Nie miała

wątpliwości, że tamci podglądają ich i podsłuchują.

– Tańczyć nie będziemy, ale musimy rozważyć jego propozycję.

– Dlaczego?

– Dlaczego? – powtórzyła ze śmiechem. – Bo możemy uratować wielu innych, dlatego! Pomyśl o tym jak Rush. Jesteś właścicielem firmy kosmicznej i połowy turbin wiatrowych w Ameryce Północnej. Dysponujesz olbrzymimi zasobami, pieniędzmi w pewnych obszarach pewnie większymi niż oni. To daje ci kartę przetargową. A Rushowi bodziec do tego, żeby cię zwerbować.

– Jakoś nie widzę, żeby brakowało im kasy.

– Nie uderzyło cię, jak wielka jest ta baza? I jak pusta?

– Tak, bo Rush wysłał wszystkich w teren, żeby zastrzelili każdego, kto coś wie albo może wiedzieć.

– Nie. Oni nie wyglądają na takich, którzy robią coś bez przygotowania. Rush mówił, że biorą udział w wojnie. W takim razie gdzie jest ich wojsko? Założę się, że w czterdziestym siódmym łatwiej im było werbować rekrutów niż teraz. Pomyśl tylko: setki tysięcy żołnierzy zdemobilizowanych po wojnie. Przybierająca na sile zimna wojna i zimnowojenna paranoja. Patriotyzm do entej potęgi. Dziwi cię, że wszystkie filmy science fiction, które wtedy nakręcono, przedstawiały obcych jako złe, niszczycielskie potwory? Dzisiaj jest inaczej. Tamte strachy ustąpiły miejsca innym. Ale oni się nie zmienili.

– Więc kupujesz to, co powiedział? Że obcy szykują się do ataku na Ziemię?

Norze chodziło tylko o czas. Odgrywała tę maskaradę wyłącznie dla tych, którzy ich podsłuchiwali, i oddałyby wszystko, by mieć pewność, że Tappan na pewno to rozumie.

– Wspomniał o jakimś filmie. Musimy go obejrzeć. On chyba nie zmyśla.

– Dobrze – powiedział Lucas po chwili milczenia. – To, co mówisz, ma sens. Trzeba sprawdzić, dlaczego jest przekonany, że Ziemi coś zagraża. Jesteśmy to sobie winni. Sobie i nauce. – Nagle ujął jej ręce. – Poza tym

jeśli dobrze się zastanowić, współpraca jest dużo lepsza niż co innego. – Pocałował ją. – Jesteś wspaniałą kobietą, wiesz? Tylko bardzo cię proszę, nie bij mnie więcej.

– Obiecuję.

Kroki na korytarzu i trzask zamka. Odsunęli się od siebie. Otworzyły się drzwi i weszli ci sami, po zęby uzbrojeni żołnierze. Bez słowa dali im znak, żeby wstali i wyszli z celi, a potem, jeden z przodu, drugi z tyłu, tą samą drogą poprowadzili ich z powrotem. Ale tym razem minęli ciężkie drzwi do sali, w której urzędował Rush, i zatrzymali się przed znacznie większymi. Widniał na nich numer wypisany dużymi białymi cyframi: 019. Nie otworzyli ich sami. Jeden wziął ich na muszkę, drugi wprowadził kod i drzwi rozsunęły się z cichym szmerem, odsłaniając rozbrzmiewający echem hangar. Szturchnięta w plecy Nora zrobiła krok do przodu i osłupiała. Z niedowierzania zabrakło jej tchu.

Z CIEMNOŚCI WYŁONIŁO SIĘ siatkowe ogrodzenie zwieńczone drutem ostrzowym, lekko błyszczącym w świetle gwiazd. Po cichu podeszli bliżej, co kilka kroków przystając, aby się rozejrzeć. Corrie wypatrywała kamer bezpieczeństwa, lecz nie dostrzegła ani jednej. Ogrodzenie sprawiało wrażenie starego i zardzewiałego, ale kiedy mu się przyjrzeni, okazało się, że jest zaniedbane tylko pozornie. W regularnych odstępach wisiały na nim tablice z napisami WSTĘP WZBRONIONY i UWAGA – WYSOKIE NAPIĘCIE. Za ogrodzeniem widać było ciemne sylwetki zniszczonych budynków.

– Spójrzcie na te dwa grube przewody – powiedział szeptem Watts. – Są podłączone do izolatorów. Ten słodziak jest pod napięciem.

Skip kiwnął głową.

– Nie zdziwiłbym się, gdyby był też naszpikowany czujnikami alarmowymi.

– Jak tam wejdziemy? – spytała Corrie.

– Dobre pytanie – mruknął szeryf.

Stali przez chwilę, patrząc na siatkę. Nawet gdyby zdołali przez nią przejść i przy okazji się nie usmażyć, Skip miał rację: na pewno uruchomiliby alarm. I szybko by ich schwytano.

– Może zrobimy krótkie spięcie? – zaproponował.

– Wtedy alarm włączy się jeszcze szybciej – odparł Watts.

Kiedy rozmawiali, Corrie usłyszała pohukiwanie sowy, które przerwał nagle głośny trzask i rozbłysk jaskrawego światła sześć metrów dalej.

Przykucnęli i wytężyli słuch.

– Co to było? – szepnął Skip. – Sowa oberwała prądem?

Szeryf dał im znak i ruszyli w tamtą stronę. Watts ukląkł, szukając porażonego ptaka, lecz nie znalazł nic, co mogłoby wywołać taki efekt.

– Chodźmy trochę dalej – powiedział cicho. – Może znajdziemy jakiś słaby punkt.

Poszli gęsiego, przyglądając się siatce, ale nigdzie takiego punktu nie było. Szeryf od czasu do czasu przystawał i przyglądał się ziemi.

– I co teraz? – spytał w końcu Skip.

Watts pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia.

Sto metrów dalej znów coś trzasnęło w rozbłysku światła.

– Stado zwierząt? – rzuciła Corrie.

– Albo krótkie spięcie. Chodźmy sprawdzić.

Poszli jeszcze dalej, na północ. Ogrodzenie biegło przez skalny występ i znowu musieli iść gęsiego.

W pewnej chwili Watts ukucnął.

– A niech mnie. – Na ziemi leżał wciąż dymiący patyk.

Skip też się pochylił. I wtedy zamykająca pochód Corrie poczuła, że ktoś chwytą ją od tyłu. Jedną ręką przytknął jej do skroni zimną lufę pistoletu, drugą złapał za gardło i pociągnął za skały.

Watts błyskawicznie wstał, wyjął rewolwer, lecz... nie wystrzelił.

– Mądra decyzja. A teraz rzuć to.

To był Lime. Musiał zabrać pistolet martwemu żołnierzowi z wraku śmigłowca.

Szeryf nie opuścił rewolweru.

– Nie masz strzału, dobrze o tym wiesz. Wyciągnij rękę i rzuć broń. Ale już! Bo zaraz ktoś umrze.

Watts rzucił rewolwer na ziemię, a Corrie poczuła, że Lime wyjmuję jej pistolet z kabury. Potem pchnął ją do przodu, wyszedł z za skał i odtrącił nogą broń szeryfa.

– Mamy wspólny problem. Jak przejść przez siatkę. Prawda, Corrie? – Potrząsnął nią lekko.

– Wal się – warknęła.

– Zapowiadałaś się na dobrą agentkę. Niestety, w tych okolicznościach na aż za dobrą. Zdałem sobie z tego sprawę, kiedy obserwowaliśmy, jak przeszukując dom Morwooda, znajdujesz coś, co nawet my przeoczyliśmy. Szczerze żałuję, że już się nie zobaczymy. Czego nie mogę jednak powiedzieć o twoich przyjaciołach. – Lime roześmiał się oschle. – Szeryfie Watts, ostrzegano mnie, że strzela pan jak wytrawny rewolwerowiec. No i był pan szybszy, przyznaję. Sztuczka z bronią za plecami nigdy przedtem mnie nie zawiodła. To smutne, że teraz dał się pan tak zaskoczyć. Natomiast pan Kelly... Że też musiał roztrzaskać ten śmigłowiec. Cierpi chyba na manię samobójczą, wyraźnie chce umrzeć.

Nagle pchnął Corrie na ziemię i trzymając ich na muszce, zaszedł Skipa od tyłu.

– Porusz się i spełnię twoje życzenie. – Wykręcił mu do tyłu rękę i Skip musiał się pochylić. Lime przytknął lufę pistoletu do jego ucha i spojrzał na Corrie.

– Możesz wstać. Tylko trzymaj ręce na widoku.

Corrie ostrożnie się podniosła.

– Znalazłem rozwiązanie naszego problemu – ciągnął agent. – Sposób na to, jak szybko wejść na teren poligonu, zawiadamiając ich jednocześnie, że właśnie wchodzicie. A pomoże nam w tym pan Kelly. Prawda, Elwyn? – Nie odrywając lufy pistoletu od jego ucha, pchnął Skipa w stronę ogrodzenia. – Tą siatką płynie prąd o napięciu sześciu tysięcy woltów i natężeniu jedenastu amperów. To więcej niż w krześle elektrycznym. Kiedyś widziałem, jak wpadł na nią jeleń. Widowiskowe.

Pchnął Skipa bliżej ogrodzenia. Słyszając ciche buczenie drutów i czując w powietrzu zapach elektryczności, przerażona Corrie nagle zrozumiała, co agent zamierza. Zrobił gwałtowny obrót, rzucając Skipem na siatkę, ale Skip też się odwrócił i w tym samym momencie ona runęła na Lime'a jak zaprawiona w bojach futbolistka. Skip wyrwał mu się i agent, który już przedtem stracił równowagę, wygiął się do tyłu, próbując ją odzyskać. Głośno stęknął, wystrzelił w powietrze, upuszczając pistolet, zamachał

rękami jak wiatrak, wygiął się do tyłu jeszcze bardziej i głową, plecami oraz udami upadł na siatkę.

Rozległ się głośny trzask i ciemność rozdarł rozbłysk oślepiającego światła. Lime przeraźliwie krzyknął i – jak z poruszonych węgli w ognisku – w nocne niebo buchnął snop iskier. Jego skóra zaczęła skwierczeć jak surowe mięso na gorącym tłuszczu, w ogniu stanęło najpierw ubranie, a potem włosy. Jeden po drugim druty siatki pękały i wyparowywały w rytm podrygiwań szarpiącego się ciała. Oczy wypełniły się krwią, groteskowo spuchły i też pękły, najpierw jedno, potem drugie.

I nagle zapanowała cisza, przerywana jedynie potrzaskiwaniem dogasających chaszczki, które zajęły się ogniem od deszczu iskier. Martwe druty na próżno wiły się i syczały. Częściowo stopiona siatka opadła na bok i dymiące szczątki Lime'a zwisły poza ogrodzenie.

Na chwilę wszyscy zamarli. Corrie patrzyła na to wszystko z pełną przerażenia fascynacją.

– Hej! – rzucił Skip, przywołując ich do rzeczywistości. – Przerwaliśmy obwód, możemy wejść. Szybko!

Drobnymi kroczkami wspiął się na ciało Lime'a – skutecznie przyklejone do obwisłej siatki – które ugięło się sprężysto pod jego nogami. Odsunął na bok przepalone druty, pochylił się i zeskoczył po drugiej stronie ogrodzenia.

– Szybciej! Zaraz tu będą!

Corrie podniosła z ziemi pistolet i zaimprovizowanym mostem – który zaczynał już cuchnąć jak przejrzały stek – pobiegła za nim. Watts poszedł w jej ślady.

– Do tych ruin! – rzucił Skip.

Wpadli do czegoś w rodzaju zbiorowej sypialni zastawionej upiornymi rzędami nagich prycz i ukryli się na zapleczu, w małym aneksie z wychodzącym na północ wybitym oknem.

– Jezu, jakbyście uprawiali sztuki walki – wysapał szeryf. – Ćwiczyliście tę zagrywkę?

– Nie, mieliśmy farta – odparła Corrie i spojrzała na Skipa. – Elwyn? Dlaczego Lime cię tak nazwał?

– Daj spokój.

Czekali, ciężko dysząc. Kilka sekund później Corrie usłyszała cichy, wibrujący dźwięk. Ostrożnie wyjrzała przez okno i zobaczyła, że ze zbocza nierzucającego się w oczy wzgórza – a właściwie z jego głębi – wynurza się coś prostokątnego.

– Widzicie to? – szepnął Skip. – To jakieś wrota. Wejście.

We wrotach ukazało się światło i przecinając ciemność reflektorami, ze wzgórza szybko wyjechały dwa jeepy. Pędziły w stronę ogrodzenia, gdzie wisiało ciało Lime'a spowite dymem z dogasających chaszczy.

Zatrzymały się tam z piskiem hamulców i z pierwszego wyskoczył umundurowany mężczyzna.

– O Chryste... – W chłodnym nocnym powietrzu miał czysty donośny głos.

Z aut wysiedli pozostali, wszyscy pod bronią.

– Chciał przejść górą. Co za dureń.

– Co on tu, do diabła, robił?

– Może to ktoś z tego rozbitego śmigłowca?

Stanęli wokół zwęglonych zwłok.

– Sprawdźcie, czy ma jakieś dokumenty.

Zdjęli ciało z siatki i zaświecili latarkami w twarz.

– Boże święty! – wykrzyknął dowódca. – To Lime!

– Zwariował czy co?

– Idiota.

– Już po nim.

Zaczęli się zastanawiać, co robić, i zaskrzeczało radio. Kilka minut później wrzucili ciało do jeepa, połatali przepalone druty, naprawili siatkę i zniknęli za wbudowanymi we wzgórze wrotami, które zamknęły się za nimi powoli i bezszelestnie.

Zapadła cisza.

– Czysto – szepnęła Corrie. – Co robimy?

Odpowiedział jej Skip.

– Idziemy po moją siostrę.

TO, ŻE ANI ONA, ani Watts nawet nie drgnęli w reakcji na te słowa, uzmysłowiło Corrie, że nie mają żadnego planu działania. Było ich tylko troje – trzy osoby przeciwko załodze tajemniczej bazy wojskowej.

– Nie damy im rady – powiedział szeryf. – Możemy się co do tego zgodzić?

– Nie odejdę stąd bez siostry – oświadczył kategorycznie Skip.

– Homer, na miłość boską – odezwała się Corrie. – Pomyśl tylko, jakie mamy wyjście? Nie możemy tu zostać, nie możemy wrócić po pomoc, nie mamy ani samochodu, ani radia. Wniosek? Skip ma rację. Musimy tam wejść.

– Wejść i co? – spytał szeryf.

– Ocenić sytuację. Nie wiemy, co tam jest, ilu ludzi ani jak dobrze to jest strzeżone. Ale na pewno musimy zejść na dół. Zejść i dopiero wtedy opracować jakiś plan.

– Czyli z deszczu pod rynnę – podsumował Watts. – Lime miał chyba rację, Skip. To samobójstwo.

– I jedyne wyjście – powtórzyła stanowczo Corrie. – A gadając, tracimy tylko czas. Sprawdźmy amunicję. – Wyjęła glocka i wysunęła magazynek.

– Ja mam piętnaście. – Trzasnęła zamkiem.

– Ja cztery – powiedział szeryf.

– Cokolwiek tu jest, jest ukryte pod ziemią – powiedział Skip. – To oczywiste. A jeśli tak, muszą tu być szyby wentylacyjne czy jakieś inne dziury.

Ostrożnie wyszli z baraku i na znak Corrie rozstawili się w tyralierę. Księżyc zaszedł, lecz pustynne powietrze było tak czyste, że zamiast latarek

wystarczało im światło gwiazd. Za barakiem zobaczyli kilka innych, równie zniszczonych budynków i plac defilad pokryty gruzem z popękanego betonu. Trzymali się najciemniejszych miejsc. Okolica była tak wymarła, jakby w promieniu wielu kilometrów nie było żywego ducha, nie mówiąc już o bazie wojskowej pod nogami.

– Tutaj – szepnął nagle Skip.

Podeszli do niego. Stał obok szybu wentylacyjnego z blachy falistej, z otworem zabezpieczonym skorodowaną metalową siatką.

– Czujecie?

Corrie się pochyliła. Z szybu biło czyste, chłodne powietrze, w którym wyczuła lekki zapach rozgrzanej elektroniki i, co dziwne, frytek.

– Tędy wejdziemy – powiedział Skip.

– Żartujesz? – Watts zajrzał do czarnej paszczy szybu. – Nie wiadomo, dokąd prowadzi. Nie mamy latarki. Możemy utknąć.

– Zejdę i zobaczę, gdzie się kończy – zaproponował Skip.

– Uprawiałaś kiedyś wspinaczkę kominową? – spytała Corrie. – Bo ja tak. To wymaga doświadczenia. Ty go nie masz, a ja mam.

– Nie, nie – zaprotestował szeryf. – Nikt nie będzie tam schodził, nie tędy. Znajdziemy inną drogę.

– Nie ma czasu – upierała się Corrie. – Idę.

– Nie. – Teraz z kolei zaprotestował Skip. – Ja pójdę. To moja siostra.

– Pogięło was czy co? Jako pierwszy powinien iść ktoś, kto już to robił. – I nie czekając na dalsze kontrargumenty, Corrie wyrwała z obudowy zardzewiałą siatkę, spuściła nogi do szybu i rozejrzała się. Na tle rozgwieżdżonego nieba Watts – wciąż w zniszczonym kapeluszu – wyglądał idiotycznie, jak skrzyżowanie Charliego Chaplina z Chico Marksem.

– Wyrzuc ten kapelusz – poradziła. – Jeśli nas tam zabiją, zostaną po tobie przystojne zwłoki.

– Wyrzucę dopiero wtedy, kiedy kupię sobie nowy.

– Jak chcesz.

Wykorzystując blaszane fałdy jako oparcie dla stóp i zapierając się plecami o przeciwległą ścianę, Corrie zaczęła schodzić na dół. Pod nogami było ciemno jak w grobie i nie miała pojęcia, jak głęboko sięga rura szybu.

Stosując klasyczną technikę sił przeciwdziałających, centymetr po centymetrze opuszczała się coraz niżej i wkrótce pochłonęła ją ciemność. Zadzierając głowę, widziała pojedynczą gwiazdę, co podnosiło ją na duchu, ale po kilku metrach zniknęła nawet gwiazda i poczuła, że wzbiera w niej pierwotny lęk. Było tak ciemno, że przed jej oczami zaczęły się pojawiać dziwne wiry i kształty. Czyżby Watts miał rację i szyb rzeczywiście się zwęzał? Miała takie wrażenie, ale... nie, to chyba tylko narastająca panika.

Zatrzymała się. Jak głęboko zeszła? Wydawało się, że schodzi od wieków. Z wysiłku drżały jej mięśnie, waliło serce. Kusiło ją, żeby podnieść głowę i zawołać, aby usłyszeć pokrzepiający głos szeryfa czy Skipa, lecz nie chciała zaalarmować tych na dole. Jeśli w ogóle ktoś tam był. Boże, a jeśli szyb jest ślepy i nie będzie miała siły, żeby wrócić na górę? A jeśli kończy się w jakimś... piecu? Spróbowała opanować panikę i skupić się na swoich ruchach, na jednym ruchu naraz.

Gdy zeszła jeszcze głębiej, dostrzegła słabą poświatę pod nogami. Ulga szybko ustąpiła miejsca niepewności, co to może być. I kto tam jest.

Wyczuła, że szyb się rozwidła, jak litera „T”, i dotknęła stopami dna. Ostrożnie wyprostowała się na pełną wysokość i odetchnęła. Poświata dochodziła z lewej odnogi tunelu.

Uklękła, poczołgała się w tamtą stronę i po chwili dotarła do cienkiej kratki wentylacyjnej wbudowanej w sufit dużego mrocznego pomieszczenia pełnego mrugających serwerów, z którego dochodził jedynie szum klimatyzacji. Przy drzwiach po drugiej stronie stał mężczyzna z karabinem, najwyraźniej wartownik. Jadł frytki. I nie zwracał na nic uwagi.

Wróciła do szybu i wspięła się metr wyżej.

– Hej – zawołała cicho. – Hej!

Odpowiedział jej równie cichy i odległy głos Wattsa.

– Hej!

– Można tędy wejść. Chodźcie. O jedną ściankę zaprzyjcie się plecami, a o drugą rękami i nogami. Tylko mocno, bo spadniecie. I, na miłość boską, nie róbcie hałasu.

– Jasne, już schodzimy.

HANGAR BYŁ DUŻY nawet jak na ten podziemny kompleks. Wzdłuż wzmocnionych ścian ciągnęły się rzędy najnowocześniejszego sprzętu, kamer wideo, komputerów, urządzeń monitorujących i nagrywających, czujników i wyposażonych w duże membrany mikrofonów pojemnościowych Neumanna. Pod sufitem wisiały kable, reflektory i kilkanaście małych stalowych urządzeń przypominających przemysłowe zraszacze.

Ale uwagę Nory natychmiast przykuło coś, co ujrzała dokładnie przed sobą, na środku hangaru.

W kołyszce zrobionej z jakiegoś czarnego matowego materiału spoczywał statek kosmiczny. Nie pochodził z Ziemi, po prostu nie mógł, i jej sceptycyzm momentalnie zniknął w obliczu tego niezbitego, szokującego dowodu. W świetle silnych reflektorów jego powierzchnia błyszczała jak płynna rtęć. Zdawała się nieustannie poruszać, jakby pokryto ją tyloma warstwami lakieru, że wyglądała jak lustro wody, a nie jak kadłub statku. Trudno było nawet powiedzieć, jakiego dokładnie jest koloru, bo mieszały się na niej wszystkie możliwe barwy, tworząc kolor zupełnie nowy i nieznaną. Statek nie był duży – miał wielkość modułu księżycowego Apollo – ale nie mógł różnić się bardziej od tego niezgrabnego lądownika. Ten miał elegancki, opływowy, niemal organiczny kształt i przypominał bezskrzydłego ptaka unoszącego się w kominie termicznym. Nora nie dostrzegła na nim żadnych ostrych krawędzi, żadnych iluminatorów, znaków identyfikacyjnych ani wystających części, nie licząc owalnego rozdarcia na dziobie, w miejscu, gdzie jego metaliczną sferyczność zakłócał obracający się niespokojnie ziemistozielony wir. W pewnej odległości

od statku stało kilka wysokich jednolitych barier czy ścian przeciwwybuchowych – chyba grafitowych – ustawionych jak przegrody dźwiękowe w studiu nagrań muzycznych. Otaczały go też namalowane na podłodze kręgi: żółty, najbardziej oddalony, pomarańczowy oraz czerwony, wewnętrzny. Między kręgami widniały różnego rodzaju ostrzeżenia i liczby naniesione za pomocą szablonu.

Statek kosmiczny. Słowa te przysły jej do głowy instynktownie, nieświadomie. Ale w ciągu sześćdziesięciu sekund zniknęła cała trawiąca ją niepewność. Ludzie nie potrafiliby zbudować takiego kadłuba czy choćby jego atrapy. Mimo powagi sytuacji – uzbrojeni żołnierze, wroga podziemna baza – poczuła nieoczekiwaną ulgę, że może nareszcie przestać walczyć. Cynizm, wątpliwości, podsycany przez naukę sceptycyzm – teraz mogła to wszystko zrzucić z siebie jak niechciany ciężar i zastąpić go... zadziwieniem.

Zdumiona, zupełnie nie myśląc, zrobiła krok do przodu.

– Nie radzę – ostrzegł ją Rush.

Znieruchomiała.

– Wygląda spokojnie, wiem. Ale ten wygląd myli. Podczas wstępnego rozpoznania w tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym roku to coś zabiło dwudziestu czterech żołnierzy, a w kolejnej fazie operacji prawie połowę więcej.

Nora słuchała go, nie mogąc oderwać oczu od niezwykłego statku.

– Najbliższym dostępnym miejscem był poligon Pershinga i udało nam się przewieźć ją tu dopiero wtedy, kiedy zamknęliśmy ją w odbijającej neutrony grafitowej osłonie. Zapewniało nam to ochronę, ale tylko częściową i tymczasową, bo sonda potrafi modyfikować i dostosowywać swój arsenał obronny. Dlatego nie mogliśmy ryzykować i przenosić jej w inne miejsce. Okazało się jednak, że poligon Pershinga, stara, od dawna zamknięta baza wojskowa z tunelami, których sieć mogliśmy łatwo poszerzyć, w zupełności odpowiada naszym potrzebom, tym bardziej że pełno tu niebezpiecznych odpadów i niewybuchów...

On mówił, a ona patrzyła i patrzyła, zastanawiając się, czy wzrok nie płata jej figli. Kiedy tu weszli, była pewna, że statek ma długą, wdzięcznie wygiętą szyję, jak dzika gęś czy łabędź w locie. Zamrugła: to, co wzięła za szyję, przypominało teraz skrócony kołnierz. A w hangarze nie zmieniło się światło, więc nie był to efekt optyczny.

– Czy ona właśnie... zmieniła kształt? – spytała.

Pułkownik westchnął, najwyraźniej poirytowany.

– Szczegóły omówimy później. Łatwiej będzie, jeśli coś obejrzycie. Proszę za mną.

Poprowadził ich przez rozbrzmiewający echem hangar w stronę oddzielonej pleksiglasem niewielkiej niszy w ścianie, na której roło się od wszelkiego rodzaju sprzętu. Idąc, Nora zobaczyła, jak żołnierze stawiają na grafitowym stole czarną skrzynkę z ich najnowszym znaleziskiem i jak otaczają stół barierkami.

Rush wskazał im krzesła stojące przed dużym monitorem. Potem usiadł obok nich i sięgnął po pilota.

– Pokażę wam bardzo krótki przegląd wydarzeń z ostatnich siedemdziesięciu pięciu lat. Zajmie to kilka minut, ale chciałbym zademonstrować wam prawdziwą naturę tego... urządzenia. To ważne.

Monitor ożył, wyświetlając stary, rozedrgany czarno-biały film pełen zarysowań, zadrapań i wszelkiego rodzaju skaz. Najpierw pojawiło się kilka anachronicznych ostrzeżeń, że film jest własnością Sił Zbrojnych USA, Departamentu Obrony oraz kilku innych instytucji rządowych i że ponieważ jest to materiał niezwykle wrażliwy, jakiegokolwiek próby jego powielania czy upublicznienia spotkają się z surową reakcją władz. Potem, w ramce tytułowej, ukazało się słowo ALFA i zobaczyli pustynię rozciągającą się pod wysokim, bezchmurnym szarym niebem, na którym wisało szare słońce. Nora niemal natychmiast rozpoznała tę okolicę: tam mieściło się ich wysunięte stanowisko wykopaliskowe. Rzeźba terenu się zmieniła, ale nie ulegało wątpliwości, że film pokazuje właśnie to miejsce. I otaczający je kordon żołnierzy z gotową do strzału bronią. W pobliżu parkowały wojskowe jeepy z lat czterdziestych, ciężarówki i karetki

pogotowia. Na środku leżała sonda, którą przed chwilą widzieli. Była częściowo odkopana – albo w tej pozycji znieruchomiła po katastrofie – i oblepiały ją duże ciemne plamy ziemi i piasku.

– Nakręcono to dzień po tym, jak ją zlokalizowaliśmy – wyjaśnił Rush.

W stronę sondy ostrożnie ruszyło dwóch żołnierzy. Ten idący przodem miał wykrywacz min, ten drugi – gotowy do strzału karabin. Podeszli blisko, potem jeszcze bliżej. Gdyby nie karabin, w ich ruchach nie było niczego, co wskazywałoby na zagrożenie.

Nagle rozbłysło światło, tak jaskrawe, że prześwietlony film stracił cały kontrast. Po kilku sekundach zniknęło i kiedy obraz znów wrócił, żołnierzy już nie było, a na piasku, tuż obok sondy, widniały dwie dodatkowe ciemne plamy.

– Tak nas powitano – wyjaśnił Rush. – I witano wiele razy.

– Pewnie myślała, że są uzbrojeni – powiedział Tappan. – I miała rację.

Pułkownik roześmiał się gorzko.

– Próbowaliśmy nawiązać z nią kontakt na wszystkie możliwe sposoby. To zadanie i zadanie zademonstrowania naszych dobrych zamiarów powierzono najtęższemu umysłom. Odpowiedzią była jedynie przemoc, gwałtowna śmierć. – Ruchem głowy wskazał sondę. – Tak jak mówiłem, wygląda spokojnie. Ale znalezienie środowiska, które pozwoliłoby utrzymać ją w tym stanie, trwało dziesiątki lat. Kosztowało miliony dolarów i życie wielu, wielu ludzi.

Film się zmienił. Wciąż był czarno-biały, lecz kamerę ustawiono dużo dalej i pod innym kątem. Do sondy – wydobytej już z ziemi i leżącej na boku w pozycji podobnej do tej, w jakiej spoczywała teraz – zbliżały się dwa czołgi. Zatrzymały się i oddały w nią kilka strzałów, lecz bez widocznego efektu.

– Przyjazne zamiary, co? – rzucił Tappan.

– To był czterdziesty siódmy rok – odparł pułkownik, jakby to wszystko wyjaśniało.

Po chwili jeden z czołgów podjechał bliżej. I znów trysnął snop jaskrawego światła, które prześwietliło film.

– Tak czy inaczej – dodał Rush, gdy światło zgasło – ludzie nie dysponują technologią, która mogłaby ją zniszczyć. Ani nawet do niej zajrzeć. Odpiera wszystkie próby. Nie udało nam się nic z niej wydobyć.

Przesunęli się w czasie. Zmieniły się proporcje obrazu i doszedł kolor. Film wyglądał jak trochę nieostry film VHS. Sonda była już w hangarze, tyle tylko, że bardziej pustym, wyposażonym w mniejszą ilość sprzętu i urządzeń monitorujących. Naukowcy w białych fartuchach i personel pomocniczy w cywilnych ubraniach – po których można było poznać, że nagrania dokonano w latach siedemdziesiątych – kręcili się wokół sondy w bezpiecznej odległości. Z sufitu powoli opuszczano na nią półkę z mikrokomputerem DEC połączonym kablami ze sprzętem pomiarowym. Nagranie miało już dźwięk i z głośnika płynęły wypowiedane w różnych językach zapewnienia, że nikt nie chce zrobić jej krzywdy i że jedynym celem tej operacji jest próba nawiązania kontaktu. Centymetr po centymetrze półka opadała w dół jak wielki pajak na nitce pajęczyny. Chwilę później znów wybuchła seria jaskrawych rozbłysków. Tym razem na kamerze zamontowano filtr i można było wyraźnie rozróżnić trzy małe eksplozje, ale nic poza tym.

– Próbowaliśmy wszelkich sposobów nawiązania kontaktu – odezwał się Rush. – Wszystkich metod badawczych i technik odwracalnych, które pozwoliłyby poznać zastosowaną w niej technologię. Ale każda próba, bez względu na to, jak nowatorska czy zaawansowana, kończyła się porażką. Wystarczy podejść za blisko i sonda uruchamia swój arsenał.

– To prawdopodobnie tylko jej mechanizm obronny – powiedział Tappan.

– Czyżby? Skoro jest tak bardzo zaawansowana technologicznie, nie sądzi pan, że do tej pory zdążyłaby się już czegoś nauczyć i oswoić, tak jak oswoiła się z grafitem? Nie. To jest coś nieprzejednanie wrogiego. Zabija i niszczy wszystko, co się do niej zbliży. Widział pan to dziwne wgłębienie na jej boku? Jest uszkodzona i uważamy, że gdyby nie to, byłaby jeszcze groźniejsza. Naraziłaby na niebezpieczeństwo całą planetę.

Znów przesunęli się w czasie i hangar wyglądał teraz prawie tak samo jak obecnie. Film pokazywał przez pięć minut, jak stosując różne techniki, do sondy podchodzą ruchome roboty, a potem jak zawisają nad nią małe drony. Wszystkie spotkał ten sam los.

– Próbowaliśmy wszystkiego – powtórzył pułkownik – nawet obojętnych związków. Zrobiliśmy mnóstwo pomiarów na odległość i wiemy mniej więcej, jak działa jej broń, ale wciąż nie mamy pojęcia, co zrobić, żeby przestała jej używać.

– Te rozbłyski – spytał Tappan. – Dlaczego nie możecie sfilmować ich w zwolnionym tempie i zobaczyć, co to jest?

– Sfilmowaliśmy. Wygląda na to, że jej system obronny analizuje strukturę atomową wszystkiego, co sonda postrzega jako zagrożenie, po czym ją odwraca.

– Odwraca?

Sfrustrowany pułkownik znów ciężko westchnął.

– Konwertuje, przeprowadza dysjunkcję logiczną materii. To wykracza poza nasze pojmowanie.

Ekran monitora szerniał.

– Pańskie pytania są żałośnie dyletanckie – ciągnął Rush. – Przestaliśmy je sobie zadawać na długo przed tym, zanim przyszedliście na świat. Być może już wkrótce będziecie mogli przejrzeć tysiące stron naszych dokumentów, wyniki prób, teorie i notatki laboratoryjne, dziesiątki terabajtów zgromadzonych przez nas danych. Zważywszy na okoliczności, na kłopoty, jakie nam sprawiliście, byłem niezwykle cierpliwy. Musicie zrozumieć coś bardzo prostego, to, że nasze żmudne analizy doprowadziły do jednego wniosku: ten statek jest bronią, którą obca cywilizacja przysłała tu, żeby nas zniszczyć albo podbić. Jeśli nie bronią, to na pewno sondą rozpoznawczą, która miała wyszukać cele ataku. Jest tak niebezpieczna, że zainstalowaliśmy tu system samozniszczenia na wypadek, gdyby nagle odzyskała zdolność poruszania się i zagroziła całej ludzkości. – Zerknął na Norę, potem na Tappana. – Spójrzcie na siebie. Jesteście tak nią zafascynowani, że umyka wam coś dużo ważniejszego.

Bo kto wie, kiedy przyleci tu następna, nieuszkodzona i być może jeszcze bardziej zaawansowana? Właśnie dlatego naszym dożywotnim obowiązkiem jest tłumienie wszelkich prób kontaktowania się z obcymi i zwracania na siebie uwagi. Nie jesteśmy w stanie, przynajmniej na razie, powstrzymać tego przekłętego promieniowania elektromagnetycznego, które bije z Ziemi na wszystkie strony, ale podejmowaliśmy i wciąż podejmujemy inne kroki.

Pułkownik wstał.

– Widzieliście dowody. Poznaliście historię naszych badań. Niczego przed wami nie zataiłem. Ludzie tacy jak wy bardzo by się nam przydali. Pani ma bogatą wiedzę fachową, a pan pieniądze i wpływy. Potrzebujemy was. Oczywiście wiemy, co was łączy, i nie widzę powodu, żebyście nie mogli tego kontynuować. No więc? Przyłączycie się do nas?

ZE WZGLĘDU NA MIEJSCE, w którym się znalazła, Corrie musiała wyjść z szybu jako pierwsza. Był tak wąski, że nie mogli się w nim minąć. Co znaczyło, że to ona musi zdjąć wartownika.

Watts podał jej nóż.

– Poderżnij mu gardło – szepnął. – Inaczej krzyknie.

Corrie zrobiło się niedobrze. Nigdy nikogo nie zabiła, a już na pewno nie z zimną krwią.

Szeryf wyczuł jej wahanie.

– To wymaga więcej siły, niż myślisz. Jeśli za pierwszym razem nie przetniesz chrząstki, może krzyknąć.

Wartownik skończył jeść frytki i teraz po prostu stał, zabijając czas. Żałosny smutas, zaskakująco stary i przygarbiony, musiał mieć około pięćdziesiątki.

– Nie mogę – powiedziała.

– Nie mamy wyjścia. Oni wysadzili w powietrze obozowisko, wszystkich zabili.

Przełknęła ślinę.

– Nie, nie mogę.

Watts westchnął.

– Wiem. Rozumiem.

I zastukał w ścianę szybu.

Corrie wstrzymała oddech. Żołnierz odwrócił się i rozejrzał. Zrobił krok w głąb serwerowni i zapalił światło. Znów się rozejrzał, obszedł pomieszczenie, pobieżnie je sprawdzając, i nie zauważywszy niczego podejrzanego, wrócił do drzwi i zgasił światło.

Szeryf znów zastukał w ścianę szybu, dwa razy, głośniejszym niż poprzednio. Corrie czuła jego oddech na szyi.

Wartownik poderwał głowę. Wyraźnie wzmógł czujność. Zapalił światło i rozglądając się, ruszył powoli w ich stronę. Nie spojrzał w górę. Minał wylot szybu i przystanął. Dopiero wtedy zadarł głowę.

Corrie nie śmiała się poruszyć. Widziała wszystko przez wąskie szpary w kratce wentylacyjnej. Wartownik skupił na nich wzrok. Mrużąc oczy, podszedł bliżej i zdjął karabin z ramienia. Kierowany bardziej podejrzliwością niż pewnością, zrobił krok do przodu i spojrzał na sufit za kratką.

Watts dotknął jej ramienia.

– Zatkaj uszy.

Corrie zrobiła, co kazał.

– Tutaj! – krzyknął szeryf.

Zaskoczony i wystraszony żołnierz odwrócił się w ich stronę. Podniósł karabin.

Watts strzelił przez kratkę. Głowa wartownika odskoczyła do tyłu w fontannie krwi i mózgu, karabin zaklekotał na podłodze.

– Wychodź! – rzucił szeryf.

Corrie wypchnęła kopniakiem kratkę, zeskoczyła, a za nią on i Skip. Wartownik leżał groteskowo wyciągnięty w powiększającej się kałuży krwi.

– Będziemy z nimi walczyć z tych komputerów – zdecydował szeryf. – Miło było was poznać.

Wpadli między rzędy serwerów i przykucnęli, czekając, aż ktoś nadbiegnie. Mijały sekundy, potem minuty.

– Coś takiego – szepnął Watts. – Chyba nikt nie przyjdzie.

Odczekali jeszcze minutę.

– Pewnie są zajęci gdzie indziej – powiedział Skip. – Może szukają nas na górze.

Ostrożnie podeszli do drzwi, gdzie leżał martwy wartownik. Skip zawahał się, zabrał mu pistolet i wytarł go w jego mundur. Pistolet,

standardowa broń służbowa używana przez wojsko i policję, był identyczny jak te należące do Corrie i Lime'a.

Za drzwiami biegł szeroki, długi na trzydzieści metrów korytarz o ścianach z pomalowanych na żółto pustaków, w którym nie było ani strażników, ani kamer, ani drzwi.

Watts poszedł przodem, powoli i bezszelestnie, porozumiewając się z nimi na migi. Corrie osłaniała ich od tyłu. Na pierwszym rogu szeryf przystanął, ostrożnie wyjrzał i dał im znak, że teren jest czysty.

Za rogiem ujrzeli dwa rzędy oznaczonych literami drzwi. Korytarze krzyżowały się, rozdzielały i znów krzyżowały. Mnóstwo drzwi, mnóstwo tajemniczych pomieszczeń i ani jednego człowieka – baza musiała być naprawdę duża, lecz choć czysta i dobrze utrzymana, była też dziwnie opustoszała.

Watts przystanął i dotknął ucha.

Corrie wyteńczyła słuch i dobiegł ją ledwo słyszalny dźwięk. Gdzieś tam przed nimi byli ludzie.

– Nieprawdopodobne – szepnął Skip. – Nie ma kamer.

– Pewnie myślą, że w tak bezpiecznej bazie są niepotrzebne – powiedział szeryf.

Korytarz kończył się skrzyżowaniem w kształcie litery „T”, a dokładnie naprzeciwko nich były lekko uchylone stalowe drzwi z okrągłymi okienkami. Corrie zajrzała przez szparę i zobaczyła duże pomieszczenie przypominające szpitalny hol, czyste, jasno oświetlone, z kuchnią i pokojami po obu stronach. Zobaczyła też pierwszych ludzi od chwili, kiedy Watts zabił wartownika: umundurowaną kobietę i mężczyznę niosącego tacę z jedzeniem, którzy przecięli hol i weszli do jednego z pokoi. Kiedy drzwi otwierały się i zamykały, Corrie usłyszała czyjś głośny, gniewny głos.

– Boże, to Cecilia! – szepnął Skip. Zerknął na Corrie i dodał: – Cecilia Toth, nasza geofizyczka.

– Chyba jest ranna.

Kobieta i mężczyzna wyszli z pokoju, zamknęli drzwi i zniknęli za rogiem. Zapadła cisza.

– Cecilia na pewno coś wie – powiedział Skip. – Musimy z nią pogadać.

Przebiegli na palcach przez hol i zajrzeli do pokoju. Cecilia leżała przykuta do łóżka i miała zabandażowaną nogę. Chciała się podnieść i szarpnęła kajdankami, ale Watts uspokoił ją gestem ręki.

– Gdzie jest Nora? – spytał niecierpliwie Skip. – Co to za miejsce?

– Zabrali ją – odparła geofizyczka. – Ją i Tappana. Zaraz po tym, jak przywieźli nas na ten parking.

– Dokąd zabrali?

– Nie wiem. Poprowadzili ich dalej, za te podwójne drzwi, którymi tu weszliście.

– Co się pani stało? – spytała Corrie.

– Te skurwysyny zabiły Emilia. Ja oberwałam przypadkiem.

– Wydostaniemy panią stąd. Może pani chodzić?

– Chyba nie. Nie dali mi nic na ból. Wykańcza mnie każdy ruch.

– Gdzie jest ten parking?

– Korytarzem w lewo, obok tej ruchomej platformy i śmigłowca. Cały czas prosto przed siebie.

– Dlaczego tak tu pusto?

– Nie mam pojęcia.

– Wrócimy po panią. Proszę zachować spokój.

Kiedy wyszli i skręcili w lewo, Corrie od razu wyczuła, że w tej części bazy jest więcej ludzi. Aby ich uniknąć, musieli się chować szybko w magazynach i opuszczonych laboratoriach, a raz widzieli opancerzonego elektrycznego jeepa, który przejechał sąsiednim korytarzem.

– Zarekwirujemy jakąś furę – zaproponował Skip. – Choćby takiego jeepa. Zastrzelmy skurwieli i zarekwirujemy.

– Może tego nie zauważyłeś, ale ten jeep miał kuloodporną szybę i pancerne panele – powiedziała Corrie. – Nie dalibyśmy rady.

– Więc zwiniemy jakiegoś z parkingu.

Poszli słabymi śladami opon na cementowej podłodze, zakładając, że ich tam doprowadzą. Im dalej szli niemającym końca korytarzem, tym częściej słyszeli głosy ludzi i widzieli oznaki ich aktywności. Już z daleka zobaczyli, że korytarz przechodzi w duży hol z rampą prowadzącą do wysokich stalowych drzwi. W pewnej chwili drzwi się otworzyły, składając się w harmonijkę.

Natychmiast wpadli do ostatniego pomieszczenia w korytarzu, zatęchłego laboratorium medycznego, ale tuż przedtem Corrie zdążyła zobaczyć wielką salę za harmonijkowymi drzwiami. Parkowały tam różne pojazdy pilnowane przez wartowników, którzy sprawiali wrażenie dużo czujniejszych niż ten w serwerowni. I tak jak mówiła Cecilia, na stalowej platformie stał tam cichy, mroczny śmigłowiec. Domyśliła się, że rampa musi prowadzić do zamaskowanych wrót w zbczu tego małego wzgórza. Do wrót, czyli do wyjścia.

– Widzę tylko dwóch – szepnął Watts. – Zdjąć ich?

– Po drugiej stronie może być ich więcej. To duża hala.

– Niech to szlag.

Skip spojrzał na niego z wahaniem.

– Strzelasz dużo lepiej ode mnie. Może się zamienimy? W glocku jest szesnaście naboí.

Szeryf zmarszczył brwi.

– Ten colt należał do mojego dziadka. – Wyjął go z kabury i zważył w rękę. – Kopie jak muł i trudno się z niego celuje.

– Nie szkodzi, i tak pewnie w nic nie trafię. Najważniejsze, że robi dużo huk. A w tym masz pięć razy więcej naboí i pewnie wszystkie ci się przydadzą.

Watts dał mu rewolwer i wetknął za pasek glocka.

– Cholera jasna, jak tu przechylić szalę na naszą korzyść?

Corrie się rozejrzała. Było oczywiste, że z laboratorium od dawna nie korzystano. Na ścianach wisiały półki pełne butelek i pojemników, a na końcu, pod kapturami wyciągów, stał stary stół ze steatytu.

Pomieszczenie było podobne do pozostałych, czyste, schludne, lecz od długiego czasu nieużywane.

Podeszła do najbliższej półki i mrużąc oczy w słabym świetle, przyjrzała się butelkom.

– Czego szukasz? – spytał Watts.

Zdjęła jedną z półki.

– Tego, co jest w każdym laboratorium w tym kraju. Etanolu.

Skip uśmiechnął się szeroko.

– O tym właśnie mówię! Ma ktoś ogień?

Szeryf rzucił mu zapalniczkę.

Szybko zebrali sześć mniejszych butelek z wąskimi szyjkami, wylali ich zawartość, napełnili je etanolem i zatkali korkami z gazy. Pracowali sprawnie i po cichu. W laboratorium rozszedł się ostry zapach czystego spirytusu.

– Poczęstujesz ich koktajlami Mołotowa – powiedziała Corrie. – Maksimum chaosu i zaskoczenia, to twoje zadanie. Jeśli dasz radę, spal śmigłowiec, żeby nie mogli nas ścigać. Najpierw narób huku z tej armaty, a potem daj im popalić. Szeryf i ja zaatakujemy skrzydłami.

– Skrzydłami – mruknął Watts. – To i tak samobójstwo. Może tylko nie na sto procent.

PUŁKOWNIK WSTAŁ i ruszył do wyjścia.

– Chodźmy.

Nora i Tappan poszli za nim.

Rush przystanął w pewnej odległości od sondy, odwrócił się i skrzyżował ramiona, wyraźnie czekając na odpowiedź.

Zapadła niezręczna cisza.

– Pułkowniku – powiedział Tappan. – Przyznaję, że umie pan przekonywać. Pewnie bawi się pan w ten teatrzyk nie pierwszy raz. Przydałby mi się pan w dziale kadr Ikarusa. – Ale skąd mogę wiedzieć... – Przysunął się bliżej Nory. – Skąd możemy wiedzieć, że nie próbuje pan tylko wyciągnąć z nas informacji, żeby nas potem zastrzelić?

Nora ucieszyła się, że stanął obok niej. To, że Rush i Atropos wiedzieli o ich związku – patrząc wstecz, nie było w tym nic zaskakującego – znaczyło, że aby zapewnić sobie współpracę jednego z nich, musieliby też oszczędzić drugiego. Mimo to zastanawiała się, czy Lucas trochę nie przegina. I co tak naprawdę myśli, bo uzmysłowiła sobie, że tego nie wie. Czy mówi szczerze, czy gra w jej grę? Tak, coś ich łączyło, nie zmieniało to jednak faktu, że prawie go nie znała.

Odchrząknęła.

– Panie pułkowniku, powiedział pan, że niczego pan przed nami nie zataił. Będę równie bezpośrednia. Czy wysadziliście w powietrze nasze obozowisko?

– Nie – odparł Rush. – Zniszczyliśmy tylko sprzęt i zgromadzone przez was dane. Ludziom nic się nie stało.

– Kogoś jednak zabiliście, choćby Emilia Vigila.

– To był niefortunny przykład żołnierskiej nadgorliwości. Ale tak, ma pani rację, zabijaliśmy wiele razy. Dla sprawy.

Pułkownik zamilkł. Wciąż czekał na odpowiedź.

– Skoro stawką jest los Ziemi, można by to jeszcze usprawiedliwić. Ale film, który nam pan pokazał, historia waszych badań... – Wskazała sondę. – Ten statek temu zaprzecza. W naszej obecności nie wykazał żadnej agresji. Urządzenie, które odkopaliśmy, nikogo nie poraziło. Skąd mamy wiedzieć, że film nie jest spreparowany? Twierdzi pan, że zadaniem sondy jest sianie zniszczenia, ale mnie to nie przekonuje. Może wcale nie jest agresywna.

– Nieagresywna! – powtórzył Rush z nutą zaskoczenia i szyderstwa w głosie.

Przywołał jednego z wartowników i wydał mu po cichu jakiś rozkaz. Żołnierz zasalutował, podszedł do drzwi i zdjął mikrofon z zamontowanych na ścianie widełek. Po mniej więcej dziesięciu sekundach go odwiesił.

Tymczasem pułkownik chodził nerwowo tam i z powrotem z miną kogoś, kto nie ma już ani cierpliwości, ani czasu. W pewnej chwili drzwi się otworzyły i do hangaru weszła umundurowana kobieta z małą klatką w ręku. Podała ją Rushowi, zasalutowała i wyszła. Strażnicy pozostali przy otwartych teraz drzwiach.

– Proszę za mną – rzucił pułkownik i ruszył w stronę sondy.

Poszli, Rush tak szybko, że Nora z trudem za nim nadążała.

Pułkownik przekroczył zewnętrzny złoty krąg, przystanął tuż przed pomarańczowym, spojrzął przez ramię i prychnął, widząc, że Nora i Tappan zatrzymali się kilka kroków dalej.

– Czego się boicie? – spytał drwiąco. – Dobrze wiemy, na jaką odległość można podejść. Ta wiedza dużo nas kosztowała.

Postawił klatkę na podłodze, otworzył ją, coś wyjął i wyprostował się. Trzymał w ręku szczura laboratoryjnego, dwubarwnego, z ciemną głową oraz grzbietem i białą resztą. Tak jak większość tego rodzaju zwierząt, szczur sprawiał wrażenie oswojonego, nieporuszonego dziwnym otoczeniem. Z odrażająco szczeciniastym ogonem, dla zachowania

równowagi owiniętym wokół nadgarstka pułkownika, rozglądał się na wszystkie strony czarnymi, paciorkowatymi oczkami, poruszając wąsami i ciekawie wężąc różowym nosem.

– No? – warknął Rush. – Szybciej! – Kiedy do niego podeszli, wskazał namalowane na podłodze kręgi. – Po latach badań metodą prób i błędów udało nam się ustalić, że jeśli nie wykonujemy gwałtownych ruchów, po tej stronie pomarańczowego nic nam nie grozi. – Spojrzał na Norę. – A może chciałaby pani podejść bliżej? I dotknąć kadłuba? Dlaczego nie, przecież uważa pani, że sonda „nie jest agresywna”. – Pytająco uniósł brwi. – Nie? Cóż, dobrze. Tylko proszę pamiętać: zmusiła mnie do tego pani podejrzliwa natura.

Przez chwilę głąskał szczura wolną ręką.

– Te biedne stworzenia żyją krótko, najwyżej dwa, trzy lata. Niemal u wszystkich rozwijają się guzy nowotworowe. Eksperymentujemy na nich od tak dawna, że czasem zastanawiam się, czy nie przekazują sobie raka genetycznie, z pokolenia na pokolenie.

Znów pogłąskał szczura, jakby w zadumie. Podrapał go za cienkim jak bibułka uchem, na którym widać było drobniutkie naczynia krwionośne, jak żyłki w młodym liściu. A potem łagodnym ruchem rzucił go od dołu w stronę sondy.

Zaskoczona Nora patrzyła, jak wymachując ogonem, równie zaskoczone zwierzę zatacza w powietrzu łuk z szeroko rozłożonymi przednimi i tylnymi łapkami. Zaczęło opadać i nagle rozjarzyło mu się futerko. Sierść rozbłysła nienaturalnymi kolorami, tak jaskrawymi, że skóra stała się przezroczysta i widać było przez nią mięśnie, organy wewnętrzne oraz kości szkieletu. Rozległ się przeraźliwy dźwięk, coś jak piskliwe granie skrzypiec. Nora instynktownie odwróciła głowę, zasłaniając się przed oślepiającym światłem. Nagle światło zgasło, a dźwięk ucichł i słychać było jedynie, jak na beton spadają krople jakiejś cieczy.

Spojrzała na sondę. Wszystko wyglądało jak przedtem, tylko że teraz na podłodze – wewnątrz ciemnoczerwonego kręgu – widniała niewielka, nieregularna plama nieokreślonego koloru. Stojący obok niej Tappan

osłupiał, odebrało mu mowę. Pułkownik popatrzył na nich i ze smutkiem pokręcił głową.

– Pytaliście, w jaki sposób statek przekształca strukturę molekularną. Oczywiście zanim zaczęła się pani zastanawiać, czy aby na pewno jest agresywny. Dałem wam przykład. Broń skanuje zbliżający się obiekt, ustala jego strukturę, po czym rozbija atomy, z których jest zbudowany. W tym przypadku po prostu zdenaturyzował proteiny szczura, niestety teraz już martwego. Tak jak wielu naszych żołnierzy dziesiątki lat temu, zwierzę dosłownie rozpadło się na poziomie molekularnym, pozostawiając po sobie organiczną zupę z węgla, wodoru, tlenu, wody, aminokwasów i soli.

Przywołał wartownika, który podszedł do nich z gotowym do strzału pistoletem maszynowym przewieszonym przez pierś.

– Obcy mają złe intencje. Wytłumaczyłem wam, jak działają, i zademonstrowałem. – Cofnął się za zewnętrzny krąg. – Czekam na odpowiedź. Chcę ją usłyszeć tu i teraz.

Tappan miał minę, jakiej Nora nigdy u niego nie widziała. Wyglądał tak, jakby oberwał pięścią w brzuch. Długo milczał, w końcu wziął głęboki oddech i zadrżały mu ramiona. Spojrzał na nią, potem na Rusha.

– Dobrze – powiedział cicho i pokornie. – Przekonał mnie pan. Może pan na mnie liczyć.

WYSZLI CHYŁKIEM ZZA ROGU korytarza prowadzącego na parking i ujrzeni równy rząd otwartych jeepów oraz dwóch wartowników, których widziała już przedtem. Za stojącym na platformie śmigłowcem Corrie zauważyła paru innych, też uzbrojonych w zarzucone na ramię pistolety maszynowe. Za jednym z aut pracowało dwóch mechaników. Stał tam również mężczyzna w oficerskim mundurze. Rozmawiał z wartownikiem. Żołnierze nie byli w pełnym pogotowiu, ale mogli się szybko obudzić.

Poczuła, że na jej brwiach zbiera się coraz więcej potu. To samobójstwo, Watts miał rację. Przewaga zaskoczenia przewagą zaskoczenia, ale tamci byli dobrze wyszkolonymi zawodowcami. No i przeważali nad nimi liczebnie. Atak z liczbą amunicji, jaką we troje dysponowali, byłby dzwonkiem na kolację dla całej...

Z zamyślenia wyrwał ją szeryf, który przycupnął tuż obok, przyjmując pozycję strzelecką. Koniec z myśleniem. Poszła w jego ślady i jednocześnie unieśli broń.

– Na trzy – szepnął. – Raz, dwa, trzy!

Wstali i otworzyli ogień. Szeryf oddał cztery szybkie strzały, błyskawicznie zdejmując trzech wartowników. Ona wymierzyła w oficera. Trafiła i też go powaliła.

A potem, ze ścinającym krew w żyłach krzykiem, całą trójką ruszyli do ataku. Corrie strzelała równo i spokojnie, tak jak uczono ją podczas niezliczonych ćwiczeń w Quantico. Żołnierze, których nie dosięgły kule, natychmiast poszukali schronienia i zanim zdążyli odpowiedzieć ogniem, ona i Watts podbiegli do stojącego najbliżej jeepa. Skip rzucił w śmigłowiec kilkoma koktajlami Mołotowa. Rozległ się trzask pękającego

szkła, głośne „wuuusz!” i po podłodze rozlały się błękitne płomienie, liżąc boki maszyny i wywołując panikę.

Corrie biegła przodem, więc wskoczyła za kierownicę, z ulgą zobaczyła, że w stacyjce jest kluczyk, i przekręciła go w chwili, gdy na fotelu pasażera wylądował Watts. Zagrzechotały wystrzelone przez wartowników kule, żłobiąc opancerzony bok jeepa i odbijając się od pancерnej szyby, więc oboje nisko pochyłili głowy. Zza śmigłowca wyszło jeszcze więcej żołnierzy, lecz chwilowo zatrzymały ich płomienie.

Wciąż z pochyloną głową, Corrie wrzuciła wsteczny i dodała gazu. Jeep wystrzelił do tyłu z piskiem opon. W ogłuszającym huku wystrzałów i metalicznym grzechocie kul Corrie skręciła w stronę Skipa, który rzucał właśnie ostatni koktajl. Skip wskoczył na tylne siedzenie, Corrie wcisnęła do deski pedał gazu, auto zarzuciło mocno tyłem i popędzili przed siebie pod gradem kul. Wyjechali z parkingu i skręcili w kierunku długiego korytarza, którym przyszli do hangaru.

Starając się zapomnieć o rojących się tam żołnierzach, Corrie wróciła myślą do Quantico i toru wyścigowego, na którym ćwiczili szybką jazdę.

– Jezus Maria! – krzyknął szeryf, kiedy samochód gwałtownie zahamował, wpadł w kontrolowany poślizg, uderzył bokiem w ścianę, odbił się i pojechał dalej.

Daleko w głębi korytarza uzbrojeni po zęby żołnierze pośpiesznie blokowali im drogę.

Corrie nie miała wyjścia, nie mogła się zatrzymać. Dodała gazu i popędziła prosto na nich, nie zważając na kule, które szybko zmieniły przednią szybę w gęstą sieć pęknięć. Przestała cokolwiek widzieć, więc musiała podnieść głowę. W zamkniętym korytarzu huk wystrzałów był ogłuszający, a tuż nad nimi nieustannie świstały kule, wydając dźwięk, który pamięta się do końca życia. Kilku mundurowych strzelało nisko, ale jak dotąd obrywały tylko kuloodporne opony jeepa.

– Aaaaach! – krzyknęła, wpadając na nich pełnym pędem i rzucając jednego na ścianę. Ani na sekundę nie zdjęła nogi z gazu i po chwili

żołnierze strzelali już z tyłu, lecz ich kule znów powstrzymała pancerna szyba.

– Gdzieś tu jest Cecilia! – krzyknął Skip.

Jeep odbił się od ściany i omal nie wpadł w poślizg. Gwałtownie zwolnił, ślizgając się na gładkim betonie, odbijając od drugiej ściany i wyrównując.

– Tutaj! – wrzasnął Skip.

Staranowali podwójne drzwi, wpadli do szpitalnego holu i z piskiem opon zahamowali przed drzwiami geofizyczki. Ten korytarz był wąski i mało brakowało, żeby jeep zaklinował się między ścianami. Watts wysiadł, wpadł do pokoju, kilkoma celnymi strzałami roztrzaskał kajdanki i chwilę później wrócił z Cecilią na rękach. Wrzucił ją bezceremonialnie na przednie siedzenie – krzyknęła z bólu – a sam wskoczył na tylne.

– A teraz jedziemy po moją siostrę! – krzyknął Skip. – Dokąd ich zabrali?

– Za drzwiami w prawo – wysapała Cecilia.

Corrie wycofała i jadąc za jej wskazówkami, z rykiem silnika popędziła szerokim korytarzem. Ale tuż za pierwszym zakrętem ujrzała oddział żołnierzy. Mundurowi wycelowali i na czyjś szczekliwy rozkaz rozpętali kanonadę tak intensywną, że kule przebiły w końcu szybę, roztrzaskały ją i zasypały ich deszcz odłamków szkła.

To już koniec. To musiał być koniec.

A PANI, NORO? – Pułkownik przeniósł na nią wzrok.

Wytrzymała jego spojrzenie. Wciąż się zastanawiała, czy Lucas jest szczerzy, czy tylko gra na czas. Musiała to wiedzieć.

– A na mnie nie – odparła.

– To bardzo niefortunne. Pani partner rozumie sytuację i jestem zaskoczony, że pani nie. – Rush zerknął na wartownika. – Zaprowadzić ją do celi.

– Zaraz – powstrzymał go Tappan. – Noro, popatrz na to, pomyśl, co przed chwilą zrobiło.

– A my? – Wskazała grafitową skrzynkę. – Znaleźliśmy to. I nas nie zabiło.

– Tracimy tylko czas – powiedział pułkownik. – Albo jest pani z nami, albo nie. Im dłużej się pani waha, tym bardziej pani nie ufam.

– Ona potrzebuje po prostu więcej czasu – zaprotestował Tappan. – Za szybko każe nam pan się zdecydować. Jeśli mam do was przystać i wyłożyć na ten projekt miliony dolarów, nie mogę podjąć tak wielkiego kroku sam. Nora będzie mi potrzebna. Noro, musisz to przemyśleć.

– Chcę wiedzieć, co jest w tej skrzynce – powiedziała, starając się nie patrzeć na wartownika. – Co wykopaliśmy i czego nie miałam okazji zobaczyć.

– To nie ma związku z pani decyzją – uciął Rush.

– Do czego to służy?

– A skąd mam wiedzieć? – warknął poirytowany pułkownik.

– Przynieście skrzynkę. Muszę... muszę to zobaczyć. I sprawdzić, czy to coś jest naprawdę wrogo nastawione.

– To nieistotne. Próbuje pani odwrócić uwagę...

– Otwórzcie skrzynkę – poparł ją Tappan. – Albo ja też się wycofam.

Po długiej chwili nieznośnego milczenia Rush wysłał po skrzynkę dwóch żołnierzy. Ci przynieśli ją i postawili na podłodze.

– Otwórzcie – rozkazał pułkownik.

Jeden z mundurowych pochylił się i podniósł wieko.

Nora się zawahała. A potem zrobiła krok do przodu i zajrzała.

Zobaczyła małą kostkę, sześcian o boku długości pięciu, sześciu centymetrów, który bez żadnych widocznych podpór unosił się tuż nad dnem skrzynki. Ale nie była tego pewna, bo miał rozmyte brzegi. A w środku, w kostce, dostrzegła coś sferycznego, kulę zielonkawego światła, które falowało jak woda, tworząc dziwne wiry i zawijasy. Na jej oczach kula zaczęła się obracać, najpierw powoli, potem coraz szybciej i szybciej, jarząc się przy tym coraz jaśniejszym światłem, które po chwili zmieniło kolor na żółtozielony, a potem na żółty, nie pochodzący z tego świata i niemożliwy do opisania.

Nora szybko uklękła i łagodnym ruchem włożyła ręce do skrzynki.

– Co pani robi? – krzyknął Rush. – Zwariowała pani? To panią zabije!

Ale ona, w niemal mistycznym, transcendentalnym stanie, wsunęła dłonie pod sześcian. W obliczu tego, co ostatnio widziała, lata niedowierzania i akademickiego lekceważenia ustąpiły miejsca czemuś zupełnie innemu, niemal kompletnie przeciwnemu. Chciała objąć kostkę palcami, lecz ta powędrowała w górę wraz z jej rękami, unosząc się kilka centymetrów nad dłońmi.

– Zamknijcie to! – rozkazał podwładnym Rush.

Ale kiedy Nora podniosła ręce wyżej, kiedy jej dłonie wynurzyły się ze skrzynki, kostka błyskawicznie wzbiła się w powietrze i wyrzuciwszy strumień skrzących się jak konfetti kolorów, poszybowała w stronę sondy. W tej samej chwili owalny wir obracający się powoli na dziobie statku, ten miniaturowy cyklon na idealnie gładkim kadłubie, gwałtownie się poszerzył i świetlista kostka wpadła prosto w jego oko. Oko natychmiast

się zamknęło jak irysowa migawka aparatu fotograficznego i zniknęło pod powłoką roztańczonych kolorów.

– Cholera jasna! – Pułkownik cofnął się o krok. – Co pani zrobiła?

* * *

Z głową ukrytą pod deską rozdzielczą Corrie na oślep nacisnęła pedał gazu. Krzyki jej towarzyszy, huk wystrzałów i grzechot rykoszetujących kul niemal ją ogłuszały. W drzazgi poszły resztki kuloodpornych szyb. Nie widząc, gdzie jedzie, mimo to nie zwalniając, starała się trzymać prosto kierownicę i trzymała ją tak do chwili, gdy usłyszała przyprawiające o mdłości młaśnięcie i gdy sekundę później w fontannie krwi, przez maskę samochodu, a potem przez nich przetoczyło się ciało potrąconego żołnierza. Watts wyszarpnął mu broń, a Skip wypchnął ciało. Pod wpływem uderzenia zgasł silnik i pozostali żołnierze rzucili się w ich stronę. Podczas gdy Corrie rozpaczliwie przekręcała kluczyk w stacyjce, szeryf zerwał się z tylnego siedzenia i posłał w nich serię kul. Silnik wreszcie zaskoczył i Corrie usiadła prosto, wciskając do deski pedał gazu. Zapiszczały opony i mundurowi zostali w tyle.

Dojechali do skrzyżowania w kształcie litery T. Pokonali je, odbijając się od ściany, i skręcili w korytarz kończący się kolejnym skrzyżowaniem, za którym ujrzała szeroko otwarte metalowe drzwi. Za drzwiami był wielki hangar ze ścianami pokrytymi elektroniką, a na środku hangaru leżało... coś dziwnego. Stali tam również Tappan, Nora, jakiś mężczyzna w mundurze i dwóch wartowników. Wciąż pędząc korytarzem, zobaczyła nagle silny, zielonkawy rozbłysk i smugę jaskrawego światła. Spoczywający na podłodze obiekt gwałtownie pojaśniał w szalonym wirze kolorów, a wtedy rozległ się głęboki, basowy dźwięk, tak intensywny, że zagrzechotały jej zęby i zatrzęśły się fundamenty podziemnej bazy.

Jeep pędził prosto w tamtą stronę.

* * *

Nora patrzyła na to wszystko jak zahipnotyzowana. Głęboki dźwięk, który rozbrzmiał w hangarze, gdy zamknęło się oko, był czysty i pulsujący, niemal ludzki. Kiedy kadłub rozjarzył się oszałamiającymi kolorami, dźwięk zaczął się podnosić coraz wyżej i wyżej, aż przekroczył granicę słyszalności. Sonda znów zmieniła kształt, lecz tym razem zmiana była bardziej oczywista: statek rósł na ich oczach, zaokrąglął się, a na kadłubie, niczym drogie kamienie, to rozbłyskiwały, to znikwały skrzące się wgłębienia.

– Uaktywnia się! – krzyknął Rush załamującym się głosem. – Boże, ona się uaktywnia!

Przeszył ich wzrokiem i Nora dostrzegła w jego oczach strach, rozpacz i wściekłość. Potem odwrócił się na pięcie i popędził w stronę wyjścia. W pierwszej chwili Nora pomyślała, że pułkownik ucieka, ale nie, biegł w stronę czegoś zamontowanego na ścianie hangaru.

– Panie pułkowniku! Pułkowniku!

Jego niespodziewany ruch zaskoczył żołnierzy. Byli bardzo spięci, ale zaalarmowała ich nie reakcja sondy, tylko on sam.

– Panie pułkowniku! – krzyknął jeden z wartowników. – Niech pan zaczeka! – Pobiegnął za nim. – Jeszcze nie!

Rush stanął przed czerwoną dźwignią w drucianej klatce, nad którą widniał duży pomarańczowy znak ostrzegawczy. Otworzył drzwiczki, zerwał paskowaną taśmę zabezpieczającą, przytknął kciuk do skanera i wyrwał zawleczkę z uchwytu dźwigni.

– Nie! – Wartownik wreszcie go dogonił. Chciał chwycić go za rękę, lecz pułkownik wyjął z kabury pistolet i strzelił mu prosto w twarz.

– Niech pan tego nie robi! – Drugi żołnierz zawahał się na widok martwego kolegi. – Musimy przestrzegać procedur!

– Nie ma czasu! – odkrzyknął Rush i kiedy żołnierz podniósł karabin, pociągnął za dźwignię.

Przez chwilę panowała cisza, którą zakłócał jedynie pisk opon i odległy huk wystrzałów. A potem zawyła syrena i pod sufitem zamigotały czerwone światła.

– Pięć minut do czasu Omega. – Mechaniczny kobiecy głos zadudnił zewsząd i znikąd. Odpowiedziało mu obłąkane echo. – Ewakuacja. Ewakuacja. Ewakuacja.

Do hangaru wpadło kilku żołnierzy.

– Pociągnął za dźwignię! – krzyknął do nich ten z karabinem. – Odpalił ładunek! Kurwa mać!

– Jakim cudem? Bez listy kontrolnej?

– Z panelu dowódcy! Skróconym odliczaniem!

Mundurowi nie czekali i natychmiast popędzili do drzwi, niektórzy porzucając broń. Został tylko Rush. Cała wojowniczość zniknęła i na jego twarzy malował się teraz wyraz rezygnacji. Dobiegająca z korytarza kanonada gwałtownie przybrała na sile.

Pułkownik spojrział na Norę i Tappana.

– Paradoksalne, prawda? A jednak po coś tu przyszliście. Nie wiedzieliście tylko po co. Od samego początku czułem, że jest tylko jedno wyjście. Ale byłem zbyt ślepy albo zbyt słaby, żeby je dostrzec. – Poprawił mundur i stanął prosto. – To coś było i wciąż jest zbyt niebezpieczne, aby pozostać w nietkniętym stanie. Trzeba to zniszczyć. Moja misja dobiegła końca.

– Cztery minuty i czterdzieści sekund do czasu Omega – zadudniły głośniki. – Ewakuacja. Ewakuacja. Ewakuacja.

Przez kilka sekund patrzyli na siebie, on, Nora i Tappan.

– Pamiętajcie – dodał Rush głosem kapitana idącego na dno wraz ze swoim okrętem. – *Servandae vitae mendacium*.

W huku wystrzałów do hangaru wpadł zryty kulami jeep. Zahamował z poślizgiem i zatrzymał się tuż przed nimi.

– Wsiadajcie! – krzyknęła Corrie, wstając z fotela. – Zmiotamy stąd!

NORA WEPCHNĘŁA Tappana na tylne siedzenie. Wylądował na Skipie i Watsie, a wtedy wskoczyła do auta sama.

Corrie wrzuciła wsteczny, rozpędziła się do pełnej prędkości, szarpnęła ręcznym, kręcąc jednocześnie kierownicą, i jeep wykonał idealny obrót o sto osiemdziesiąt stopni. Towarzysząca temu siła grawitacji zrzuciła nadpalony kapelusz z głowy szeryfa. Watts rozpaczliwie próbował go złapać, lecz kapelusz pofrunął do tyłu. W korytarzu nieustannie błyskały czerwone światła, a dochodzący zewsząd głos przypominał złowieszczo, że do czasu Omega pozostały jedynie cztery minuty.

Ogarnięci paniką żołnierze i cywilny personel bazy uciekali w popłochu, lecz niektórzy uparcie strzelali do auta pędzącego zatłoczonymi teraz korytarzami.

– Ścigają nas! – krzyknął szeryf.

Corrie zerknęła przez ramię – wstecznego lusterka już dawno nie było – i zobaczyła jadącego za nimi wojskowego jeepa z dwoma żołnierzami. Skip podniósł pistolet, ale Watts chwycił go za rękę.

– Jeszcze nie.

Tamci byli coraz bliżej, chcieli ich staranować. Jeden z mundurowych wstał z wymierzoną bronią, ale szeryf skosił go krótką serią i żołnierz pokoziołkował na beton.

– Trzy minuty do czasu Omega – przypomniwały głośniki z surrealistycznym spokojem.

Korytarz był dość szeroki, więc ścigający ich jeep, z samotnym teraz żołnierzem za kierownicą, najpierw zrównał się z nimi, a potem uderzył maską w tył ich samochodu. Corrie zwolniła, żeby opony nie straciły

pryczepności, a potem znów przyśpieszyła, wprawnie wychodząc z poślizgu. Teraz z kolei wstał Watts. Wycelował, pociągnął za spust i jeep gwałtownie skręcił, uderzył w ścianę, odbił się, przewrócił i niczym kulka w bilardzie elektrycznym uderzył w przeciwległą.

Wpadli na parking i nie zwalniając, skręcili w stronę rampy prowadzącej do szeroko otwartych wrót. Żołnierze wskakiwali do samochodów albo wybiegali na zewnątrz, chcąc jak najszybciej uciec. Tylne części hangaru, w tym śmigłowiec, stała w płomieniach.

Wjechali na rampę z pełną prędkością i zahaczywszy podwoziem o beton, jak z katapulty wystrzelili w górę, zawisli w chłodnym, nocnym powietrzu i spadli z hukiem na ziemię. Corrie chciała włączyć światła, lecz zadała sobie sprawę, że są roztrzaskane. Mimo to nie zwolniła, omijając uciekających żołnierzy i pędząc w kierunku głównej bramy, trasą, którą tak niedawno tu przyszedli. Watts strzelał do każdego zagrażającego im celu, ale większość ogarniętych paniką mundurowych nie zwracała na nich uwagi. Skip strzelał ogłuszająco z colta, a Tappan, który przejął glocka Corrie, do tych głupich na tyle, żeby wejść mu pod lufę. Teraz, jakby po to, żeby zagwarantować całkowite zniszczenie, z podziemnych silosów wysunęły się sześciolufowe karabiny maszynowe. Zaopatrzone w czujniki ruchu obracały się, szukając celu i strzelając do wszystkich i wszystkiego.

Corrie skręcała to w jedną, to w drugą stronę, bo ich lufy wypluwały tysiące pocisków na minutę, zasypując drogę gradem kul i rozszarpując na kawałki uciekających żołnierzy. Po chwili z ukrytych wokoło stanowisk wynurzyło się coś innego, wycelowane w niebo złowieszcze lufy działek, które szybko opadły, by znieruchomieć pod kątem kilku stopni nad powierzchnią ziemi.

– Jezu! – wykrzyknął Tappan. – Czy to są czterdziestomilimetrówki?

– Stare przeciwlotnicze boforsy! – odkrzyknął szeryf. – Pewnie zmodernizowane i zautomatyzowane!

– Myślisz, że wciąż działają?

Pytanie Tappana zagłuszył huk wystrzałów i świst pocisków z zawrotną prędkością wbijających się w ziemię. Jeden po drugim żołnierze znikali

w czerwonych obłokach krwi i strzępach ciała, a przez towarzyszące wybuchom fale uderzeniowe i nagłe zmiany ciśnienia Corrie niemal nie straciła panowania nad kierownicą.

Zrównał się z nimi jeden z dwóch ścigających ich opancerzonych jeepów, ale pociski z sześciolufowego karabinu maszynowego przeszyły go jak masło, odrzuciły na bok i przewróciły.

Uciekając przed kolejną serią kul, Corrie znów gwałtownie skręciła w sześciometrowej fontannie wyrzuconej przez koła ziemi i pociski chybiły dosłownie o centymetry.

A potem, z przeraźliwym krzykiem mitologicznej harpii, pocisk z boforsa przebił bok auta, stawiając je na dwa koła. Chwilowo oślepiona i ogłuszona Corrie nie zwolniła i jak robot zacisnęła palce na kierownicy. Po kilku sekundach pozostałe dwa koła opadły z trzaskiem na ziemię i odzyskała zdolność widzenia tylko po to, by w rozbłyskach ognia z przerażeniem zobaczyć, że siedząca obok niej Cecilia zniknęła. Pozostała jedynie wystrzępiona dziura w miejscu, gdzie jeszcze niedawno były drzwi.

Odruchowo zdjęła nogę z gazu.

– Jedź! – krzyknął do jej ucha Tappan z zakrwawioną twarzą. – Jej już nie ma!

Brama powoli się zamykała. Corrie znów przyspieszyła i dojechała do ogrodzenia, kiedy brama była już w połowie zamknięta. Zerwany siłą uderzenia lewy bok jeepa poszybował w ciemność, samochód mocno zarzucił przodem, ale z ponurą determinacją Corrie szybko odzyskała panowanie nad kierownicą.

Wpadli do piaszczystego żlebu. Zabuksowały koła, samochód znów wpadł w poślizg, lecz i tym razem wyszli z tego cało. Jadący za nimi pojazd uderzył w prawe skrzydło domykającej się bramy i poraził go prąd. Rozległ się potworny trzask i snop iskier rozświetlił niebo jak błyskawica.

Corrie pędziła żlebem kierowana tylko jednym celem: uciec jak najdalej, zanim system samozniszczenia wysadzi bazę w powietrze. I nagle stało się to, co miało się stać: nocne niebo rozświetlił wybuch jasny jak wschodzące

słońce, eksplozja, której towarzyszyła seria innych. Wszystkie zlały się w ogłuszający ryk i zerkając przez ramię, ujrzała potworny widok: ziemia się unosiła, unosiło się całe wzgórze poprzecinane siecią białych i złocistych pęknięć. Coraz jaśniejsza i jaśniejsza góra ognia eksplodowała w noc jak piekielny wulkan i omal nie przewróciła ich fala uderzeniowa.

Wśród płonących odłamków, które spadały wszędzie jak bomby, Corrie odzyskała panowanie nad kierownicą i popędzili przed siebie, omijając slalomem ogniste meteoryty. Po kilku przerażających minutach byli już poza ich zasięgiem.

Zatrzymali się i bezbrzeżnie wyczerpani popatrzyli za siebie na kipiący ogniem szkarłatnozielony grzyb, wysoki na kilkaset metrów i wciąż rosnący wśród grzmotów wtórnych eksplozji.

– Armagedon – wymamrotał Skip.

Ale Corrie zaszokowała twarz Tappana. Po jego policzkach spływały błyszczące w odbitym świetle łzy.

– Już się nie dowiemy – powiedział. – Już nigdy się nie dowiemy.

Trzy miesiące później

LŚNIAŹY BOEING 737, oznakowany jedynie biegnącą pod oknami czerwoną linią, położył się na skrzydło i zaczął podchodzić do lądowania. Jego kabina miała niezwykłą konfigurację, bo nie była podzielona na klasy. Zamiast tego wyposażono ją w dwadzieścia przeciętych przejściem rzędów foteli, po dwa w rzędzie, ustawionych naprzeciwko siebie w grupy po cztery w każdej. Obsługiwał ich tylko jeden steward, młody mężczyzna, który zaraz po starcie bez słowa podał im smakową wodę sodową i zaraz potem zniknął. Nora siedziała obok Skipa – na skos od Corrie siedzącej przy oknie po drugiej stronie przejścia – naprzeciwko Tappana oraz generała w mundurze polowym z dwiema czarnymi gwiazdkami na piersi, który przedstawił się jako Grayburn.

Zwinięty w kłębek u stóp Skipa leżał Mitty z wciąż przypalonym ogonem. Jakimś cudem udało mu się uciec z pożogi w obozowisku i ratownicy znaleźli go skulonego ze strachu w pobliskim żlebie. Kiedy niemal bez uprzedzenia w ich domu zjawił się generał, aby zabrać ich na tajemniczą wycieczkę, Skip nie chciał go zostawić, twierdząc, że pies cierpi na zespół stresu pourazowego. Prosił i błagał, sięgnął po wszystkie możliwe argumenty, w tym najbardziej zwariowane, i końcu postawił na swoim.

Generał nic im nie powiedział. Ani dokąd lecą, ani po co. Dano im jasno do zrozumienia, że na pytania i wyjaśnienia przyjdzie czas po dotarciu do celu podróży.

Niemniej Skip dysponujący głęboką wiedzą na temat teorii spiskowych i miejskich legend, którą ostatnio wzbogacił, przeglądając bibliotekę Bitana, nie mógł się nie pochwalić.

– To jest KNP – rzucił półgłosem do siostry.

– KNP?

– To, czym lecimy. Ścisłe tajny samolot, którym siły powietrzne odbierają agentów z lotnisk, przewożą ich na tajne, a z tajnych z powrotem na zwykłe. Skrót od Kolejny Nieistniejący Przewoźnik. – Skip zachichotał.

– Jedyna linia lotnicza, która zatrudnia tylko prześwietlonych przez wywiad stewardów.

Nora nie odpowiedziała. Jeśli Skip nie zmyślał, dlaczego był taki spokojny?

Kilka chwil później koła samolotu dotknęły niekończącego się pasa startowego na idealnie gładkiej, słonej równinie.

Generał wskazał okno.

– Witajcie w Groom Lake.

– W Strefie Pięćdziesiąt Jeden! – wykrzyknął Skip. – Wiedziałem!

Generał tylko się uśmiechnął. Nora niemal czuła, jak siedzący obok brat nadyma się z dumy.

Samolot zjechał z pasa i zaparkował. Czekały na nich dwa jeepy. Zbliżał się koniec lipca i wiszące na pustym niebie słońce niemiłosiernie prażyło. Wsiedli i zawieziono ich do nierzucającego się w oczy budynku bez okien, stojącego za rzędami hangarów i gigantycznych blaszanych baraków. Wciąż milczący generał przeprowadził ich przez kilka punktów kontrolnych i gdy weszli do środka, okazało się, że jest to nic innego jak obudowa olbrzymiej windy towarowej. Skip musiał przekazać smycz czuwającemu przed wejściem żołnierzowi i Mitty miał tam czekać na powrót swojego pana.

– Zakaz wprowadzania psów. – Powiedziano im tylko tyle.

Kiedy Skip odszedł, Mitty żałośnie się rozszczękał.

Wsiedli. Z dudniącym hukiem zamknęły się masywne drzwi, winda ruszyła i zatrzymała się dopiero po niepokojąco długim czasie. Drzwi się

otworzyły i zobaczyli wielki podziemny hangar. Nora, dla której było to nieprzyjemne *déjà vu*, rozdziawiła usta. Dokładnie przed nimi, na grafitowej kołysce, spoczywała... pozaziemska sonda kosmiczna.

– Teraz możemy porozmawiać – powiedział generał.

– Co to jest?! – wykrzyknął Tappan. – Druga?

Generał uśmiechnął się lekko i oschle.

– Naprawdę myślał pan, że można tak łatwo zniszczyć coś, co miliony lat leciało przez Galaktykę? Znaleźliśmy ją wśród dymiących zgliszcz bazy na poligonie Pershinga. Była nietknięta.

Tappan omal się nie zatoczył.

– Dzięki Bogu. Myślałem, że ją straciliśmy! – Zrobił krok do przodu i odwrócił się z roześmianą twarzą. – Zbadaliście ją?

– Tak – odparł generał. – Dlatego was tu zaprosiliśmy. Wiem, że po waszych... doświadczeniach musieliście podpisać klauzulę poufności. Uprzedzam, że dotyczy ona i tego, a może przede wszystkim tego.

– Dobrze pan wie, że jestem temu przeciwny – powiedział Tappan. – Za dużo tych tajemnic. Świat by sobie z tym poradził. Jest gotowy.

– To nie zależy ode mnie. Tak czy inaczej, myślę, że kiedy zapoznam was z naszymi ustaleniami, zgodzi się pan ze mną, że świat nie jest gotowy.

– Można podejść bliżej? – spytała Nora.

– Tak blisko, jak pani chce. Nie jest już niebezpieczna.

Mimo to podeszli bardzo ostrożnie. W powietrzu czuć było słaby zapach elektryczności i jonizacji. Nora próbowała sobie przypomnieć, jak sonda wyglądała przedtem, bo teraz przypominała kształtem hantle z nierówno obciążonymi końcami. Na jej dziobie wciąż obracał się ten gniewny, miniaturowy wir, ale robił to dużo wolniej. Pozostała część kadłuba też sprawiała wrażenie spokojniejszej, nie tak rozgorączkowanej, niemal zrelaksowanej. Leniwie zmieniała kolory, w tym na bardzo dziwne, a kiedy wyczerpywał jej się repertuar, zaczynała od początku.

– Zacznę od Atroposu – powiedział generał.

– Dobry pomysł – uznał Tappan. – Kto to był? Ci ludzie z zimną krwią zamordowali większość mojej ekipy. Sukinsyny.

– Tak, i bardzo nam przykro z powodu pańskiej straty. Część tego, co powiem, słyszeliście już pewnie u samego źródła, dlatego wybaczenie, jeśli będę się powtarzał. Ale większość informacji będzie dla was nowa, tak jak była nowa dla nas. Niestety. Atropos był organizacją kontrwywiadowczą, która zeszła na złą drogę. Jej korzenie sięgają OSS, Biura Służb Strategicznych założonego na rozkaz prezydenta w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku. Pierwszymi agentami OSS byli żołnierze sił specjalnych wojsk lądowych i marynarki wojennej, potajemnie wyszkoleni do prowadzenia wojny psychologicznej, do sabotażu i skrytobójstwa. Szkolenie odbywało się w Specjalnym Ośrodku Szkoleniowym 103, w tak zwanym Obozie X założonym przez Brytyjczyków czterdzieści osiem kilometrów za granicą kanadyjską.

OSS rozwiązano w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym. Jego pozostałości wchłonęła Jednostka Służb Strategicznych, potem Grupa Centrali Wywiadu i wreszcie, w tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym roku, Centralna Agencja Wywiadowcza. W tym skomplikowanym okresie przejściowym mieliśmy poważne problemy z sowieckimi szpiegami. Tajemnice sprzedawało im kilku naukowców biorących udział w projekcie „Manhattan”, a potem pracujących nad skonstruowaniem pierwszej bomby termojądrowej. W połowie tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego pewien oficer i gorliwy patriota namówił swoich przełożonych, żeby utworzyli niewielką, ściśle tajną komórkę wywiadowczą złożoną ze starannie wybranych członków dawnego Obozu X i paramilitarnych oddziałów OSS. Teraz już wiemy, że komórka ta przekształciła się w Atropos. Miała prostą misję: chronić aktywa Stanów Zjednoczonych przed zagranicznymi szpiegami. Otrzymała specjalną „licencję”, dzięki której agenci mogli w razie konieczności torturować i zabijać, innymi słowy, omijać ociężały i nieefektywny system sądowniczy i brać sprawiedliwość w swoje ręce. Twórcy sformowanego później Kidonu, „Sztyletu”, tajnego oddziału Mosadu, którego celem jest fizyczna likwidacja wrogów Izraela, kierowali się podobną filozofią.

Poczynając od tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego roku, niewielkie jednostki Atroposu stacjonowały w celach o dużym znaczeniu strategicznym, zwłaszcza w Los Alamos. Sowiecka infiltracja sięgała wtedy zenitu i udało im się nie tylko wyeliminować wielu sprzedajnych naukowców, ale i zidentyfikować, namierzyć oraz zlikwidować licznych „śpiochów”, których Rosjanie tam umieścili.

– Mówi pan tak, jakby pan to pochwalał – zauważył Tappan.

– Na pewno tego nie potępiam. Problem polega na tym, że Atropos dysponował nieograniczonymi funduszami i nie musiał się przed nikim tłumaczyć. A to gotowa recepta na korupcję, może nawet coś gorszego, na arogancję i radykalizację.

Kiedy doszło do incydentu w Roswell, jako pierwszy przybył tam zespół z Los Alamos. Znalezienie pozaziemskiego statku kosmicznego z zaawansowaną technologią na pokładzie było oczywiście niezwykle interesujące, ale kiedy okazało się, że statek jest agresywny, odkrycie to stało się ich *raison d'être*. Kosztem licznych ofiar wydobyto go z ziemi i przetransportowano na poligon Pershinga. Ponieważ dalsze przenosiny byłyby zbyt niebezpieczne, zbudowano tam tajną bazę i znacznie powiększono system podziemnych bunkrów.

– A te dwa ciała, które znaleźliśmy pod Roswell? – spytała Nora.

– Tak jak ustaliła agentka specjalna Swanson, należały do dwojga sowieckich „śpiochów” zabitych przez agentów Atroposu. „Strzykawki”, regulatora mocy wybuchu termojądrowego, użyto jako przynęty, a przedtem wymontowano z niej wszystkie newralgiczne części. Zresztą był to tylko prototyp, dlatego pogrzebano go wraz z ciałami.

– Dlaczego je tam pozostawiono?

Generał uśmiechnął się cynicznie.

– Początkowo z nieposkromionej pychy. Roswell leży w bardzo odludnej okolicy, no i gonił ich czas. Łatwo można sobie wyobrazić, że byli też pochłonięci tym niezwykłym znaleziskiem. Potem doszli pewnie do wniosku, że ciała są tam bezpieczne i próba ich przeniesienia jest bardziej ryzykowna niż pozostawienie ich tam, gdzie są. Jak już wiecie, aby

utrudnić ich identyfikację, twarze i palce u rąk oblano kwasem. Te specyficzne stalowe koronki najwyraźniej przeoczono. Dwaj naukowcy, którzy zniknęli w Los Alamos w tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym roku, byli oczywiście prowadzonymi przez nich szpiegami. Oni również zostali zlikwidowani i z oblanymi kwasem twarzami pochowani na pustyni. Ich ciała też znaleźliśmy.

Z biegiem lat Atropos zmienił się niemal w sektę. Badania sondy stały praktycznie w miejscu, ale ponieważ wciąż napływały duże pieniądze z tajnego budżetu rządowego, szefowie Atroposu stopniowo rozszerzyli swoje wpływy na CIA, FBI, wojsko i, niestety, na NASA. Umieeli znakomicie zacierać papierowe ślady swojej działalności, powołując się na tajemnicę państwową, nie rzucając się w oczy i kontaktując z władzami tylko po to, aby utrzymać swój pozornie legalny status. Pomagały im nie tylko ciągłe i nieuchronne zmiany w rządzie, ale i to, że Atropos tak wcześnie powstał. Ponieważ badania wciąż nie przynosiły konkretnych wyników, pojawiało się coraz więcej paranoicznych pomysłów. Strzeżenie sondy ewoluowało w coś w rodzaju religii pełnej rytuałów przekazywanych z pokolenia na pokolenie. Każdy, kto interesował się nawiązaniem kontaktu z istotami pozaziemskimi, stawał się dla nich wrogiem, bo uważali, że zwracanie na siebie uwagi obcej cywilizacji, która wysłała tę sondę, jest jednoznaczne z zagładą ludzkości.

– *Servandae vitae mendacium* – zacytował Tappan.

– Kłamstwa w służbie życia. Właśnie. Nowych rekrutów, wybranych ze służb specjalnych, zaprzysięgano podczas tajnej ceremonii. Najpierw składali przysięgę krwi, a potem pokazywano im sondę. Reszta świata miała fobię na punkcie *Najeźdźców z Marsa*, a oni coraz większą paranoję na punkcie tajności. Znajdowali coraz mniej kandydatów wartych zwerbowania i liczba agentów spadała, ale to jeszcze bardziej wzmocniło ich izolację i poczucie bezkarności. A potem zjawił się pan Tappan i przewrócił ich światek do góry nogami.

– Ale jak Lime’owi udało się przeniknąć do FBI? – spytała Corrie. – Wszyscy myśleli, że działa zupełnie legalnie.

– I działał, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Tak jak wszyscy agenci Atroposu na swój sposób był patriotą i przyczynił się do sukcesu kilku ważnych operacji FBI. Jak dałem już do zrozumienia, wielu z nich prowadziło podwójne życie, pracując jednocześnie w agencjach rządowych, życie, które w razie konieczności mogli zmienić na inne. Likwidowali szpiegów i „spiochów” długo po zabójstwie tych dwojga spod Roswell. W latach pięćdziesiątych zamordowali naukowca z Los Alamos. Potem okazało się, że rzeczywiście szpiegował dla Chińczyków.

– Skąd pan to wszystko wie? – spytała Nora.

– Schwytaliśmy kilku mniej ważnych pracowników, którym udało się uciec z bazy, innych namierzyliśmy w różnych agencjach. Ci najważniejsi, ludzie tacy jak Rush, czyli ścisła czołówka, postanowili pójść na dno wraz z okrętem, że tak powiem. Ich naczelny dowódca, generał major kierujący organizacją z Waszyngtonu, popełnił samobójstwo. Podobnie jak Eastchester, ten naukowiec i laureat Nagrody Nobla. Szaf ze szkieletami było najwyraźniej dużo więcej. Dodatkowe informacje uzyskaliśmy z oficjalnych przeszukań, śledztwa przeprowadzonego poza rządowymi strukturami wywiadowczymi, no i z waszych przesłuchań. Większość tych trzech miesięcy poświęciliśmy na skompletowanie historii Atroposu. Tak długo działał tajnie i praktycznie bez przeszkód, że... Delikatnie mówiąc, było to niezwykle przygnębiające.

– A co z sondą? – spytał Tappan.

– Zrobiliśmy dużo większe postępy niż oni, chociaż to niezupełnie nasza zasługa.

– Dlaczego?

– Z prostego powodu: wygląda na to, że ta wykopana przez was mała sześcienna kostka jest modułem sztucznej inteligencji, głównym procesorem i dziennikiem pokładowym. Przez siedemdziesiąt pięć lat Atropos badał praktycznie pustą skorupę, która odruchowo się broniła. Wy znaleźliście jej mózg.

– Ale jak ten mózg znalazł się poza statkiem? – spytał Skip.

– Wydaje się, że około dziesięciu milionów lat temu, zaraz po starcie, sonda została poważnie uszkodzona. Kiedy rozbiła się pod Roswell, kostka albo się katapultowała i celowo ukryła, albo została wyrzucona siłą uderzenia i zasypał ją piasek. Po wydobyciu sondy agenci Atroposu już tam nie wrócili. Nie chcieli wzbudzać sensacji. Liczyli na to, że czas zrobi swoje i zatrze ślady katastrofy. I rzeczywiście zatarł, na dziesiątki lat. Wasze wykopaliska zaniepokoiły ich z jednego powodu: nie mieli całkowitej pewności, że po akcji wydobywczej w tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym roku nie pozostało coś, co dzisiaj można znaleźć dużo łatwiej niż wtedy. – Generał zrobił pauzę. – Tak czy inaczej, na kadłubie widać owalną bliznę, ślad po dawnej ranie. Ale kiedy kostka wróciła na swoje miejsce, sonda natychmiast złagodniała. Wyszła z trybu obronnego i nie jest już niebezpieczna.

– Ślad po ranie? – spytał Skip. – Mówi pan o niej jak o czymś żywym.

– Trudno powiedzieć, czy jest żywa, czy nie. To coś w rodzaju biologiczno-mechanicznej hybrydy, tak zaawansowanej, że nie wiadomo, gdzie kończy się biologia i zaczyna mechanika. W każdym razie w normalnych okolicznościach nigdy by się nie rozbiła, ale została uszkodzona podczas ataku. Aby ją zbadać, podczas tych trzech miesięcy wykorzystaliśmy moc obliczeniową najpotężniejszych komputerów i zużyliśmy tyle prądu, że można by nim zasilić całe Phoenix. Uważamy, że Ziemia nie była ostatecznym celem jej podróży. Sonda wiozła przez Galaktykę ważną wiadomość dla innych, a my byliśmy jedynie przypadkową przeszkodą na jej drodze.

– Ważną wiadomość? – powtórzył Tappan. – Jaką?

– Jest jedną z niezliczonych sond, które wymarła już cywilizacja wysłała miliony lat temu z drugiego końca Galaktyki. Wszystkie wiozły identyczny przekaz, który miał trafić do jak największej liczby inteligentnych istot.

– Skąd to wiecie?

– Od tej małej sześciennego kostki. Rozpaczliwie chce się z nami porozumieć. Nie zna naszego języka, ale potrafi wyświecić bardzo zmyślne

holografy, a właściwie trójwymiarowe filmy holograficzne. Nie trzeba specjalisty, żeby je zrozumieć. Ci z nas, którzy je widzieli... Cóż, można powiedzieć, że byliśmy zaalarmowani, jeśli nie... wystraszeni.

Nora, Corrie, Tappan i Skip popatrzyli na niego z niedowierzaniem, jedni z większym, inni z mniejszym.

– Trudno ująć to w słowa – ciągnął. – Mimo swego okrucieństwa i fanatyzmu w gruncie rzeczy Atropos miał rację. Gdzieś tam w kosmosie czai się niewyobrażalne zło. Ale nie stworzyła go ani ta sonda, ani cywilizacja, która ją wysłała.

– Więc kto? – spytała Nora.

– Obejrzyjmy film, dobrze?

Generał wydał polecenie adiutantowi, który pracował tuż obok przy komputerze, i z wycelowanego w sondę małego lasera trysnął migotliwy promień światła. Wirujące na kadłubie wzory natychmiast znieruchomiały.

– Komunikuje się za pomocą fal elektromagnetycznych o długości pięciuset pięćdziesięciu nanometrów, innymi słowy, za pomocą zielonego światła.

Osobliwa interakcja lasera i pozaziemskiej technologii trwała kilka sekund. I nagle wszyscy cicho sapnęli z wrażenia, bo w powietrzu, tuż przed nimi, coś się ukazało: film, który można było oglądać ze wszystkich stron. W żywych kolorach pokazał najpierw mapę nieba, a potem, w dużym zbliżeniu, niebieskozieloną planetę bardzo podobną do Ziemi, krążącą wokół macierzystej gwiazdy, najpewniej rodzinny dom konstruktorów sondy. We wszystkich kierunkach z planety wystartowały ich tysiące, tysiące sond. Zaraz potem pojawiło się czy też zmaterializowało coś przedziwnego i zbyt obcego, aby można to było w pełni zrozumieć. Początkowo wyglądało jak chmura, obłok mrocznej mgły większy od planety, kształt, który nie był kształtem, tylko nieobecnością światła. Sposób, w jaki się poruszał, z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu napawał grozą. W pewnej chwili zrobił coś niepojętego i planeta pękła jak zgniły pomidor. Podobny obłok, gigantyczny i nieprzenikniony,

zaatakował też samą sondę. Sonda wydała okrzyk bólu – naprawdę odczuwała ból? – ukryła się po ciemnej stronie nagiej asteroidy i w końcu zdołała uciec. Potem zobaczyli obraz całej Galaktyki, na którym pokazano, jak nieskończenie długą trasę pokonała w ciągu milionów lat podróży przez pustkę. Na kolejnym zbliżeniu ukazał się nasz system słoneczny i Ziemia. Później było zderzenie i zapadła ciemność.

Nora oniemiała. W pięciominutowym filmie w sposób zrozumiały nawet dla dziecka przedstawiono całą historię, miliony lat.

Generał odczekał, aż szok minie, i spojrzał na Tappana.

– Wciąż pan uważa, że utrzymanie tego w tajemnicy jest złym pomysłem? Że „świat by sobie z tym poradził”?

Tappan oblizał usta.

– Nie – odparł. – Nie. Nie wiem nawet, czy ja sobie z tym poradzę.

– Oby tak było. Bardzo na to liczymy.

– Dlaczego?

– Myśli pan, że przywieźliśmy was tu tylko po to, żeby zaspokoić waszą ciekawość? Potrzebujemy was obojga, pana i doktor Kelly. Was i możliwości, jakimi dysponujecie. Z czasem zaprosimy do współpracy innych ważnych i wpływowych ludzi. Takich, którzy mogą nam pomóc, i takich, którzy mogliby nieumyślnie zagrozić Ziemi, gdybyśmy ich nie wtajemniczyli. Mówię oczywiście o SETI, o coraz liczniejszych i coraz bardziej aktywnych próbach nawiązania kontaktu z obcymi cywilizacjami. Trzeba je zastopować. Poza tym jako gatunek musimy znaleźć sposób na powstrzymanie ciągłego wycieku promieniowania elektromagnetycznego do przestrzeni kosmicznej.

Zapadła cisza.

Przerwała ją Nora.

– Powiedział pan, że sonda wiozła jakąś wiadomość. Rozszyfrowaliście ją?

– Tak. Jest bardzo krótka. W gruncie rzeczy to odpowiednik dwóch słów.

– Jakich?

Generał uśmiechnął się ponuro.

– Ukryjcie się.

CONNOR DIGBY STAŁ przez chwilę przed zamkniętymi drzwiami, prostując ramiona i próbując uspokoić oddech. Zerknął na zegarek: prawie punkt dwunasta.

To, że doktor Marcelle Weingrau, dyrektorka Instytutu Archeologicznego w Santa Fe, go wezwała, w normalnych okolicznościach by go nie zaniepokoiło. Swego czasu był jej asystentem na Uniwersytecie Bostońskim i zdążył ją dobrze poznać. Ucieszyłby się nawet, że ma okazję jeszcze bardziej się do niej zbliżyć.

Ale od paru miesięcy okoliczności były dalekie od normalnych. Wydział, którym kierował prawie od roku, zaczynał się sypać. Z różnych powodów nie wypaliły dwa ważne projekty, wykopaliska w Cornpollen Ridge i prace przygotowawcze do wykopalisk na farmie Hottaktion. Okazało się, że przystępując do realizacji tego pierwszego, źle sformułowano podania o pozwolenie, co doprowadziło do żenującego skumulowania kar finansowych. W przypadku drugiego właściciel rancza, który udzielił im pozwolenia, nagle zmienił zdanie, twierdząc, że jeden z pracujących tam młodych archeologów potracił i zabił jeepem cielaka, którego szybko zidentyfikowano po wypalonym znaku. Digby robił, co mógł: stawił się przed komisją wydającą pozwolenia i zrekompensował poniesione przez właściciela straty, ale w obydwu przypadkach jakimś cudem udało mu się tylko pogorszyć sprawę. Na domiar złego słyszał plotki, że grupa pracowników instytutu zbiera podpisy pod dotyczącą go petycją. Nie znał szczegółów i był pewny, że w żaden sposób mu to nie zaszkodzi, ale ostatnio... Tak, rzeczywiście, miał kilka spięć z personelem niższego szczebla. Pokłócił się z nimi o kwestie budżetowe i o to, że zaprotestowali

przeciwko jego próbom wykorzenia wszechobecnej wśród archeologów tradycji przychodzenia do pracy w niechlujnym stroju.

A ten nieoczekiwany telefon od Weingrau był bardziej szorstki i lakoniczny niż zwykle. Więc teraz Digby podniósł rękę i zdecydowanie – a przynajmniej tak mu się wydawało – zapukał do drewnianych drzwi.

– Proszę – odpowiedział natychmiast znajomy głos.

Connor otworzył drzwi, wszedł do gabinetu i przeżył kolejne zaskoczenie. Przy wielkim biurku, na którym z dnia na dzień ubywało indiańskich artefaktów, siedziała dyrektorka. Ale w dużym skórzanym fotelu naprzeciwko niej rozsiadł się Lucas Tappan. Wyglądał mniej więcej tak samo jak wtedy, kiedy spotkali się pierwszy raz – cztery miesiące temu? – był tylko bardziej opalony i trochę szczuplejszy. No i zrezygnował z kowbojskiego *emplois* na rzecz szytego na miarę, kosztownego garnituru.

– Connor! – powiedziała Weingrau niespodziewanie wesołym głosem. – Dziękuję, że tak szybko przyszedłeś. Na pewno pamiętasz pana Lucasa Tappana.

– Naturalnie. Miło widzieć pana ponownie. – Digby ruszył ku niemu z wyciągniętą ręką, ale miliarder zdążył już wstać, uśmiechnąć się i znów usiąść, więc Connor skreślił w stronę wolnego krzesła.

– Pan Tappan przynosi nam wspaniałe nowiny – poinformowała go dyrektorka. – Zamierza złożyć dotację na rzecz instytutu. Dużą dotację na ufundowanie nowej katedry badawczej.

– Rozmawiałem już z komitetem wykonawczym waszego zarządu i nie mają nic przeciwko temu – dodał z uśmiechem Tappan.

– Wspaniale – powiedział Digby, odruchowo kiwając głową. – Cudownie.

Był zupełnie zbity z tropu. O ile wiedział, niefortunna i jakże nierozważna wyprawa Tappana – ta, przez którą doktor Kelly wyleciała z pracy – zakończyła się katastrofą: w wyniku przypadkowego wybuchu zbiornika propanu zginęło wielu ludzi. Oczywiście nie znaleziono niczego wartościowego, co po raz kolejny udowodniło, że bajeczki o UFO pod

Roswell są tylko bajeczkami. Ale jeśli tak, co Tappan tu robił? Dlaczego przynosił im dary?

Nie miał wątpliwości, że Weingrau też się nad tym zastanawia. Mimo to uśmiechała się tak promiennie, że lada chwila mogła jej pęknąć warstwa makijażu na policzkach. Wiedział, że dotacja bardzo by im pomogła. Co więcej, rozpaczliwie jej potrzebowali. Kilku sponsorów, na których dyrektorka liczyła, wycofało się z niejasnych powodów, co w połączeniu ze złymi decyzjami inwestycyjnymi bardzo osłabiło finanse instytutu.

Z zamyślenia wyrwał go głos miliardera.

– Ale nie ma sensu tego przedłużać. Na pewno mają państwo dużo pracy. – Tappan spojrział na dyrektorkę. – Jak już wspomniałem, wybrałem także kierownika tej katedry, osobę z doskonałymi kwalifikacjami, która może pochwalić się wybitną karierą naukową i długą listą ważnych publikacji. Mogę ją państwu przedstawić?

– Ależ naturalnie! – Weingrau kurczowo splotła dłonie i Digby wyobraził sobie, że dyrektorka ściska w nich woreczek złotych monet. Czym prędzej odpędził tę myśl.

Miliarder wyjął telefon i zastukał palcem w ekran.

– Jest na korytarzu. Zaraz przyjdzie, chyba że coś ją zatrzyma.

– Ją? – powtórzyła Weingrau.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi i do gabinetu weszła Nora Kelly.

Zaskoczony Digby wstał. Nora była ostatnią osobą, którą spodziewał się tu zobaczyć. Nie od razu ją poznał. Zamiast w brudnych dżinsach i koszuli roboczej była w sięgającej do połowy łydki plisowanej sukience w kolorze kości słoniowej, niewątpliwie kosztownej, a ciężkie martensy zastąpiła płaskimi bucikami od Gucciego. Błyszczące, cieniowane włosy opadały jej do ramion z niedbałą swobodą, którą zagwarantować mógł tylko dobry stylistą, a jej skóra lśniła blaskiem nieosiągalnym dla kogoś siedzącego godzinami przy biurku.

– Och, przepraszam – powiedziała. – Powinnam była najpierw zapukać. Pewne rzeczy łatwo się zapomina. – Dotknęła drzwi zgiętymi palcami. – Już!

Uścisnęła rękę Tappanowi, skinęła głową Digby'emu i spojrzała na dyrektorkę.

– Jak się pani miewa, Marcelle? Mogę usiąść? – To drugie pytanie zadała, siadając na ostatnim wolnym krześle.

– Proszę – odparła Weingrau.

– Przedstawisz szczegóły czy wolisz, żebym ja to zrobił? – zapytał Tappan.

– Ty przedstaw. Tak będzie najlepiej, nie sądzisz? Ostatecznie to twoje pieniądze.

– Nie, nie do końca. Do pewnego stopnia twoje też. – Miliarder przeniósł wzrok na dyrektorkę. – Jak pani wie, powstanie nowej katedry łączy się nie tylko z wysokim wynagrodzeniem, ale i, co ważniejsze, z dużą kwotą na wsparcie badań naukowych, pieniędzmi pozostającymi do wyłącznej dyspozycji kierownika katedry.

Digby nigdy w życiu nie zażywał LSD, nie palił cracku ani nawet marihuany. Ale musiał chyba spożyć coś halucynogennego, bo to po prostu nie mogło się dziać. Zerknął na dyrektorkę, ale jej też odebrało mowę, co wcale nie przywróciło mu równowagi.

– Innymi słowy – ciągnął Tappan – do dyspozycji Nory. Nora, przypomnisz nam, jaka to kwota?

– Sto milionów.

Zapadła zdławiona cisza.

– Dolarów? – wykrztusiła w końcu Weingrau.

Absurdalność tego pytania jeszcze bardziej pogłębiła ciszę.

– Jeśli pani woli, możemy zamienić to na centy.

Czas stanął w miejscu. Nora omal nie parsknęła śmiechem, ale szybko się opanowała.

– Jesteśmy bardzo wdzięczni za pańskie wsparcie – powiedziała Weingrau głosem robota.

– Te pieniądze nie są przeznaczone tylko na finansowanie katedry – wyjaśnił Tappan. – Na spotkaniu z komitetem wykonawczym poinformowano mnie, że instytut boryka się z kłopotami finansowymi. Prawie niewypłacalny fundusz obligacji śmieciowych, niezbyt mądre

spekulowanie ziemią, tracący wartość fundusz nieruchomości... Na ich prośbę trzydzieści milionów dolarów z dotacji zgodziliśmy się z Norą przeznaczyć na nielimitowany fundusz wsparcia. Z braku środków plan poprawy kapitału też wymaga dofinansowania. Ile wam brakuje, bo zapomniałem?

– Ośmiu i pół miliona dolarów. – Digby z trudem rozpoznał własny głos.

– Powiedzmy, że dziesięciu, dla równego rachunku. – Tappan ponownie przeniósł wzrok na dyrektorkę. – Nora uważa... Oboje uważamy, że kolejne dziesięć milionów, znów w zaokrągleniu, powinniśmy przeznaczyć na podwyższenie pensji personelu i zwiększenie budżetu na prace badawcze. A reszta, pięćdziesiąt milionów, byłaby do dyspozycji katedry. Co państwo na to?

Weingrau i Digby słabo kiwnęli głowami.

– Pomyślcie – ciągnął miliardier. – Z naprawionym planem poprawy kapitału, zmotywowanym personelem i Norą jako kierowniczką... Cóż, można powiedzieć, że instytut zmieni się nie do poznania.

Umilkł, czekając, aż to do nich dotrze.

– Tak, to prawda. – Dyrektorka odzyskała w końcu głos. – Rozumiem, że zażąda pan mojej rezygnacji...

– Ależ skąd! – wykrzyknął Tappan. – Dobrze pani wie, że zbieranie funduszy, przymilanie się bogatym biznesmenom i ich książeczkom czekowym wymaga pewnego *je ne sais quoi*. Znakomicie nadaje się pani na to stanowisko. Zgoda? To znaczy, czy zgadza się pani na nim pozostać?

– Tak, naturalnie – odparła powoli Weingrau. – Dziękuję.

Miliardier spojrzał na Digby'ego.

– Jeszcze jedno, mała reorganizacja hierarchiczna. Łączy się z pana awansem.

Connor pokornie kiwnął głową.

– Moi ludzie zrobili analizę kosztów i korzyści i zasugerowali, że przydałoby się wam nowe stanowisko: dyrektor rozwoju instytucjonalnego podlegający bezpośrednio doktor Weingrau. Będzie pan

mógł wykorzystać swoje niewątpliwe kompetencje społeczno-towarzyskie, powiadamiając, kogo trzeba, o waszych potrzebach finansowych.

Connor szybko to przeanalizował. Czuł, że rzucono mu koło ratunkowe. Z zabezpieczonym wyposażeniem kapitałowym i skutecznym planem poprawy kapitału... Tytuł brzmiał bardzo poważnie. No i nie musiałby już brudzić sobie rąk na wykopaliskach, opędzać się od komarów ani spać w namiocie.

Energicznie kiwnął głową.

– Jako kierowniczka katedry Tappana i jej dyrektorka wykonawcza Nora zostanie również dziekanem wydziału archeologii i będzie podlegała bezpośrednio zarządowi instytutu. Czy są jakieś pytania? Albo przemyślenia?

Nie było żadnych.

– Jeszcze raz dziękujemy panu za hojność – wykrztusiła z trudem Weingrau.

– Znakomicie! W takim razie nie będę zabierał państwu cennego czasu. Jest wpół do pierwszej. Wydawanie pieniędzy zawsze wzmacnia mój apetyt i strasznie zgłodniałem. Jestem przekonany, że z wami u steru instytut będzie się wspaniale rozwijał.

– Dziękujemy.

– Poza tym wiem, że Nora jest bardzo podekscytowana perspektywą objęcia stanowiska głównego archeologa. Mając nieograniczony budżet i pełną kontrolę, pewnie już teraz snuje plany wspaniałych wypraw i projektów.

– Przyznam szczerze, że tak – potwierdziła Nora.

* * *

Wstali, pożegnali się i wyszli na nowomeksykańskie słońce. Chwilę później byli już na parkingu, gdzie czekała jasnoniebieska tesla.

Tappan gwałtownie przystanął.

– Pamiętam to miejsce. Nazwałaś mnie tu ostatnim dupkiem.

– Musimy upamiętnić to jakąś tablicą. – Nora zmrużyła oczy w słońcu. – Nie powinniśmy już jechać? Mówiłeś, że jesteś głodny.

– Bardzo, a raczej wygłodniały. Ale nie mam ochoty na lunch.

Nora spojrzała na niego.

– Ty... niegrzeczny chłopcze. – I klepnęła go w policzek, ale bardzo delikatnie i z wielką czułością.

Przypis

[1] Marcel Proust, *W poszukiwaniu straconego czasu*, Warszawa 1974.
Przekład Tadeusz Boy-Żeleński i Magdalena Tulli.